

ANDRZEJ

MAKOWIECKI

PIĘĆDZIESIĄT
MELONÓW



Książy MŁYN
DOM WYDAWNICZY

ANDRZEJ
MAKOWIECKI
PIĘĆDZIESIĄT
MELONÓW

 Księży MŁYN
DOM WYDAWNICZY

W 1990 roku ukazało się pierwsze, niepełne wydanie książki Andrzeja Makowieckiego „Pięćdziesiąt melonów”. Niniejsze wydanie jest pierwszą pełną edycją tej powieści.

Korekta:
Monika Ulatowska

Fotografia na okładce:
ze zbiorów Ryszarda Bonisławskiego

Projekt okładki:
Wojciech Miatkowski

Skład:
Joanna Pelc

Opracowanie e-wydania:
mobisfera

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2017

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-471-0



KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54
www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2017. Wydanie 1

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Intro

Posesja numer 84

Gejsza

Wicher

Kukuryk

Mecenas

Kopyto

Część pierwsza. Ptaki

Część druga. Nietoperze

Karcer przy ulicy wisielców

Przypisy

Nie wszystkie wydarzenia są zmyślane; prawdziwe jest tylko miasto. Niech tak będzie.

Dwadzieścia trzy lata temu zamordowano w Łodzi młodą, piękną dziewczynę, pochodzącą wedle ówczesnych kryteriów z bogatego domu. Sprawcy do dzisiejszego dnia nie wykryto. Opinia publiczna, zazwyczaj ślepy i bezwzględny wróg sprawiedliwości, próbowała początkowo rzucić cień na Bogu ducha winnego studenta, narzeczonego ofiary, co zaważyło wydatnie na jego późniejszym życiu.

Wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku dwóch młodych mężczyzn dokonało rozboju na konwojentach, którzy w cichym powiatowym mieście przewozili z NBP do Banku Spółdzielczego pięćdziesiąt milionów złotych. Padły strzały, były ofiary w ludziach. Pieniądze i bandyci rozplynęli się we mgle.

Nikt nie przypuszczał, że obydwaj odległe w czasie przestępstwa miały ze sobą związek. Nić, która niebawem osiągnęła średnicę powrozu, prowadziła do kamienicy przy jednej z głównych łódzkich ulic.

POSESJA NUMER 84

Jest tam brama o dwóch żelaznych, poobijanych przez samochody pachołkach. Głowy pachołków, na których w pogodne dni siadają pijani w sztok synowie stróża, ozdobione są szyderczymi twarzami krasnali. Nad bramą wisi niczym dziób okrętu wykuszowe okno. Balkony frontowe i niektóre stiuki zostały dla bezpieczeństwa zerwane, kamienica wszelako nie całkiem straciła na uroku. Tkwi w samym środku miasta, kilkadziesiąt metrów od ulicy Piotrkowskiej.

W bramie lewe, wylizane brązową farbą drzwi wiodą do siedliszcza dozorca i na tym kończy się ich szlachetna misja. Natomiast prawymi drzwiami dojdiesz do marmurowych schodów i podążysz, jeśli tylko masz siłę i ochotę, do mieszkań lokatorskich na pierwszym, drugim i trzecim piętrze.

Dalej jest wylane różowym betonem podwórko z gazonem obmurowanym niebieskimi kafelkami. Niegdyś, wiosną i latem, gazon kipiał od kwiatów, ale odkąd dozorca osiągnął po raz pierwszy upojny stan delirium tremens, przestał zajmować się kwiatami i gazon przypomina teraz ponurą parcelę cmentarną.

Podwórko ze wszystkich czterech stron otoczone jest trzypiętrową zabudową mieszkalną, nad którą biegnie dookoła strych-poddasze, a u podnóża kamienicy zionie czternaście prostokątnych otworów piwnicznych. W zagraconych, zasypanych węglem i kartoflami piwnicach usłyszysz nieraz złowieszczy pisk szczura. W marcu piwnice należą do kotów, które zawodzą nocami jak niemowlęta albo wrzeszczą z przerażającym okrucieństwem.

Po drugiej stronie podwórka, na wprost frontowej bramy znajdziesz inną, mniej okazałą bramę z wejściem na ostatnią klatkę schodową. Brama ta wyziera na piaszczysty dziedziniec, gdzie stoją rzędem pojemniki na śmieci. Jako się rzekło, permanentnie pijany dozorca nie ma ostatnio czasu na zajmowanie się głupstwami, rzadko więc przy pomocy dwóch skacowanych synów wywleka pojemniki na ulicę, aby przekazać je

samochodom Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Cuchnie. Dziedziniec graniczy przez mur z przedszkolnym placem, na którym pod opieką zatykającej nos wychowawczynie bawią się w tumanach kurzu blade, wesołe dzieciaki.

Na tym można by zakończyć opis posesji numer 84. W bramie frontowej wisi zakurzony spis trzydziestu dziewięciu głównych lokatorów. Jest wśród nich milicjant, jest położna, jest lekarz, jest emerytowany urzędnik-elegant, który trzy razy dziennie zmienia ubranie i dumny jak paw, to w muszce, to w krawacie, paraduje po podwórku. Nas ci ludzie jednak w ogóle nie obchodzą. Nas obchodzi tylko pięć podstawowych osób dramatu. Dobry obyczaj nakazuje, aby zacząć od kobiety.

GEJSZA

Barbara S. nie była kurwą, aczkolwiek w poufnych rozmowach tym właśnie mianem określały ją sąsiadki. Barbara S. nie była także w całym tego słowa znaczeniu prostytutką. Nie miała opiekuna, nie przesiadywała w kawiarniach, nie łowiła na ulicy, a w domu, w mieszkaniu na drugim frontowym piętrze kamienicy, przyjmowała sporadycznie. Bywało wszakże, iż przed bramą, pomiędzy jednym drzewem lipowym a drugim, zatrzymywał się z dyskretnym pomrukiem silnika mercedes o szwedzkiej bądź holenderskiej rejestracji i tuż za Barbarą wysiadał z auta przystojny, szpakowaty, zaawansowany już w latach dżentelmen, aby wstąpić na marmurowe schody i spędzić z atrakcyjną Polką noc. Milicjant drogowy, młode jasnowłose, podpuszczone przez żonę chłopię, zasadzał się kilkakrotnie o brzasku na zagranicznych klientów Barbary w przeświadczeniu, że uda się być może postraszyć ich balonikiem i łyknąć z boku parę dolców. Kochankowie jednak zawsze byli trzeźwi, zawsze doskonale ogoleni i w ogóle pod każdym względem w porządku.

Barbara S. pracowała metodą usta-usta, przy czym nie chodzi tu o sztuczne oddychanie i nadmuchiwanie wielkanocnych jaj. Chodzi tu wyłącznie o system specjalnych ustnych poleceń. Zwracał się na przykład dyrektor Józwiak do dyrektora Dzięgielewskiego:

– Z piękną dziewczyną byłeś wczoraj w teatrze. Chętnie zrobiłbym z nią łupu-cupu.

– Spróbuję to załatwić – odpowiadał dyrektor Dzięgielewski i organizował wstępne spotkanie w trójkę w jakiejś eleganckiej, ale ustronnej knajpie, na przykład w „Dziku” albo „Pod Łódką”, albo w motelu „Na Rogach”, gdzie nie tylko można dobrze wypić i zjeść, lecz i przespać się w wygodnym łóżku. W trakcie kolacji Barbara była dla obydwu panów uprzedzająco grzeczna, przychodził wszelako moment, że wywoływała dyrektora Dzięgielewskiego do holu i mówiła z ubolewaniem:

– Spław jakoś swojego przyjaciela, kotku.

– Nie podoba ci się?

– Och, byłby na pewno wspaniałym kochankiem, tyle tylko, że jest łyсы, gruby, obleśny, trochę jakby niedomyty i potwornie zdyszany. Boję się, że jeśli nawet przeżyje stosunek, trzeba będzie wzywać kardiologa.

Scenariusz mógł również wyglądać odwrotnie. Wywołany do holu Dzięgielewszczak, czy też inny zaprzyjaźniony z Barbarą dyrektor, wysłuchiwał nie bez zazdrości:

– No, wracaj do żony i do dzieciaków, myszko. Twój kolega to porządny człowiek, poradzimy sobie jakoś we dwójkę.

Przechodziła zatem Barbara z rąk do rąk. Była wymarzoną kurtyzaną dla wyższych kręgów średniej kadry dyrektorskiej, o czym świadczy dowodnie, iż zakochał się w niej pewien dyrektor departamentu. Nie dyrektorzy jednak wybierali, lecz ona. Gość musiał mieć oczywiście portfel, przy czym dobrze było, kiedy jego wygląd i zdrowie nie budziły zastrzeżeń, i kiedy nie potrzebował sięgać do portfela, aby udowodnić kim jest. Karki kelnerów mają zginać się automatycznie, a służba hotelowa winna stąpać na paluszkach.

Co do samego kochania i seksu, Barbara nie traktowała tych spraw rutynowo; nie bawiła jej ordynarna młócka na tapczanie i zwierzęcy ryk, jaki wydobywał się po kilku chwilach z płuc mężczyzny. W swoją pracę, jeśli można to w ogóle nazwać pracą, wkładała całe serce i duszę, całą bujną i nienasyconą kobiecość, która zawodziła ją rzadko, zwykle zaś stanowiła źródło mocnych i szalonych przeżyć. Akt miłosny był dla niej tym samym, co klasycznie zbudowany utwór muzyczny – długi wstęp, eksplozja i powolny odpływ w smutek mórz południowych. Początek był walką dwóch nienawidzących się płci, był wściekłością i pożądaniem, koniec natomiast przybierał tony uległe.

Barbara S., którą nieliczne grono znajomych nazywało Gejszą, nie pochodziła bynajmniej, jak to bywa zwykle wśród dziewcząt upadłych, z marginesu społecznego; nie miała również nic wspólnego ze środowiskiem robotniczym, ceniącym nade wszystko u kobiet czystość charakteru i cnotę. Ojciec Gejszy był inżynierem budowlanym; matka, dama niepozbawiona pretensji,

grała trochę na fortepianie i śpiewała, przechwalając się w przerwach szlacheckim rodowodem. Gejsza dorastała samotnie; marzyła o braciszku lub siostrzyczce, ale nie doczekała się ich, co martwiło również inżyniera – nie dlatego, aby chciał mieć więcej dzieci, lecz dlatego, iż syn dziedziczyłby po nim nazwisko. Tak czy owak, kochał ogromnie jedynaczkę, a ona nie sprawiała mu zawodu aż do chwili, kiedy w wieku szesnastu lat zabrał się do niej po lekcjach w gimnazjum nauczyciel rosyjskiego, typ przystojny, wszelako niebywale bezczelny, o sadystycznym usposobieniu i swoistym poczuciu sprawiedliwości. Nocą grzała mu łóżko, rano, wobec koleżanek i kolegów, wzywał ją do odpowiedzi.

– Tiejpier' Warwara – mówił i kazał jej streszczać *Wiśniowy sad*. Ponieważ milczała jak zakłęta, walił dwóję, wychodząc z założenia, iż człowiek radziecki musi odgrodzić życie osobiste od czynności zawodowych.

– Skurwysyn – wyplakiwała się później przyjaciółce w bluzkę. – Może bym i przeczytała to sztuczdyło, ale jak miałam to zrobić, kiedy bez przerwy mnie rznął.

Romans nie był wcale przelotną miłością. Trwał. Wkrótce dowiedziało się o nim grono pedagogiczne, darzące radzieckiego sokoła szczerą i niewymuszoną estymą, a potem rodzice Barbary, w związku z czym ojciec wezwał ją któregoś dnia do pokoju na rozmowę.

– Zaraz przyjdę – powiedziała i zniknęła na tydzień, aby zemścić się na ukochanym rusycyście z germanistą w Grand Hotelu. Germanista, w rzeczy samej dyrektor znanej monachijskiej spółki handlowej, w słusznym przeświadczeniu, że Polsce należy się odszkodowanie wojenne, wcisnął jej ukradkiem do kieszeni sto marek i tak się zaczęło. Dwa lata spędziła w drugiej klasie, a kiedy przeszła do klasy trzeciej i skończyła osiemnaście lat, wymogła na pijanym dyrektorz fabrycznym, aby podpisał jej kwestionariusz paszportowy, że to niby pracuje, i że zakład nie ma nic przeciwko wyjazdowi dziewczyny na tygodniową wycieczkę do Amsterdamu. Przyjechała po sześciu miesiącach z przyzwoitą znajomością angielskiego, zmieniała

bowiem kierunek zainteresowań lingwistycznych. Rusycysta, którego szczere słowiańskie serce wyło z bólu, błagał ją w bramie na kolanach, aby wróciła do niego i do szkoły.

– Trójkę dam na maturze – chlipał. – Bez gadania!

A Gejsza na to:

– Słuchaj, mały, jesteś naprawdę fajnym facetem i ukierunkowałeś mnie w życiu, ale teraz muszę iść do wujka.

Już wtedy żywiołem Gejszy byli chłopcy-dyrektorzy, owa wspaniała, jurna, umiejąca cieszyć się nocą i dniem rasa ludzi, którzy mają dzieci, żony, prywatne i służbowe kochanki, prywatne i służbowe samochody, władzę, pieniądze i w ogóle wszystko prócz rozumu. Szybko posiadała sztukę manewrowania tymi ćwokami. Kiedy jeden z drugim pozbawiony taktu bęcwał sięgał do kieszeni, aby wręczyć jej rulon banknotów, podnosiła ze zdziwieniem brwi.

– Cóż ty do cholery myślisz, kochanie? Jeśli chcesz koniecznie sprawić mi przyjemność, to w „Centralu” są krótkie futerka.

Albo:

– Wolałabym raczej zaręczynowy pierścionek.

Albo:

– Przejdź się ze mną do tego komisju przy Narutowicza, obejrzymy komplet dzinsowy.

I tak dalej. Kozuch, buty, perfumy, pończochy i suknie, narty, rakietka tenisowa, złoty zegarek, kilkanaście wpłat na konto dolarowe, książeczka PKO z uczciwym wkładem, czterotomowa Encyklopedia Powszechna, radiomagnetofon Hitachi, wreszcie telewizor Super-Infra Color Videoton, za który zapłaciła z własnej kieszeni, ale już z chwilą wytaszczenia z magazynu wart był podwójnie. Usiłowała wręczyć go rodzicom na srebrne wesele, ale zarówno ojciec, jak i matka, zrozpaczeni i zagniewani, nie przyjęli prezentu.

Ileż wstydu przeżyli obydwój! Najpierw wstydziła się tylko sąsiadów, potem znała już Gejszę cała dzielnica, wreszcie ojciec wyczytał ze spojrzeń podwładnych i kolegów, że sława jedynaczki dotarła do zakładu, w którym przepracował sumiennie ćwierć wieku. Wówczas pod naciskiem żony postanowił wyprowadzić się

na Śląsk. Nie miał zielonego pojęcia, że Barbara obróciła już jego szefów: dyrektora naczelnego i dwóch przystojnych wicedyrektorów, i gdyby tylko chciała, mógłby śmiało awansować. Tego jednak zrobić mu nie mogła. Patrzyła ze ściśniętym sercem, jak robotnicy ładują na platformę ciężarówki krótki pokojowy fortepian, stół, sześć krzeseł, bufet i parę innych domowych sprzętów. Matka nie odezwała się do niej ani słowem, ale ojciec zawrócił w ostatniej chwili i płakał. Kiedy po raz ostatni zamknął za sobą drzwi, rozszlochała się i Gejsza. Życie jednak ma swoje rygory. W trzy dni później wróciła do chłopców-dyrektorów i zaczęła kompletować mieszkanie. Wzbudziło to falę okrutnej zawiści. Konwent sąsiadów, w którym zasiadało więcej pań niż panów, próbował wyrzucić ją z domu. Odwiedziła Gejszę w godzinach porannych dziewczyna z obyczajówki, absolwentka uniwersytetu ubrana ze skromną, sztywną elegancją.

– Koniak? – zapytała Gejsza.

– Nie.

– Martini?

– Dziękuję.

– W takim razie wypije pani szklankę herbaty – powiedziała stanowczo Barbara i podsunęła jej camele.

Funkcjonariuszka przekonana na schodach, że drzwi otworzy jej ściochrane przeciwnościami losu kurwidło, poczuła do Gejszy sympatię i przyjęła poczęstunek, przyglądając się uważnie gospodyni, która robiła doprawdy imponujące wrażenie. Była opalona, ale bez przesady, jako że chodziła do solarium przy Tuwima tylko raz na dwa tygodnie. Miała zdrową cerę, cudownie zarysowane biodra i piersi, jasne nieukarbowane, lśniące włosy i naiwne spojrzenie ladaczniczki, czytającej przed snem wiersze Leśmiana.

*Głowy, którą mam na karku,
Nie wygrałam na jarmarku,
Lecz dostałam ją od Boga
i dlatego jest mi droga.*

Mądrym człowiekowi głowa służy przede wszystkim do myślenia.

– Nie lubię zdziczenia obyczajów – rzekła Gejsza z prostotą. – Nie urządzam przyjęć, nie upijam się, nie narkotyzuję, nie tańczę i nie wrzeszczę, nie handluję bonami, nie trzymam w mieszkaniu dolarów i psów, radia i telewizji słucham po cichu, no i bardzo rzadko miewam gości. Trudno rzecz jasna powiedzieć, abym odczuwała przesadny wstręt do mężczyzn, ale niech mi pani pokaże takiego, którego oszukałam, zgwałciłam lub okradłam.

– Nie pracuje pani jednakże.

– Ano, nie. Jestem bogata z domu.

– Nie chce pani podjąć nauki?

– Studiuję we własnym zakresie angielski i geografię.

– Miałam na myśli liceum.

– Tam nie wrócę.

– Czemu?

– Zawiodłam się na belfrach.

– Mogłaby pani sprecyzować kwestię?

– W żadnym wypadku – zaprotestowała spokojnie Barbara. – Nie uznaję donosów.

Funkcjonariuszka przełknęła pigułkę i wyszła, żałując, że nie udało się pozyskać Gejszy do współpracy, która mogłaby zaowocować szokująco. Uuuu! Byłby hak na kilku drani. Na Barbarę jednak haka nie było. Zakochiwała się po prostu częściej niż inne, uczciwe kobiety, ale nie kłusowała w łódzkich lupanarach, nie roznosiła chorób wenerycznych, nie rozbiła żadnego małżeńskiego stadła. Nie lubiano jej, lecz uroda zawsze budzi zazdrość. Nie ma rady!

Żyła więc Barbara spokojnie, unikając sąsiadek i nie odpowiadając na ukłony zalotnych sąsiadów. W ciągu trzech lat wzbogaciła znacznie rejestr dyrektorów, w których gestii było dziwnym trafem drewno i wiele innych gałęzi rodzimego i zagranicznego przemysłu. Jeździła skromnie małym fiatem. Rzadko zarywała noce, spała do południa. Słuchała muzyki, nieraz brała do ręki książkę:

Uważ, jaki zakał
Grozi twej sławie, jeśli łatwowiernie
Podszeptom jego oddasz ucho, serce
Sobie uwięzisz i skarb niewinności
Otworzysz jego bezwodzonym zapędem.
Strzeż się, Ofelio, strzeż się, luba siostró;
I stój w odwodzie twej skłonności, zdala
Od niebezpieczeństw i napaści pokus.
Wstydlive dziewczę za wiele już waży,
Gdy przed księżycem wdzięki swe odślania.
Na samą cnotę pada rdza obmowy:
Robak zbyt często toczy dzieci wiosny,
Nim jeszcze pączki zdążyły otworzyć;
kiedy rosa wilży młodość hożą,
Wpływy złośliwych miazm najbardziej grożą.
Strzeż się więc; tarczą najlepszą w tej próbie
Niedowierzenie, nawet samej sobie^[1].

Tęskniła za rodzicami, za ojcem, który od czasu do czasu, zapewne w tajemnicy przed matką, pisał do niej przepelnione miłością listy.

Któregoś wieczoru kłasnął dzwonek u drzwi. Pomyślała, że syn stróża przyszedł po kosz ze śmieciami, aby opróżnić go na drugim podwórku i zarobić sto pięćdziesiąt złotych.

Przekręciła klucz w zamku i radość dosłownie ścięła ją z nóg. W progu stał jedyny mężczyzna, jakiego naprawdę kochała. W progu stał zażenowany, nieśmiało uśmiechnięty ojciec. Zawahał się, nim pocałował ją w czoło. Zrobiła to, czego nie robiła jeszcze nigdy: oddała mu pocałunek w rękę. Nie od razu podniosła głowę i nagle poczuł na palcach wilgoć jej gorących, obfitych łez. Potem zniknęła w łazience, a on błędził oczami po mieszkaniu, którego nie poznawał, choć przeżył w nim dwadzieścia pięć lat. Korytarz wyłożony był ciemną boazerią; ściany sypialni i pokoju stołowego pokrywały pastelowe tapety. W obydwu pomieszczeniach z uperlonych sztukaterią sufitów

zwisłały ciężkie, mosiężne żyrandole; tu i ówdzie tryskał światłem bliźniaczy kinkiet – autentyk z okresu Księstwa Warszawskiego. W stołowym pysznił się czarny jak heban komplet gdański i wiśniowa skórzana kanapa z trzema głębokimi fotelami. Sypialnia przybrana była meblami à la Ludwik XVI. Docenił czystość i urodę parkietów wysłanych dywanami, których próżno byś szukał w polskich sklepach. No, no! Dwa kolorowe telewizory – „Videoton” i trochę mniejszy, japoński „Panasonic”, ustawiony na wprost szerokiego łoża. Co jak co, ale panna raczej nie głoduje.

Opuściła łazienkę i uśmiechnęła się zaczerwienionymi lekko oczami.

– Chcesz umyć ręce?

Skinął głową.

– Zrobię coś do jedzenia.

– Jestem po kolacji – zaprotestował, ale dziewczyna była już w kuchni. Pchnął szklane, przybrane holenderską zazdrostką drzwi i nim pochylił się nad zgrabną, kremową umywalnią Rico, doznał szoku. Łazienka, czy może raczej pokój łazienny, wstrętny niegdyś i zaniedbany, przypominał komnatę faworytnej żony sułtana z epoki rozkwitu dynastii Osmanów. Wanna też była kremowa, okrągła, wpuszczona w podłogę, wchodziło się do niej po schodkach. Granatowa włoska glazura sięgała ze wszystkich stron sufitu. Marmurową terakotę pokrywał puszysty, czerwony kobierzec. Okucia półek, uchwyty do ręczników i armatura lśniły od niklu. W ścianę nad wanną wmontowany był modny, biały telefon bez tarczy, którą zastępowało dziesięć opatrzonych numerami przycisków. U okna stał mahoniowy stolik na kółkach.

Po co jej w łazience ten stolik? Zerknął na bidet i od razu odwrócił wzrok. Potem siedział w pokoju na kanapie i patrzył, jak blat niskiej gdańskiej ławy zapełnia się stopniowo tym, o co w Polsce jest trudno, i tym, o co w Polsce jest bardzo trudno, i to nawet wtedy, gdy masz chody w „Peweksie”. Był onieśmielony i skrzepowany. Swoją drogą, mogłaby wykazać trochę taktu.

– Kieliszek wina czy brandy?

– Jestem samochodem.

- Na długo przyjechałeś?
- Nie. Wracam jutro po południu.
- Więc pościelę ci na kanapie.
- Innym razem - bronił się zmieszany inżynier. - Muszę być w hotelu, rano mam ważną konferencję.
- Gdzie stanąłeś?
- W Grandzie.
- Przecież to dwa kroki.

Aby pokonać te dwa kroki, niepotrzebny był samochód, równie dobrze można było pokonać je pieszo. Zatem nic nie stało na przeszkodzie, aby posmakował alkoholu. Nic również nie stało na przeszkodzie, aby zrezygnował z hotelowej nocy i udał się rano na ważną konferencję wprost z mieszkania córki. Tę myśl odsunął jednak brutalnie.

- Dobrze - westchnął. Sam napełnił kieliszki. Wypił. Koniak był doskonały, więc powtórzył manewr kilkakrotnie. Niebawem zaczął jeść z apetytem to, o co trudno było w kraju, i to, o czym w kraju można było najwyżej pomarzyć. Schab, szynka bajońska, kawior astrachański. Na deser kawa i wonne hawańskie cygaro. Dreszcz przeszedł go na myśl, że mogłaby zobaczyć to żona, stercząca codziennie ze swoją problematyczną migreną w długich, kłótliwych kolejkach.

Tak czy owak, nerwy inżyniera odtajały wyraźnie. Nie czuł się już jak zdradliwy, nękaný wyrzutami sumienia kochanek, spędzający noc w domu ładacznic. Był ojcem! Gościła go w końcu rodzona, najdroższa sercu córka.

Rozmowa biegła teraz swobodniej.

- Co u mamy? - zapytała nieśmiało Gejsza.

- Po staremu.

- Kwęka?

- Ano, trochę kwęka.

- Wspomina mnie czasem?

- Prawdę mówiąc, tylko w chwilach gniewu.

- Boże, jak ja za nią tęsknię! Jak bardzo chciałabym ją zobaczyć!

Przysunęła się do ojca i objęła go kurczowo swymi krągłymi, pachnącymi ramionami.

- Nie odtrącaj mnie tak zupełnie - szeptała, całując go w ciepłą zakłęśłość policzka. - Przyjedź czasem, spotkaj się ze mną czasem, choćby w obcym mieście.

- Pomyślę o tym - powiedział głosem ochrypłym ze wzruszenia. Przełknął ślinę. Otarł grzbietem dłoni mokre od potu czoło. Wstał i podszedł do okna, które wychodziło na podwórko, i zobaczył w innym wysokim oknie jakąś ładną, chłopięcą, znajomą chyba twarz. Zacisnął pięści, żeby się nie rozplakać. W głowie błysnęło odległe wspomnienie szkoły. Na lekcjach polskiego przerabiali sławną powieść Balzaka i starsi, cyniczni uczniowie mówili o tytułowym bohaterze z pełną słodczy pogardą: Ojciec Woriot.

On też był ojcem Woriotem. Ciągle jeszcze nie wyzbył się złudzeń. Ciągle jeszcze czepiał się nadziei, że córka przywróci mu sens życia. Kiedy usłyszał za plecami szmer jej cichych, kocich kroków, odwrócił się i chwycił ją z całej siły za ręce i teraz ona widziała ponad jego ramieniem młodą, przystojną twarz chłopca w oknie, a starzejący się człowiek mówił rwącymi się, eksplodującymi żalem słowami:

- Marzyłem, że wyjdiesz za mąż, że będziesz miała swój cichy, miły, uczciwy dom, i że może kiedyś, wiesz, może którejs nocy albo któregoś dnia obdarujesz mnie wnukiem.

- Kto wie, tatusiu - powiedziała żarliwie Gejsza. - Może kiedyś doczekasz się wnuka.

Przyciągnęła ojca do siebie, nie zważając na chłopca, który wciąż tkwił w oknie. Chłopiec ten jest kolejną kluczową postacią naszego dramatu.

WICHER

Jacek T. mieszkał na trzecim piętrze w drugiej lewej oficynie domu numer 84. Miał siedemnaście lat i znajdował się aktualnie w klasie maturalnej, jako że matka posłała go do szkoły z rocznym wyprzedzeniem wychodząc ze słusznego założenia, że skoro ma płacić za przedszkole, to niech on lepiej wprzęgnie się od razu w kierat darmowej nauki. Nie znaczy to oczywiście, że Jacek T. był jakimś nadzwyczajnym geniuszem, ale nikt mu nie musiał zaglądać do kajetów i książek; czego nie odrobił, to ściągnął, czego mu nie kupili, to ukradł, dobrze liczył, chętnie czytał, przejawiał niewątpliwie smykałkę do męskich dyscyplin sportowych, a w mordę bił, nie zważając na wiek i kaliber przeciwnika.

Za Jackiem T. od najmłodszych lat przepadały dziewczęta, więc cnoty pozbył się w sposób naturalny i słodki. Można by stąd wysnuć błędny wniosek, że Jacek był chłopcem sympatycznym. Otóż, nie! Jacek był wysoki, miał stalowe oczy i zdrowe, złociste włosy z tak zwanym wicherkiem, który pieje osobnikom rodzaju męskiego na czubku głowy, a Jackowi wybuchał na czole, co sprawiało wrażenie, jakby nieustannie skierowany był na niego silny strumień powietrza, i co dawało gwarancję, że gdyby Jacek dożył przypadkiem sędziwego wieku, zawsze pozostanie w nim ślad chłopięcej urody. Przy tym jednak charakter Jacka należał do trudnych. Miał nieruchomą twarz i wiecznie zasznurowane usta. Mówił twardo, krótko, bez intonacji. Uśmiechał się rzadko i był to zazwyczaj uśmiech szczerzącego zęby tygrysa. Mimo wszelkich istotnych przymiotów nie zdradzał skłonności przywódczych; żył bez przyjaciół, bez kolegów; nie wiązał się na trwałe z żadną dziewczyną; nie tańczył, nie słuchał muzyki, nie chodził na prywatki i zabawy; nie narkotyzował się i nie pił, palił natomiast amerykańskie papierosy. W wolnych chwilach łąził godzinami po mieście albo przesiadywał w kinach: żuł gumę i wsłuchiwał się w trzask repetowanych karabinów. W domu miał wiatrówkę marki Diana odziedziczoną po starszym bracie. Kiedyś wiatrówka

egzystowała na prawach zabawki, potem uzyskała status broni i trzeba było ją rejestrować. Nie zrobił tego. Strzelał z okna do gołębi na kominach. Powybijał wszystkie szyby w okienkach na strychu. Niejaki Brudas złożył na Jacka donos, więc przyszli i zabrali mu wiatrówkę. Wówczas zaczął interesować go dynamit.

Rodziców Jacek miał wspaniałych. Matka, jak to pięknie określają poeci, uległa gorącym porywom serca i opuściła go, gdy skończył osiem lat, aby wyjść powtórnie za mąż za jakiegoś safandulę z Wybrzeża. Z czasem starszy brat pouczył Jacka, że poeci kłamią: gorące porywy serca znaczą akurat tyle, co taniec penisa z waginą. Ojciec Jacka też był wspaniały: wyemigrował z kraju przed przyjściem chłopca na świat. Sprawiedliwie będzie dodać, że ojciec nie prosił wcale Pana Boga o to dziecko, i że z kraju chciał wyjechać dużo wcześniej, dokładnie: w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, w owym brzydkim okresie, kiedy część polskiej inteligencji mogła ubiegać się o paszport w jedną stronę, bez prawa powrotu.

Był ojciec Jacka znanym rysownikiem i karykaturzystą. Współpracował z wieloma szacownymi tytułami; miał etat w satyrycznym dwutygodniku i pół etatu w redakcji filmów animowanych. Żył dostatnio, wszelako kiedy nadarzyła się sposobność, zamierzał wyemigrować, czemu stanowczo sprzeciwiła się żona.

– Sam nie wyjedziesz, bo nie dam zgody. Masz przecież na utrzymaniu dziecko. – Chodziło o starszego, jedyne wóczas syna, Bernarda, który rozpoczął właśnie studia ekonomiczne. – My z tobą też nie wyjedziemy, bo nie chcemy zdychać z głodu i spać w przytułkach.

Karykaturzysta przyczał się więc. Żył z żoną pod psem, ale od czasu do czasu łączyło ich łóżko i ku zaskoczeniu obydwojga, kobiecie, która przekroczyła już czterdziestkę, zaokrąglił się nagle brzuch. W siedemdziesiątym pierwszym roku, kiedy zbliżało się rozwiązanie i mały Jacuś torował sobie z wigorem drogę na padół goryczy i łez, tata wyjechał z „Orbisem” na trzydniową wycieczkę do Wiednia i już nie wrócił. Nie był na pępkowinach i nie był na chrzcinach. Nie ucałował noworodka

w czoło. Przesłał jeno sto dolarów i pełen skruchy list, w którym zapewniał, że wszystkich bardzo kocha, i że wszystkiego bardzo żałuje, ale dalej już w tym chamskim, komunistycznym bagnie żyć nie potrafi.

Karykaturzystę-dezertera wyręczył w obowiązkach rodzicielskich jego syn pierworodny, Bernard. Zrobił to zaiste z wielką miłością i poświęceniem. Starszy od Jacka o dwadzieścia dwa lata, był mu bardziej ojcem niż bratem. Wodził go na spacer do parku i kołysał do snu. Opowiadał mu bajki-straszki. Odprawiał malca do szkoły. Na imieniny, urodziny i na gwiazdkę Jacek otrzymywał od Bernarda kosztowne prezenty. Kiedy matka odeszła do swojego bogatego safandudy na Wybrzeżu, potroił starania o chłopca, który mimo swego sześcioletniego wieku zdawał się być lekko zniechęcony do świata.

Bernard został magistrem ekonomii, ożenił się i wyprowadził na Teofilów. Nie miał dzieci i w dalszym ciągu trzymał nad Jackiem pieczę. Bywał u niego co drugi dzień. Uczył go, udzielał mu rad.

– Jeśli ktoś cię uderzy, nigdy mu nie oddawaj. Poczekaj, aż się odwróci. Wtedy skocz mu na plecy, złap za włosy, przewróć na ziemię i kopnij. I pamiętaj, że życie jest tylko jednym rozdaniem kart, a kartom trzeba nieraz pomóc.

Nie znaczy to wcale, że po wyprowadzeniu się kolejno ojca, matki i brata Jacek został w ponurym dwupokojowym mieszkaniu sam. Cały czas od chwili narodzin miał przy sobie babkę po kądzieli. Trudno powiedzieć, czy babka była we wnuku bezgranicznie zakochana. Można natomiast z całą pewnością stwierdzić, że była mu bezgranicznie oddana. Prała, gotowała, sprzątała. Zimą chodziła po węgiel do komórki i paliła w piecach. Teraz, wiosną osiemdziesiątego ósmego roku, dobijała już kresu swojej pracowitej ziemskiej wędrówki i Jacek często wyręczał ją w zakupach. Bernard tymczasem rzucił groszową posadę w biurze i posmarowawszy gdzie trzeba, otworzył stragan w rynku przy placu Niepodległości. Oszukując na sto różnych sposobów Urząd Skarbowy, zdołał jakoś spłacić bunkier w blokach i kupić używany samochód. Przynależał Jackowi:

- Pomogę ci, jak pójdziesz na studia.
- Nie pójdę na studia – odparł Jacek.
- Dlaczego?
- Po co mam się męczyć? Wcześniej czy później trafię do twego straganu i będę sprzedawał bluzki.
- Na miłość boską, chłopie! Ale maturę chyba zdasz?
- Zdam albo nie zdam. Grozi mi lufa z fizyki. Wiesz, co ta kurwa powiedziała? „Jak podpiszesz zobowiązanie, że nie staniesz do matury, postawię ci trójkę. W ten sposób otrzymasz świadectwo ukończenia szkoły, a egzamin maturalny złożysz za rok”. I mnie to wystarczy.
- Ale mnie nie wystarczy. Chcę, żebyś miał przynajmniej maturę. Pogadam z tą kurwą.
- Nic nie wskórasz. Ona mnie kiedyś zaprosiła do domu i powiedziała, żebym wszedł do łóżka. „Nie musisz się nawet ruszać. Będę cię tylko całować i pieścić”.
- I czemu tego nie zrobiłeś, idioto?!
- Wstrętna!
- Przecież to niesłychanie podniecające!
- Jak się słucha z daleka, to podniecające, ale jak spojrzysz z bliska w taki obmierzły, pomarszczony dziób...
- Ja ją ciachnę!
- Nie ciachniesz. Ona ma słabość do młodzieży.
- Więc może ją trzeba posmarować?
- Uczciwa! Z jednej strony kurwa, a z drugiej kryształ.
- Bzdury! A w ogóle, to czemu ty nie masz jakiejś stałej dziewczyny?
- Będę miał dziewczynę.
- Kiedy?
- Niedługo.
- Upatrzyłeś sobie kogoś?
- Tak.
- Kogo, jeśli wolno spytać?
- Gejszę.
- Ty chyba zwariowałeś?!
- Nie. Wcześniej czy później będę ją miał.

- To jest dopiero kurwa nad kurwami!
- A mnie się zdaje, że to najuczciwsza dziewczyna w tym mieście.
- Starsza od ciebie o pięć-sześć lat.
- Nie szkodzi. Będę ją miał. Jakbyś dał mi sto tysięcy, miałbym ją jutro.
- Sto?
- Sto.
- Już ci dam te sto tysięcy, Wicher! I to w twardej walucie.

Uderzył lekko Jacka w pierś, po czym objął go swoim niedźwiedzim ramieniem. Kochali się. Bardzo się kochali! Łączył ich węzeł silniejszy niż śmierć. A śmierć była blisko. Śmierć była w głowie jednego i drugiego brata, tylko bali się jeszcze o tym mówić.

Jacek wielokrotnie przeczytał reportaż o pewnym niecodziennym incydencie na Okęciu i gromadził wiedzę o ładunkach wybuchowych. Niby to takie proste! Znany autor twierdzi, że wystarczy umiejętnie porozmawiać z jakimś gościem, który pracuje w przedsiębiorstwie budowlanym, zajmującym się wysadzaniem w powietrze starych domów i zdobyć za pół litra kilka lasek dynamitu. Można zresztą polecieć na atrapę: starannie wykalkulowany i niedzielinny bynajmniej plan Jacka przewidywał i taką ewentualność.

Chłopak pocił się na samą myśl, a myślał o tym bez przerwy również owego wieczoru, kiedy odwiedził Gejszę ojciec. Widok pięknej, pożądanej skrycie dziewczyny uspokoił go trochę, potem Gejsza zgasła światło, więc znowu zaczął komponować szczegóły swego złowieszczego planu. O północy rozległ się rumor kroków na podwórku i Jacek zobaczył przez okno grubego, urąbanego w cztery stodoły sąsiada, który mieszkał naprzeciwko.

Sąsiad ten jest następną osobą naszej tragedii. Odegrał w niej rolę wielce pozytywną, ale wysoce niesympatyczną. Tak czy owak, musimy wprowadzić go patetycznie.

KUKURYK

Każde miasto ma swoich dziwaków, o których mówi się przy różnych okazjach. Są to zazwyczaj ludzie bezimienni; znaczy ich osobliwy ubiór, wada wymowy, kalectwo lub szczególny rodzaj zachowania. Dziwacy są w mieście taką samą atrakcją jak zabytki architektury; życie bez nich byłoby jałowe i nudne; mali chłopcy nie mieliby kogo wyśmiewać na ulicach, a w kawiarniach i urzędach szybko zabrakłoby tematu do rozmów.

Łódź na przestrzeni lat obfitowała w przeróżnych dziwaków i można było usłyszeć o nich zabawne dialogi:

– Wczoraj widziałem w tramwaju tego staruszka z harmonią i brodą do pasa.

– On jeszcze żyje?

– Tak. Był pijany w trupa, śpiewał jakąś polityczną, szalenie obelżywą piosenkę i na przystanku zwinęła go milicja.

Albo:

– Ech! Ten ślepiec, co sprzedaje spinacze na rogu Andrzeja i Piotrkowskiej...

– No, no!... mów pan, panie Władku! Mów pan!

– Aaaa, nic, uczeplił się wczoraj jednej damy, ona w krzyk, wrywa się jak opętana, a on swoje: kup, pani, nierdzewne, stalowe!...

Są także dziwacy malarze o szalonych oczach van Gogha; są dziwacy o zboczeniu militarnym, paradujący środkiem chodnika w cywilnych spodniach i wojskowych kurtkach z orderami i naszywkami na lewej piersi; są dziwacy wśród nawiedzonych pieśniarzy pojawiający się jeszcze od czasu do czasu na podwórkach starych kamienic; są dziwacy mamrocący pacierze pod murami kościołów i dziwacy, którzy wyciągają ręce po jałmużnę na ruchliwych ulicach. Są zdziwaczałe kobiety, których wiek dawno już stoczył się w dolinę mroku, a ich ubiór i makijaż ciągle jeszcze przypomina czasy szkolne; są tacy, którzy zmienili swe mieszkania na sierocińce dla kotów, i tacy, których życie spełza w parkach na dokarmianiu gołębi.

- Rano spotkałam tę kobietę z trójką psów.
- Co pani powie, kochana!
- Tak jest. Ona chuda jak zmora, one tłuste. Spaskudził się ten największy na trotuar, a ona, za przeproszeniem, ściskając w rękę wszystkie trzy smycze, drugą ręką zbiera gówno w gazetę.

O dziwakach nie mówi się w telewizji, a w prasie ich nazwiska znaleźć można tylko w rubryce wypadków. Kiedy do Sopotu przed wieloma laty miał przyjechać prezydent Francji, wszyscy tamtejsi dziwacy, włącznie z tym, który chodził w stroju indiańskiego wodza, zostali na kilkanaście godzin przymknięci. Trudna jest egzystencja dziwaków – anonimowi, a przecież sławni, będący w pewnym sensie własnością społeczną, rozśmieszający nas, zabawiający i wzruszający, tułają się gdzieś na peryferiach życia. Kelnerzy nigdy nie wpuszczają ich do restauracji, a portierzy do pomieszczeń hotelowych. Wszystkie drzwi są przed nimi zamknięte. W naszym mieście wszelako mamy dziwaka, którego specjalnością jest akurat otwieranie wszelkich drzwi, furtek i bram, zapór i szlabanów, i wciskanie się tam, gdzie nie wciśnie się zwykły śmiertelnik. Na tym polega właśnie jego dziwactwo. Poza tym wygląda normalnie – nie nosi na grzbiecie żadnego ekstrawaganckiego płaszcza, chodzi zwykłym, nieco ciężkim krokiem, gdyż waży sto dwadzieścia kilogramów. Jego twarz pozbawiona jest piętna obłędu; włosy ma ni to długie, ni to krótkie, tłuste i proste, zwinięte w wiór nad czołem, co upodabnia go trochę do Majakowskiego; oczy szare, dolna warga lekko obwisła, jakby pod ciężarem przyklepionego do niej papierosa najpodlejszego gatunku. Mieszka ów człowiek w rzeczonym domu numer 84 – pokój z kuchnią na poddaszu; kamienne schody kończą się na podeście trzeciego piętra, a dalej prowadzą już schody drewniane, trzeszczące i brudne, zatrzymujące się przed drzwiami zamkniętymi od zewnątrz na kłódkę.

Dziwak, chociaż ma przecież swoje banalne polskie imię i nazwisko, znany jest na podwórku i w ogóle w całej Łodzi pod pseudonimem Kukuryk. Sławę zdobywał Kukuryk powoli, w ciągu czterdziestu lat bytowania w mieście, którego – sądząc po

cerze – nie opuścił jeszcze nigdy dla jakiejś głupiej wsi czy lasu; łódzkie, zatrute sadzami powietrze było mu droższe od woni kwiatów i drzew. Nauk gruntownych nie pobrał biedaczysko, kończąc edukację na którejś tam klasie szkoły podstawowej dla przerośniętych. Ciężyła na nim w okolicy opinia głupiego Józka. Aż tu pewnego dnia starszy syn dozorczy wrócił do domu z meczu piłkarskiego niezwykle wzburzony i za jego udziałem gruchnęła w czterech ścianach kamienicy sensacyjna doprawdy wiadomość, że Kukuryk jest przyjacielem pierwszoligowych piłkarzy.

– Sam widziałem – mówił wibrującym ze zdenerwowania głosem starszy syn dozorczy – jak Kukuryk niósł za Sadkiem torbę, i Sadek, żebym tak zdrowia nie doczekał! rozmawiał z nim niby kolega z kolegą.

Od tej pory bulwersujące donosy o koneksjach Kukuryka zaczęły napływać regularnie. A to widział go ktoś na zawodach tenisowych w charakterze przedzierającego bilety, a to na koncercie rozrywkowym, gdzie pełnił jakieś nieokreślone funkcje, gaworząc w pauzach ze znanymi solistami, a to znowu na defiladzie pierwszomajowej, trzymającego mikrofon przed ustami telewizyjnego spikera, przy czym w chwilach, kiedy między jedną kolumną a drugą wytworzyła się przerwa i spiker mógł zawiesić czasowo potok swej kwiecistej wymowy, szeptał coś z poważną miną Kukurykowi na ucho, ten zaś przytakiwał skwapliwie.

Na basenach pływackich bywał, pilnując, aby dzieci kąpały się w miejscach dozwolonych; w teatrze podczas sztuk premierowych uzbrojony w latarkę odprowadzał na miejsce spóźnione osobistości z miną tak srogą, że niejednemu wiceprezydentowi zaplątał się krok. Krótko mówiąc, wszędzie mogłeś i możesz go spotkać: przy wypadkach drogowych walczącego jak lew z gapiami usiłującymi zobaczyć z bliska krew i pogięte karoserie; przy wisielcu; przy pożarze katedry; na wystawie wieloryba; na Świącie ulicy Piotrkowskiej i na Interfashion, do czego zresztą w swoim czasie wrócimy, gdy Kukuryk zatrzyma się w pasażu ZWM.

Najnormalniejszy z dziwaków miał swoje ciche pasje. Bywało, że opuszczał rano dom, ściskając pod pachą blok rysunkowy.

Niektórzy sąsiedzi podejrzewali, że uprawia ukradkiem malarstwo. Inni twierdzili, iż blok przydaje mu splendoru rzutkiego menadżera. Były to jednak fałszywe domysły. Kukuryk nie musiał uciekać się do żadnych takich chwytów. Swoje cenne znajomości zdobywał w uczciwy, choć niepojęty dla innych sposób, zaś blok służył mu do niewinnego kolekcjonowania zdjęć.

Inną pasją Kukuryka było wiedzieć zawsze, co się dzieje w Łodzi. Nie dać się ubiec i zaskoczyć, trafić na miejsce przed konkurencją! Wymagało to baczego podsłuchiwania i nieustannej, wnikliwej obserwacji. Kukuryk obserwował więc miasto, a jak wracał do domu, z równą uwagą obserwował podwórko, co w pełni zastępowało mu rozkosze radia i telewizji, których nie miał, i których mieć nie chciał, marzył natomiast o lornecie.

Kukuryk znał nazwiska wszystkich lokatorów: wiedział, gdzie kto pracuje, z kim sypia, czym handluje i od kiedy mieszka w posesji numer 84. Ten adwokat na przykład, zajmujący lokal nad drugą wewnętrzną bramą, ściągnął tutaj dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, dwa lata przed wprowadzeniem stanu wojennego. Ciekawe, co to za gość? Unika ludzi. Odpowiada niby na pozdrowienia, ale jakoś niewyraźnie. Kukuryk postanowił zaczepić przy najbliższej okazji adwokata, który skądinąd również figuruje na liście naszych bohaterów.

MECENAS

Andrzej W. zapowiadał się niegdyś na wielkiego prawnika, ściślej biorąc: na wielkiego znawcę prawa, i wszystko wskazywało na to, że po ukończeniu studiów zostanie na uniwersytecie, aby osiągnąć szybko wysoki szczebel naukowej kariery. Taka była wola jego ojca, sędziego w stanie spoczynku, i matki, poważanej w mieście internistki. Taka była wreszcie wola samego Andrzeja. Tymczasem wstrząsające morderstwo, którego przed dwudziestoma trzema laty dopuścił się ktoś na jego dziewczynie, odmieniło koleje losu przystojnego i ambitnego młodzieńca. Dochodzenie uwolniło go wprawdzie od podejrzeń, ale plotka bez ustanku ryła pod nim doły – łaskawe dawniej koleżanki zaczęły od niego stronić, koledzy przestali zapraszać Andrzeja na domowe uroczystości, a grono niższych stopniem wykładowców patrzyło na swego najzdolniejszego studenta wilkiem.

Tę samą nieufność wyczuł Andrzej w okolicach rodzinnego domu, ba, wyczuwał ją nawet pośród dalszych krewnych – kuzynów, ciotek i wujów. Był to zapewne wystawiony po czasie rachunek mściwej zazdrości i uciecha, że dumny, lekko zarozumiały chłopak zwichnął sobie nogę. Cierpieli również rodzice, pokazujący się z nim w miejscach publicznych z nadzieją, że demonstrując swoje przywiązanie do syna, złagodzą wokół niego atmosferę. Ponieważ nie przyniosło to rezultatu, ojciec poradził Andrzejowi, aby zmienił nazwisko na panięńską godność matki i dokończył studia na Uniwersytecie Wrocławskim.

Tak się i stało. Andrzej wyemigrował, na kilkanaście miesięcy do obcego miasta, po czym, jako podlegający nakazowi pracy magister, przystał na wyjazd do maleńkiego uzdrowiska w górach, gdzie zasiadł na parę lat w kancelarii prawniczej, zajmującej się nade wszystko sianiem zgody między tutejszym, tego pijącym i skorym do awantur chłopstwem oraz roztrząsaniem sporów o miedzę.

Spędziłby chyba w owym grajdole szmat życia, ale kapryśne koło fortuny potoczyło się nagle w kierunku przeciwnym. Andrzej

był w partii, do której wstąpił na trzecim roku studiów. Opłacał sumiennie składki i chodził na zebrania w komitecie gminnym. Zebrania miały przebieg euforyczny. „Dużośmy zrobili, towarzysze, jednakowoż nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy zrobili więcej”.

Dookoła zaś kwitło złodziejstwo i korupcja, sekretarz młócił sekretarkę, komendant prowadził do spółki z aptekarzem bimbrownię, a naczelnik trzeźwy był tylko wtedy, kiedy brali go do szpitala na kroplówkę. W sklepach tymczasem brakowało najprostszych towarów, drogi tonęły w błocie, nauczyciele mieszkali w czworakach, szkoła przypominała remizę strażacką przed kapitalnym remontem, na jarmarku i w gospodzie co i rusz padał trup i zawodzący ponuro kondukt żałobny zmierzał ospale w stronę rozwojowego cmentarza.

Kiedy ustąpił miłościwie panujący Wiesław i ster władzy dostał się w ręce pięknego Edwarda, milczący dotąd Andrzej wstał nieoczekiwanie i przemówił do partyjnych towarzyszy z takim ogniem i taką pretensją, że obserwator z ramienia komitetu powiatowego był doprawdy zachwycony. Wróciwszy zatem do powiatu, złożył niezwłocznie raport pierwszemu sekretarzowi.

- Coś nadzwyczajnego! – krzyknął od progu.
- Mógłbyś rozwinąć tę skrzydlatą myśl?
- Oczywiście!

I obserwator opowiedział sekretarzowi swoje wrażenia z wizyty w komitecie gminnym.

- Wspaniały gość! – mówił o Andrzeju. – Przystojny, wykształcony, dobrze ubrany i ma gadane, towarzyszu, ma gadane!

- I o czym on tak pięknie gada? – zaciekawiał się sekretarz.
- O niesprawiedliwości społecznej, o malwersacjach i przekupstwach, o potrzebie nowych inwestycji.

Bruździ, jednym słowem – pomyślał sekretarz. Atakując gminę, która podlega przecież powiatowi, ciska kamienie do mojego ogródka. Muszę drania natychmiast spacyfikować.

- Dobrze ubrany i wykształcony, powiadacie?
- Tak! – przytaknął obserwator.

- I gada do rzeczy?
- Jak najbardziej!
- Więc trzeba go do nas ściągnąć. Przyszło nowe i my teraz potrzebujemy takich ludzi, śmiałych, sprawiedliwych, inteligentnych.

Zatem w końcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku zaskoczony Andrzej został przeniesiony do miłego powiatowego miasta, gdzie otrzymał w komitecie powiatowym funkcję kierownika Wydziału Listów i Skarg. Wraz z tym odpowiedzialnym stanowiskiem przydzielono mu urocze, kompletnie urządzone mieszkanie w osiedlu bonzów pod lasem. Nowe lubiło luksus, tolerowało pstrokate krawaty, a jak ktoś się bardzo uparł, to mógł nawet zapuścić brodę. Żony bonzów, popierające gorąco ówczesną odnowę, szybko nauczyły się korzystać z uciech życia i niejedna dawała Andrzejowi do zrozumienia, że chętnie wywinie z nim tango w pozycji leżącej. Nowy kierownik trzymał się jednak zasad moralnych i cały swój czas poświęcał robocie, którą traktował z ogromną powagą. Czytał setki listów podpisanych i setki anonimów zredagowanych z taką finezją, że większość mogłaby przydać blasku każdej antologii donosu. Przyjmował również setki interesantów mniej lub bardziej zrozpaczonych, skrzywdzonych albo udających, że są skrzywdzeni, szczerych jak serce psa i fałszywych jak dziadowski grosz. Interesanci interweniowali najczęściej w sprawach lokalowych, zdobyć mieszkanie było bowiem w owym czasie trochę łatwiej niż dzisiaj. Skarżyli się również na nędzne płace, niesprawiedliwych szefów, opieszale przedsiębiorstwa komunalne, łapówkarskich urzędników i tak dalej.

Andrzej uważnie czytał wszystkie listy i cierpliwie wysłuchiwał wszystkich petentów, po czym, odsiewając z instynktem rasowego prawnika ziarno od paprochów, sporządzał notatki i przesyłał je do innych, kompetentnych wydziałów z przekonaniem, że zostaną rozpatrzone. Szef był z niego niezwykle zadowolony; dał mu talon na samochód, a kiedy Andrzej oświadczył, że nie ma ani prawa jazdy, ani pieniędzy, załatwił od ręki jedno i drugie, były to bowiem lata bezzwrotnych

pożyczek, sutych gratyfikacji i szans uzyskania w łagodnym, przyspieszonym trybie eksternistycznym nie tylko takiego głupstwa jak prawo jazdy, ale nawet doktoratu. Dobrze to były zaprawdę czasy dla ambitnych matołów, bogacących się i doksztalających w przerażającym tempie.

W trakcie konferencji sprawozdawczo-wyborczej, uświetnionej obecnością jednego z sekretarzy wojewódzkich, Andrzej zapisał się do głosu. Podobnie jak gmina, powiat był raczej z siebie zadowolony. Władzy żyło się dostatnio, a szary obywatel mógł kupić w zwykłych polskich sklepach za zwykłe polskie pieniądze artykuły pochodzenia zagranicznego. Nic nie stało na przeszkodzie, aby pan Nowak uperfumował żonę chanelem, a pan Wiśniewski rąbnął sobie do poduszki setkę francuskiego koniaku. Wszelako przemówienie Andrzeja dotyczyło innych spraw. Listy, anonimy i skargi osobiste sprawiły, że był on chyba najlepiej zorientowanym człowiekiem w powiecie. Mówił zatem z właściwą sobie pasją o tragicznym stanie budownictwa, o wielodzietnych rodzinach gnieźdzących się na przestrzeni paru metrów kwadratowych, o szpitalu, w którym brak łóżek i połowa chorych dogorywa na korytarzach, o panu ordynatorze, który nie lubi kwiatów, bo ich przecież zjeść nie można, o dyrektorze, który wyrzuca bezprawnie z fabryki na zbity pysk wszystkie osoby mające choćby blade pojęcie o jego złodziejskich praktykach, o walącej się w gruzy cerkiewce, o domu kultury, gdzie jest sporo ludzi, ale tylko w szatni, szatniarka bowiem dorabia sprzedając alkoholu za cichą zgodą kierownika – karciarza.

O tym i paru dodatkowych łajdactwach rąbnął w dobrej wierze Andrzej z powiatowej trybuny, dziwiąc się, że twarz szefa przybiera barwę prześcieradła z porządnego hotelu. Tymczasem sekretarz wojewódzki pokraśniał z zadowolenia.

– Ostro wali! Nie pęka! Trzeba wspomnieć o nim Pierwszemu, a tych gnojków pozdejmować i rozpędzić czym prędzej, żeby nie zatruwali powietrza.

Identycznie rozumował redaktor wojewódzkiego dziennika, człek cyniczny, niepozbawiony jednak inteligencji i sprytu. Ucieszył się, że po serii nudnych, pochlebnych, wydukanych

z mozołem przemówień Andrzej dostarczył mu wreszcie mięsa do reportażu. Warto obstawić takiego konia, ucześcić się go i pokonać przeszkody w drodze do celu. Celem zaś, troskliwie skrywanym, nie było żadne, choćby najwspanialsze województwo, lecz Warszawa, gdzie redaktor miał urodziwą, nie posiadającą jednak mieszkania kochankę.

Ku oburzeniu działaczy powiatowych redaktor podbiegł do Andrzeja i zrobił mu zdjęcie. Następnie zamienił kilka słów z sekretarzem wojewódzkim, który w pewnej chwili skinął głową. Dzięki temu nazajutrz w partyjnym dzienniku ukazało się obszerne sprawozdanie z konferencji, okraszone fotografią Andrzeja i naszpikowane jego krytycznymi uwagami. Sekretarz wojewódzki tymczasem wszedł zamasyście do gabinetu szefa, który siedział z nieprzeniknioną miną przy biurku i zakrywał łokciem powieloną w tysiącach egzemplarzy podobiznę mąciwody.

– Czołem! – powiedział sekretarz wojewódzki.

– Cześć – odparł flegmatycznie szef. – Siadaj.

– Dasz coś wypić?

– Nie. – Zerknął na gazetę z podobizną Andrzeja.

– Suszy mnie strasznie po tej wczorajszej konferencji.

Szef był ludzkim człowiekiem, więc nastąpiła zmiana programu.

– Hanka! – wrzasnął, a kiedy w drzwiach ukazała się utleniona głowa zauszniczy, rozkazał: – Przynieś flaszkę i dwie herbaty.

– I coś na ząb? – zapytała poufale Hanka.

– Może być. – Po czym szef zaatakował niezwłocznie sekretarza: – W tym powiecie jest okropny burdel! – Podniósł pięść i grzmotnął Andrzeja w twarz. – Musimy odszlamować to bagno.

– I to z miejsca – zabasował sekretarz. – Trzeba zrobić gruntowną czystkę, bo jak nie, to nam wypomną, że tolerujemy ciemnotę.

– I szachrajstwo.

– Tak jest!

– A co z tym chujkiem? – Kciuk szefa spoczął na nosie Andrzeja i zaczął go lekko pompować.

- Prowadzi Wydział Listów i Skarg.
- Może wziąć go do nas?
- Kapitalny pomysł, Janku! Bęc!
- Bach!

Wypili i zakąsili. W tydzień później Andrzej ściągnął do wielkiego wojewódzkiego miasta i otrzymał w potężnym wojewódzkim Komitecie stanowisko zastępcy kierownika Wydziału Spraw Administracyjnych. Nie trzeba dodawać, że Chapman również służył mieszkanie z garażem i telefonem. Ech, życie! Był zażenowany, gdyż na ulicach kłaniali mu się w pas powszechnie znani ludzie: artyści, pisarze i profesorowie wyższych uczelni. Niebawem zasiadł w egzekutywie. Redaktor, któremu zawdzięczał swój błyskotliwy awans, napisał o Andrzeju dwa dalsze artykuły i zaprzyjaźnił się z nim. Wkrótce nauczył go pić, mataczyć i lawirować, przed czym Andrzej bronił się rozpaczliwie, ale bez skutku.

Wiedli ze sobą długie rozmowy i Andrzej, wprowadziwszy do przelęku kolejną porcję wódki, bełkotał głosem pełnym zgrozy i przerażenia:

- Patrz! Już od dobrych kilku lat jestem działaczem partyjnym, a w gruncie rzeczy niczego nie dokonałem. Walczyłem o gminę, lecz nie zmieniło się tam ani na jotę – drogi w dalszym ciągu toną w błocie, w szkole był niedawno pożar, nauczyciele po staremu mieszkają w czworakach. To samo w powiecie. Żeby przynajmniej jedna z ruszonych przeze mnie spraw została załatwiona, żeby ktoś dostał sprawiedliwie mieszkanie, żeby w szpitalu przybyło jedno łóżko, żeby wykopali skurwysyna dyrektora, który ma teścia w Ka Ce i bezkarnie wywozi z tartaku lewe ładunki drewna.

- Ważne, że ty idziesz w górę – pocieszał go redaktor.
- Ale dlaczego, na miłość boską?! Dlaczego?!
- Bo dobrze gadasz.
- Z tego gadania nic, kompletnie nic nie wynika!
- Wynika.
- Co?
- Twoja kariera.
- Przecież to jest kariera werbalna!

- Nie szkodzi. W Polsce nastał czas dla karier werbalnych. Wiesz, co pewien sekretarz powiedział robotnikom, którzy zarzucali mu, że ma trochę za dużo pieniędzy, za dużo samochodów i dwie luksusowe wille w dwóch różnych uroczych zakątkach kraju? On im powiedział: „Wy nie patrzta, co ja robię; wy słuchajta, co ja mówię!”

- Straszne!

- A mnie się podoba. Inny zagrożony cwaniaczek, którego mieli już zdjąć, rąbnął przed kamerami telewizji: „Szczerze wam powiem, towarzysze, że nie ma na świecie lepszego komunisty niż Leonid Breżniew”.

- I wybronił się?

- Jasne. Jego oświadczenie wzbudziło entuzjazm w ambasadzie radzieckiej.

- Chwilami mam ochotę odejść z komitetu.

- Ani się waż! Nie zapominaj o mnie, jeszcze ja się tu liczę, kochany. Jedziemy na tym samym wozie. Za miesiąc będzie w Warszawie narada aktywu wojewódzkiego z udziałem Gierka. Wystąpisz. Razem przygotujemy spicz. Wypierzemy go z wszelkich inteligenckich zwrotów, tak żeby był zrozumiały nawet dla dziecka. Zapewniam cię, że nazajutrz odnotują to wszystkie centralne gazety. Włóżysz ciemny garnitur, białą nie nazbyt szykowną koszulę i gładki krawat. Przedtem pójdziesz do fryzjera i skrócisz włosy. Żadnych fal, żadnych baków. Musisz wyglądać jak partyjny asceta.

- I kogo mam atakować?

- Jaśka.

- Zwariowałeś?!

- Spokojnie. Mam na niego tęgie haczyko.

Chłopcy zamieszkali w hotelu Komitetu Centralnego przy Nowym Świecie. Jest tam kawiarnia. W kawiarni Andrzej spotkał się twarzą w twarz z adiunktem Ciuryłło. Adiunkt Ciuryłło wykładał na Uniwersytecie Łódzkim prawo rzymskie, będąc równocześnie pierwszym sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR. Jedno oko miał zmrużone, w drugim oku adiunkta Ciuryłły błysnął chochlik. To on przyjmował kiedyś Andrzeja do partii, ale

Andrzej nosił wtedy inne nazwisko. Widocznie jednak i nowe nazwisko Andrzeja było adiunktowi znane, gdyż powiedział:

– Słyszałem, że macie jutro zabrać głos.

– Tak – przytaknął Andrzej.

– A, to gratuluję! – I adiunkt Ciuryło odpłynął wdzięcznym krokiem dobrze maskującego się pederasty w mrok kawiarenki.

Tylko raz odmienił się księżyc złoty i oto Andrzej zasiadł w prostej, skromnej sali, znanej dobrze dzięki transmisjom telewizyjnym ogółowi Polaków. W przerwie podszedł do przewodniczącego narady, przedstawił się i zapytał o kolejność swego wystąpienia.

Przewodniczący nie spojrzał nawet na kartkę, zapuścił natomiast sępi wzrok w głąb duszy Andrzeja i odparł krótko:

– Nie wystąpicie.

– Dlaczego?

– Dowiedcie się w odpowiednim czasie od przełożonych.

– Musiało zajść jakieś nieporozumienie – napierał Andrzej.

– Tu się zgadzam! – rzekł z akcentem przewodniczący. – Nieporozumienie polega na tym, że w ogóle w tej sali jesteście.

– W takim razie są dwa nieporozumienia – odciął się Andrzej. – Wy również powinniście zasiadać w innej sali.

Chciał porozmawiać z przyjacielem redaktorem, ten jednak uciekł przytomnie. Zaczepił więc sekretarza.

– Słuchajcie no – osadził go sekretarz – jeśli wam się zdaje, że ja mam ochotę bajdurzyć o głupstwach, kiedy wokół dzieją się rzeczy wiekopomne, to jesteście w błędzie.

– Proszę mi tylko powiedzieć...

– Nic wam nie powiem! – syknął rozwścieczony działacz. – Zostawcie mnie natychmiast w spokoju!

Tak się skończyła krótka, oszałamiająca kariera Andrzeja W. Opuścił naradę i jeszcze tego samego wieczoru wrócił do wielkiego wojewódzkiego miasta. Nazajutrz zrezygnował z funkcji zastępcy kierownika Wydziału Spraw Administracyjnych. Koledzy i przyjaciele stronili od niego, jakby był nosicielem choroby, która dopiero później miała rzucić przerażony świat na kolana. Cień popełnionego przed laty na ukochanej morderstwa dalej biegł za

Andrzejem przez życie. Czuł gorycz. Nurzał się w rozpacz. Było mu czegoś żal. Jednocześnie jakiś głos wewnętrzny podpowiadał, że dobrze się stało, że jest wolny, że nie musi niczego udawać i nikogo atakować.

Myli się ten, kto sądzi, że partia zostawiła swoich zgranych czy też skompromitowanych towarzyszy na lodzie. Jeśli pracowałeś w komitecie na odpowiedzialnym stanowisku, mogłeś dostać kopniaka w górę albo kopniaka w dół, lecz nigdy poniżej dyrektorskiego szczebla. Potem zmieniało się to powoli: były sekretarz propagandy niekoniecznie musiał zostać ambasadorem, zaś kierownik wydziału naczelnym redaktorem gazety. Ale kiedyś obowiązywał ten schemat bez względu na to, czy towarzysz naraził się bardziej czy mniej. Ci, co pozostawali przy władzy, myśleli perspektywicznie: przecież i my będziemy kiedyś odchodzić, i nam przyda się kiedyś ciepła synekura. Trzeba zatem towarzysza urządzić! Zgodnie z ową regułą szef wezwał Andrzeja do swojego gabinetu i w przeciwieństwie do innych notabli potraktował go serdecznie. Zadysonował u Hanki koniak i kawę, posadził zdruzgotanego chłopca w fotelu i powiedział:

- Ubolewam.
- Nad czym?
- Zeście się pośliznęli.
- A co ja niby takiego zrobiłem?
- Mogliście przyjść i wyznać mi wszystko jak na świętej spowiedzi. Wtedy rozpiąłbym nad wami parasol.
- Jestem czysty jak łąza.
- Niewątpliwie. Ale kiedy zaczęliście u nas pracować, nie poinformowaliście, że macie zmienione nazwisko i że spotkała was w Łodzi ta okropna przygoda.
- Nigdy nikomu o tym nie wspominałem. Kochałem tę dziewczynę tak, jak później nie kochałem już żadnej. Chcieliśmy się pobrać.
- Dobrze, dajmy temu spokój. Zastanówmy się raczej nad waszą przyszłością. Radzę wam, żebyście wrócili do powiatu i zajęli się kulturą.
- Tam nie ma żadnej kultury.

- No więc trzeba ją zrobić! Wyrzucimy kierownika-karciarza i naprawicie wyrządzone przez niego szkody.

- Przykro mi, ale muszę odmówić.

- W takim razie moglibyście zostać dyrektorem Zakładów Przemysłu Drzewnego. Tego skurwysyna złodzieja pozwolili wreszcie zdjąć i jest wolne miejsce.

- To mnie również nie interesuje, towarzyszu sekretarzu - rzekł Andrzej i uśmiechnął się wbrew woli do szefa.

- A co was interesuje?

- Zamierzam kilka lat aplikować, a potem złożyć egzamin adwokacki.

- Bardzo ładnie, trzeba jednak z czegoś żyć.

- Dam sobie radę.

- Ano, jak chcecie. Nie będę was na siłę uszczęśliwiał, ale gdybyście kiedyś mieli do mnie jakąś prośbę...

- Wtedy się zgłoszę - rzekł Andrzej; podał szefowi rękę i wyszedł, aby zjawić się w tym samym gabinecie po ośmiu latach. Kadra komitetu uległa z biegiem czasu wybitnym zmianom na gorsze. Szef jednakże trwał jak opoka, trzymając wszystkich za mordy i wyrzucając na bruk podskakujące jednostki. Wobec Andrzeja wszelako, trzydziestosześcioletniego, posiwiąłego lekko na skroniach adwokata, zachował się znowu nad wyraz uprzejmie. Usadził go w wygodnym fotelu o nieznacznym stopniu zużycia, polecił podstarzałej Hance przynieść whisky z lodem, alkohol ten wyparł bowiem w wyższych kręgach partyjnych ordynarne polskie wódki i francuskie denaturaty z główką Napoleona, po czym zapytał:

- Jak wam się powodzi, mecenasie?

- Nie narzekam - odparł Andrzej, zastanawiając się gorączkowo nad wyborem formy, w której mógłby się zwrócić do sekretarza, zdał bowiem niedawno czerwoną legitymację.

- A jak pan się czuje, towarzyszu?

- Kiepsko.

- Coś poważnego?

- Serce.

- Współczuję serdecznie.

– Człek się urodził, to i umrzeć musi – powiedział ze smutkiem sekretarz i Andrzej poczuł nagle do niego sympatię.

– Może mógłbym w czymś pomóc? Moja matka jest lekarzem, ma stosunki...

– Doktory nic tu nie poradzą, synku; krząta się przy mnie cały sztab. Powiedz lepiej, w czym ja mogę pomóc tobie.

– Chciałbym wrócić do Łodzi.

– Idzie więc o zamianę mieszkania?

– Tak.

– Na bloki?

– Wolałbym raczej stare budownictwo.

– Hanka! – krzyknął szef. A kiedy do pokoju wjechała utleniona głowa powiernicy sekretarzowych tajemnic, rzekł miękko: – Połącz mnie z Komitetem Łódzkim i poproś Pierwszego.

– Natychmiast, szefie! – pospieszyła Hanka, patrząc na szarą, zmęczoną twarz sekretarza z takim oddaniem i z taką troską, że Andrzej wzruszył się ponownie.

Szef wstał i uściśnął mu dłoń na znak, że audyencja skończona.

– Wpadnijcie jutro przed południem.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję!

– Nie ma za co. Lubię was i wiem, że wyrządziliśmy wam krzywdę, ale dzisiaj, wobec okoliczności, które wówczas, zaistniały, musiałbym postąpić tak samo.

Nie minął miesiąc i Andrzej zajechał komitetową ciężarówką przed bramę dużej czynszowej, typowo łódzkiej kamienicy. Ciężarówka była za szeroka, aby wcisnąć się na podwórko i stanąć przed drugą wewnętrzną bramą, co uprościłoby przeprowadzkę. Tak czy owak, kierowca pomógł Andrzejowi wnieść do nowego mieszkania kredens, szafę, kilka podstawowych sprzętów kuchennych, paczkę z książkami i tapczan bez charakterystycznego wgłębienia, które powstaje na skutek rozpusty. Przyjąwszy bakszysz, kierowca udał się w drogę powrotną do wielkiego wojewódzkiego miasta, zaś Andrzej podszedł do okna i przyjrzał się ciekawie domostwu.

Na trzecim piętrze po prawej stronie mieszkał Jacek; na wprost, na drugim piętrze ponad główną bramą, było jedno z okien

Gejszy; Kukuryk rezydował na poddaszu po lewej stronie; w tym samym pionie na parterze żył i pracował czterdziestosześcioletni szewc oraz jego trzydziestoparoletnia tęga połowica, która niebawem miała przyprawić Andrzeja o szok w związku z przypiętą do bluzki broszką.

W naszej, jakże prawdziwej opowieści wystąpi wiele innych, mniej lub bardziej znaczących osób, ale jeśli chodzi o posesję numer 84, szewc zamyka listę tych, którzy odegrali w niej czołową rolę.

KOPYTO

Gustaw M. urodził się w ponurych czasach drugiej wojny światowej i kiedy miał rok, jego ojciec został wywieziony do Niemiec na roboty. Ów silny, zwalisty, mrukliwy i zamknięty w sobie człowiek wrócił do Łodzi już po kapitulacji Berlina, dźwigając na plecach duży amerykański wór. W worze była sterta zniszczonej odzieży, słonina, czekolada, papierosy, skondensowane mleko, konserwy, penicylina i szereg innych darów miłościwej ciotki Unry, a na samym dnie spoczywała owinięta w szmatę broń – pudełko z nabojami i dwa małe brazylijskie colty typu Parana, przeschmuglowane jakoś przez granicę.

Ojciec Gustawa M. też był szewcem; wróciwszy, od razu na drugi dzień usiadł jakby nigdy nic przy kopycie i zaczął reperować obuwie sąsiadów. Wymachiwał jeszcze młotkiem prawie dziewiętnaście lat, w przebiegu których rzetelnie przyuczył syna do zawodu, pochował żonę, matkę Gustawa, i wszedł w posiadanie parceli z drewnianym domkiem, mieszczącej się w okolicach Dworca Kaliskiego, na terenie późniejszych ogródków działkowych imienia Stanisława Rogowicza.

Gustaw był chłopcem urodziwym, ale tępym; w szkole nie rokował żadnych nadziei. Bywało, że podzielił trafnie liczbę parzystą przez dwa, lecz sklecenie logicznego zdania w ojczystym języku absolutnie przerastało pułap jego możliwości. Wezwany do odpowiedzi, z góry dawał za wygraną, prosząc, aby nauczycielka czym prędzej postawiła mu dwójkę, a jak ktoś, belfer czy kolega, pozwolił sobie wobec niego na drwinę, wybijał zęby.

W klasie nosił przezwisko Młot, zaś na podwórku wołali na niego Kopyto. Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem ludzie wyczuwają w bliźnich to, co jest na pozór niewyczuwalne. Kopyto było bowiem w odniesieniu do Gustawa przezwiskiem wieszczym i po trzykroć słusznym.

Autor *Pięćdziesięciu melonów* nie ma ambicji napisania powieści kryminalnej, gdyż nie lubi tego gatunku – to raz, a dwa – jego żywiołem jest odkrywanie prawdy. Poza nielicznymi wyjątkami (Chandler) twórcy kryminałów są nudni, zakłamani, fałszywi jak tombak udający złoto i głupi, w związku z czym ci, co ich czytują: osobnicy o żenująco niskim wskaźniku inteligencji, dodatkowo katując swój sfatygowany umysł, stają się po prostu idiotami.

Nie! Autor *Pięćdziesięciu melonów* nie będzie bawił się z czytelnikiem w ciuciubabkę. Autor *Pięćdziesięciu melonów* powie czytelnikowi wprost: Gustaw M., jowialny czterdziestosześcioletni szewc, jest nieujawnionym mordercą.

Pewnego letniego przedpołudnia sześćdziesiątego piątego roku Gustaw zobaczył na Piotrkowskiej dziewczynę. Była niedziela: pusto, na chodnikach tylko od czasu do czasu pojawiali się ludzie; jezdnią przemknął nieraz pojedynczy samochód, a ta dziewczyna płakała.

Gustaw nie był chłopcem o nadmiernie rozwiniętej wyobraźni, ustalił zatem fałszywie, iż przyczyną rozpaczki dziewczęcia jest wyłamany obcas w prawym, niezwykle eleganckim pantoflu. W gruncie rzeczy znana łódzka piękność płakała z całkiem innego powodu, pokłóciła się bowiem przed paroma minutami ze swoim narzeczonym, Andrzejem W., studentem prawa o nadzwyczajnych niewątpliwie perspektywach. Gustaw nie wiedział jednak o żadnym Andrzeju W., zazdrośniku, który urządził narzeczonej w parku im. Poniatowskiego karczemną awanturę, usłyszawszy, iż dziewczyna była w kinie z jakimś filmowcem. Podszedł więc Gustaw śmiało do zapłakanej panny, przyklęknął i powiedział:

– Pani zdejmie ten but, pomogę.

Piękność posłuchała. Dotknąwszy bosą stopą gorącego, wychłostanego słońcem chodnika, syknęła przeciągle, co skłoniło Gustawa do kolejnego śmiałego gestu. Wziął protestującą dziewczynę na ręce, wniósł do bramy i pokonawszy z imponującą łatwością rząd wydeptanych schodów, posadził na parapecie półpiętra. Piękność przestała płakać ujęta postawą silnego

i urodziwego szewczyny, który niebawem wprawił ją w osłupienie – nie dlatego, że oderwał kiwający się obcas, lecz dlatego, że wyciągnął spod bluzy rewolwer i zaczął okładać kolbą pokrzywione gwoździe. Robił to z zadziwiającą zręcznością; osadził obcas, schował rewolwer i ponownie wziął dziewczynę na rękę, aby zdjąć ją z wysokiego parapetu.

Wiecie, jak to jest z zapłakanymi dziewczynami w upalny letni dzień. Głowa i serce panny cierpiały jeszcze i należały niewątpliwie do Andrzeja W., ale od pasa w dół działo się z Joanną coś dziwnego. Od pasa w dół Joanna była rozpalona i soczysta, zapragnęła bowiem mężczyzny i Gustaw to wyczuł. Mruknął:

- Obcas zrobiłem byle jak. Trzeba będzie go poprawić.
- Ale do domu dojdę?
- Gdzie pani mieszka?
- Przy Nawrot.
- Dojdzie pani, ino należy iść ostrożnie.

Szła więc ostrożnie, uczepona ramienia szewczyny, z którym również działo się coś dziwnego, i to zarówno od pasa w dół, jak i od pasa w górę. Szewczyna nigdy jeszcze nie widział tak pięknej kobiety, nigdy jeszcze z taką nie rozmawiał i nigdy takiej nie dotykał, zatem jest sprawą oczywistą, że zakochał się w jednej chwili. Był zamroczony, miękki; jego harde i nieczułe serce opływało miodem. Z trudem panował nad sobą, aby nie porwać dziewczyny w objęcia i nie ucałować czerwonych, wilgotnych warg, na których błąkał się zagadkowy uśmiech. Chłonał rozdętymi nozdrzami zapach jej gorącego ciała; wspaniałe, rozsadzające sukienkę piersi raz po raz ocierały się o jego ramię. Z wrażenia zaschło mu w ustach. Przymknął oczy, gubił krok. Nie dostrzegł wcale i nie poznał sąsiada z posesji numer 84, a był nim szesnastoletni Bernard T., latorośl głośnego karykaturzysty, który dopiero z czasem miał doczekać się drugiego syna i wyemigrować z kraju.

Bernard na widok osobliwej, trochę jakby nieprzytomnej pary doznał silnego wstrząsu, gdyż szewcem w głębi duszy pogardzał, zaś dziewczyna wydawała mu się niedosiężna. U szewca reperował buty; dziewczynę widywał na koncertach jazzowych

i w klubie studenckim, zawsze w najlepszym towarzystwie szalenie przystojnych ludzi, którzy nadskakiwali jej ze wszystkich stron. Była chyba w owych latach najładniejszą panną w mieście, przeto Bernard w żaden sposób nie mógł zrozumieć, jak takie zero, taki cham i młot zdołał wkraść się w jej łaski, i to do tego stopnia, że trzymała go pod rękę. Zazdrość znokautowała dosłownie Bernarda, świat stanął na głowie. Nie! To jest chyba inna dziewczyna, albo to jest inny gość – wmawiał sobie syn karykaturzysty, zawracając i podążając za Kopytem i Joanną aż do bramy, w której zniknęli obydwójce, i z której Gustaw wytoczył się po dwóch godzinach w stanie nie budzącym wątpliwości. Miał ją! Pieścił, całował i posuwał! Świadczył o tym wymownie jego pijany, lunatyczny krok, czerwona i spuchnięta twarz oraz pokąsana szyja.

– Wyła pod nim z rozkoszy ośłą serenadę – stwierdził nie wiadomo czemu Bernard, szesnastolatek o aktywnym stosunku do życia. – Bydlę! Żeby go szlag trafił!

Domysły Bernarda były nad wyraz słuszne. Gustaw trzykrotnie wypędził z Joanny diabła, trzykrotnie wydobył z jej ust długi, bolesciwy, wilczy zaprawdę skowyt orgazmu – królewna omdlewała za każdym razem, po czym na nowo wzbierała w niej energia.

Wreszcie jednak poszła do łazienki i wróciła po kilku minutach trochę jakby chłodna. Od pasa w górę znowu należała do Andrzeja, prawnika o bajecznych horyzontach życiowych, natomiast od pasa w dół nie odczuwała już żadnych potrzeb, zaspokojona należycie przez krzepkiego szewczykę, któremu przyglądała się teraz z lękiem i źle maskowaną niechęcią.

– Musisz zmykać – powiedziała.

– Czemu? – zdziwił się serdecznie Gustaw przekonany, iż po tym, co się stało, zdobył sobie do panny wszelkie możliwe prawa i wolno mu nawet zostać na noc.

– Zaraz wrócą moi rodzice.

Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, aby przekonać Gustawa, iż nie chodzi tu bynajmniej o żarty. Nie spostrzegła, że Gustaw

wcisnął sobie coś za pazuchę. Była zdenerwowana, speszona. Zaczęła popychać chłopca do drzwi.

- Idź już, idź!
- Ino, że ja chcę cię jeszcze zobaczyć.
- Zobaczysz mnie jeszcze.
- Kiedy?
- Och, za jakiś tydzień lub dwa.
- Wcześniej nie można?

- Można - powiedziała. Aby jak najszybciej pozbyć się szewczyny i uspokoić jego rozkochane serce, zapytała z uśmiechem:

- Gdzie mieszkasz?

Gustaw wydukał nazwę ulicy i numer domu, dodając przy tym, że mieszka sam.

- Bez ojca i matki?
- Tak.
- Dlaczego?
- Une pomarli.

- No to odwiedzę cię w tych dniach. Adres zaraz sobie zapiszę. Do widzenia.

- Do widzenia - odburknął Gustaw wyparty na klatkę schodową. Był już w półobrocie. Nim zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, zdążył jeszcze obiecać ponuro: - Jak przyjdiesz, wszystko będzie zrobione.

Joanna nie chwyciła z początku. Co niby będzie zrobione? Zachichotała. Dopiero teraz czuła się dobrze. Szewc był epizodem bez szans na powtórkę. Nigdy już go nie zobaczy. W żadnym wypadku! Trzeba przyznać wszelako, że zrobił swoje. Ukoił ją. Doznała rozkoszy i zemściła się przy okazji na Andrzeju. Poprawiła łóżko, wyklepała poduszkę i zaczęła układać przed lustrem włosy. Podśpiewywała beztrósco modny szlagier Beatlesów *Noc po ciężkim dniu*. Andrzej zaraz zatelefonuje, żeby ją przeprosić, a jak nie, to spotka go wieczorem na tańcach w Klubie 77. Nie miała co do tego wątpliwości. Kocha ją i o zerwaniu nie może być mowy. Cierpi na pewno, biedaczysko, i świruje, lecz nie powinno mu to zaszkodzić.

Pogodny nastrój Joanny uległ nagle zamięceniu. Chciała odstawić do szafki w korytarzu pantofle, ale ten drugi, o rozchwianym obcasie, zawieruszył się gdzieś. Zajrzała bez przekonania pod łóżko i pod nocny stolik. Westchnęła. Była dość inteligentna, aby zrozumieć, co się stało. Ogarnął ją niepokój i jakieś złe, mroczne przeczucie. Niedzielną przygodą, rozdział na pozór zamknięty, mogła mieć jednak dalszy ciąg.

Tymczasem śledzony przez Bernarda Gustaw wrócił do domu, otworzył ku zdziwieniu sąsiadów warsztat i łamiąc trzecie boskie przykazanie, zaczął naprawiać but ukochanej. Włożył w to cały swój szewski kunszt i całą swoją duszę. Nie pożałował szpilek i kleju, a kiedy obcas skamieniał w miejscu, które było po temu przeznaczone, pociągnął pastą i przystąpił do polerowania ledwo widocznych zadrapań wokół pięty. Rozsmakował się w tym zajęciu do tego stopnia, iż niebawem wypolerował również nosek i boki pantofla, który lśnił doprawdy jak lustro i wyglądał okazalej niż w chwili, kiedy Joanna dojrzała go na półce renomowanego sklepu.

Był przekonany, że sprawi dziewczynie przyjemność.

*Oj, szewczyku, nie bądź głupi,
serce chcesz za butki kupić.*

Słyszał w radiu tę piosenkę, lecz nie wyciągnął z niej wniosków. Płynął czas, mijały dni, a on czekał na niedzielną kochankę – wpierw ufnie, później niecierpliwie, wreszcie z wściekłością, która zagłuszyła wszelkie inne uczucia prócz nieustannego seksualnego głodu.

Wściekłość i głód osiągnęły którejs bezsennej nocy taki stopień natężenia, iż zaczęły domagać się czynu.

– Dobra, ty kurwo! – szepnął do siebie szewc i w czwartek o dziesiątej rano nie otworzył warsztatu. W czwartek o dziesiątej rano szewc opuścił posesję numer 84 i pomaszerował w stronę ulicy Piotrkowskiej krokiem zdecydowanym i szybkim. Miał na sobie białą koszulę, krawat i luźną płócienną kurtkę z dwoma wybrzuszeniami na piersi. Wszedł do restauracji „Smakosz”, wypił

dużą wódkę przy barze i zapalił. W dziesięć minut później zniknął w bramie wysokiej secesyjnej kamienicy w okolicach ulicy Nawrot.

Joanna dawno już o przygodzie z Gustawem zapomniała, toteż słysząc dzwonek u drzwi, otworzyła je bez namysłu. Otworzyła i w tym samym momencie chciała zamknąć, jako że zamiast listonosza, sąsiada, ojca, starszego brata czy matki zobaczyła przed sobą ładną, dobroduszną twarz szewczyny.

– Nie jestem sama – szepnęła, sięgając po łańcuch i dociskając drzwi ramieniem, ale Gustaw naparł i wszedł do środka.

– Ja ino na chwilę – powiedział. – Patrzaj! – Wydobył triumfalnie zza pazuchy błyszczący pantofel.

Gdyby Joanna miała trochę oleju w głowie, udałaby z czarującym uśmiechem, iż jest po prostu zachwycona; posadziłaby gościa przy stole, poczęstowała herbatą i zasunęła jakiś inteligentny bajer. Dziewczynie zabrakło jednak tego dnia rozumu. Była zła, nadąsana. Cofnęła za siebie ręce, jakby widok zreperowanego pantofla napawał ją wstrętem. Potem zrobiła kolejny błąd.

– Niepotrzebny mi twój pantofel – rzekła opryskliwie.

– Nie?

– Nie.

– Czemu?

– Bo ten drugi poszedł na śmieci.

– To po co ja żem się męczył?

– Twoja sprawa.

– Jużci, że moja – zgodził się szewc. Zbladł. Zacisnął machinalnie pięści. Szerokie, łapczywe usta wyprodukowały jeden z owych okrutnych, przerażających uśmiechów, od których przechodzą człowieka dreszcze nawet wtedy, kiedy widzi je tylko na ekranie filmowym. Cisnął but o podłogę i wyjął z kieszeni rewolwer.

– Będę krzyczała – głos Joanny ledwo przedarł się przez gardło.

– Nie będziesz krzyczała.

– Zaraz przyjdzie mój narzeczony.

– Masz narzeczonego?

– Tak.

– Jakaśmy się wtenczas parzyli, nic żeś mi o tym nie mówiła.

– Lecz mówię ci teraz. – Sytuacja przywróciła Joannie rozum i zimną krew. – Przepraszam, jeśli cię skrzywdziłam. Przepraszam również za but. Pięknie go zreperowałeś. Naprawdę! Muszę ci za to zapłacić.

– Nie chcę pieniędzy. – Spodnie rozsadzała mu erekcja. Patrzył chciwie na piękne dziewczęce biodra i piersi. Była w letniej białej sukience i nad lewą piersią dojrzał złotą broszkę – pojedynczy kwiatusek o listkach wysadzanych drobnymi brylancikami.

Podążyła za jego spojrzeniem.

– Dam ci to z przyjemnością. – Uśmiechnęła się blado, podeszła i wpięła mu broszkę w krawat. – Taki kwiatusek może również nosić mężczyzna, pasuje.

– Nie chcę żadnych kwiatuszków.

– Więc czego chcesz?

– Ciebie.

Gdyby mu uległa, żyłaby pewnie do dzisiaj, ale rozum opuścił ją znowu.

– Nie mogę cię kochać.

– Zdejmnij kieckę.

– Nie mogę, naprawdę nie mogę – mówiła błagalnie. – Jestem chora.

– Zdejmnij kieckę, powiedziałem. – Pchnął ją na łóżko. – I majtki też.

– Mam okres.

– Mnie to nie przeszkadza.

– Splamię pościel.

– To ją wypierzesz, sakramencka kurwo. No, jazda! Kiedyś nie byłem ci krzywy.

Wcisnął się między odporne uda, rozpiął spodnie i ściągnął je razem z kalesonami. Poczwała smród brudnej bielizny i ostry, samczy, piżmowaty odór dawno niemytego krocza, nad którym sterczał w całej swojej okazałości ohydnie obnażony członek.

Wówczas Joanna popełniła ostatni już w swoim młodym życiu błąd. Krzyknęła: „Ratunku!”. Pierwsza sylaba zabrzmiała nawet

dość głośno, lecz dwie następne ugrzęzły w ogromnej łapie Gustawa.

Zaczęła wymiotować przez nos. Niezrażony szewc tak czy owak postanowił zrobić swoje. Uderzył dziewczynę kolbą w skroń i zakrył jej twarz poduszką.

– Teraz możesz sobie wrzeszczeć, psiaro! – sapnął, obnażając złociste łono Joanny. Akt nie przyniósł mu oczekiwanej rozkoszy. Poruszał rytmicznie biodrami, lecz spoczywające pod nim ciało było bezwolne, nieruchome, chłodne, inne niż owego niedzielnego przedpołudnia, kiedy posiadał je pierwszy raz. Pół godziny czekał bezowocnie na spełnienie, przyciskając poduszkę do ust ofiary, wreszcie zrezygnował – wstał, wciągnął kalessony i spodnie, po czym odkrył Joannę, żeby powiedzieć jej na pożegnanie kilka obelżywych słów.

Nie wymówił ich jednakże. Z łóżka patrzyły na niego szkliste, szeroko otwarte, straszliwe w swoim niewzruszonym spokoju oczy kogoś, kto był mu zupełnie nieznan, oczy istoty obcej, dalekiej, przebywającej w niepojętym i niezrozumiałym świecie. Nie twarz zaplamiona krwią i wymiotami, nie uchylone usta i wystawiony język, a właśnie oczy wstrząsnęły prymitywnym sumieniem szewca. Oczy zadawały jakieś niejasne pytania; oczy groziły i oskarżały: Czemuś to zrobił? Kiedyś za to zapłacisz!

Wzdrygnął się. Z pleców pociekły zimne kropelki potu. Odejść! Uciec. Otworzył drzwi i zamknął je cicho, słysząc na schodach szelest energicznych, chyżo wspinających się kroków. Zdążył przekręcić klucz pod ciężką mosiężną klamką; w tym samym momencie zaterkotał telefon i brzęknął umieszczony nad ościeżnicą dzwonek.

Pozbawiony na pozór nerwów i wyobraźni szewc pocił się teraz całym ciałem. Brzuch, uda, łydki, nawet stopy były mokre od potu. Czuł nienawiść do powtarzającego swoje pretensje telefonu i do upartego, histeryzującego nieprzerwanie dzwonka. Czyjaś ręka zaczęła tarmosić klamkę. Czyjś młody, męski, zagniewany głos wrzasnął za drzwiami:

– Joasiu!

A potem znowu:

– Otwórz! Wiem, że tam jesteś! Joasiu! Joasiu!

Gustaw rzucił okiem na zwłoki, jakby się bał, że dziewczyna posłucha. Ale Joannie obojętne już były wszelkie ziemskie sprawy. Joanna trwała w swoim głębokim, nieodgadłym, wieczystym śnie.

– Co robić? – szepnął do siebie Gustaw.

Człowiek, który stał za drzwiami, ucichł, jakby szept Gustawa dotarł do jego uszu. Potem ni to zapytał, ni to stwierdził żałośnie:

– Masz kogoś.

Szewc wstrzymał oddech.

– Dobrze. Niech ci będzie – mówił wzburzony mężczyzna. – Ale tym razem między nami koniec!

Piasek zatrzeszczał pod jego butami; jego zrezygnowane, powolne kroki poczłapały w dół schodów. Wkrótce umilkły.

Gustaw wypuścił zmagazynowane w płucach powietrze. Otworzył ostrożnie drzwi, na wprost których było wejście do innego mieszkania. W mieszkaniu tym czekał zajadle pies. Dobiegał stamtąd również płacz dziecka i zgiełk ożywionej rozmowy, o ile jednak pies zrozumiał, że w domu dzieje się coś złego, jego pan i pani woleli udawać, że niczego nie słyszą. Gdyby Gustaw użył broni i strzelił Joannie w serce, ich reakcja byłaby podobna.

Wymknął się z uczuciem ulgi na podwórko, a potem na słoneczną, wesołą o tej porze dnia ulicę. Ludzkie plemię, pełne jeszcze zapału i energii, maszerowało gdzieś, biegło, spacerowało, napierało na drzwi magazynów i sklepów, szturmowało banki i urzędy, rozpełzało się po klubach i kawiarniach, ale tuż obok bramy, z której wyszedł morderca, stał człowiek nie biorący w całej tej krzątaninie udziału – smutny, nieruchomy, zadumany, toczący ze sobą jakąś sekretną walkę.

Przecucie podszeptęło szewcowi, iż ma przed sobą narzeczonego Joanny. Instynkt chwycił bezbłędnie to, z czym nie mógł się uporać debilny mózg.

– Un będzie winowaty – stwierdził z zadowoleniem Gustaw i zniknął czym prędzej Andrzejowi W. z oczu. Kupił w spółdzielni sześć butelek owocowego wina, napitku wielce popularnego

wśród studentów i robotników, i zamiast wrócić do domu, pojechał tramwajem na Dworzec Kaliski.

Zbrodnia wyszła na jaw tego samego dnia, a nazajutrz, w piątek, huczało o niej całe miasto. Ekipy śledcze przystąpiły do swoich zmudnych działań, i kto wie, czy morderca nie zostałby szybko wykryty, gdyby matka Joanny wspomniała o pewnym nieistotnym na pozór drobiazgu, o czarnym pojedynczym pantoflu, który znalazła obok łóżka i cisnęła niefrasobliwie do szafy. Były na nim odciski palców Gustawa, było na nim piętno szewskiej ręki, a więc trop, który wcześniej czy później zaprowadziłby skrupulatnego funkcjonariusza do małego warsztatu na terenie posesji numer 84. Oczywiście, że Gustaw pozostawił również swoje ślady na klamce i na drzwiach wejściowych, nikt nie wiedział jednak, do kogo można by je odnieść. Nikt poza Bernardem T., szesnastoletnim synem karykaturzysty, naturą niesłuchanie powikłaną i skrytą, daleką od tego, aby bezinteresownie przysłużyć się prawu, gotową wszakże podjąć działania dla własnych korzyści.

Bernard T. nie zapomniał, że przed trzema tygodniami widział Joannę w towarzystwie Kopyta na Piotrkowskiej. Uwadze Bernarda T. nie umknął także fakt, iż w czwartek i piątek, w chwili kiedy popełniono zbrodnię i w dniu, kiedy wieść o morderstwie dotarła do wiadomości publicznej, Kopyto nie otworzył swojej zagraconej szewskiej nory, nie pokazał się też ani razu w oknach swojego parterowego mieszkania i na podwórku. Gdzie zatem przebywał w krytycznych godzinach ten idiota, ten ponury skurwysyn? No i gdzie przebywa teraz, w gorącą letnią sobotę?

Bernard postanowił to sprawdzić. Dla żadnego z lokatorów posesji numer 84, a więc i dla Bernarda, nie było tajemnicą, że szewc dziedziczy po ojcu parcelę na ogródkach działkowych im. Stanisława Rogowicza.

– Tam cię znajdę! – rzekł sobie odważny, szybki w myśleniu chłopak i ruszył pieszo na stację Łódź Kaliska. Minął dziedziniec, u końca którego sterczał budynek dworcowy, zostawił za sobą wiadukt, po czym skręcił w prawo i szedł pomiędzy nasypem kolejowym a ścianą stadionu ŁKS tak długo, dopóki nie stanął

przed skromną drucianą bramą. Obok bramy, zaryglowanej skądinąd, była drewniana furtka. Pchnął ją i wstąpił na zwirowaną, wąską ścieżkę raję, który biegnie wzdłuż bocznic i torowisk kolejowych, aż po ulicę Lutomierską. Raj sąsiaduje również poprzez szeroką, gładką nawierzchnię alei Unii ze sławnym parkiem na Zdrowiu. Latem i wiosną, a i na jesieni była tu niegdyś zielona, soczysta, pachnąca, pełna subtelного uroku enklawa, gdzie znużony człowiek mógł odetchnąć świeżym, nieomal wiejskim powietrzem i nasycić oczy widokiem kwiatów i drzew.

Jednak owego upalnego sobotniego popołudnia maszerujący w skos ogródków działkowych Bernard obojętny był na powaby krajobrazu. Umysł Bernarda zaprzętnęło bez reszty domniemanie, który też z tych śmiesznych, maleńkich, drewnianych zazwyczaj, ale i murowanych domków mógłby ewentualnie należeć do Gustawa. Sądząc po tym, w jakim stanie utrzymuje szewc mieszkanie i warsztat, należałoby szukać czegoś brudnego i zapuszczonego – myślał nie bez racji chłopak i mając do wyboru setki innych, troskliwie wypieszczonych ogródków i kurników, zaglądał tylko do tych, których postawa budziła oburzenie i zgrozę. Trzeba sprawiedliwie powiedzieć, iż te ostatnie ukazywały się po lewej lub prawej stronie ścieżki nader rzadko, dzięki czemu poszukiwania Bernarda były łatwiejsze, niż przypuszczał. Nie minęło nawet pół godziny, kiedy wypatrzył w krzakach pod przylegającym do torów kolejowych płotem parcelę, którą zamiast barwnych, wszechobecnych róż, tulipanów, bratków i storczyków porastały suche, niepodlewane chyba od wielu lat badyle, ogrodzone byle jak patykami i biegnącym dookoła pojedynczym drutem. Na parceli tej stała również zmurszała, storturowana słońcem i wychlastana deszczem chatka Baby Jagi: dwa okienka w bocznych zapadających się ścianach, koślawe drzwi na skobel i otwartą aktualnie kłódkę oraz pokryty czarną papą dach, z którego wyzierała bezwstydnie okopcona, zastępująca komin rura. Zdziwienie zatem mogła wzbudzić przy tym ogólnym zaniedbaniu inwestycja, którą ktoś podjął odważnie, usiłując dobudować do chatki komórkę z surowych, nieoheblowanych desek. Deski były

świeże, białe, kontrastujące jaskrawo ze starym, poczerniałym drewnem budynku głównego, co skłaniało do przypuszczeń, iż gospodarz rozpoczął nową, dość paskudną zresztą inwestycję niedawno.

Obejrzawszy sobie dokładnie wszystkie te szczegóły, Bernard zaczerpnął powietrza i zapukał do domu. Ponieważ nikt nie odpowiedział, próbował zerknąć do środka przez jedno i drugie okienko, obydwie były jednak niebywale zakurzone i przykryte jakimiś szmatami. W tej sytuacji nie pozostawało Bernardowi nic innego, jak ponowić pukanie do drzwi, a następnie, nie bawiąc się już w dalsze ceregiele, otworzyć je, żeby zobaczyć, czy nie ma przypadkiem kogoś wewnątrz chatki.

Ano, był ktoś faktycznie. Spał, a właściwie pokwikał nerwowo, jak prosiak przeczuwający wycieczkę na świąteczny stół. Bernard podszedł na palcach do umieszczonego pod ścianą barłogu, marszcząc nos, gdyż w chatce cuchnęło ohydnie myszami, uryną, papierosami i przetrawionym winem, po którym zostało wspomnienie w postaci kilku pustych butelek oraz nieopróżnionej jeszcze całkiem flaszki; cuchnęło nadgniętymi jabłkami, zjełczalym tłuszczem i bielizną praną zapewne co najwyżej raz w roku.

Pozwoliła, żeby taki knur wlaź z nią do łóżka – pomyślał z żalem i zazdrością syn karykaturzysty. Baczenie przyglądał się rozwalonym na barłogu zwłokom: tęgiej, spoconej twarzy z przyklepionym do czoła kosmykiem włosów, z zaropiałymi oczyma, z policzkami oprószonymi trzydniowym zarostem, z dziwnie sprośnymi, odkształconymi wargami, które zapadały się i wydymały w rytm oddechu. Nie zdjął nawet ubrania: spodni, koszuli i bluzy, nie skopał butów, popuścił natomiast pasek na brzuchu, odpiął dwa guziki przy rozporku i próbował zapewne poluzować sobie pod szyją chomąto: zjadliwie zielony krawat, który ozdobiony był broszką niepośledniej próby, złotą chyba i wysadzaną szlachetnymi kamieniami.

No proszę! Podejrzenia chłopca zaczynały się sprawdzać. Śmiało wydobyl papierosa z paczki, która leżała wśród butelek na stoliku. Zapalił, wciągnął chciwie do płuc porcję gryzącego dymu

i przystąpił do wnikliwych oględzin pomieszczenia. Nie zainteresowała go postawiona w kącie kuchenka na propan; nie zainteresowała go przedpotopowa kamionka i oparte o nią narzędzia gospodarskie: młotek, siekiera, widły i zardzewiała konewka, sprzęt świadczący dowodnie, iż ojciec Gustawa dbał za życia o swój działkowy ogródek. Pod pierwszym, południowym oknem dojrzał Bernard skrzynię; przeszukał ją, ale były w niej tylko gwoździe, śrubki, świece, para rękawic, utyłane błotem pepegi i robocze spodnie. Na parapecie drugiego, zachodniego okna odkrył chłopak coś, co automatycznie przetasowało jego opinie o tępym i głupim szewcu. Były to skrypty wyjaśniające, jak zdobyć prawo jazdy, jak poznać zawile tajemnice kodeksu drogowego i jak przyswoić sobie podstawowe wiadomości o budowie motocyklowych i samochodowych silników. Walające się tu i ówdzie kartki z jakimiś gryzmołami i topornymi rysunkami nie pozwalały wątpić, iż matolek naprawdę postanowił wydrzeć światu nauki i techniki garść straszliwych sekretów, a następnie spożytkować je w ruchu ulicznym.

Po tych dwóch szokujących niespodziankach, broszce i literaturze fachowej, czekała Bernarda jeszcze trzecia. Nad barłogiem pochrapującego niespokojnie Gustawa zwiślała prymitywna antresolka.

Chłopak wznosił wysoko ręce i zaczął w niej szperać. Robił to bez przekonania, ale raptem trafił na jakieś zawiniątko, czy też jakiś worek, i to, co wyczuł pod palcami, wprowadziło go w osłupienie.

Przełknął ślinę. Był podekscytowany i porządnie wystraszony, wążąc w dłoniach wydobytą z antresoli broń – dwa małe, zgrabne bębenkowce typu Parana i mieszek z nabojami. Bębenkowce stanowiły osobliwą parę bliźniaków, z których jeden był zadbany, lśniący, urodziwy, naoliwiony i niechybnie sprawny, drugi zaś przypominał jego kaleką replikę o spiłowanej muszce, nadłamanym i pozbawionym osłonki spuście oraz kolbie, której popękane i obluzowane okładziny trzymały się kupy wyłącznie dzięki temu, że zostały oklejone grubą warstwą taśmy izolacyjnej.

Broń była cichą pasją i namiętą miłością Bernarda. Wiatrówka, którą dostał kilka lat temu od ojca na urodziny, cieszyła niewątpliwie chłopca, ale nie zaspokajała jego marzeń o czymś groźnym, prawdziwym, przeznaczonym do jednego wyraźnego celu – do zabijania. Obydwa rewolwery natomiast, choć niewielkie i niewinne z wyglądu, służyły z pewnością temu celowi. Bernard odłożył woreczek z amunicją i sfatygowany bębenkowiec, aby zająć się na dobre jego pięknym bratem. Nacisnął dźwignię obok języka spustowego i ośmio-, może dziewięciocentymetrowa lufa parany opadła. Bernard patrzył jak urzeczony na tkwiące w bębnie naboje o mosiężnych kryzach i srebrnych, lekko wgłębionych spłonkach. Było ich sześć o średnicy mniej więcej siedmiu milimetrów. Wyciągnął jeden, aby obejrzyć złocistą komorę prochową i mały, obły pocisk w stalowej koszulce.

Mógłbym go teraz rąbnąć – przebiegło mu przez głowę. Podciągnął lufę, która zaskoczyła z cichym, metalicznym trzaskiem. Zabrzmiało to jak najpiękniejszy ton w najpiękniejszym utworze muzycznym. Tymczasem zwłoki na barłogu poruszyły się gwałtownie, wydały długi, cierpiętniczy jęk i nagle wróciły do życia.

Najpierw podjechała do góry prawa zaropiała powieka, a potem lewa. Obydwie powieki zatrzepotały niemrawo, z czego można było wysnuć wniosek, że szewc jest jak gdyby trochę zdziwiony. Chrapliwe słowa, które wyartykułował z ogromnym zaiste wysiłkiem, zdawały się to potwierdzać.

– Czegój? – odchrząknął i zakasłał grzmiąco. – Czegój tu szukasz, fajflu sakramencki?

Bernard wycelował do niego z parany i powiedział do starszego od siebie bądź co bądź o parę lat szewca:

– Jeśli nazwiesz mnie tak jeszcze raz, łachmyto, kropnę ci między oczy. – A potem mówił: – Niedawno, jakieś piętnaście albo dwadzieścia dni temu spotkałem cię na Piotrkowskiej z bardzo ładną dziewczyną. Ona miała na imię Joanna, pochodziła z bogatej rodziny i w ogóle żyło jej się dobrze, ale przedwczoraj

ktoś ją zamordował; pisały o tym wszystkie wczorajsze gazety. Czytałeś je może?

– Nie czytałem – odparł hardo szewc, chwytając za niedopitą butelkę i przystawiając szyjkę do ust, aby pokrzepić się długim, bulgotliwym łykiem.

– To przeczytaj przy okazji; z miejsca wytrzeźwiejesz. Nawiasem mówiąc, podoba mi się spinka w twoim krawacie. Nie zginęła ona komuś przypadkiem?

– Ty jej chyba nic zgubiłeś? – zauważył przytomnie szewc.

– Ja nie chodzę w damskiej biżuterii.

Szewc znowu chwycił za flaszkę, pokrzepił nadwątłone samopoczucie i rzucił złowieszczo:

– Ale łazisz za babami, szpiclujesz je i podglądasz.

Kontra była logiczna i celna, i też niewątpliwie nosiła znamiona szantażu. Zdumiony, a nawet lekko wystraszony Bernard milczał przez chwilę. Mógłby mnie, drań, wplątać w aferę, gdyby doszło do procesu – pomyślał i przeraził się nie na żarty. – Mógłby powiedzieć, że byliśmy u dziewczyny razem, i że to właśnie ja... Chryste Panie... lepiej chyba zostawić skurwiela w spokoju.

Zapanował jakoś nad nerwami, przywołał na usta szyderczy w swoim młodzieńczym mniemaniu uśmiech i chcąc czym prędzej zakończyć sprawę, czym prędzej opuścił śmierdzącą chatkę Gustawa i odetchnął świeżym powietrzem, potrząsnął błyszczącą paraną.

– Biorę to – zakomunikował stanowczo.

– Weź – zgodził się bez wahania szewc.

– Chciałem ci również oświadczyć, że umiem milczeć – bąknął uradowany Bernard.

– Kto mało gada, tłusto jada – mruknął Kopyto.

Nawiązała się między nimi jakaś nić. Chłopak rozważał, czy nie poprosić jeszcze Gustawa o niewielką zapomogę pieniężną, zrezygnował z tego jednakże. Przeczucie, ów tajemny, zagadkowy podszept jaźni, mówiło mu, że będą sobie jeszcze kiedyś nawzajem potrzebni, że ich kontakty nie kończą się bynajmniej z chwilą, kiedy para brazylijskich bębenkowców została brutalnie rozłączona: ten brzydszy został w chatce Baby Jagi, ten ładniejszy

spoczął w kieszeni Bernarda i powędrował z nim do domu; potem, w skórzanym, uszytym własnoręcznie przez chłopca i umieszczonym na paskach pod pachą futerale przemierzył z Bernardem jeziora mazurskie i Bieszczady, był w Gdańsku, Wrocławiu i Szczecinie, wielokrotnie odwiedził Warszawę. Strzelił z niego Bernard tylko raz i tylko raz pochwalił się nim stołecznej pannie, którą kochał bez wzajemności i która, widząc rewolwer, nie padła mu bynajmniej w ramiona, oświadczyła natomiast sucho, żeby się wynosił, bo co jak co, ale z bandytą to ona raczej do czynienia mieć nie chce.

Jeździł z nim Bernard na gapę tramwajami i pociągami, stając naumyślnie blisko milicjantów, gdyż odczuwał wówczas przyjemny dreszcz emocji. Kusił los. Ale nie wpadł, dzięki czemu nie wpadł także Gustaw, o którym, wedle przyrzeczenia, nie wspomniał chłopak nikomu: ani ojcu, ani matce, ani młodszemu bratu, kiedy ten dorósł i można już było mu powierzyć niejedną tajemnicę. Z nadejściem wieku dojrzałego, w trakcie studiów, Bernard pożegnał się z ulubioną paraną. Nie wyrzucił jej bynajmniej i nie sprzedał, lecz naoliwił, owinął w pergamin i wpakował do worka. W worku tym nosił kiedyś do szkoły strój gimnastyczny, trampki i filcowe pantofle. Taki worek ściągnięty sznurkiem. Wszedł pewnej nocy Bernard do ustępu, wymontował ze ściany obok umywalki wyposażony w uchwyt kafelek-mydelniczkę i świecąc latarką, popatrzył sobie na płataninę rur kanalizacyjnych, biegnących w pionie aż do parteru i piwnic. Były tam rozmaite kolanka, zaworki i kurki. Powiesił worek na motylku ostatniego, najbardziej oddalonego od ściany kurka i wepchnął kafelek-mydelniczkę na swoje miejsce.

Tymczasem Gustaw sprawił sobie skromny motocykl marki SHL, w trzy lata zaś od chwili popełnienia zbrodni ożenił się z roslą, zdrową panną o wydatnych piersiach i szerokich biodrach. Panna pochodziła z małej wioski pod Zgierzem i miała ten piękny zwyczaj, iż w każdy piątek po południu wsiadała w roztrzęsiony podmiejski tramwaj, aby spędzić weekend w Proboszczewicach na łonie zamożnej chłopskiej rodziny. Gustaw w związku z powyższym też nabrał pewnego zwyczaju:

otóż w każdy piątek po południu zamykał warsztat, kupował w pobliskim sklepie stosowny zapas owocowego wina i jechał swoją SHL-ką na parcelę w ogródkach działkowych, gdzie przebywał aż po późny niedzielny wieczór.

Sumienie Gustawa było czyste jak świąteczny opłatek: co noc zapadał w kamienny sen, nie nurzał się w wyrzutach sumienia, dopisywały mu apetyt i zdrowie. Ale czas pędził ku swojemu straszliwemu przeznaczeniu. W końcu lat siedemdziesiątych wprowadził się do małego mieszkania w rzeczonyj posesji Andrzej W., prawnik i polityk o zwicniętej karierze. Andrzej, rzecz jasna, nie mógł poznać Gustawa, bo i skąd? Z kolei Gustaw nie poznał Andrzeja, gdyż widział go tylko raz i tylko przez chwilę owego nierzeczywistego, odległego dnia, kiedy zamordował Joannę. Zatem ponura i nierozwikłana zagadka pozostałaby może na wieki w mroku fałszywych domysłów i plotek, gdyby szewc panował w pełni nad swoimi uczuciami. Szewc wszelako pofolgował w pewnym momencie uczuciom. Wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, kiedy jego krzepka, nie najmłodsza już połowica zaszła po raz pierwszy w ciążę, szczęśliwy Gustaw wyciągnął z ukrycia złotą broszkę o główce wysadzanej brylancikami i podarował ją matce swego przyszłego potomka.

Szewcowa przyjęła prezent z godnością i zadowoleniem. Niebawem też wpięła go w bluzkę i wyparadowała na podwórko, żeby zagrać troszku na nerwach wszystkim tym sakramenckim, miastowym kobitom. Rzadko rozstawała się z broszką, toteż misterny i osobliwy klejnot został zauważony – najpierw przez zdumioną Gejszę, potem przez Jacka T. i wścibskiego Kukuryka, wreszcie przez zszokowanego Andrzeja W., który dostał niegdyś identyczną broszkę od swojej matki lekarki i ofiarował ją w prezencie zaręczynowym Joannie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

PTAKI

Bazar, rynek i hala targowa w okolicach placu Niepodległości stanowiły kompleks handlowy o niezaprzeczalnej egzotyce i wielkim znaczeniu dla miasta. Byłoby ze strony autora samobójstwem przytoczyć listę towarów, które można było tu kupić, poprzestańmy zatem na mięsie z prywatnego uboju, na jajach, serach, warzywach i owocach, na garderobie dla młodych, starych, zgrabnych i nietypowych, na bieliźnie dla normalnych i zboczonych, na literaturze niskich i wysokich lotów, na dewocjonaliach i pornografii, na medykamentach przeciwko nowotworom, hemoroidom i gruźlicy, na sprzęcie radiowo-telewizyjnym i komputerowo-magnetofonowym, na rybkach i papugach, na monetach i znaczkach, na poszukiwanych przez młodzież trankwilizatorach, na odkurzaczach, na kolonialnych smakołykach przywleczonych z najodleglejszych zakątków świata przez rodzimą i zagraniczną kontrabandę, na prezerwatywach i akcesoriach do onanizmu, na zabawkach, świstawkach i przeróżnych instrumentach muzycznych, na diabłach, z których pyska wyskakuje po naciśnięciu policzków czerwony sprośny języczek, na wysmyczonych z zakładów pracy waciakach, roboczych kombinezonach i filcowych butach, na obrazach olejnych i gobelinach przedstawiających sarny w lesie i jelenie u wodopoju, na zdjęciach i rzeźbach z obliczem Jana Pawła II, na sztucznej i prawdziwej biżuterii, na rasowych i skundlonych szczeniętach, na emblematkach samochodowych uprowadzonych nocą z prywatnych i strzeżonych parkingów, na wyposażeniu pozwalającym uprawiać wszelkie elitarne i masowe dyscypliny sportu, na przyrządach optyczno-astronomicznych służących do obserwowania ruchu ciał niebieskich w kosmosie i ruchu ciał ludzkich w łóżku, na ziarnach, kwiatach i sadzonkach, na ziołach o czarodziejskiej mocy, na lizakach do zatrzymywania i kontrolowania pojazdów, na skradzionych milicyjnych mundurach i czapkach, na butlach z gazem łzawiącym, na gumowych kingsize'ach, którymi marynarze okładają w tropiku

niesforne i bezczelne mahmudztwo, na drukowanych horoskopach dla poszczególnych znaków zodiaku, przepowiadających temu, co je kupi, dużo szczęścia i wielką fortunę, choćby zdechłak wisiał już lewą nogą nad grobem, a na prawej miał tylko dziurawą trupięgę, na kalkulatorkach zastępujących ociężałym handlowcom trzy pierwsze zwoje kory mózgowej, na wytrychach, łomach, kluczach i zamkach stanowiących cenną pomoc naukową dla początkujących włamywaczy, na tradycyjnych i nowoczesnych, nader skomplikowanych wędkach do polowania na karpie w trybie legalnym i kłusowniczym, na maszynach do pisania o szalonej doprawdy rozpiętości wieku, niektóre bowiem, jak „Continental”, przetrwały cudem do dziś od początków naszego atomowego stulecia, inne zaś, elektroniczne, gotowe bez udziału człowieka zredagować standardowy spicz polityczny lub przepojoną wyrazami głębokiego współczucia depeszę kondolencyjną, zdają się owo parszywe stulecie kończyć, jako i my winniśmy wreszcie skończyć tę niegodną ambitnego pisarza wyliczankę.

Tu wszelako należy powiedzieć, iż bogaty asortyment towarów, wspomnianych przez autora tylko z grubsza i pokrótce, pozostaje w ścisłym związku z wielce rozległą panoramą typów, które spotka oszołomiony przechodzień na targowisku w rejonie placu Niepodległości. Zakole dziejów, deprecjacja zawodów, nienotowany w tysiącletniej historii narodu upadek moralny i umysłowy wartości, cynizm, egoizm i bluźnierstwo doprowadziły do tego, że jednoizbowy, strachliwy w gruncie rzeczy i nieporadny parlament jest we współczesnej Polsce fałszywym tylko i zniekształconym zwierciadłem mnogich warstw, stanów i nastrojów społecznych, prawdziwym zaś wizerunkiem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stało się właśnie spryskane posoką wieprzków i śledzi targowisko, gdzie zobaczysz na każdym kroku w charakterze kupujących, no i przede wszystkim w charakterze sprzedających zacną doprawdy mieszkankę towarzysko-etniczną i fachowo-klasową: cuchnącego gnojem chłopa obok uperfumowanego inżyniera, wieśniaczkę w barwnym łowickim stroju obok damy, która pokropiła się za

uchem chanelem numer pięć albo, w najgorszym wypadku, chanelem numer osiemnaście, prowincjonalną miłośniczkę uciech seksualnych, wytresowaną w miłosnych świadczeniach za płótem remizy ochotniczej straży pożarnej, obok panny z dobrego domu wystawiającej dupę w akcie miłosnym pozbawionym jakiegokolwiek wyrachowania, ekshibicjonistę ceniącego sobie tłoczny jarmark, gdyż za węglem straganu łatwo nawiązać kontakt wzrokowy z kobietą i pokazać jej to i owo, obok tragicznie smutnego mężczyzny, dla którego świat bez kobiet nie straciłby wcale na uroku, alkoholika, który wypił na śniadanie pół litra denaturatu i zaśpiewał uszczęśliwionym barytonem arię z opery *Straszny Dwór* obok łyka, któremu partia i rząd wmówiły, iż najlepszym lekarstwem na katar jest zaprawione trującą wodą mleko, zdolne wydrzeć z najsmutniejszych ust pieśń potężną jak dzwon, analfabetę handlującego książkami obok myśliciela handlującego starzyzną, doktora filozofii, który prawdziwego sensu życia doszukał się dopiero w chwili, kiedy najął go do posług fizycznych targowy rekin, obok samouka, który siedzi w kiosku i serwuje ludzkości porcje soczystej kiełbasy z musztardą, zaś w przerwach przyswaja sobie podstawowe wiadomości z zakresu geografii RFN. I tak dalej, kochany czytelniku. Spotkasz tu liczne szpany złodziejskie: drobnych kieszonkowców, początkujących farmazonów, urkesów zdążających do celu najprostsza drogą „porwać i uciec”; spotkasz hycła, rosomaka, potrafiącego obserwować i czekać doliniarza oraz potrafiącego obserwować i czekać rozpruwacza, którego łupem padnie o drugiej nad ranem czyjaś dobrze zaopatrzona buda; spotkasz wydrwigrosza, oszusta, podjudzacza, stręczyciela, deprawatora cnotliwych pańienek, gotowych zapomnieć o przykazaniach rodziców na widok modnej sukienki; spotkasz także milicjanta i tajniaka.

– Malinowszczyk jedzie!

– Gdzie?

– Tam.

– W tym białym pudełku?

– Tak. Musi mieć dzisiaj przy sobie lekko piętnaście bąbli.

- Skąd pan to wiesz, panie Sławeczku? - zapytał grubego straganiarza człek o zagłodzonych policzkach biedaka.

- Bo jest z obstawą. Jak on ma przy sobie dwa-trzy melony, to przyjeżdża sam, a jak ma więcej niż dziesięć, to bierze ze sobą szwagra, który normalnie pracuje jako strażnik w banku spółdzielczym (padła nazwa podwarszawskiej miejscowości) i jest specjalistą od konwojowania grubego szmalu. Kapujesz, Głuptas?

- Kapuję, co mam nie kapować, panie Sławeczku - odparł chudzielec, który często wprawdzie obżerał się mięsem, ale tylko w marzeniach sennych. Jak każdy nędzarz przebywający na rynku wyłącznie w celach towarzyskich, jak każdy nędzarz wysługujący się ze wszystkich sił możliwym i bogatym handlarzom, biegając dla nich po papierosy, przynosząc im napoje i kanapki, Głuptas nigdy nie miał dość nowinek z wielkiego świata. - I co on jeszcze robi, ten szwagier? - pociągnął. - Co on jeszcze robi, panie Sławeczku?

Straganiarz o porządnym brzuchu i czerwonych, tryskających zdrowiem policzkach odburknął:

- Pilnuje, żeby Malinowskiemu nie stała się krzywda.

- Nie wygląda na atletę.

- Ale jest przy broni.

- Przy broni?! - powtórzył zachwycony Głuptas. - Mówisz pan, przy broni? Przy rewolwerze?

- Jasne.

- I gdzie go trzyma?

- W kaburze pod pachą. Gorąc, wszyscy chodzą w samych tylko koszulkach, a on włożył kapotę. - Ogorzała twarz straganiarza przybrała nagle wyraz zadumy. Mruczał, nie patrząc na Głuptasa: - Jest piątek. Jest dziesiąta rano. Tego dnia i o tej porze szwagier konwojował zawsze z banku całe wory papieru, całe wory siana, za które można by spokojnie postawić pałac z basenem w ogrodzie i z basenem w środku...

- Skąd pan to wiesz, panie Sławeczku?

- Co on tu dzisiaj robi? Tu musi być dzisiaj wielki interes - ciągnął swoje podniecony straganiarz. - Malinowszczyk nie raz żartował, że gdyby jego szwagier był mądry i skręcił kiedyś w lewą ulicę...

– Po ile te kurtki?

– Po dwadzieścia – odpalił machinalnie straganiarz, nie zaszczycając nawet klienta wzrokiem.

– A jak wezmę pięć?

Dopiero teraz Sławeczek zainteresował się chłopcem o bystrym, inteligentnym i śmiałym obliczu przemytnika.

– Do Związku Radzieckiego pan jedziesz?

– A co panu za różnica, gdzie ja jadę: do Związku Radzieckiego czy do Związku Harcerstwa Polskiego? – huknął gburowato młodzieniec, który był z dziewczyną i usiłował wyrzucić na niej dodatkowe wrażenie.

– Jak pięć, to po dziewiętnaście.

– Po szesnaście.

– Pan chyba zwariował?!

– Tak, zwariował pan chyba?! – poparł Sławeczka chudzielec. – Nigdzie nie znajdziesz dla Rusków lepszych i tańszych kurtek.

– Nie wtrącaj się, Głuptas – osadził go straganiarz.

– Siedemnaście – rzekł stanowczo przemytnik.

– Spływaj pan!

– Do klienta trzeba mówić grzecznie, bo w przeciwnym wypadku można mieć ciężkie kłopoty. – Chwycił dziewczynę za rękę i chciał odejść, lecz straganiarz powstrzymał go raptem.

– Dawaj pan siedemnaście i pół.

Chłopak szybko odliczył pieniądze, obejrzał kurtki, po czym kazał je zapakować. Dziewczyna była oczarowana. Wszyscy byli zadowoleni. Cieszył się nawet, Bóg wie czemu, człowieczek o sympatycznej i poczciwej buzi głodomora.

Tymczasem w sąsiednim straganie, który podobnie jak stragan Sławeczka składał się z drewnianej budy, namiotu i ekspozycji zewnętrznej, zapanował nastrój zawiści i przygnębienia. Bernard T., trzydziestodziewięcioletni magister ekonomii, powinien z racji swego zawodu i wykształcenia odnosić pośród rynkowych konkurentów same zwycięstwa i sukcesy, powinien niszczyć ich, druzgotać, rzucać na kolana i udowadniać każdym posunięciem, że jest lepszy niż jakiś tam niedouczony chłopiec, jakiś tam buras, kartofel czy pomidor. Wszelako rzecz się miała odwrotnie:

inteligencja i wykształcenie przegrywały w twardych jarmarcznych bojach z chamstwem, bezczelnością i sprytem. Pozbawiony godności i dumy buras górował zwykle nad panem magistrem i nabijał się z niego za plecami. Bernard dałby głowę, iż przyglądający mu się ukradkiem Sławeczek, który zrobił już od rana kilka świetnych interesów, wie doskonale, że magister nie sprzedał jeszcze nic, chociaż ma na składzie te same szlagiczki, te same tandetne spódnice i spodnie.

Z głębi namiotu dobiegł go syk żony:

– A widziałeś, widziałeś!

Odwrócił się i powiedział cicho:

– Stul pysk.

Wszystko grało mu tego dnia na nerwach. Czuł pod językiem żółć. Ludzie bogacą się, budują, wyjeżdżają za granicę, pierwszy lepszy gnojek mówi o milionach, a on co? Nic!

Spłacił dwupokojowe mieszkanie w spółdzielni i kupił używanego peugeota, który niebawem zamieni się w kupę złomu. Zerknął z niechęcią na przystojnego, szpakowatego mężczyznę, brylującego w zatoczce pomiędzy dwoma rzędami straganów obok zaiste dziwnego samochodu: białego, krótkiego, szerokiego i wysokiego z atrapą osłonową na przednich i tylnych światłach i z przyczepą, do której ludzie ładowali całe stosy towaru. Malinowszczyk, kurwa jego mać! Stać faceta, żeby zainwestować lekką ręką w tandetę kilkanaście baniek i wziąć do ochrony uzbrojonego goryla. A on ledwo wiąże koniec z końcem, ledwo płaci podatek od obrotu, ledwo radzi sobie z kapryśkami żony i nikt go nawet nie chce okraść, na czym mógłby zarobić trochę grosza. Co najmniej raz w tygodniu jest włamanie do którejś z bud. Do Sławeczka i do paru innych cwaniaków włamywano się już wielokrotnie. Kiedy dochodziło do tych nieszczęśliwych wypadków, pokrzywdzeni dosłownie tańczyli z radości i czym prędzej zgłaszali sprawę w PZU. Jeśli tylko mogli udowodnić, że ograbione stragany były odpowiednio zabezpieczone w kratownice, sztaby i kłódki, ich większe lub mniejsze nieszczęście przeistaczało się automatycznie w mniejsze lub większe szczęście. Każdy wmawiał ekspertom PZU, że okradziono

go na dwa miliony, eksperci zaś wmawiali każdemu, że stracił w masie towarowej nie więcej niż trzysta-czterysta tysięcy. Tak czy owak, walczący dzielnie o swoje poszkodowany dostawał około miliona i był do przodu.

Bernard nie był jednak do przodu. Rabusie, włamywacze, łupieżcy i rozpruwacze stronili od magistrowego stanowiska jak od zarazy. Bernard chwilami posądzał przestępców o znowę i żył w przekonaniu, że gdyby nawet pozostawił swoją budkę otwartą, i tak nikt nie wyniósłby z niej pojedynczej pary skarpetek.

Rynek szumiał, huczał, zawodził, śpiewał, wybuchał okrzykami radości i gniewu, szarpał się, targował i awanturował, ale wezbrane, rwące wśród stoisk i straganów kłębowisko nie dostrzegało jakoś Bernarda, lekceważyło go jakoś i pomijało.

„Spokój. Mam po prostu gorszy dzień. Mam po prostu dzisiaj smutną i zniechęconą mordę, a ludzie tego nie lubią. Spokój, spokój! Oto i pierwszy klient!”

Patrzył z obrzydzeniem na skradającego się chyłkiem pajaca. Najpierw doleciał go przerażający, przesycony odorem wina, papierosów i psujących się zębów oddech, a dopiero potem słowa:

– Kup pan.

Bernard opuścił wzrok i zobaczył w chudych, czarnych, skulonych szponach pajaca zegarek. Przemógł wstręt i wziął go w dwa palce. Pajac strzelił okiem w lewo i w prawo, po czym zachrypiał kuszącym, kruczym, dziwnie jakoś współgrającym z zakrzywionymi szponami głosem:

– Doxa. Karatowe złoto.

– Komu to zginęło?

– Nikomu. Pamiątka po babci, szefie.

– Na pewno po babci, ale nie twojej.

– Mojej, szlag mi na serce!

– Ile za to chcesz?

– Dychę.

– Spierdalaj.

Mały, staroświecki, cenny niewątpliwie zegarek ugrzązł na powrót w szponach pajaca. Ten nie odszedł jednakże.

– W potrzebie jezdź jak raz, daj pan osiem!

– Spierdalaj, powiedziałem. Ale już!

– Niby dlaczego?! Niby dlaczego obrażasz pana?! – zapytała ciepło żona Bernarda. Wyszła z namiotu, gdzie układała i rozwieszała konfekcję. Była pulchną, dobijającą czterdziestki blondynką o łapczywych ustach i chytrej, znieprawionej, zachłannej twarzy, zdolnej jeszcze wzbudzić namiętność w niejednym mężczyźnie. Patrząc z całą mocą w męzowskie oczy, przekazywała mu bezgłośnie burzę szalejących myśli i uczuć: na co czekasz? Przecież to jest okazja, idioto! Rusz się do diabła, bo zacznę wrzeszczeć!

Bernard łagodniej spojrział na pajaca, mruknął: „Odejdź pan stąd natychmiast dla własnego dobra”, po czym chwycił żonę ponad łokciem w kleszcze swoich twardych, morderczo silnych palców i wciągnął ją do namiotu.

– Nie wtrącaj się do moich spraw – powiedział.

Kobieta wyglądała tak, jakby miała wymiotować. Rozmasowywała ramię. Była blada i spocona. Z bólu. Nie znaczy to jednak, że zapomniała o swoim kąśliwym babskim jęzorze.

– Przestań mnie szarpać, ty głupi, parszywy draniu, bo zrobię takie piekło, że popamiętasz!

– Nie wtrącaj się do moich spraw – powtórzył spokojnie Bernard. – Sam nimi pokieruję, jak będzie trzeba.

– Pokierujesz! Pokierujesz! – Jej gardło zdołało wyprodukować sztuczny, urągliwy, pełen szyderstwa, nienawiści i pogardy śmiech. – To było warte czterdzieści albo i pięćdziesiąt tysięcy.

– Jasne – zgodził się Bernard.

– Więc czemu tego nie wzięłeś? Bo kradzione? Jesteś niby taki uczciwy?

– Nie jestem uczciwy, ale nie chcę mieć do czynienia z milicją.

– Sławeczek nie boi się jakoś milicji. Zobaczysz, zaraz to chapnie.

– Niech chapnie.

Wrócił przed namiot. Pajac zniknął. Sławeczek i towarzyszący mu niezmiennie Głuptas obserwowali z respektem poczynania Malinowskiego, który zbierał się do odjazdu.

- Idę się napić - rzucił Bernard żonie. Zapalił długiego amerykańskiego papierosa i ruszył pośród straganów do budki z oranżadą. Miał ochotę na coś mocniejszego, ale miał również samochód i musiał o tym pamiętać.

No, no! Ten nieznanemu mu zupełnie z widzenia i ze słyszenia Malinowski też miał samochód. Zdziwiony Bernard stwierdził, że nie był to wcale zachodni wóz, lecz terenowa wersja lady, niva 1600, z dodatkową przekładnią biegów, z napędem na tylną i przednią oś i z niezależnym zawieszeniem dla wszystkich czterech kół uzbrojonych w nowe japońskie opony Super Digger IV Yokohama. Wąskie błotniki o gumowych uszczelkach dowodziły, że można je w każdej chwili wymienić. Ślepia czołowych reflektorów wyposażone były w wycieraczki, a wewnątrz pojazdu w radio, w umieszczony dyskretnie antyradar i w dysze klimatyzacyjne zdolne w największy upał obniżyć temperaturę powietrza tak wydatnie, że trzeba sięgnąć po sweter. Takim wozem można polować na lwy w Afryce. Ale z tyłu, za dwoma pierwszymi, jedynymi zresztą siedzeniami, w pomieszczeniu, gdzie powinien spoczywać zabity lew, spoczywały od podłogi po dach bezlitośnie stłoczone wyroby z madery i teksasu, których zresztą jeszcze więcej było w przyczepie.

Malinowski podawał łaskawie rękę żegnającym go czołobitnie dostawcom, tymczasem jego niemłody już, najwyraźniej sterany życiem goryl zdawał się drzemać na przednim prawym siedzeniu z kwaśną miną osobnika cierpiącego na wrzód dwunastnicy.

Nie wiadomo skąd zaświtała nagle w głowie Bernarda myśl, że spotka jeszcze tego człowieka o żółtawej twarzy i rzadkich, mysich, zaczesanych do góry włosach. Pił wolno mętną landrynkowatą ciecz, chłodniejszą trochę od lekko wystudzonej zupy i palił bez smaku drugiego już papierosa. Słońce przygrzewało solidnie, czuł na spoconym czole delikatną pieszczotę wiatru. Świat dookoła był piękny, piękne były opalone, wydekoltowane, spacerujące z leniwym wdziękiem dziewczyny, których czujne, bystre ślepka myszkowały pilnie w dzinsowym buszu z nadzieją na coś specjalnego. Gołębie i wróble dziobały

w pokojowej koegzystencji piaszczyste obrzeża jarmarku, dzieciaki objadały się lodami, a Cyganki o tłustych policzkach wróżyły z kart.

Bernard westchnął pełną piersią. Nerwy puściły. Nie jest źle. Żyje, oddycha, ma co jeść, wieczorem zawsze może palnąć sobie lufę. Zapłacił i ruszył ku swojemu niefartownemu stoisku, bacznie unikając spojrzeń kolegów – straganiarzy. Jak gracz, który odchodzi na chwilę od rulety, aby przeczekać złą passę, tak i Bernard zaczynał wierzyć, że kapryśne koło fortuny potoczy się zaraz w drugą stronę. Zaraz zrobi początek, jeśli nie zrobiła go już żona, a potem będzie sprzedawał jak szalony. Przyspieszył kroku. Samopoczucie konsekwentnie szybowało w górę, ale raptem uderzyła Bernardowi do głowy wściekła, zwarzona nienawiścią krew.

– Nie, ja tę kurwę zabiję! – powiedział na cały głos widząc, że żona istotnie próbuje zrobić początek z tym pajacem-łachmytą, który wykorzystując nieobecność gospodarza, znowu podjechał do budy ze złotą, odziedziczoną po babci doxą.

Transakcja była już dokonana, ale Bernard zwrócił pajacowi zegarek, odebrał mu pieniądze i kopnął bez żenady w kościsty tyłek z ostrzeżeniem:

– Spadaj, bo zawołam milicję.

Potem zabrał się na dobre do żony, wciągając ją, jak poprzednio, do namiotu, łapiąc za włosy i waląc otwartą ręką w twarz. Walił długo i precyzyjnie, a gdy kobieta pozwoliła sobie na głośny, histeryczny ryk protestu, zwinął pięść i zdzielił ją w zęby.

Upadła. Runęły na nią sterty dzinsowych produktów. Boczna ściana namiotu wyrzuciła się niebezpiecznie, co zostało chyba zauważone przez straganiarzy, bo rozległo się radosne i uszczęśliwione wycie.

Ktoś wrzasnął:

– Magister daje babie popalić!

A ktoś inny:

– I ma rację!

Poszkodowana leżała jakiś czas w ciszy i w bezruchu. Wkrótce jednak uchyliła oczy i oświadczyła spokojnym, beznamiętnym, groźnym tonem:

– Zrobię sobie obdukcję.

– Zrób.

– A jutro sprawa będzie u adwokata.

– Już mi to obiecujesz pięć lat – rzekł Bernard, obserwując swoją twarz w zawieszonym na ścianie namiotu lustrze.

– Tym razem dotrzymam słowa. – Wciąż jeszcze brzmiało to spokojnie i złowieszczo, ale poszkodowaną zaczęły już trochę drażnić manewry, jakie wyczyniał przed lustrem jej wredny mąż. Przecierał oczy i obmacywał szczękę, zupełnie jakby to on był pobity, nie ona. Włączyła więc drugi, a potem trzeci bieg: – Nie myśl, skurwielu, że dam się wyruchać z mieszkania i z pieniędzy – powiedziała dużo już głośniej. Widząc, że Bernard przystąpił z kolei do oglądania zębów, nie mogła już dłużej wytrzymać i powróciła do swojego ulubionego tonu, to jest do wrzasku: – Z samochodu też się nie dam wyruchać, ty parszywa, chamska gnido! – zawyła, czemu zawtórowało momentalnie uszczęśliwione wycie na placu.

Bernard stanął nad małżonką, pakując pięść do kieszeni. Wówczas darła się już na cały regulator:

– Ludzieeee! Ratunkuuu! Chce mnie zamordować!

– Kto by cię tam chciał mordować. – Rzucił na ziemię klucze od kiosku, powiedział: – Baw się. – I wyszedł.

Gdyby bił ją dalej, gdyby mogła dalej awanturować się i wrzeszczeć, wszystko byłoby jeszcze w jakim takim porządku. Opuścił jednak perfidnie bitewny poligon, pozostawiając biedaczkę w stanie niezaspokojonej furii i wzburzenia. Rozczochrana, potargana, zapłakana, z usmarkanym nosem i rozmazanym pod oczami tuszem wybiegła przed namiot ku uciezce zachwyconych straganiarzy. Nie próbowała nawet walczyć z nawałem uczuć. Chęć przedłużenia awantury i pragnienie draki były silniejsze od wstydu. Wołała, wrzeszczała, wyła za odchodzącym Bernardem:

– Stój, łajdaku! Poczekaj! Wróć! Muszę iść na obdukcję!

Bernard zanurkował w tłum. Biegła za nim, ujadając i skowycząc aż do parkingu po drugiej stronie hali Geyera, ale zdążył uruchomić samochód i odjechać.

- Jak to dobrze, że nie mam z nią dzieci - pomyślał.

Nie po raz pierwszy pocieszał się w ten sposób. Zapragnął nagle zobaczyć brata, ale Jacek był o tej porze w szkole. Tak czy inaczej, skierował się ku śródmieściu i w pięć minut później wkołował na podwórko starego łódzkiego domu.

– Siadać, dzieciarnia, Idiota nadchodzi! – zawołał wesoło syn chirurga Waldemar Manol. – Wyostrzcie swoje leniwe mózgi notorycznych matołków, bo ja tu dzisiaj przeczuwam masakrę.

Przystojny, doskonale ubrany szczeniak lekarza powiódł dookoła wzrokiem przekonany, iż jego kwiecista przemowa wywołała sprawiedliwy entuzjazm. Ale zawiódł się nieprzyjemnie. Była druga połowa kwietnia. Do matury pozostało niewiele ponad trzy tygodnie. Nie wszyscy jeszcze mieli uregulowane stosunki z Idiotą, wykładowcą języka polskiego, toteż zamiast oddawać się niewczesnym żartom, uczniowie klasy IVc szybko zajmowali swoje miejsca w ławkach.

Była to klasa o profilu biologiczno-chemicznym w liceum, któremu patronował wybitny pisarz. Szesnaście dziewcząt i osiemnastu chłopców, materiał wyselekcjonowany z zamożnych rodzin bez oglądania się na uzdolnioną biedotę, układało na pulpitach notatki, zeszyty, podręczniki oraz całe sterty lektury, aby przekonać Idiotę o swojej niezwykłej pracowitości i wszechstronnym odczytaniu.

Idiota siadł niedbale za stołem i nie otwierając dziennika dla sprawdzenia listy obecności, przyjrzał się trzem rzędom markotnych owieczek.

– Jednej osoby brak – powiedział.

– Zgadza się, panie profesorze – przytaknął Manol, który pełnił funkcję gospodarza klasy. – Borkowska jest chora.

– Chora?

– Chora.

– I na cóż ona, biedaczka, choruje?

– Grypę podłapała, panie profesorze – wtrąciła jedna z dziewcząt, niejaka Iwona Cyner.

– Podłapała, mówisz?

– Tak.

– Ho, ho! To z ciebie zdolna dziewczuszka. Będę musiał sprawdzić w słowniku, czy jest w ogóle czasownik z takim przedrostkiem

i czy wolno go ewentualnie odnieść do grypy. Może on raczej pasuje do jakiegoś innego paskudnego choróbka. Ale ja ci chciałem zwrócić uwagę, moja panno, że ty jesteś w liceum na lekcji polskiego, a nie w szpitalu zakaźnym na oddziale syfilityków.

– Przepraszam, wymusnęło mi się, panie profesorze.

– Matko Boska! – Idiota potrząsnął swoją łysą, idealnie okrągłą głową, którą ponad uszami otaczał wianuszek siwych, niebywale gęstych włosów. – Wymusnęło się jej! Czegóż ja cię nauczyłem przez te cztery lata, he?! – Oblesna, zbyt czerwona trochę jak u mężczyzny wargę starego satyra opadła, obnażając wlatane srebrem zęby. Mięsiasty nochal zmarszczył się niebezpiecznie.

– Same idiotyzmy i trywializmy. Zupełnie jakbyś obcowała codziennie z prozą naszych utalentowanych pisarzy rymsztokowych.

Należy wspomnieć, że Idiota zionął nienawiścią do współczesnej polskiej literatury, jeśli zaś chodzi o współczesną literaturę łódzką, twierdził wprost i bez osłonek, iż nadaje się ona wyłącznie jako aneks do papieru toaletowego trzeciej klasy. Z siebie natomiast był zadowolony. Gdyby chciał, od razu dmuchnąłby powieść niewiele tylko gorszą od *Krzyżaków* Henryka Sienkiewicza, który był jego zdaniem bezwzględnie najwybitniejszym autorem w dziejach narodu.

Idiota kochał Sienkiewicza i považał go jako nieżyjącego kolegę. Obaj z Heńkiem mogliby dokonać cudów. Nagroda Nobla to było zero, zwykły śmieć, gdyby oni obaj z Heńkiem rozpoczęli działalność. Zapalił wbrew regulaminowi papierosa i włożył zużytą zapałkę do pudełka. Tylko raz zdążył strząsnąć popiół na podłogę, gdyż Manol wydobył spod ławki dyżurny spodek i podstawił go usłużnie, podskoczył do okna i otworzył je szeroko, zapewniając:

– Cały dym wyleci zaraz, panie profesorze.

– Nie cały, tylko wszystek, bałwanie! – skontrolował go kolega Heńka.

– Wszystek, tak jest!

– Słuchaj no, Manol, to nie są ćwiczenia wojskowe ani obóz kondycyjny dla rekrutów, żebyś mi tu pokrzykiwał „tak jest”. Czyżbyś wyniósł z domu tak nędzny zasób synonimów? Storczykowska!

– Słucham, panie profesorze. – Ładna dziewczyna o szczupłej sylwetce i faktycznie dużych piersiach wstała i spojrzała Idiocie w oczy.

– Czym można zastąpić w cywilu zwrot wojskowy „tak jest”?

– Można by powiedzieć: „oczywiście, panie profesorze”, „naturalnie, panie profesorze”, „bez wątpienia, panie profesorze”.

– Siadaj. Michalak!

Wytracony z drzemki młodzieniec, skądinąd syn dyrektora potężnej firmy polonijnej, zerwał się jak kot i wrzasnął:

– Ojciec będzie u pana w tych dniach, panie profesorze!

Idiotę zatkało. Przyglądał się Michalakowi z osłupieniem, próbując dociec, czy chłopak jest sprytny i bezczelny, czy też jedynie głupi. Ustalił, że fakty przemawiają raczej za tym ostatnim, zadał więc Michalakowi pytanie łagodne:

– Wiesz, kto napisał *Dzumę*?

– Camus, rzecz jasna, wielki egzystencjalny pisarz francuski.

– Doskonale, Michalak. Siadaj. Rozwodzińska!

Latorośl szefowej „Domu Mody”, dziewczuszysko brzydkie i tak otłuszczone, że nie były tu w stanie pomóc żadne fatalaszki, dźwignęło z mozołem niepoślednich rozmiarów zadek. Potrąciła koleżankę, zwała na ziemię stertę podręczników. Wstała, krótko mówiąc, hałaśliwie i niezdarnie jak słoń. Myli się jednak, kto sądzi, że ociążałość fizyczna Rozwodzińskiej szła w parze z ociążałością umysłową. Panna błyskawicznie wysnuła naukę z trafnej reakcji kolegi Michalaka i palnęła niezwłocznie:

– Moja mamusia też się do pana wybiera, panie profesorze, bo bardzo się o mnie niepokoi i nie wie, czy robię właściwe postępy.

Idiotę zamurowało ponownie. Mrugał wyłupiastymi, przeraźliwie wielkimi oczami z takim zdziwieniem, jakby miał przed sobą raroga. Szokujący tupet! Ze starym Michalakiem można było jeszcze od biedy wytrzymać, ale matka Rozwodzińskiej nigdy nie grzeszyła taktem. Krawaciki, woda

kolońska... Wolne żarty, psiakrew! Klasa gotowa pomyśleć, że on nic innego nie robi, tylko przyjmuje łapówki, a on jest przecież nieprzekupny i paru bęcwałów musi dla zasady utracić.

– Postępy, powiadasz?! Ty i właściwe postępy?! – Zaśmiał się jadowicie, a wraz z nim gruchnęła śmiechem cała klasa. – Nie, ja nie wytrzymam! – Z ogromnych, nieprawych oczu Idioty pociekły łzy rozbawienia. – Mamusia się niepokoi, dobre sobie! Powiedz no mi, moja panno, co to jest *Siedemdziesiąt razy siedem*?

Czerwona jak sztandar buzia Rozwodzińskiej wyrażała kompletną niemoc i rezygnację, ale gdzieś z tyłu padła litościwa podpowiedź.

– Siedemdziesiąt razy siedem to jest działanie matematyczne – oświadczyła z godnością dziewczyna, łudząc się, że maturalny próg zostanie tak czy owak pokonany.

– Na pewno? – podpuszczał biedaczkę Idiota.

– Ależ tak, panie profesorze, na pewno! W sumie to da czterysta dziewięćdziesiąt.

Idiota pokręcił łysiną i otworzył dziennik ocen.

– Nie, moja droga. W sumie da to zaledwie dwóję.

Rozwodzińska zadrżała. Podniosła obydwie ręce do góry i kropnęła pięściami w pulpit. Ponieważ wybryk ten nie ukoił jej wzburzonych uczuć, zaczęła beczeć i przytupywać. Chlipała:

– To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe! Pójdę do dyrektora!

– A idź – powiedział beztrósco Idiota. – Gdzie byłaś miesiąc temu, jak prowadziłem wykład na temat literatury iberoamerykańskiej? Wymieniłem wtedy parę nazwisk i parę tytułów.

– Tak jest! – poparł Idiotę Waldemar Manol. – Pan profesor był łaskaw wspomnieć między innymi znakomitą książkę Dalmira Saénza *Siedemdziesiąt razy siedem*.

– Otóż to! Wspomniałem i kazałem ją przeczytać. Jest w naszej szkolnej bibliotece. Jest także w każdej innej bibliotece. Kto ją czytał?

Las rąk podniósł się na wszelki wypadek do góry.

– No i co? – triumfował Idiota. – Wszyscy czytali, a ty nie czytałaś. Ty wolałaś opychać się czekoladą. Idź zatem do

dyrektora, a mamusi powiedz, że jeśli nawet robisz jakieś postępy, to przede wszystkim na wadze. Ciężar mózgu pozostaje w każdym razie bez zmian.

Klasa w dobrze pojętym interesie własnym wydała pomruk aprobaty.

– Cisza, bęcwały! – ryknął Idiota, waląc dziennikiem w stół.

Był zadowolony. Tok lekcji sprawiał mu autentyczną przyjemność, a wrzeszczał jedynie z wyrachowania. Trochę terroru wyjdzie na zdrowie zarówno uczniom, jak i rodzicom. Uuu! Sporo wizyt przewidywał Idiota w tym gorączkowym przedmaturalnym okresie. Będą się mizdrzyć i łąsić, lecz on zna swoją cenę. Byle czym go nie kupią.

Warto dodać, że Idiota był nie tylko przeciwnikiem współczesnej literatury polskiej. Światły ów mąż pałał również serdeczną nienawiścią do współczesnych metod nauczania. Wysztychał je bezlitośnie przy każdej okazji, a jak brakowało takowej, to sam ją stwarzał, aby ulżyć sobie w cierpieniu.

Odczekawszy zatem kilka chwil, uśmiechnął się satanicznie i pociągnął:

– No, po tej krótkiej rozgrzewce przejdźmy teraz do rzeczy poważnych. Zastanówmy się wspólnie, cóż też cisną nam na maturalny stół te matole z ministerstwa, cóż też oni znowu takiego nie wymyślą, abyście mogli lać wodę i przepchać się jakoś do egzaminów ustnych.

Albo był jakiś przeciek, albo Idiota miał jasnowidzenie, bo trafił w sam środek tarczy.

– Może to być temat: „Rola jednostki i zbiorowości w epokach romantyzmu i pozytywizmu” – szydził. – Może to być: „Twój ideał kobiety w literaturze polskiej”. Przy czym muszę wam od razu powiedzieć, że o kobietach najlepiej pisali homoseksualiści! Myślał jeden z drugim nicpoń o parobku, a w książce wychodziła z tego dziewczucha. Tak, moi kochani. – Idiota zaczerpnął tchu i wskoczył na swojego ukochanego konia: – Niewykluczone, że matole z Warszawy pójda wreszcie po rozum do głowy i każą wam odpowiedzieć na pytanie: „W czym tkwi istota i potęga

narodowej epopei Henryka Sienkiewicza, którą zwiemy popularnie trylogią?”

– Rozpierzdolił ich – rzekł z podziwem Manol do Jacka T.

– Jak to Idiota – odpowiedział półgłosem Wicher.

Siedzieli w tej samej, pierwszej ławce najbliżej drzwi i profesor usłyszał ich krótką wymianę zdań. Manol ma u mnie czwórki na maturze – zdecydował. Natomiast tego drugiego, aroganckiego drania przytnę. I to od razu!

– I jak, mości panie? – zwrócił się do Jacka. – Tata pisze ze Stanów?

– Ojciec jest obecnie w Meksyku, panie profesorze – wyjaśnił uprzejmie Wicher. – Mieszka w Cuernabace, w tym mieście, gdzie Malcolm Lowry napisał swoją znakomitą powieść *Pod wulkanem*, którą pan zapewne zna.

– Znam ją – skłamał gładko profesor – ale zechciej przyjąć do wiadomości, że my nie żyjemy pod wulkanem w Meksyku, tylko pod wulkanem w Polsce.

– Bardzo ładnie pan to sformułował – powiedział z emfazą Jacek.

– Podobało ci się?

– Tak.

– Powiedz zatem, w czym tkwi istota i potęga narodowej epopei Henryka Sienkiewicza, którą zwiemy popularnie trylogią.

Niez pomieszany Jacek odpowiedział pełnym zdaniem:

– Istota i potęga sienkiewiczowskiej trylogii tkwi przede wszystkim w okrucieństwie, panie profesorze. – Wstał, strzelił obcasami i dodał: – Tak jest!

Idiota przewidywał, iż niesforny uczeń podejmie rozpaczliwą próbę obrony, tymczasem gad splunął jadem swojej wstrząsającej arogancji, wypuszczając z profesora powietrze. W klasie zapanowało wyczekujące, naładowane elektrycznością milczenie; klasa drżała wewnątrz z radości, przewidując dalszy, sensacyjny rozwój wypadków nie dotyczących jej bezpośrednio, a więc pożądanych i miłych. Wynik pojedynku Jacka z Idiotą był klasie zupełnie obojętny; ważne, żeby coś się działo.

Wyczuwając te perfidne nastroje Idiota, który nie był wcale idiotą, włączył się do ogólnej ciszy, maskując ustępujące szybko zakłopotanie pobłażliwym uśmiechem i zwlekając z wystrzeleniem kolejnego pocisku. Czas grał na jego korzyść. Wicher stał, a on siedział i to dawało mu przewagę. Potrzymam trochę drania w zawieszeniu – zdecydował i zaczął kartkować od niechcienia dziennik ocen. Nagle jednak zalała go nagła krew. Kiedy bowiem podniósł wzrok znad dziennika, stwierdził, że bezczelny wyrostek siedzi w najlepsze i dokonuje przeglądu paznokci.

– Ejże, mości dzieju! – ryknął rozsierdzony humanista. – Jeszcześmy ze sobą nie skończyli!

– Sądziłem, że moja skromna odpowiedź zadowoliła pana profesora – odparł Jacek i podniósł się bez pośpiechu.

– Istotnie była to wielce interesująca odpowiedź, śmiała, odkrywczą i świadcząca niezbicie o głębokiej znajomości przedmiotu – drwił profesor, trzymając ręce pod stołem i wyłamując je z chrzęstem. – Ponieważ jednak twoje responsorium jest równocześnie twierdzeniem, należałoby je chyba jakoś udowodnić. Rozwiń zatem, jeśli łaska, płód swego chyżego umysłu. Przekonaj nas, że Sienkiewicz był człowiekiem wstecznym, że występował przeciwko uciemienionym i walczącym sprawiedliwie o wolność Kozakom Chmielnickiego, że wytaczał armaty przeciw Szwedom, że odmawiał gościny imperium polskiego sympatycznej ćmie tatarskiej i przyjaźnie usposobionym obrzezańcom z Turcji. No, dalej, waćpanie! Do dzieła!

Manol chichotał cicho i przytakiwał skwapliwie słowom profesora. Taka lekcja to doprawdy rozkosz! Odwrócił głowę i szepnął do chłopaka z drugiej ławki:

– Rozpierzdolił go!

– Fakt – odszepnął chłopak. – Zgadzam się z wami, towarzyszu, w tym względzie.

Głowa Manola wróciła do pozycji zasadniczej, skłonna podjąć w każdej chwili trud radosnego przytakiwania, ale czekała ją przykra niespodzianka: Wicher chwycił dziecię chirurga za

ufryzowaną czuprynę i wtłoczył mu nos w oczodoły. Rozległ się wrzask bólu i upokorzenia zestrojony w piekielne unisono z wrzaskiem humanisty:

– Jak śmiesz, bydlaku, dopuszczać się rękoczynów w mojej przytomności?!

– Po pierwsze, to ja nie jestem bydlakiem, panie profesorze – oświadczył spokojnie Wicher. – A po drugie, to stanąłem tylko w obronie pańskiej godności.

– Kpisz sobie, czy o drogę pytasz?

– Mówię prawdę.

– Wyjaśnij ją przeto!

– Kolega Manol robi z pana sodomitę. Przed chwilą powiedział Brzezińskiemu, że pan profesor był łaskaw mnie rozpierdolić.

– Wcale tak nie powiedziałem! – zaprotestowało dziecię chirurga.

– Powiedziałeś, Manol, powiedziałeś – stwierdził z szalbierczym ubolewaniem Brzeziński, pocziwe chłopię, które doszło najwyraźniej do wniosku, że nie zaszkodzi dolać oliwy do ognia i upiec jednym ciągiem dwóch kolegów.

Apoplektycznie czerwona twarz Idioty wprawiła młodzież w stan niebiańskiej ekstazy. Lekcja miała skończyć się dopiero za piętnaście minut, jednakże w tym szczególnym wypadku klasa chętnie przedłużyłaby zajęcia o godzinę, bowiem żaden kryminalny film nie wytrzymałby konkurencji z tą pasjonującą przedmaturalną rozgrywką. Oj, ważyły się w tym momencie czyjeś losy! Dojrzewał dramat, który miał niebawem zaowocować straszliwie poza granicami szkoły.

Sięgnął Idiota po następnego papierosa. Buchnął dymem, odkaszlnął, ale nie splunął. Kto nie umie zmieniać tempa i mieszać nastrojów, nie zasługuje na miano prawdziwego artysty. Wielbiciel Sienkiewicza posiadał na szczęście tę sztukę; tak mu się przynajmniej zdawało.

– Manol!

Chłopiec wyskoczył z ławki jak sprężyna.

– Słucham!

– Co masz na swoje usprawiedliwienie?

– To, że w żadnym wypadku nie chciałem panu profesorowi ubliżyć.

– Wyobraź sobie, że ci wierzę.

– Dziękuję panu! Wulgarnego słowa użyłem jedynie w tym celu, aby mocniej wyrazić podziw dla riposty, jakiej udzielił pan Jackowi.

– On nie kłamie, panie profesorze – wtrącił przytomnie Brzeziński. – Ja również żywię podziw dla pana riposty...

– Milcz! A ty siadaj – polecił Manolowi. – i nie wyrażaj mi więcej podziwu w tej ani w żadnej innej formie. Nie lubię pochlebców.

– To zupełnie tak samo jak ja – ciągnął Wicher wsparty niedbale ręką o ławkę. Dziewczęta przyglądały się z uwielbieniem wysokiej, szczupłej sylwetce odważnego i krnąbrnego chłopca. Idiota nie przegapił tej okoliczności i postanowił zadać Jackowi decydujący cios.

– Zadowolony jesteś z siebie, panie kawalerze? – zapytał słodko.

– W miarę – rzekł Jacek.

– Powiedz no mi, ile traci pozornie na wadze ciężar ciała zanurzonego w wodzie.

– To zależy, panie profesorze, czy zanurzy się w wodzie świnię czy osła.

Idiota nie stracił tym razem zimnej krwi. Był przygotowany na twardą i bezkompromisową walkę.

– Zachwycasz mnie, młodzieńcze – powiedział, wystukując na okładce dziennika synkopy. – Wszelako panna, która uczy was fizyki, nie podziela moich zachwytów nad tobą. Nie martwisz się tym?

– Nie. Wystarcza mi w zupełności zachwyt pana profesora.

– Serdeczne dzięki, sokole. Problem wszakże spoczywa w sferze bezwzględnej podziału kompetencji. Jeśli o mnie chodzi, przedstawiasz się fizycznie bez zarzutu: mała główka, wąskie czoło i szerokie bary; typ nordyka, przynoszący chlubę narodowi panów. Jeśli jednak chodzi o fizyczkę (zdanie to wymówił przewlekłe, z obelżywym akcentem), szlachetna owa dama lekceważy twój niezrównany intelekt i chce rąbnąć ci na

zakończenie roku bombę. Wiesz zapewne o jej podłych knowaniach?

– Wiem.

– To się cieszę. Zdajesz sobie chyba również sprawę, że z jedną dwójką delikwent może ewentualnie uzyskać świadectwo ukończenia szkoły, pod warunkiem, że nie przystąpi do egzaminów maturalnych.

– Panie profesorze!

– Tak?

– Ja najmocniej przepraszam, ale pan zaczyna mnie nudzić. Poza tym bolą mnie nogi od długiego i bezproduktywnego stania. Nie pogniewa się pan przecież, jak se sięde.

To mówiąc, bezczelny urwis rozwalił się w ławce niczym tygrys z przetrąconym stosem pacierzowym. Ba! Gdyby się tylko rozwalił – nic takiego! Pozwolił sobie w dodatku, niecnota, na kilka podłych epitetów i wykład, który przyprawił nieszczęsnego profesora o bóle w klatce piersiowej. Nieszczęsny profesor dałby wszystko, aby pozbyć się Jacka, ten jednakże podjął dyskusję w tonie jednoznacznie pogodnym:

– Wstydy, panie profesorze, jak poważam i kocham Najświętsze Serce Chrystusa! Pan niechybnie zaprzedał się diabłu. Ćmi pan te ohydne papierosiska, z czego oni to robią? Pochlebia pan możliwym, dokucza biedakom. Szkandał, szkandał! Cicho! – syknął, widząc, że usta Idioty składają się do wrzasku. – Nie skończyłem jeszcze, panie profesorze, odpowiedzi na pytanie, w czym tkwi istota i siła sienkiewiczowskiego talentu, a jak pan dostał czkawki po tym kopcidle z siana i paznokci, to służę uprzejmie camelem. No, jazda! – wręczył zszokowanemu Manolowi paczkę z wizerunkiem dromadera na tle egipskich piramid. – Poczęstuj pana profesora, lizusie! Nie? No to nie! Gdyby jednak pan profesor nabrał ochoty, jezdeźwa gotowe.

– Dalej, dalej, nie żałuj sobie – powiedział niby to beztrąsko Idiota, repetując długopis z miną strzelca w plutonie egzekucyjnym. Decyzja zapadła, Jacek był już tylko trupem.

Trup wszelako, nie przeczuwając widocznie swego żalósnego końca, ciągnął wesoło:

– Siekać, rąbać, bigosować, mości panowie! Rźnij, morduj, kto w Boga wierzy! Już tam Jerema kazał zastrugać dla Bohuna palik, już tam nawłókł pohańca na rożen i przyozdobił wszystkie okoliczne drzewka, podobnie jak to później uczynił świetlanej pamięci pułkownik Wołodyjowski, czekając w kresowej stancy ukochanej Basieńki i donosząc jej w listach, że dwudziestu czy trzydziestu zdrajców dynda już na gałęziach, żywi przy tym nadzieję, iż nim świeżo poślubiona żona ściągnie u boku pana Zagłoby do fortu, dyndać będzie około setki. Basieńka, serce szczerozłote, bardzo lubiła odwalić sobie przed kolacją kilka tatarskich główek z płuckami albo ustrzelić w krzakach dzikusa. Kawał o noplisach przypomina mi się w tym momencie, panie nauczycielu. Zna pan zapewne tę budującą afrykańską historię?

Profesor udał serdeczne zainteresowanie. Dzielnie, trzeba przyznać, panował nad nerwami i miał wszelkie powody do dumy.

– Nie słyszałem jej, panie bracie.

– Opowiedzieć?

– Ależ tak, proszę!

– Więc spotkało się na safari grono myśliwych – zaczął Jacek, mrużąc filuternie oko. – Byli oczywiście biali; nieustraszeni pogromcy dzikich zwierząt. Pili whisky i rozprawiali o swoich sukcesach. Kenijczyk miał na rozkładzie trzydzieści lwów i pięćdziesiąt słońi, Tanzańczyk położył trupem sto tygrysów, ale wszystkich zakosił džentelmen z Republiki Południowej Afryki, oświadczając, że kropnął ze swojego sztucera dwieście noplisów.

Klasa i profesor słuchali opowieści Jacka w osłupieniu, ten jednakże zawiesił głos i patrzył bezmyślnie w okno.

– Koniec? – zapytał rozczarowany profesor.

– Koniec – przytaknął Jacek.

– Mógłbyś nam przynajmniej wyjaśnić, co to są te noplisy.

– O to samo właśnie poprosili džentelmena z RPA panowie z Kenii i Tanzanii, a on im wyjaśnił, że noplis to takie czarne chuderlawe zwierzę, które kryje się w buszu i nim wygarniesz do niego z grubej rury, podnosi do góry łapki i zaczyna krzyczeć: „No, no, please! No, please!”

Ktoś zachichotał nerwowo. Klasa uczyła się od czterech lat angielskiego i choć nie zrobiła w tym okresie nadzwyczajnych postępów, chwyciła sens makabrycznego dowcipu. Chwycił go również Idiota i poczerwieniał ze złości. Aluzja była dostatecznie przejrzysta. Bachor ma czelność porównywać nieśmiertelnych bohaterów Sienkiewicza z bandą pretoriańskich rasistów. Zacisnął pięść i długopis trzasnął mu w palcach jak zapalka. Spokój! – nakazywał sobie w duchu. Spokój, bo przeniesiesz się za sprawą tego bękarta na tamten świat.

Tymczasem rozparty w ławce syn karykaturzysty poczęstował go perfidnym komplementem:

– Ależ pan ma krzepę w garści, panie profesorze! Zupełnie jak Zbyszko z Bogdańca, który wyciskał z gałęzi sok. Najbardziej jednak imponowały mi zawsze kompaniony panakmicicowe i pan Andrzej przepelniony głęboką i bezinteresowną miłością do ludzkości. Pan Andrzej wrzasnął nieraz w karczmie na parobka: „Chłopie, gorzałki szybko, bo zetnę!”. A jak sobie popił, nigdy nie był od tego, żeby puścić z dymem jakąś wieś albo wyszlachtować dla rozgrzewki pół miasteczka. Za to go właśnie tak kochamy, drogi panie profesorze, i dzięki takim właśnie jak on postaciom trylogia Sienkiewicza jest prawdziwym arcydziełem, a nie jakąś tam papierową bajędą, gdzie rycerze oplakują rzewnymi łzami każdego zabitego wroga, w wolnych zaś chwilach nie tańczą bynajmniej, nie hulają, nie żrą, nie chlają, nie zalecają się do dziewczyn, jeno leżą krzyżem w kościele lub mamroczą bez końca o swoim przywiązaniu do ojczyzny. Gdyby pan wykastrował trylogię z okrucieństwa, pozostałby z niej taki właśnie gniot i Sienkiewicz mógłby pośmiertnie kandydować do nagrody pocieszenia w konkursie utworów zapomnianych.

Idiota, gotów postawić chłopcu dwóję i wyrzucić go na zbitą mordę z klasy, zaskoczony był pointą Jackowego wywodu. Zupełnie nie wiedział, co robić. Wpatrywał się w zdruzgotany długopis i szperał gorączkowo w zakamarkach mózgu z nadzieją, iż znajdzie jakąś ciętą i dowcipną replikę; tymczasem w korytarzu zaterkotał elektryczny dzwonek i Jacek T., niedoszła ofiara, wstał,

skinął profesorowi głową i opuścił poligon bitewny, zostawiając
Idiotę sam na sam z trzema rzędami oniemiałych maturzystów.

3

Wchodząc do bramy, Jacek zderzył się nieoczekiwanie z Gejszą. Było to zderzenie w sensie dosłownym – oboje zamyśleni i podążający w przeciwnym kierunku wpadli na siebie niczym dwa średnio rozpędzone samochody bez zderzaków. Jacek utknął nosem w wyszczotkowanych, pachnących odurzająco włosach dziewczyny, ta zaś chwyciła go delikatnie za ramiona i odepchnęła lekko od swoich dużych, jędrnych piersi. Jacek mruknął ponuro: „Przepraszam”, notując jednocześnie przyjazne na poły i na poły żartobliwe spojrzenie, jakim Gejsza obdarzyła go spod pięknie wymodelowanych, ciemnozłocistych brwi.

Sekunda przeznaczona na taki incydent już minęła, ale Jacek dałby głowę, że były to przynajmniej dwie sekundy. Czuł wokół serca gorącą, miękką, promieniującą rozkosznie obręcz. Los rzucił mu niczym koło ratunkowe narkotyk ze skutkiem natychmiastowym; zapomniał o niepotrzebnym doprawdy starciu z Idiotą; nużący dzień nabrał blasku; mroczna, cuchnąca kotami klatka schodowa wydała mu się nagle ukochanym i sympatycznym schroniskiem. Na trzecim piętrze sięgnął po klucz i otworzył drzwi z nieczęstym pragnieniem ucałowania starczych, usianych zmarszczkami policzków babci. Był nawet gotów chwycić siatkę i ruszyć do sklepu po zakupy, ale stwierdził z radością, że w owych szlachetnych zapędach zdążył go już wyprzedzić ukochany brat.

Bernard siedział z babcią przy okrągłym, suto zastawionym stole. W buchającej parą wazie żuru pławiło się pęto białej kiełbasy, na półmisku leżały soczyste płaty szynki i baleronu; salaterka kipiała od drogich w owym czasie pomidorów, pokrojonych babciną ręką w ćwiartki, doprawionych cebulą, posypanych tartym serem i skropionych obficie sosem z octu, oliwy i musztardy. Nie zabrakło również wśród tych wspaniałości napoczętej butelki poloneza, dwóch zagranicznych soków grejpfrutowych w litrowych kartonach i kilku rzuconych niedbale na obrus paczek amerykańskich papierosów. Szaleństwo, jednym

słowem, zdolne złagodzić każde nieszczęście, a jak ktoś był szczęśliwy, to już chyba na ten widok mógłby tylko oszaleć.

Jacek ucałował babkę, uścisnął dłoń brata i zaczął pałaszować łapczywie żur z kielbasą. Każdy wydobyty z odmętu żuru kęs kielbasy smarował obficie musztardą, aby zmiażdżyć go następnie w kleszczach swoich białych, zdrowych zębów. Szynkę i baleron jadł już z nieco mniejszym rozpędem.

– Kielicha? – zapytał Bernard.

– Nie, dziękuję. Wolę sok.

Pili więc: starszy wódkę, której ubywało systematycznie w butelce, młodszy ekstrakt z grejpfruta. Babka pogderała trochę pod nosem, zdjęła ze stołu opróżnione talerze i wyszła, powłócząc nogami. Bracia zasadzili sobie w ustach papierosy i przyglądali się jeden drugiemu z miłością. Owiane dymem twarze, podobne na swój sposób i niepodobne, spoważniały, jakby przekazali sobie raptem bez udziału słów jakąś głęboką, groźną, skrywaną od dawna tajemnicę.

– Chciałbyś się na pewno dowiedzieć – zaatakował gwałtownie Jacek – co tam słyhać w budzie przed maturą. Otóż nie dalej jak godzinę temu stoczyłem brutalną walkę ze skurwysynem polonistą i chociaż jestem prawdopodobnie jego najlepszym uczniem, facet robi wszystko, żeby mnie upierdolić.

– Może trzeba skurwysyna posmarować?

– Daj spokój, Bernard. Ciągłe byś tylko smarował i smarował, jakbyś miał miliony. W tej bogatej szkole, pełnej zdeprawowanych belfrów i gówniarzy, których rodzice obracają tysiącami dolarów, przekupuje się zawiłym systemem przez pośredników i bez świadków, i niekoniecznie muszą to być akurat pieniądze. Co ty możesz mu dać, takiemu skurwysynowi?

– Mogę wziąć go na bok i dać mu w ryja.

– W ryja to ja sam mogę rąbnąć ścierwo, bez twojej pomocy. Zostawmy zresztą tę sprawę; poradzę sobie jakoś, skoro ci tak bardzo na tym zależy.

– I staniesz do egzaminów maturalnych?

– Nie. Dadzą mi na odpierdol świadectwo ukończenia szkoły, ale powiem ci szczerze, że w tej chwili nie ma to dla mnie

żadnego znaczenia.

– A co ma dla ciebie znaczenie, chłopaku?

Jacek wchłonął do płuc potężny haust dymu, zdusił niedopałek w popielniczce i spojrzał starszemu bratu w oczy z depresją osaczonego tygrysa.

– Wypierdolę z kraju.

– Po co?

– Żeby złożyć wizytę naszemu kochanemu tatusiowi.

– Jak chcesz to zrobić?

– Uprorowadzę samolot.

Każdy inny, starszy o dwadzieścia dwa lata brat wybuchnąłby w tym momencie śmiechem. Ale Bernardowi nie było wcale do śmiechu. Bernard dobrze znał swojego małego, szalonego i jednocześnie piekielnie trzeźwego braciszka. Opróżnił zatem spokojnie stugramowy kieliszek i powiedział z flegmą:

– Przedstaw mi, jeśli łaska, szczegóły twego ambitnego planu.

Jacek zapalił drugiego papierosa i zaciągnął się chciwie.

– Pamiętasz tę ostatnią aferę na Okęciu? – zapytał.

– Katastrofę w Lesie Kabackim?

– Nie. To było parę tygodni po katastrofie. Gnojek z małego miasteczka wsiadł w autobus i jak dotarł do Warszawy, zarzucił innemu, siedzącemu przed sobą gnojekowi pęk granatów na szyję, po czym rozkazał kierowcy, aby zawiózł go na lotnisko, bo w przeciwnym wypadku wysadzi w powietrze autobus ze wszystkimi pasażerami.

– Było coś takiego – przytaknął Bernard.

– Ano, było, było! Jeden drobny, niepozorny, prowincjonalny szczył narobił szumu, jakby wybuchła wojna, i postawił na nogi całe miasto: wojsko, milicję, straż pożarną, pogotowie ratunkowe i brygadę do zwalczania terroryzmu. Wstrzymano ruch na ulicach, drogówka zapewniła autobusowi absolutne pierwszeństwo przejazdu, no i facet, zwalnając kilku zakładników, wparadował na płytę lotniska, żądając, Bóg wie czemu, aby podstawili mu aż dwa samoloty do RFN i aby w jednym z tych samolotów usiadł za sterem akurat ten pilot, który odwoził kiedyś papieża do Rzymu.

– Nie brakło pętałowi tupetu.

– Tupetu to może mu nie brakło, ale zrobił błąd. Pomyśl sobie: przyrzekli mu w końcu ten samolot za cenę wypuszczenia reszty zakładników, i wieczorem, po dziesięciu czy dwunastu godzinach dramatycznych pertraktacji, w autobusie pozostali już tylko on, ten drugi chłopak z granatami na grdyce i oficer bezpieczeństwa, który palił głupa i udawał, że też chce zwiać, a w gruncie rzeczy próbował jedynie uśpić czujność szczyla i rzucić się na niego w sprzyjającym momencie. To był cholernie cwany gość, bajerował jak Słowacki, poza tym miał fachowe wykształcenie komandosa, kaskadera, akrobata, wyborowego strzelca. Występował w filmach, czepiał się podwozi samolotów, przeskakiwał w biegu z samochodu na samochód, a w życiu storpedował już niejednego bandziora...

– Do czego zmierzasz? – przerwał mu brat. Nalał sobie, wypił i wpatrywał się w Jacka czujnym, nieruchomym, wypranym z jakiegokolwiek ironii czy uśmiechu wzrokiem człowieka, który słuchając tego, co mówi inny człowiek, nie przestaje słuchać własnych myśli.

– Gdybym znalazł się w położeniu tego szczyla, nikt by mnie nie storpedował – powiedział z makabryczną pewnością siebie Jacek.

– Nie?

– Nie. Poradziłbym sobie z pułkiem takich cwaniaków. Ten szczyl nie wytrzymał nerwowo. Zrozumiał, że coś jest nie w porządku i pociągnął sznurek, żeby przenieść się wraz z ofiarą i zagrażającym mu komandosem na tamten świat, co mu zresztą nie wyszło; była eksplozja, ale wszyscy przeżyli; ofiarę zawieźli do szpitala, szczyl dostał na płycie lotniska ciężki łomot i trafił do aresztu, a bohaterski komandos zapisał na swoim koncie jeszcze jeden wielki sukces – piał o nim radio, telewizja, wynosiły go pod niebiosa gazety...

– I słusznie.

– Jasne, że słusznie. Tyle tylko, że ja na miejscu szczyla sprowadziłbym go do parteru. Szczyl pokazał charakter, lecz zabrakło mu wyobraźni. Zaczął, trzeba przyznać, wspaniale, nie

potrafił jednak rozbudować swego planu w czasie akcji, a miał po temu wielkie szanse.

– Na przykład?

– Mógł powiedzieć do komandosa, który wyposażony był w krótkofalówkę i pośredniczył w dialogu między terrorystą a władzami lotniska: „Wiem, że jesteś podstawiony, że prosząc catering o podesłanie nam jedzenia, alkoholu i kłamki chodzi ci przede wszystkim o otrzymanie w jakimś zawiniątku kopyta, z którego mógłbyś mnie rąbnąć. Uważaj więc, palancie! W chwili, kiedy mnie rąbniesz, skążesz jednocześnie na śmierć wielu niewinnych ludzi. No, jazda! Zamelduj swoim kumplom z lotniska, że nim przystąpiłem do działań końcowych, zaminowałem na terenie kraju trzy gmachy użyteczności publicznej. Mechanizm jest w ruchu. Zegary cykają. Wskazówki biegną ku swojemu przeznaczeniu i od was tylko zależy, czy będzie wielkie bum”.

Bernard przyglądał się bratu jak urzeczony. Niby komuś nie dowierząc lub przecząc, pokręcił kilkakrotnie głową. Potem głowa jego odskoczyła do tyłu wraz z kieliszkiem. Zapalił. Dym wyciekał przez nozdrza, a usta pytały:

– Chcesz powiedzieć, że wyciąłbyś taki numer?

– Nie chcę powiedzieć, że bym wyciął. Chcę powiedzieć, że wytnę – odparował zaciekle chłopak.

– Podminujesz jakiś budynek?

– Podminuję albo w krytycznym momencie skłamię, że podminowałem. To wystarczy, możesz mi wierzyć.

– I co dalej?

– Gdybym zaszedł już tak daleko jak ten szczył, wparadowałbym na pokład samolotu z papierosem w zębach. Nie ruszyłby mnie żaden komandos, żadna brygada antyterrorystyczna. Nie musiałbym nawet brać zakładnika, zaś granaty – pod warunkiem, że byłyby to fachowo skonstruowane ładunki wybuchowe ze spłonką i detonatorem, a nie jakaś amatorska partanina – mógłbym wręczyć komandosowi na pamiątkę. I mówię ci: wszystko by szło szybko i sprawnie, jak w elektronicznym zegarku. Nikt by nie zwlekał, nie kołował, nie udawał, nie kombinował, nie próbował wpuścić mnie w maliny,

gdyż obiecałbym draniom, iż w momencie, gdy samolot wzbije się wraz ze mną w powietrze, zdradzę im poprzez radiotelegrafistę, jaki to konkretnie gmach, szkoła, urząd lub ministerstwo zostało podminowane, i o której godzinie nastąpi eksplozja, jeśli nie zapobiegną temu saperzy.

– No, dobra. Założmy, że jesteś już w powietrzu i trzeba teraz wywiązać się z obietnic.

– Nic nie trzeba. W powietrzu, to ja im mówię, że zmieniłem zamiar, bo nie mam do nich zaufania. Lecieć jak najprędzej do Hamburga czy do Monachium! Lokalizację gmachu podam za pośrednictwem niemieckiej policji.

– Która z miejsca capnie cię za dupsko.

– Akurat! Zasunę im bombę, że mamy jeszcze do eksplozji trochę czasu. W związku z czym będę niesłychanie wdzięczny, jeśli zechcą umieścić mnie na pokładzie transatlantyku.

– Starczy, Wicher!

– Zły plan?

– Doskonały.

– Możemy zrealizować go wspólnie.

– Nie podniecaj się, mały. Posłuchaj...

– Ale...

– Ciii. Daj powiedzieć parę słów starszemu bratu. – Domacał się butelki i napełnił pewną ręką kieliszek, nie odrywając od Jacka swoich mądrych, posępnych oczu. – Ja też kiedyś snułem takie plany. Ojciec bryknął, a ja myślałem: wcześniej czy później do niego pojedę. Wcześniej czy później dostanę paszport i zobaczę się z naszym staruszkim; on myślał tak samo, wysyłał zaproszenia – odwalali. Do niego nie! Do Rzymu z Orbisem – nie! Do Austrii – nie! Do Bułgarii – nie! Do Słowacji w pas konwencji turystycznej – nie! Odmówili mi nawet stempla w dowodzie, a były kiedyś takie stemple i mogłeś jeździć do kadeludów bez paszportu. Przyszło mi wtedy do głowy, żeby prysnąć – buchnąć komuś dokumenty albo je podrobić, przekupić urząd, posmarować agencję, zamelinować się na statku albo w pociągu, porwać samolot z trasy Rzeszów–Warszawa albo Warszawa–Gdańsk, iść przez góry albo przez rzekę. Sto dwadzieścia

pomysłów miałem. Gdyby mi zapewnili przerzut do jakiegoś kraju na Zachodzie, gotów byłbym nawet popracować trochę dla obcego wywiadu.

– Fijuuu. – Jacek gwizdnął przeciągle. – I czemuś tego nie zrobił?

– Chcesz wiedzieć?

– Tak.

Bernard wytrząsnął sobie wódkę do ust i dotknął ich potężną, porośniętą ryżawymi włoskami ręką.

– Ty go nienawidzisz, ja kocham ojca – powiedział. – Ale jeszcze bardziej od ojca kocham ciebie. Nie mam własnych dzieci, ty jesteś moim jedynym dzieckiem, chłopaku! Ojciec wyrządził mi krzywdę. Nie dlatego, że zwiął, lecz dlatego, że zwiewając, odciął mi drogę do świata, do podróży, o których marzy każdy szczeniak i które były marzeniem całego mojego życia. Te pieniądze, co nam od czasu do czasu przysyłał, nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Znaczenie miały wyjazdy, dalekie i egzotyczne kraje, palmy, góry, wodospady, południowe morza, plaże. Pisałem mu o tym, a on mnie pocieszał: iluzja, synu, wszędzie jest tak samo; wszędzie jest gówno, nędza, zawiść, złodziejstwo i brud.

– Skurwiel!

– Przeklinasz lędźwia, które cię wydały.

– Nie prosiłem o to.

– Prosiłeś, nie prosiłeś; jesteś.

– Skoro jestem, będę musiał umrzeć.

– Co znaczy chwila umierania przy milionach chwil życia. Ono nieraz ma swój smak.

Jacek wchłaniał już trzeciego papierosa. Spojrzał ukradkiem na butelkę, a brat zauważył to i spytał:

– Chłapiasz?

Przełknął ślinę i powiedział:

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– Nie to nie! – Stugramowy kieliszek przespacerował się do tyłu z głową Bernarda. Lewa ręka nadziała na widelec plaster szynki,

prawa zanurzyła łyżeczkę w słoiku z musztardą i chlusnęła z rozmachem na wędlinę. Wpakował to sobie do ust, pogryzł i zauważył: – To też jest życie i też ma swój smak!

– Jasne – przytaknął Jacek. – A więc nie prysnąłeś, bo mnie kochasz?

– Gdybym prysnął, wyrzuciłbym ci tę samą krzywdę, którą ojciec wyrzucił mnie. Twoje szanse wyjazdu za granicę zmalowałyby wtedy do zera, a przecież tobie również marzą się często palmy, wąwozy, oceany i plaże.

– No więc pryśnijmy razem.

– Do ojca?

– Tak.

– I tu jest właśnie, kolego, błąd. Tu jest zasadnicza słabość twojego rozumowania. Wyłożę to zwięźle. Do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku ojciec wysyłał mi co jakiś czas zaproszenie ze Stanów, a ja składałem o paszport i zawsze otrzymywałem odmowę. Nie pomogły podania, nie pomogły odwołania i deklaracje. Potem była wojna, natomiast po wojnie, jeśli tylko sprawa była czysta od strony formalnej, nie robili już nikomu trudności z wyjazdem. Zatem każdy mógł i może wyjechać.

– Także ty?

– Także ja. Także my. Ojciec jednak przeniósł się ze Stanów do Meksyku i przestał nagle wysyłać zaproszenia, przestał wspominać o tym, jak to pięknie urządzimy się we dwóch w San Francisco, jak to później ściągniemy ciebie, jak to rozkręcimy wspólnie kokosowy interes, jak to zadbamy o twoją edukację, posyłając cię do Harvardu.

– Nigdy nie wierzyłem w te brednie.

– Wierzyłeś – powiedział czule Bernard. – Jak byłeś mały, przechwalałeś się chłopakom: gdy podłosnę, pojedę z blatem do Amelyki i zamieszkamy z naszym tatą, a matki nie weźmiemy, bo jest podła.

– Przeklęta suka!

– Nie przeklinaj łona, które cię wydało. Nie sądźmy, abyśmy nie byli sądzeni.

- Wstrząsająca znajomość Pisma Świętego. Studiujesz ostatnio ewangelistów?

- Studiuję listy naszego ojczulka.

- I co?

- Z nim jest źle.

Powiedział to szeptem. Zerknął w drzwi prowadzące na korytarz. Na podwórku eksplodował donośnie motocykl. Seria strzałów z rury wydechowej odbiła się echem od ścian domu; silnik zwiększał i zmniejszał obroty, aby osiągnąć wreszcie równomierny, dręczący rytm. Pojazd wjechał do bramy i wzniecił w niej na pożegnanie piekło trudnych do opisanie dźwięków, grożąc, że jeszcze powróci. Potem zapadła cisza, z której wyłaniały się z wolna głosy podenerwowanych lokatorów i łagodny, kojący śpiew klarnetu. Nie było to radio. Był to żywy klawecista, ćwiczący sobie w nieznanym ani Bernardowi, ani Jackowi mieszkaniu jazzowe kawałki.

- Nie mówi o tym wprost - ciągnął Bernard - ale czytam między wierszami, że on stracił już wiarę i nadzieję, że wyzbył się ambicji, że wysupłał się z pieniędzy, że zaczynają ciążyć mu lata i wyrzuty sumienia, że brak mu sił, że coraz bardziej popada w rozpacz i rezygnację, i że gdybym tylko podsunął mu tę myśl... - Machnął ręką - A, nie ma co gadać! Jedno jest pewne, Wicher: tylko samobójca lub idiota poleciałby dzisiaj w odwiedziny do ojca porwanym samolotem. - Zamknął oczy. Jackowi wydawało się, że brat nasłuchuje dalekich, miękkich tonów klarnetu, snującego z finezją pajęczynę bluesa, ten wszelako mruknął niespodziewanie:

- To trzeba zrobić inaczej.

Jacka zatkało, teraz i on zdawał się słuchać w zachwyceniu nie znanego klawecisty. Dobrych kilka chwil minęło, nim zapytał:

- Co trzeba zrobić inaczej?

- Cały ten skok.

- Jaki skok?

- Do ojca.

- Chcesz powiedzieć, że poszedłbyś na to?

- Chcę ci tylko wytłumaczyć do końca sprawę. - Pochylił łysiejące, zroszone kropelkami potu czoło; alkohol nie poczynił w nim jeszcze większych spustoszeń, ale chwycił nagle Jacka za ramię z niepohamowaną, władcą agresją. Przekrzywiając głowę i patrząc na brata sponad swoich gęstych, rudoczarnych brwi, mówił wolno: - Gdyby ojciec wysłał nam zaproszenie, gdybyśmy zjawili się pewnego dnia u niego w Meksyku, to po paru tygodniach wszyscy trzej wylądowalibyśmy w jakimś przytułku albo w więzieniu, albo na ulicy w charakterze żebraków. Na to, aby on pomógł tobie czy mnie, nie ma nawet co liczyć. Owszem, dziewięć, dziesięć lat temu byłoby to prawdopodobnie możliwe, ale teraz, jeśli ktoś jest w stanie komuś pomóc, to my jemu, nie on nam.

- Puść, boli - powiedział Jacek. Uwolnił ramię i zapytał z nienawistną pogardą: - To znaczy, co? Wyślemy mu paczkę z kiełbasą? Warto by także dorzucić trochę papierosów i flachę.

- Żebyś wiedział.

- I może jeszcze trochę pieniędzy?

- Pieniądze są najważniejsze.

- Poważnie mówisz?

- Tak.

- To ja jutro pójdę zapisać się do roboty w Zakładach Róży Luksemburg.

- Nie musisz zapisywać się do roboty.

- Czemu nie? Złotówka jest przecież na czarnym rynku walutą wymienialną. Za pensję powinienem dostać pięć albo i dziesięć dolarów. Wyślę je ojcu. Mnie nie widział, to niech zobaczy przynajmniej mój szmal. Nie pozwolę, abyś wziął cały ciężar utrzymania tatusia na swoje barki. Zresztą twój straganiarski grosz też nie wystarczy staremu na wygodne życie.

- Żaden uczciwie zarobiony grosz nie wystarczy.

- A masz jakiś pomysł, żeby zarobić trochę uczciwego papieru w nieuczciwy sposób?

Bernard utkwiał w Jacku swój ponury, zdesperowany wzrok i oświadczył krótko:

- Mam.

W tym momencie nie tylko Jacek zapomniał o Gejszy; zapomniała o niej także jego pulsująca, rozbudzona, mile połączona podświadomość.

Klarnet potknął się na jakiejś nucie i zakończył swoją przejmującą pieśń do Boga. Pewnie został rozebrany na części i złożony do snu w miękkich przegrodach futerału. Nic z tego! W bramie zaryczał arogancko motocykl; zakwiliło niemowlę, zawrzasnął rozsierdzony lokator, zgodna para małżeńska przystąpiła do codziennej awantury, klnąc i złorzecząc z obu stron w stylu przedmieścia.

Jacek nie odrywał oczu od groźnej, skupionej twarzy brata. Niemal namacalnie wyczuwał jego potęgę: siłę, którą promieniowało rozgrzane alkoholem ciało i moc skoncentrowaną w okrutnych, zwężonych jak u kota źrenicach. Przeszedł go rozkoszny dreszcz, a potem owładnęło nim jakieś inne, niejasne przecucie. Gdzieś za ścianą zakasłała babka. Pomyślał: co z babką? Po raz drugi zerknął na butelkę i po raz drugi Bernard przyłapał go na tym.

– Łykniesz? – zapytał.

– Nie. Chyba nie.

– To i dobrze. – Odmierzył sobie pewną ręką kolejny kieliszek i obejrzał go pod światło.

Czego on tam szuka w tej bezbarwnej, przezroczystej, powszedniej jak woda cieczy? Kiedy Jacek rozważał tę myśl, Bernard dźwignął się ociężale z krzesła, zdjął ze stołu nieopróżnioną jeszcze butelkę i podlał resztą wódki bez na parapecie. Wrócił, wypił to, co było w kieliszku, i powiedział:

– Dosyć. Odprowadzisz mnie do taksówki?

– Możesz przecież spać tutaj.

– Nim położę się spać, muszę sprawdzić, czy ta kurwa zamknęła budę.

– O żonie mówisz?

– A o kim?

Jacek odmilczał taktownie kilka chwil, po czyni palnął bez skrępowań:

- Roztyło się to twoje babsko jak nieboskie stworzenie. Jeśli nawet jest trochę chudsza od wieloryba, nie rzuca się to specjalnie w oczy.

- Fakt - przytaknął zgodnie Bernard.

- Czemu ty się nie rozwiedziesz?

- Zrobię to.

- Kiedy?

- W swoim czasie. Zresztą... rozwód nie będzie wcale potrzebny.

- W związku z tym planem?

- Nie mam jeszcze żadnego planu.

- Ale wymyślisz coś?

- Wymyślę. - Ogromna, pokryta ryżawymi włoskami dłoń pochwyła znowu ramię brata i ścisnęła je z morderczą siłą. - Zapomnij na razie o tym, co ci powiedziałem, Jacek. Nie przyznawaj się do tego nawet przed sobą.

- Ty niczego mi jeszcze nie powiedziałeś.

- Bądź cierpliwy. - Puścił ramię brata i wstał. Potem, kiedy szli na postój taksówek, mówił cicho: - Powinieneś codziennie być w szkole i zachowywać się tak jak dotąd: ani lepiej, ani gorzej. Ja zrobię to samo. Nie wolno nam zmieniać rytmu życia. Wszystko musi zostać po staremu. Dlatego właśnie jadę teraz na rynek, a później do domu z moją słodką ptaszyną; ona potrafi być groźna, nie ma nic gorszego od kobiety z instynktem: kobieta z instynktem wie, że ją zdradzisz, nim się jeszcze na to zdecydujesz; wie, że byłeś samotnie w kinie, że łyknąłeś z boku parę groszy, że wypięłeś kielicha z kumplem, którego ona akurat nie lubi, i to tylko dlatego, że on nie chce, a ona chętnie wślzłaby z nim do łóżka. Strzeż się kobiet, chłopaku. Najlepsze plany zawsze brały w łeb przez kobietę, która nigdy nie myśli głową, lecz trzewiami. No, trzymaj się!

Złapał gwałtownie Jacka za szyję i wycisnął mu na czole braterski pocałunek; wsiadł do pierwszej z brzegu taksówki i odjechał.

Jacek wracał nogą za nogą do domu.

- Szanowanie! - pozdrowił go idący z naprzeciwka Kukuryk. Kopyto krzątał się na podwórku wokół swojej emzetki. Gejsza stała w oknie z papierosem, a w innym oknie po przeciwległej ścianie kamienicy widać było Andrzeja W., mecenasa, który podjął niedawno pracę w jednym ze znanych zespołów adwokackich.

Słońce wypełzło sponad dachów i chlusnęło na miasto pierwszym żarem, a ten mężczyzna spał. Był nagi. Miał piękną, uduchowioną twarz artysty, prosty nos ze śladem po okularach u nasady, małe uszy, zmysłowe usta, siwe brwi i szczotkę siwych, gęstych włosów na głowie. Twarz, szyja i trójkątny klin na piersiach mężczyzny były spalone na brąz; tors i sflaczałe nogi były przeraźliwie blade. Zdawał się być wycięty z dwóch różnych gatunków materiału albo zeszyty z dwóch różnych ludzi. Piękna twarz była poorana zmarszczkami. Wyglądał tak staro i oddychał tak spazmatycznie, że można by ewentualnie posłać po lekarza, bardziej wszelako potrzebny był ksiądz. Spoczywająca obok niego na szerokim łożu Meksykanka w wieku czterdziestu paru lat nie posłała jednak po księdza, a to z tego powodu, że mężczyzna miał erekcję. Była to erekcja pełna i nie podlegająca dyskusji. Wiecie, jak to jest ze starymi mężczyznami rano przed oddaniem moczu. Meksykanka obserwowała zjawisko z czułością i nie bez podziwu. Sięgnęła po nie ręką, przymykając oczy. Z rozchylonych ust dobył się zduszony jęk.

Syknął również mężczyzna. Wciąż jeszcze spał, ale dobijał powoli do kresu. Piekło go to czułe miejsce, uwięzione w smagłych, wilgotnych, delikatnych i wprawnych palcach kobiety: jednostajny, cierpliwy ruch, jakby ktoś potrząsał sakiewką. Podciągnęła do góry kuszą nocną koszulę i usiadła na nim, nie dotykając go spoconymi udami. Nie była mu ciężarem w tym przeklętym i podłym śnie emigranta. Zadbała, aby ich lędźwia i brzuchy nie zetknęły się, ale jej kobiecość nawiązała już kontakt z jego męskością. Mokra, suto owłosiona łono i krągłe kolana tworzyły kąt prosty. Wiedziała, że grzeszy, ale wyobraźnia pracowała niestrudzenie: Z tyłu leży piętnastoletnia dziewczyna i szesnastoletni chłopak. Robią to samo, co ona robi z tym starcem; są w odwrotnej, uświęconej przez naturę pozycji; chłopak nie całuje swojej młodej ukochanej w usta; jego język figluje z intymną sferą ciała dojrzałej Meksykanki, zaś wargi

dziewczęcia podjęły flirt ze starcem. Och, och! Dlaczego te wargi dotykają jednocześnie moich warg? Dlaczego jestem tak podniecona?

Wybuch był blisko, ale umknął i musiała zaczynać od nowa.

Czemu moje usta są beczynne? Czemu pozostają w beczynności usta mojego kochanka? Gdyby tak była jeszcze przed nami trzecia para... pójdę, teraz pójdę!... uuu!... grzech jest słodki!... grzech jest cudowny!...

Dopiero teraz jej rozpalony, mokry brzuch przylgnął do chłodnego ciała mężczyzny; odemknęła powieki i napotkała utkwione w sobie spojrzenie szarych, niechętnych oczu; odsunęła się; kiedy zaczął mówić, jego oddech zionął nie strawioną jeszcze tequilą.

- *Dejame* - stęknął. - Puść! Muszę iść do ustępu.

- Dobrze ci było?

- Wspaniale.

Wziął prysznic w zrujnowanej łazience. Ogolił się drżącą ręką, przysiadając kilkakrotnie na skraju wanny i patrząc łakomym wzrokiem na płataninę rur u sufitu. Kawalek sznurka i koniec! Dosyć męki, dosyć poniewierki; dosyć tego cholernego upalnego dnia, który będzie włókł się w nieskończoność przez miasto i wypróżnione słońcem ulice. Szach Iranu rezydował przed laty w tym mieście i nie narzekał. Ale szach Iranu miał pieniądze. Szach Iranu był obrzydliwie bogaty. Szach Iranu, gdyby zaszwankowało mu przypadkiem samopoczucie, dostałby momentalnie od lekarza odpowiedni lek. Masażysta zająłby się jego zużytą powłoką, dwóch służących drapałoby go dla uspokojenia w pięty, a pokojówka karmiłaby troskliwie zdetronizowane bóstwo, aby nabrało sił i mogło sobie trochę popływać albo pojechać na wycieczkę w góry, albo pokazać się z żoną i dworem oniemiałej z wrażenia Cuernabace.

Włożył szlafrok i wrócił do sypialni. Meksykanka wciąż leżała w łóżku. Była w dobrym humorze. Zaśpiewała głośno w stronę otwartych drzwi:

- Concha! Conchiiiiita!

- *Gue?* - odezwał się w korytarzu młody, dźwięczny głos.

- *Dos cafecitos para mi y para el señor. Pronto!*
- Nie chcę kawy – zaprotestował mężczyzna.
- A to niby czemu, Juanito? Kawa dobrze ci robi.
- Kawa nigdy dobrze mi nie robi. Wolę klina. *Una copa de aguardiente.*
- Wykluczone! Nie będziesz pił od samego rana.
- Będę.
- Po co?
- Źle się czuję.
- Poczujesz się jeszcze gorzej, *chico.*
- Nie szkodzi.
- Myślałam, że mnie wyręczysz, że posiedzisz trochę w recepcji, a ja bym w tym czasie poszła do sklepu.
- W recepcji mogę trochę posiedzieć – powiedział z westchnieniem mężczyzna.
- Ale trzeźwy, Juanito, trzeźwy! Zawiany recepcjonista nie jest dla pensjonatu dobrą reklamą.

Pensjonat! Jan T., ojciec Bernarda i Jacka, obserwował niewysoką, szczupłą dziewczynę, która wparadowała do pokoju z dwiema filiżankami kawy. Była Metyską o czarnych, smolistych oczach i wystających kościach policzkowych. Kiedy podawała Janowi kawę, jej spłoszone czarne oczy umknęły gdzieś w bok, nie tam, gdzie spoczywała w barłogu La patrona, lecz tam, gdzie stały jakieś bure zeszłowieczne meble o wymyślnych ornamentach, o powyginanych lwich nogach z drapieżnymi pazurami. Był to jedyny prywatny pokój w noclegowni zapewniającej dach nad głową i skromny posiłek ludziom wszelkiej konduity – robotnikom, skrachowanym inteligentom, złodziejom. Jan mieszkał kiedyś wśród nich w którymś z tych ciasnych i nędznych pomieszczeń z jednym łóżem, jednym krzesłem, jednym oknem i jednym wyjściem w piekło długiego i wąskiego korytarza, gdzie były inne takie pomieszczenia, a w nich grało się w karty albo śpiewało pod akompaniament sfatygowanej gitary, albo uprawiało miłość z prostytutką, która biorąc od ciebie pieniądze, płakała, że masz ich tak mało, albo piło się do lustra i próbowało popełnić samobójstwo za pomocą powróśla lub brzytwy i tak dalej.

Piękna i dostojna twarz karykaturzysty sprawiła, iż awansował do sypialni señority Figueras, lecz owa dojrzała niewiasta, właścicielka noclegowni, bezdzietna wdowa po zmarłym niedawno policjancie, oczekiwała, iż Jan nie ograniczy swych szlachetnych uczuć do polegiwania z nią w łóżku, gdzie zresztą, mimo stosownej dozy zepsucia, nie okazał się orłem. Szukała podpory męskiego ramienia: towarzysza niedzielnych spacerów w mieście, doradcy w zawilej kwestii rachunków, pomocnika w oszukiwaniu urzędu podatkowego, zaopatrzeniowca i majordomusa stojącego na pokaz we frontowych drzwiach pensjonatu w celu napędzania gości.

Jan zawiódł w owych rachubach; był leniwy, gnuśny, roztargniony; chlał w okolicznych barach i kawiarniach, a później popadał w stan ciężkiej depresji. Doña Figueras szybko doszła do wniosku, że pierwszy lepszy meksykański farmazon zdystansowałby Jana w miłości i w pracy, będąc jednak kobietą o miękkim sercu, nie wyrzuciła jeszcze biedaka na bruk. O! Jak to się przygląda tej dziewczynie! Tylko patrzeć, jak zacznie ją uwodzić!

Urodziwa Metyska opuściła sypialnię donii Figueras; Jan palił ostrożnie papierosa, pił ostrożnie kawę i myślał ostrożnie o czekającej go rozprawie z kochanką. Mógłby wprowadzić czmychnąć bez słowa, ale wyczuwał, że byłby to błąd. Figlarna w łóżku wdowa przeistaczała się po opuszczeniu alkowy w osobę nad wyraz energiczną, stanowczą i poważną. Nie ulegała wówczas sentymentom – pulchna twarz twardniała, oczy były na przemian chytre i groźne. Gdyby zaginął, nie wahałaby się zawiadomić policji, z którą ze względu na nieżyjącego męża łączyły ją przyjazne stosunki. Patrol rejonowy częstowany był zwykle w pensjonacie tequilą i kawą, komendant otrzymywał co miesiąc łapówkę i spotykał się ukradkiem w przybytku donii Figueras ze swoją nieletnią dziewczynką. La patrona umiała dbać o swoje interesy. Dbała również o swoją wędną urodę. Wstała. Wyszła. Wróciła. Włożyła sandały, spódnicę i bluzkę. Przeczesała wielkim czarnym grzebieniem czarne wilgotne włosy, zgarnęła je lewą ręką z tyłu głowy i zatrzasnęła w złotej klamercie.

Ukarminowała mięsiste wargi i pociągnęła kredką kąciki oczu, nadając im przewrotny azjatycki wyraz.

Nie brakło jej powabu. Janowi było to jednak obojętne. Chętnie wróciłby do łóżka, aby wtulić twarz w podłużny, zastępujący poduszkę wałek i trwać tak do zachodu słońca w towarzystwie zatrutych, beznadziejnie smutnych myśli. Wszystko jest przerażające i straszne. Wszystko jest bez najmniejszych perspektyw i bez sensu. Nie narzekał specjalnie na zdrowie, wszelako przewlekły, uprawiany latami alkoholizm zrujnował mu system nerwowy. Wmawiał sobie, że cierpi za nie popełnione grzechy, że w gruncie rzeczy jest człowiekiem dobrym i uczciwym, lecz sumienie mówiło co innego. Sumienie wrzeszczało, szarpało, tłukło się, zwijało, szamotało, żądając rachunku za rodzinę, za opuszczonych synów, za przegrane życie, za sponiewierany talent i bezmyślnie roztrwonione pieniądze.

Włożył białą wizytową koszulę, jakby wybierał się na śniadanie u burmistrza, i wstrętne, ciężkie granatowe dżinsy, w sam raz do pracy w polu. Dociągnął na chudych biodrach poznaczony zaciekami potu pas, w którym zaszył przezornie, w tajemnicy przed całym światem, banknot o nominale tysiąca dolarów. Oprócz tego miał w kieszeni pięćdziesiąt dziewięć tysięcy pesos. Odkąd zaczął dzielić łożę z właścicielką noclegowni, a trwało to już dwa i pół miesiąca, nie płacił za wikt, opierunek i mieszkanie. Chwalił sobie oczywiście tę okoliczność, jednak życie było w sumie nie do zniesienia. Trzeba coś zrobić! Trzeba zadziałać w jakimś konkretnym kierunku. Plan był prosty. Decyzja dojrzała.

Westchnął. Wzdychał co najmniej raz na minutę, a przy tym lubił sobie również pojęczeć.

- No, to idę do recepcji - powiedział zirytowanym głosem chłopca, któremu przerwano zabawę. - O której wrócisz?

- Za dwie, trzy godziny - odparła kobieta, wygładzając spódnicę na szerokich, okrągłych biodrach. - Muszę wziąć pieniądze z banku, a potem kupić mięso, masło, chleb, pieczywo, cebulę i pomidory. *Sin trabajo no hay nada.*

- *Claro.*

- Nie pij, Juanito. - Spojrzała mu uważnie w twarz. -
Kombinujesz coś?

- Zwariowałaś!

- W każdym razie zostaw w spokoju Conchitę.

- Conchita! - parsknął. - Ty i twoja Conchita. Ty i twoje
plugawe myśli.

Kobieta poczerwieniała gwałtownie. Znowu dotknęła swoich
dostałych, tęgich bioder, jakby chciała zdjąć spódnicę.

- Ona ma narzeczonego. Jej narzeczony skończył niedawno
szesnaście lat.

- Pofikałabyś z nimi?

- Oj, Juanito, głupstwa pleciesz.

- Ale pali cię w środku?

- Akurat! Kto tu ma plugawe myśli? - zaciągnęła cicho
kobieta. - Kto tu wodzi kogo na manowce? Nie pij. Poczekaj do
wieczora, napijemy się razem.

- Słuchaj - zdecydował się nagle - przypilnuję recepcji do
twojego powrotu i wyjadę na parę dni.

- Gdzie?

- Do Ciudad de Mexico.

- Po co? - Krew odpłynęła z rozpalonych policzków donii
Figueras; była czujna; w czarnych przymrużonych oczach
pojawiły się iskielki sprytu.

- Muszę porozmawiać z jednym polskim księdzem. On
współpracuje z wydawnictwem, które drukuje różne religijne
broszurki z rysunkami. Mógłbym tam zarobić jako ilustrator.

- No to jedź. *Buen viaje* - rzekła spokojnie kobieta.

Starszy pan, który oczekiwał raczej wymówek i protestów, był
zdziwiony. Odczuł w pierwszej chwili ulgę, niebawem jednak
zabolały go chłodne, obojętne słowa, wymówione przez kochankę
z uchwytną intonacją zadowolenia. „Exelcior. Exelcior! El
periodico todos los Mexicanos!” - wrzeszczał na ulicy sprzedawca
gazet. Tłusty gołąb wylądował na parapecie; puknął dziobem
w szybę i zagruchał. Jan drgnął. Trwoga uciskała mu serce
i żołądek.

– Wróć! – zapewnił pośpiesznie. – Wezmę tylko jedną walizkę, załatwię co trzeba i wrócę.

– Twoja sprawa, Juan, wrócisz czy nie wrócisz. Walizki możesz wziąć dwie.

– Chcesz mnie spławić? – Trwoga ustąpiła miejsca panice. Zmęczone, skołatane serce emigranta waliło tak głośno, że je słyszał. – Mam odejść na dobre?

– Tego nie powiedziałam – oświadczyła pogodnie señora Figueras. Była świadoma swej przewagi nad roztrzęsionym, znużonym przeciwnościami losu mężczyzną. Opuszczając energicznym krokiem sypialnię, pomachała mu ręką: – Bywaj, chico. *Adiós!*

– Będę w czwartek. Czemu nie mówisz: *hasta luego?*

– Co za różnica, *hombre?* – dobiegł go z korytarza oddalający się głos. *Adiós, hasta luego, hasta pronto, hasta mañana...*

Obcasy zaturkotały na schodach. Słyszał jeszcze, jak rozmawia z Conchitą, jak poleca wesoło i przyjaźnie swojej jedynej służącej, aby umyła okna, wytrzepała chodnik w jadalni i obrała kartofle.

– Gdyby señor musiał wyjechać, pilnuj recepcji.

– *Si señora!* – Dziewczę też było w szampańskim humorze. – Zrobię wszystko na czas.

W głowie Jana huczało. Wstał z krzesła i zaczął krążyć tam i z powrotem po tym dziwnym dormitorium, zawracając raptownie to przed jedną, to przed drugą ścianą. Trwało to około piętnastu minut, w trakcie których stoczył ze sobą codzienną walkę. Uspokój się! Nie potrafię! Zwariuję! Wytrzymasz! Muszę palnąć lufę! Nie musisz!

Nagle dwie walczące ze sobą strony osiągnęły szczęśliwy kompromis. Ta, której wydawało się, że jest zła, zapytała przymilnie: „Ale piwo mogę chyba wypić?”. Zaś ta, której wydawało się, że jest dobra, odpowiedziała cicho: „Piwo tak, jak najbardziej”.

„Dziękuję!”

„Nie ma za co. Ale pamiętaj, jedna flaszka i szlus!”

„A kto by tam myślał o drugiej!”

„Już ja cię znam!”

„Tym razem nie zrobię ci zawodu!”

„Słowo?”

„Słowo!”

„No to jazda!”

Uścisnęły się pogodzone ze sobą strony. Jan wypadł na ulicę, przekuśtykał jezdnię i stanął przy dębowym szynkwasiu baru, prosperującego naprzeciw noclegowni señory Luisy Rosario Figueras. Gruby i jowialny patron powitał karykaturzystę wylewnie:

– *Mornin’!*

– *Mornin’* – odpowiedział ochoczo Jan.

– *What do you want to drink?* – Nim stać go było na otwarcie lokalu w Cuernabace, musiał przepracować ciężko piętnaście lat w Houston. Był portierem, kelnerem, kierowcą, stróżem i czymś tam jeszcze. Nauczył się dobrze angielskiego i lubił posługiwać się tym językiem. W ogóle kochał Wielkiego Brata z Północy. W Polsce też można spotkać ludzi, którzy kochają Wielkiego Brata ze Wschodu. – *Wybolowa?* – sięgnął po butelkę polskiej wódki licencyjnej z opalizującą etykietką i korkiem gul-gul.

Jan zdenerwował się nagle i powiedział po hiszpańsku:

– *Una cerveza.*

– *La Aguila Dorada?*

– *Może być.*

Wchłonął duszkiem szklanek zimnego piwa, zapalił i słuchał ciekawie dialogu między dobrą stroną schorzałej jaźni a złą:

„Lepiej?”

„Nie bardzo. Słabe, że szkoda gadać”.

„Tak czy owak, miałeś skończyć na jednej flaszcze”.

„Co to za flaszka? Mogłabyś mnie przynajmniej nie drażnić”.

„Dobra, huknij sobie jeszcze jedną”.

„Poważnie mówisz?”

„Oczywiście”.

„Serdeczne Bóg zapłać!”

Padły sobie w objęcia pojednane strony, a kiedy Jan opróżnił kolejną wysoką szklanek piwa, ich sojusz przeistoczył się w prawdziwe braterstwo.

„Przydałby się mimo wszystko łyk czegoś z charakterem”, zauważyła bez żenady strona zła.

„No to ciach!”, wrzasnęła strona uchodząca jeszcze niedawno za dobrą. „Na co czekasz!?”

Jan spojrzał przyjaźnie w brązową, spoconą, mięsistą twarz patrona z kędziorem czarnych zlepionych włosów na czole, a tamten pochwycił w locie myśl klienta, szurnął mu pod nos słusznych rozmiarów kieliszek i nachlapał do niego białej trucizny. Jak już nachlapał, zapytał na wszelki wypadek, unosząc do góry lewą, rozdwojoną jakimś ostrym narzędziem brew:

– Wybolowa?

– Jasne! – przytaknął Jan. – Wybolowa.

– *That's good.*

– *Very good! Le gusta a usted nuestra famosa vodka polaca?*

– *Mucho.* Bardzo ją lubię.

– Więc strzel pan małego na mój koszt.

– No, no! – Patron zasłonił się rozczapierzonymi dłońmi i odsunął do tyłu głowę. – Teraz nie wypada.

– A to niby czemu?

– Pracuję.

– W tej robocie jeden głębszy może tylko wyjść na zdrowie – upierał się Jan.

Patron westchnął. Był tu, żeby rozpijać gości, żeby wodzić ich na pokuszenie, żeby kokietować ich i podpuszczać, sam wszelako powinien zachować trzeźwość. Tylko trzeźwy patron może w meksykańskim barze wyjść na swoje. Tak czy owak, nalał sobie pół kieliszka. Tręcili się i wypili.

– Jeszcze raz! – zażądał Jan.

– *Por favor.*

„Życie nie jest takie złe” – odezwała się w Janie jedna ze stron.

„Jest wspaniałe” – przytaknęła skwapliwie druga.

Odtąd obie strony połączyły się niczym mąż z żoną w absolutną jedność. Obie pragnęły tego samego – pełnego, treściwego, alkoholowego orgazmu.

– *Salud!* – Jan wychylił kieliszek. Poczęstował patrona papierosem; sam też zapalił. Dym smakował, upajał, potęgował

działanie alkoholu. Sterane serce emigranta nabrało wigoru. W głowie pojawiły się zuchwałe i odważne myśli: Wszystko jeszcze przede mną. Wszystko można jeszcze załatać i naprawić. Muszę być dzielny! Muszę być twardy!

Pochylił się nad szynkwasem, przycisnął do siebie głowę Meksykanina i ucałował lepkie od potu czoło.

– *Te quiero!* Kocham cię! – oświadczył z pijacką wylewnością.

– *Dejame!* – Patron uwolnił głowę i odsunął się na bezpieczną odległość. W czarnych, posępnych oczach błysnęło okrucieństwo. Błysnęło i zgasło.

– Powtórzyć? – zapytał.

– Oczywiście. *Una copa mas y una cerveza.*

– Oby pan tylko nie przesadził, señor. *Cuidado.*

– *No te preocupes!*

Wypił kolejną stopkę Wyborowej i kolejną butelkę Złotego Orła. Zapłacił. Chciał ponownie ucałować patrona na pożegnanie, ale czarne, okrutne źrenice uciekły od niego. Wrócił chwiejnym krokiem do pensjonatu. Rozpierała go miłość do ludzkości i do świata. Do mężczyzn i do kobiet, do dzieci, do przyrody, do dziewczyny, która stała za prostym, drewnianym, poczerniałym ze starości kontuarem podłej noclegowni i patrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczyma.

– *Hola, Conchita!*

– *Hola.*

– Nawet nie wiesz, dziewczyno, jak cię lubię! Muszę na parę dni wyjechać, załatwić to i owo, zarobić trochę pieniędzy, ale jak wrócę, namaluję twój portret, piękny, duży, ze wszystkimi szczegółami, i dam ci go, Conchita, dam ci go na pamiątkę, chcesz?

– Pańska sprawa, señor.

Cofała się drobnymi, ostrożnymi kroczkami. Próbował dopaść ją i pocałować, przytulić z ojcowską czułością do piersi, panna nie podzielała wszelako jego euforycznych zapędów i potrącając łokciem tablicę, na której wisiały na haczykach klucze od niewynajętych pomieszczeń, umknęła chyżo w głąb mrocznej jadalni.

Zachichotał. Reakcja służącej nie dotknęła męskiej dumy starego człowieka. Później miał się tego wstydzić, lecz teraz warstwa ochronna alkoholu broniła go przed drobnymi ukłuciami. Wszedł po trzeszczących schodach na piętro, minął rząd numerów po lewej i prawej stronie długiego, wąskiego korytarza, przywodzącego na myśl katorgę aresztu na zapleczu prowincjonalnej mętowni, wparadował z pijacką swobodą do dormitorium señory Figueras, padł na fotel, zapalił, podumał chwilę, wtarł podeszwą w wysłużony dywan słupek popiołu, wreszcie wstał i zaczął się energicznie pakować. Gorszą walizkę i gorsze sztuki garderoby zostawił na wszelki wypadek, co mogło ewentualnie sugerować, że jeszcze tu kiedyś zawita – do lepszej, niegrzeszącej jednak nadmierną urodą walizy wrzucił trzy pary butów, dwie pary spodni, płaszcz, pięć koszul, plastikową torbę z majtkami i skarpetami, przybory do golenia, kraciastą marynarkę w sam raz dla przemytnika narkotyków, ołówki, pędzle, farby, ryzę kredowego papieru, karton z opublikowanymi i nieopublikowanymi jeszcze karykaturami, które przedstawiały zwykle przywódców Wschodu w różnych zabawnych lub groźnych pozach, przy czym najczęściej taki grubas obżerał się mięsem robotników albo zionął atomowym ogniem, wrzeszcząc, że nie ma dla niego ważniejszej rzeczy niż pokój, albo częstował jeden drugiego wyprodukowanym samodzielnie gównem, a podpis głosił: RWPG.

Zamknął walizkę. Niebawem znalazł się z nią w autobusie do Mexico City. Trzeźwiał szybko, dręczył go alkoholowy głód, świat znowu był czarny jak samo dno opuszczenia i rozpacz. Chora wyobraźnia produkowała straszliwe wizje apokalipsy; z tyłu i z przodu kłębiło się od wyrzutków przedziwnych plemion i ras, od upiorów, od morderców i banitów jadących w bliżej nieokreślonym, niecnym celu do największego miasta świata, aby przepaść w jego mrocznych pieczarach.

W dwie godziny później siedział z polskim księdzem przy stole plebanii nieopodal Calle de Insurgentes, ulicy tak długiej, że nie przejdzie jej pieszo w ciągu dnia żaden śmiertelnik. Płakał, a ten ksiądz, czerstwy, surowy staruszek z przeraźliwie świetlistymi

oczami, z gęstą szachownicą zmarszczek na chudych, wyprazonych tropikalnym słońcem policzkach, pocieszał go szeptem świętego Marka Apostoła:

– Spokój, synu, niezmiernie jest miłosierdzie Boże.

Cieszył się ów misjonarz zasłużonym mirem wśród Polonusów i Polaków, żywił ich, poił, nocował, wspomagał słowem i groszem; tych co uciekli z kraju i nie mieli wizy USA, polecał zaufanym kojotom i przeprowiał do amerykańskiego rajy przez piekło pustyni Sonora albo przez wzburzone nurty Rio Bravo. Bywało jednak, że czynił odwrotnie. Popychał jednych, wstrzymywał drugich, zawracał trzecich. Wielkim doprawdy psychologiem był ten misjonarz. Stany Zjednoczone są dla młodych i silnych, Meksyk skrojony jest w sam raz dla pozbawionych większych ambicji osobników w średnim wieku – Jan wedle bezlitosnej oceny księdza nie mieścił się ani w jednej, ani w drugiej kategorii. Jan był loserem, przegrańcem, psychopata, strzępkim nerwów, worem zakazanych namiętności i pożądań. Czuł głęboką litość, kiedy patrzył na zapłakanego rodaka.

Zapłakany rodak chlupał:

– Ojczy...

– Słucham cię, moje dziecko.

– Muszę się napić.

– Nie będziesz od dzisiaj pił, synu.

– Kiedy muszę, proszę księdza! Muszę!

– Mam tylko mszalne wino, synu.

– Może być.

– Milcz, bluźnierco! – Misjonarz trząsał się dosłownie z oburzenia. – Chcesz pić to, co przemienia się w Przenajświętszą Pańską Krew?! Zbliź się i klęknij! – Sięgnął po stulę.

– Po co? – zapytał zbielałymi z przerażenia ustami Jan.

– Byłeś ochrzczony?

– Tak.

– Więc wypowiadasz się przede mną. Zrzucisz ze swojej udręczonej duszy ciężar grzechów.

– Ale... nie, nie! W żadnym wypadku! Proszę mnie od tego zwolnić. Spowiadałem się ostatnio przed czterdziestoma paroma

laty.

– Klęknij! – powtórzył niezłomnie misjonarz. – Klęknij w imię Boga i zacznaj!

Jan zwał się na kamienną posadzkę plebanii. Wykonał roztrzęsioną prawicą znak krzyża i wymamrotał pierwszy ze straszliwych w swoim bluźnierczym wymiarze grzechów głównych. Potem, zaciskając ze wszystkich sił powieki, brnął dalej, odsłaniając przed znieruchomiałym, cichym spowiednikiem ponurą panoramę swego sześćdziesięcioletniego życia. Brnął z determinacją i uporem...

...i był, który zdradził własny naród, a nie musiał; był, który opuścił syny swoje, był, który złorzeczył Niebiosom i drwił z Cudownego Poczęcia, był, który rozpuszczał po dziedzińcach świata kohorty plugawych uczynków, był, który czerpał z nierządu, był, który zapierał się, zwodził, kłamał, oszukiwał i ujmował bliźniemu swemu; był, który tłukł łbem przed Obcą Mocą i pełzał na brzuchu przed Panem Ciemności, był, który pił do utraty zmysłów, który deprawował, który zmuszał, który nurzał się w oceanie rozpusty i wodził na pokuszenie niewinnej córki.

Ucałował stulę i pomyślał, że czeka go teraz ciężka pokuta, że każą mu leżeć całą noc krzyżem.

– Zmów pięć razy Zdrowaś Mario. – Cienki, żółty, pomarszczony jak wyschnięty papieros palec księdza wskazał na półkoliste wgłębienie w jednej ze ścian plebanii. We wgłębieniu stała ze spuszczoną głową Dziewica z Gwadelupy.

Jan czołgał się do niej na kolanach. Kiedy wstał, ksiądz poprowadził go do małego pokoju, gdzie oprócz wąskiego łóża, krzyża na ścianie i dwóch krzeseł nie było nic. Ależ tak! Wzruszony Jan dostrzegł na jednym z krzeseł szklankę mleka i kilka nadziewanych mięsem tacos.

– Zjedz to i śpij, synu – powiedział staruszek. – Tej nocy będziesz spał długo i spokojnie.

– A co jutro, proszę księdza? Co zrobię jutro? – zapytał pokornie Jan.

- Najpierw musisz parę dni odpocząć, synu, a później odwiedzić ambasadę.

- Amerykańską?

- Polską.

- Rozumiem! Chodzi o to, żebym czym prędzej wysłał zaproszenie chłopakom?

Ksiądz nie odpowiedział. Bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

W sklepie z wyrobami gumowymi przy ulicy Piotrkowskiej, w samym niejako centrum miasta, nad którym pochylają się zwaliste mury Manhattanu, pewien człowiek kupił trzy pary żółtych, przezroczystych rękawic i kiedy odszedł, został momentalnie zapomniany przez ekspedientkę, a to z tego powodu, że w krótkiej kolejce stało kilku innych, podobnych mu ludzi bez wyrazu – szambonurków, których brudna i niewdzięczna praca bywa najwyższą przyczyną karygodnych kpin, elektryków, monterów, murarzy układających cegły na prywatnych budowach, biedaków przyodzianych żałobnie w szare marynarki i wyszmelcowane płaszcze.

Ten sam człowiek nie rzucił się również w oczy cwaniakom sprzedającym niepewnego pochodzenia towary na targowisku u drogi, którą dojechać można do Brzezin. Nie wyglądał tutaj jak szambonurek czy murarz; przypominał raczej niemłodego, prowincjonalnego motocyklistę, któremu w żaden sposób nie udaje się zdobyć serca wdowy po przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej, postanowił zatem sięgnąć po ostatnią deskę ratunku i zapłacić bez dłuższych ceregieli dwadzieścia siedem tysięcy złotych za czerwony, niesłychanie wymyślny kask. Odchodząc z nim, zatkniętym pod pachą niczym piłka rugbisty, sprawiał tryumfalne wrażenie osobnika, któremu odtąd wszystko w życiu pójdzie już łatwo. Wystarczy założyć kask na głowę i wdowa od razu rozłoży nogi.

Kogoś, kto poszedłby tropem owego prowincjonalnego motocyklisty, zdziwiłby zapewne fakt, iż w jednej z wąskich, biegnących ku rynkowi uliczek, bezimiennych i ubogich jak kapota włóczęgi, nie czekał na niego pod latarnią żaden zdezelowany jednośladowiec, lecz całkiem przyzwoity samochód o miejskich znakach rejestracyjnych. Mężczyzna owinął kask w przygotowaną wcześniej gazetę, wcisnął go za oparcie przedniego siedzenia, po czym włożył na nos słoneczne okulary, zawiązał pod szyją kolorowy krawat i przykrył głowę czapką,

upodabniając się w stopniu wielce autentycznym do zamożnego gołębiarza.

Gołębiarz wrócił na targowisko inną ulicą i wkroczył na nie z drugiej strony. No proszę! Postanowił kupić sobie jeszcze jeden kask, tym razem granatowy. Nie przymierzał go, a targował się tylko chwilę. Obydwa zgrabne, kradzione zapewne kaski nie były produktem najwyższej klasy światowej, ale robiły wrażenie. Człowiek uzbrojony w taki kask przypominał w swojej szczytowej części średniowiecznego rycerza, który wystąpi zaraz w krwawym turnieju o śmierć lub życie na dziedzińcu książęcego zamczyska. Człowiek okryty takim kaskiem stawał się równie anonimowy jak Zorro.

W samochodzie drugi kask również został owinięty w gazetę i położony obok swego czerwonego brata. Gołębiarz zdjął okulary, krawat i czapkę, przeczesał w retrowizorze włosy i ruszył ku śródmieściu z miną poczciwego obywatela.

Ten sam człowiek, Bernard T., dyplomowany ekonomista, brat Jacka i syn emigranta – karykaturzysty, zasiadł owego dnia pod wieczór w swoim blokowym mieszkaniu na Teofilowie przy maszynie do szycia. Z czterech precyzyjnie skrojonych kawałków grubego żaglowego płótna uszył dwa długie, kiszkowate worki o średnicy piętnastu centymetrów. Brzegi obydwu worków zostały solidnie obrębione, każdy miał zakładkę, przez którą można było przeciągnąć nawleczony na agrafkę sznur. Bernard zacisnął jeden i drugi worek. Były szczelne, a sznur był mocny. Na takim sznurze wisielec długo by się nie pomęczył.

Worki wpakował Bernard do odpowiadających im kształtem pojemników z masywnego plastyku. Pojemniki również były wyposażone w sznurki do szczelnego zamknięcia. Wyglądało to wszystko razem jak dwie monstrialne białe kiełbasy w nienaturalnym flaku. Przyjdzie czas, że będą w Polsce takie kiełbasy produkować.

Dzieło spoczęło w sportowej torbie, wraz z którą Bernard opuścił swoje blokowe gniazdko.

Spieszył się; żona lada chwila mogła wrócić z rynku w okolicach placu Niepodległości; umiała już samodzielnie

zamknąć stragan; w ogóle poczyniła w handlu znaczne postępy; kontraktowała towar, chandrycząc się z dostawcami jak smyrneński Turek; sprzedawała, oszukując i oszukiwała, kupując. Była z siebie bardzo zadowolona. Przejmowała stopniowo akcje męża; wypychała go swoim spasionym zadem z interesów, tak jej się przynajmniej zdawało. Rola Bernarda ograniczała się teraz w głównej mierze do komiwojażerowania, wytworna zaś dama, upojona władzą i rosnącą z dnia na dzień przewagą nad mężem (warto było za tę cenę dostać po pysku, a tej właśnie okoliczności przypisywała pokorę i uległość Bernarda, truchlejącego zapewne z przerażenia na myśl o rozwodzie), zhardziała do tego stopnia, że zaczęła wydawać mu rozkazy: zawieź, przywieź, wykombinuj! opchnij w Sochaczewie trochę tych niebieskich koszul, w Rembertowie łyknęliby jak nic bluzki od pana Ceśka! Samochód jest po to, żeby nim obracać! Rusz się, Narduś! Spałbyś tylko i spał, a tu trzeba myśleć o przyszłości.

Myślał więc o przyszłości. W pustym i głupim łbie jego ukochanej małżonki ani przez chwilę nie zaświtało podejrzenie, że coś tu jest nie w porządku. Owszem, jedna rzecz była nie w porządku: chłop najwyraźniej zgubił jaja i stracił ikrę w łóżku. Ale z tym ona da sobie radę: nie jeden kozik pasuje do pochewki. Ważne, że Narduś stosuje się do poleceń. Ważne, że krąży po miasteczkach kilku centralnych województw i upycha łódzką tandetę w nienasyconych, prowincjonalnych sklepach. Pojęcia nie miała, jak bardzo sprzyja to mężowskim planom. Bernard pozbywał się nieraz towaru z minimalnym zyskiem, który nie pokrywał nawet kosztów paliwa zużytego na długiej trasie. Wracał jednak do domu uśmiechnięty; dokładał do transakcji z własnych tajnych rezerw; robił wszystko, aby przekonać żonę, że pomnaża ich wspólny majątek, co sprawiało, że kobieta promieniała radością, ciesząc się jak dziecko z każdego dodatkowego dziesięciu tysięcy, on zaś mógł bez przeszkód dokonywać obserwacji interesujących go ludzi i obszarów w grajdole i na rubieżach powiatowego grajdołu, mógł obejrzeć sobie dokładnie obydwie kantory usytuowane niedaleko siebie – jeden w pięknym, drugi w niepozornym budynku; mógł

przespacerować się skrajem wylotowej drogi, prowadzącej do stołecznego rajy poprzez most na rzece o poszarpanych, stromych brzegach, nad którymi zasiadali niegdyś rybacy, aby łowić w rwącej, czystej wodzie to, co stworzył Bóg, i co zatrute zostało z biegiem lat przez kał zakładów przemysłowych.

Cisnął torbę na przednie, prawe siedzenie. Jeśli kogoś gorąco pragniesz uniknąć, osoba ta natychmiast pojawia się w polu twego widzenia. Zawsze tak jest, zawsze tak było i zawsze tak będzie. Klął z nienawiścią kobietę, która biegła mu naprzeciw, wymachując pulchną rączką, aby przypadkiem nie odważył się ruszyć; w drugiej pulchnej, opuszczonej rączce tkwił majdan kipiący od szmat, które zamierzała wtrynić sąsiadkom, wychodziła bowiem z założenia, że handlować można zawsze i wszędzie: o każdej porze dnia i nocy, i w każdym wolnym metrze przestrzeni bez taryfy ulgowej dla cmentarzy i kościołów. Utlenione, sztywne od lakieru włosy ani drgnęły na wietrze. Spocona, szczodrze wypomadowana twarz z dwiema czerwonymi, ziejącymi jak rana krechami warg przypadła do uchylonej szyby i z miejsca, bez zbędnych wstępów i powitań, wdrożyła śledztwo:

– Gdzie jedziesz?

Bernard ucałował serdecznie pulchną rączkę i odpowiedział ciepło:

– Muszę wpaść na chwilę do babki i do Jacka.

W bystrych, rozbieganych oczkach żony, które były lekko scentrowane i zdawały się pracować każde na własny rachunek, błysnęła czujność. Lewe strzeliło w torbę, prawe obmacało przestrzeń, gdzie tkwiły owinięte w gazetę kaski.

– Co tam jest?

– Nic.

– Oj, Narduś, Narduś, kiedy ty wreszcie zmądrzejesz? Pchasz i pchasz bez przerwy w brata, jakby to było twoje dziecko. Przecież on ma ojca za granicą i bogatą matkę. Niech starzy wreszcie pociągną ten wózek, a i tobie należy się chyba od wyrodných rodziców trochę grosza. Tatuś mógłby podesłać czasem parę dolców.

Wzięła oddech; krew sprawiedliwego oburzenia przebiła się przez grubą warstwę makijażu; lica zacnej damy przypominały teraz do złudzenia dwa krwiste, posypane lekko mąką płaty surowego mięsa. Nie mogąc już dłużej zapanować nad porywem zranionej duszy, zacna dama podniosła głos, przyspieszyła tok gadulstwa i sięgnęła po słownictwo o większej sile wyrazu:

– Napisz w końcu prawdziwy, męski list do tego przekłętego skurwysyna i do tej wyrodnej zdziry! Jeżeli, że tak powiem, zdecydowali się na potomstwo, żeby zrobić sobie przy okazji uciechę w łóżku, to powinni chyba, że tak powiem, bulić przyzwoite alimenty. Dranie! Tak czy nie, Narduś?

– Sądzę, że masz rację, Haneczko – powiedział ulgowo mężczyzna, który zdążył już przywyknąć do powtarzających się przynajmniej raz w tygodniu inwektyw pod adresem całej swojej rodziny. Do niedawna zamykał w takich wypadkach usta żonie krótkim trzepnięciem w twarz, ostatnio zmienił jednak taktykę i, że to niby boi się rozwodu, przytakiwał kobiecie z pokorą i uszanowaniem. – Widzisz, babcia ostatnio niedomaga, a Jacuś staje za kilka dni do matury. Nie wydam dużo, kupię im po prostu coś do jedzenia.

– Czekoladę, szynkę, banany, pomarańcze, już ja cię, Narduś, znam! Szczeniak pali amerykańskie papierosy!

– Nie dostanie żadnych papierosów.

– Ale! Jadę z tobą – powiedziała stanowczo kobieta i zaczęła okrążyć samochód. Szarpnęła przednie, potem tylne drzwi. Wrzasnęła: – Otwórz!

– Nie mogę.

– Czemu?!

– Są zepsute. – Wcisnął sprzęgło i pchnął przekładnię biegów. Wyciągnął pięć tysięcy złotych. Gdy rozjątrzona buzia małżonki pojawiła się znowu w lewym, uchylonym oknie, włożył pieniądze w pulchną, sięgającą kłamki rączynę, i mruknął: – Weź pół litra, wypijemy razem do kolacji; zaraz wracam. – I odjechał bez pośpiechu, obserwując w lusterku wstecznym poczynania kobiety.

Tak jak przypuszczał: najpierw próbowała go dogonić, potem wyhamowała, pacnęła pękatym majdanem o ziemię i zawyla przeszywająco, wygrażając mu zaciśniętymi pięściami. Przytupywała bodajże z upokorzenia i złości, ale tego już dokładnie nie widział.

Skręcił z biegnącej między blokami dróżki w ulicę Aleksandrowską. Przyspieszył. Był blady z gniewu; sapał, gryzł wargi; na gładkich, tęgich policzkach grały mięśnie. Limit cierpliwości wyczerpywał się szybko. Przyrzekł sobie, że będzie ustępliwy i łagodny, ale chwilami miał ochotę zmasakrować żonę, nie oglądając się na swoje plany i konsekwencje, które mogły z tego wyniknąć.

Wkołował na podwórko śródmiejskiej kamienicy i okrążył wyłożony niebieskimi kafelkami gazon. Zrobił to tak gwałtownie, że potracił nieomal błotnikiem wypielegnowaną emzetkę szewca. Biegł po wydeptanych, dawno niemytych schodach na trzecie piętro w drugiej, lewej oficynie domu. Otworzyła mu babka.

Gaśnie – stwierdził, całując ziemiste, szczelnie pokryte zmarszczkami czoło, które odsunęła, broniąc się przed wymuszoną, nieszczerą zapewne pieszczotą.

– Jest Jacek?

– Nie. – Szare, matowe, zaczerwienione u powiek oczy wyrażały skruchę. Ja wiem, że on powinien się uczyć, a nie biegać ciągle po sklepach i wystawać w kolejkach. Przecież mam jeszcze dość sił, żeby prowadzić gospodarstwo. Nikt nie musi mnie wyręczać.

– Oj, babciu, babciu!

– Hę? – Starowina nie dosłyszała. Patrzyła dociekliwie Bernardowi w twarz, spodziewając się, że wyczyta w niej naganę.

– Chodź, połóż się – rzekł miękko.

– Nie chcę się kłaść.

– Odpoczniesz trochę.

– Nic nie robię cały dzień, więc po czym tu odpoczywać? – zrzędziła staruszka. – Jadłeś obiad?

– Jadłem.

– Jest krupnik i bigos, odgrzać ci? – nalegała nieśmiało.

- Odgrzej - zgodził się nieoczekiwanie. I pomyślał: starzy ludzie lubią być potrzebni; starym ludziom konieczna jest świadomość, że mogą jeszcze coś dla innych, uczynić. Ale ona niedługo umrze. Nie życzę jej tego, ale umrze. I najgorsze jest to, że uprości to moje plany.

Wszedł z torbą do ustępu, zamknął drzwi na klucz i wyjął ze ściany kafelek-mydelniczkę. Z niewielkiego kwadratowego otworu wiało wilgocią i smrodem; w płataninie rur bulgotała woda. Wsunął ramię w czarną, lepka otchłań i po kilku chwilach domacał się worka, w którym nosił kiedyś do szkoły filcowe pantofle, a potem ukrył w nim wyłudzony od szewca bębenkowiec. Dobry schowek! Znakomity! Będzie jeszcze z niego pożytek!

Wpakował worek do torby, w której spoczywały obok siebie dwa inne worki i dwa motocyklowe kaski. Wtłoczył kafelek-mydelniczkę w kwadrat ściany, po czym ukucnął, zebrał z posadzki okruszyny tynku, wrzucił je do muszli klozetowej i spuścił wodę.

Kiedy wrócił do pokoju, zobaczył Jacka.

- O, jesteś? - zapytał jakby nigdy nic.

- Jestem.

- Co nowego?

- W szkole?

- Tak.

Jacek wyczuł, że brat pyta go tym razem o szkołę bez zwykłego zainteresowania. Spojrzał na torbę, którą Bernard postawił obok krzesła przy stole, i przeniósł wzrok na poważną, chmurną, pochyloną nad talerzem zupy twarz.

- Bez zmian - powiedział. - Ważą się moje losy z fizyki i z polskiego.

- Ten drań podskakuje?

- Jak cholera!

- Ano, widzisz - burknął współczująco Bernard zajęty najwyraźniej własnymi myślami. Zjadł bigos, zapalił papierosa. Odprowadził wzrokiem babkę, która podreptała z talerzami do kuchni. Zerknął w okno, przez które widać było spadzisty,

wyścielony arkuszami czarnej papy dach, gąszcz anten telewizyjnych i dwa krzywe, wykruszone kominy. Blasznany kurek na jednym z kominów wiercił się w lekkich podmuchach wiatru, przypominając dyrygującego ruchem milicjanta. Ostatnie promienie słońca dopalały się na szczytowym piętrze domu.

– Piątek mamy dzisiaj – podkreślił z niezachwianą pewnością starszy syn karykaturzysty.

Jacek drgnął. Był zdziwiony i zaniepokojony reakcjami Bernarda. Kiełkowało w nim radosne przeczucie.

– I co z tego, że mamy piątek?

– Nic.

– Stary... powiedz tylko... – zająknął się z wrażenia Jacek. – Powiedz: zacząłeś?

Bernard milczał.

– Nie musisz wprowadzać mnie w szczegóły. Ale chcę wiedzieć. Chcę, żebyś powiedział chociaż jedno słowo: tak czy nie?!

Czoło Bernarda drgnęło nieznacznie. Sponad brwi, które były ni to rude, ni czarne, gęste, nastroszone i obfite, świdrowały chłopca szkliste, dociekliwe oczy o zwężonych źrenicach. Usta poruszyły się wreszcie:

– Już ci mówiłem: wszystko powinno biec bez najmniejszych zmian, bez porywów, bez zakłóceń, bez nerwów i wyskoków. Obaj musimy zachowywać się tak, jak zachowywaliśmy się do tej pory. Ty chcesz niby zrobić maturę, ja pieniądze. Ty chodzisz do kina, ja sterczę za straganem albo rozwożę towar po kraju. Nie zawieramy żadnych nowych znajomości, nie ucinamy starych. To samo dotyczy ubioru, jedzenia i picia oraz naszych wzajemnych kontaktów – nie będziemy widywać się ani częściej, ani rzadziej. Program ten obowiązuje ciebie i mnie przez najbliższych kilka, może nawet kilkanaście miesięcy. Gramy tak, żeby nie chwyciła niczego moja żona, babka, znajomi i sąsiedzi. Zrozumiałeś to, Wicher?

– Oczywiście! – przytaknął żarliwie chłopiec. – Mógłbyś mi jeszcze wytłumaczyć...

– Koniec! – przerwał zdecydowanie Bernard.

– Przecież wolno chyba...

– Dosyć, Wicher. Zamknij dziób. Przyjdzie czas, że pogadamy sobie o paru ważnych sprawach, ale na razie zostaw mnie w spokoju.

Gruchnął gołąb na dachu. Nieznany muzyk wziął kilka próbnych tonów i zaciągnął bluesa na klarncie. Babka pojawiła się w korytarzu jak duch, popatrzyła chwilę na milczących wnuków i znikła. W studni podwórka detonował motocykl. Wrzasnął jakiś oburzony mężczyzna, zakwiliło niemowlę, a potem zaległa cisza, z której wyłonił się znowu smutny, aksamitny śpiew klarnetu.

Jacka opadły niejasne, upajające pragnienia. Gejsza. Statek. Plaża. Palmy. Bar wypełniony tłumem Meksykanów. Kościółek na rynku sennego amerykańskiego puebla. Wielki Kanion. Graniczna Rio Bravo... Wszystko to ziści się pewnego dnia. Był młody, silny, odważny, no i miał brata, który nie pozwoli mu spleśnieć w tym ponurym robotniczym mieście.

Brat tymczasem ponownie zaczął bredzić:

– A więc jednak mamy dzisiaj piątek.

– Zwariowałeś?

– Nie. – Spojrzał na zegarek. – Piątek to piątek – powiedział. – Spadam.

Klepnął chłopca w ramię, rzucił niewidocznej babce „do widzenia” i wyszedł.

Jacek dopadł drzwi i zawołał w loch klatki schodowej tropem oddalających się kroków:

– Kiedy przyjedziesz?

– Nie wiem – zadudnił w dole głos Bernarda. – Ale masz się uczyć, do diabła! Masz zdać maturę, bo inaczej połamię ci kości!

Jacek uśmiechnął się radośnie.

Wjechał powoli w wąską, mroczną bramę, a wtedy jakiś cień oderwał się od ściany i zastawił mu drogę. Poznał ją. Gniew, który zdążył w nim opaść, wybuchnął teraz ze zdwojoną siłą. „Depczesz mi po piętach, szpiclujesz, więc giń, suko, sama tego chciałaś!” – Docisnął gaz i plunął długimi światłami. Wóz wyprysnął do przodu, jednak cień, ta kobieta, nie żywiąc widocznie do niego zbyt dużego zaufania, uskoczyła, rzucając się głową w drzwi frontowej klatki schodowej i waląc o próg całym ciężarem ciała.

– Ja ciebie w ogóle nie widziałem – szepnął. – Nie miałem zielonego pojęcia, że tam jesteś.

Zgrzytając zębami, rwał przez miasto z szybkością, która niekoniecznie musiałaby zachwycić funkcjonariuszy służby drogowej. Dwukrotnie nie zatrzymał się na skrzyżowaniach przed znakiem „stop”, dwukrotnie pogwałcił prawo o czerwonym świetle; popędził na przejściu dla pieszych kobietę z dzieckiem i przyparł do krawężnika rowerzystę, którego twarz zionęła z początku przerażeniem, a potem nienawiścią. Minął dworzec kolejowy Łódź Kaliska, skręcił w aleję Unii i zaparkował przed drucianą bramą ogródków działkowych imienia Stanisława Rogowicza. Zamknął samochód, pozostawiając torbę w środku, i nim wszedł na teren ogródków, pospacerował sobie trochę wzdłuż cichej o tej porze i pustej alei.

Dużo zmian zaszło tu w ciągu ostatnich lat. Nad torami kolejowymi wznoszono wiadukt dla komunikacji miejskiej. Stary gmach dworcowy rozebrano, nowego jeszcze nie było – kasy, niewielką poczekalnię i niewielki bar wtłoczono do parterowego budynku, który graniczył przez jezdnię ze stadionem Łódzkiego Klubu Sportowego, bezpośrednio zaś przylegał do podziemnego przejścia na perony. Budynek ten, skromny sam w sobie i ciasny jak peryferyjna tancbuda, wyposażony był na zewnątrz w wiszący, niesłychanie imponujący dach, mający bronić przed deszczem, śniegiem i wichurą osoby, które nie zmieściły się w środku. Postawiono tam nawet dla tych wycugowych pasażerów ławkę,

a w pobliżu sterczały dwa kioski z gazetami, trzy kioski z kiełbasą i loteria fantowa dla frajerów z podłódzkich wsi i miasteczek.

Dalej, idąc w kierunku ogródków działkowych, był postój taksówek – pusty, z jednym tylko kandydatem do wojażu, człkiem uczepionym kurczowo słupka z tabliczką TAXI, pijanym i zrezygnowanym, czekającym jednak cierpliwie na samochód, który mógłby go ewentualnie przetransportować do domu. Widać było, że człek ten zacznie niebawem wymiotować – mógł to równie dobrze zrobić na postoju, jak i w taksówce, ale nie dało się również wykluczyć, że przetrzyma jakoś kurs i pofolguje sobie dopiero na łonie rodziny.

Za postojem majaczył barak z szokującym napisem „Ośrodek Informacji Kolonijnej” (przygotowywano się tu zapewne do szczytu letnich wyjazdów dzieci i młodzieży na zasłużony wypoczynek w górskich i morskich kurortach), za barakiem natomiast, w odległości dwustu metrów, sterczał samotnie wielopiętrowy blok, będący wedle powszechnego mniemania hotelem dla kolejarzy. Minąwszy naroże hotelu, Bernard stwierdził z przykrością, że na zapleczu tej poczciwej noclegowni zagnieździł się ukradkiem posterunek MO. Obok rozpościerał się parking dla samochodów służbowych, a do torów kolejowych przylegał magazyn ekspresowo-bagażowy. Na parkingu dwa milicyjne polonezy stały jeden naprzeciw drugiego nos w nos, zaglądając sobie pieszczotliwie w ślepia i ocierając się zderzakami.

Tylko patrzeć, jak złączą się rąbać – pomyślał Bernard. I drgnął. Po przeciwległej stronie parkingu dojrzał w płocie dodatkową furtkę wiodącą na teren ogródków działkowych. Furtka była otwarta i niby zapraszała do wejścia, ale żeby to zrobić, trzeba było najpierw minąć klatkę o solidnych metalowych prętach. W takich klatkach przewozi się z kontynentu na kontynent goryle i tygrysy. W tej jednakże siedział tylko pies, owczarek alzacki potwornych rozmiarów i zagadkowego usposobienia.

Nie zawył na widok intruza, nie zaszczekał, ale nie wykonał też pod jego adresem żadnych przyjacielskich gestów. Patrzył na

Bernarda złymi, podejrzliwymi oczami, jakby zamierzał powiedzieć: „Wiem, że nie przyszedłeś tu kraść, ale zamiary w sumie masz podłe, ludzka mordko, więc uważaj! Niech no tylko coś zwącham, a narobię takiego rabanu, że zlecą się chłopcy!”

Bernard odszedł cicho w stronę głównej bramy, pod którą zostawił samochód. Wziął torbę i wkroczył na żwirowaną ścieżkę, tę samą, którą przemierzył w tę i z powrotem dwadzieścia trzy lata temu. Podobnie jak w okolicach dworca, tak i na terenie ogródków działkowych, którym patronował niejaki Stanisław Rogowicz, zaszły nadzwyczajne zmiany. W miejsce kulawych drewnianych domków pojawiło się mnóstwo miniaturowych willi i pałacyków zbudowanych ze smakiem i bez oglądania się na koszty. Tu i ówdzie, u wyłożonych gontem dachów i nad werandami, świeciły tajemniczym blaskiem misterne latarnie, przydając uroku drzewom i wszechobecnym kwiatom. Migotały w ciemnościach ogniki papierosów, brzęczały kieliszki i szklanki, grały magnetofony i radia, pachniało bzem i maciejką. Ludzie odpoczywali, bawili się i kochali, mając przed sobą wolną sobotę i piękną majową niedzielę.

Ta parcela jednak, którą odziedziczył po ojcu szewc Gustaw M. alias Kopyto, nie nadała ani trochę za przeobrażeniami na terenie ogródków i dworca. Czas na tej paskudnej parceli nie drgnął od ćwierćwiecza – to samo ogrodzenie z patyków i pojedynczego drutu, te same badyle zamiast róż i goździków, ta sama chatka Baby Jagi o dwóch okienkach w zapadających się ścianach i o koślawych drzwiach na skobel, ten sam pokryty liszajami dach, ten sam komin-rura i ta sama przybudówka z nieoheblowanych desek.

A mimo wszystko szewc, skretyniały pozornie i niechlujny, działał z pewnym planem. Niegdyś Bernard dziwił się tej prymitywnej, zbędnej, mogło się wydawać, przybudówce, teraz zobaczył, iż stoi w niej motocykl. Przewidywał zatem niejaki Gustaw M. alias Kopyto! Nim kupił sobie SHL-kę i nim dochrapał się emzetki, zbudował dla nich garaż.

Bernard zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do chatki. Kopyto był tym razem w formie; nie zdążył jeszcze urządzić

się krajowym winem, ale specjał ten był obecny w jego letniej rezydencji: pięć butelek tkwiło rzędem na podłodze w nogach barłogu, szóstą zaś, ledwie napoczętą, trzymał szewczyna w ręce, aby nalać sobie do szklanki. I nalał! Nie speszyła go w najmniejszym stopniu wizyta niespodziewanego gościa. Nie drgnął mięsień na tłustej twarzy, nie podskoczyła powieka. Wypił, zapalił, wciągnął dym z widoczną rozkoszą i zapytał krótko:

– Czego chcesz?

– Nie myśl tylko, że przyszedłem cię szantażować – mówił Bernard jednym ciągiem, aby czym prędzej uspokoić gospodarza i przystąpić do sprawy. – Dwadzieścia trzy lata milczałem jak głaz i będę milczał aż do śmierci, że znałeś tę dziewczynę i zamordowałeś ją z zimną krwią.

– Jaką dziewczynę?

– Nie rźnij głupa!

– Uważaj no, cwaniaku. – Szewc wstał z łóżka i zacisnął piąchy. – Uważaj, bo dom w mordę i zawołam szpaki, a ze szpakami nic nie wiadomo.

– Dobra – rzekł pojednawczo Bernard. – Nie było żadnej dziewczyny, nie było żadnej broszki, nie było w ogóle żadnego morderstwa, tak?

– Tak.

– A to było? – Otworzył torbę i wyjął z worka rewolwer. – Zrozum, ja ci nie grożę. Powiedz tylko, czy masz jeszcze drugą taką zabawkę od pary.

Szewc łypnął okiem w antresolę nad głową. Zdradził się, a teraz zacznie przeczyć – podejrzewał Bernard. Spotkała go jednak niespodzianka.

– Mam.

– To świetnie – ucieszył się gość, wnioskując jednocześnie, iż tępy i głupi szewczyna myśli mądrze i wartko. – W tej sytuacji możemy zrobić interes.

– Jaki?

– Gruby.

– Chcesz kupić spluwę?

– Nie, ale ona się przyda. Tej twojej i tej mojej różniej będzie we dwójkę.

– Znaczy się: namawiasz mnie do mokrej roboty?

– Skąd! Brzydzą się krwią. Ale jest do wzięcia cały wór pieniędzy, cała kupa milionów. Pozwolisz, że usiądę?

Szewc podumał chwilę, wreszcie zgarnął z zakurzonego krzesła stertę gazet i powiedział:

– Siadaj.

– Dotychczas ja trzymałem cię w garści. – Bernard ulokował się ostrożnie na meblu o rozchwianych nogach. – Nie zaprzeczaj! Musiały zostać po tobie jakieś odciski palców, jakieś ślady. Oni są mądrzejsi niż przypuszczasz... Teraz jednak, kiedy zdradzę ci swój plan, ty z kolei chwycisz mnie za gardło. Padnie między nami remis. Każdy z nas, jeden na drugiego, będzie miał tęgiego haka. Zatem: jeśli nie przystaniesz na moją propozycję i odrzucisz ją, czego nie wykluczam, zobowiążesz się tylko do jednego: pysk na kłódkę! Zapomnisz raz na zawsze o tym, co usłyszysz za moment, zgoda?

Szewc znowu trochę podumał i mruknął:

– Zgoda. – Podsunął Bernardowi szklanę. – Nie mam drugiej – rzekł – ale mogę pić z butelki.

Gość wysłuchał tego z zadowoleniem, po czym uściskał szewcowi rękę i palnął:

– Gdybyś nie odrzucił mojej propozycji, czego również nie wykluczam, jutro czeka cię robota, wstrzymaj się więc z piciem pół godziny. Potrafisz?

– Nie jestem alkohikiem – odparł z godnością szewc.

– Tak myślałem. – Bernard znowu był zadowolony i ponownie uściskał dłoń gospodarza, który, co tu dużo gadać, poczynił z biegiem lat wielkie postępy w zakresie słownictwa i obyczajów. Ubrany był w kraciastą, czerwono-czarną koszulę, beżowe spodnie i szare mokasyny. Nie cuchnął. Wyglądał na zamożnego sklepikarza. – Faceci, którzy uchlewają się raz na tydzień winem, nie są alkohikami. Wino nie rozwała nerwów.

– Święta prawda – przytaknął Gustaw, po czym zmrużył lekko powiekę: – Ale zapalić wolno?

– Jasne – uśmiechnął się Bernard. – Sam chętnie zapalę. A teraz uważaj!

Wyciągnął z torby długopis i arkusz papieru. Przysunął stolik, który stał u wezgowia barłogu przykryty biało-niebieską ceratą. Palce lewej ręki przytrzymywały papier, prawa ręka szkicowała. Mówił, tłumaczył, pytał i odpowiadał na pytania. Papieros podskakiwał mu w ustach, bo nie miał czasu go wyjąć.

Wykład trwał dwie godziny, w trakcie których szewc ani razu nie sięgnął po butelkę. Przyjął warunki Bernarda, aczkolwiek w jednym punkcie sprzeczał się z nim i był nieustępliwy. Z zadowoleniem schował do kieszeni dwieście tysięcy złotych. Pieniądze te pochodziły z tajnych rezerw ekonomisty.

Bernard udzielił szewcowi na pożegnanie kilku rad i przykazań. W pół godziny później wszedł do swojego mieszkania na Teofilowie, a żona rzuciła się na niego, wrzeszcząc i rozpościerając szpony.

Chwycił ją za włosy i dźwignął w górę tak, że stała na paluszkach jak baletnica. Jeśli wszystko ma być po staremu, zgodnie z tym, co powiedział dwukrotnie Jackowi, trzeba dać przykład i wyregulować od czasu do czasu ptaszynę. Chlasnął otwartą ręką w lewy i w prawy policzek. Ponieważ nie ukoilo to jego rozdygotanych nerwów, powtórzył raz i drugi operację. Wypił pół litra i położył się spać. Nad ranem wziął żonę gwałtownie i szybko. Chlipała, groziła rozwodem, ogólnie jednak była szczęśliwa. Chłop nie zgubił jaj. Bije i młóci, więc kocha. Jest dobrze! Tak jej się przynajmniej zdawało.

Gejszę obudził telefon. Spała na wznak w swojej sypialni à la Ludwik XVI i sięgnęła po aparat dopiero przy trzecim sygnale.

– Słucham – mruknęła grzecznie, lecz bez entuzjazmu, przekonana, że dzwoni jakiś zramolały dyro.

– *May I speak to Miss Barbara?*

– Mówisz z nią właśnie, koteczku – odpowiedziała wdzięczną angielszczyzną. – To miłe. – Patrzyła w stiuk ponad mosiężnym żyrandolem. Ręką, która nie była akurat zajęta, odrzuciła róg puchowej kołdry i podciągnęła do góry kolano. – Jak on się miewa? – zapytała łaskawie.

– W porządku! – uciał niecierpliwie mężczyzna. – Dziś wieczorem będę w Łodzi i chciałem się z panią zobaczyć.

– Gdzie?

– W Grand Hotelu.

– I co? Od razu wciągnie mnie pan do łóżka i zaczniemy się grzać? Wziąć szczoteczkę do zębów i piżamkę?

Gość, korzystający pewnie z automatu w holu lotniska, stracił na chwilę oddech. Kiedy go wreszcie odzyskał, oświadczył z urazą:

– Jestem dżentelmenem. Pochodzę z Wielkiej Brytanii.

– Irlandczyk?

– Szkot.

– Boże! Nie przyjdzie pan chyba w marsz-butach i w spódniczce?

– Przyjdę w garniturze, ale z kobzą.

– To już lepiej – parsknęła. Uniosła do góry drugie kolano i odgięła je powoli. W uchylonym oknie trzepotała firanka, wiatr chłodził rozpalony brzuch. – Zapytam o pana wieczorem w recepcji. Dżentelmen to chyba pańskie nazwisko, a jak imię? Nie zapomniał się pan przypadkiem przedstawić?

– Oh, sorry! Francis James Moliński do usług. Zapraszam panią na kolację.

– Tatusь był z pewnością Polakiem?

– Tatuś nie. Dziadek.

– Dobra, James, przyjmuję zaproszenie. Powiedz mi tylko, kto płaci: słyszałam wprawdzie o niesłychanej rozrzutności Szkotów, ale może ty jesteś wyjątkiem?

– Tak, ja jestem wyjątkiem.

– Nie przejmuj się! Przyniosę ze sobą parę groszy, abyś nie ucierpiał zbyt. Bye, honey! Do zobaczenia wieczorem.

Odłożyła słuchawkę i postawiła aparat na krągłej nocnej szafce. Gość ten cierpiał widocznie na niedosyt informacji, bo zadzwonił znowu:

– O której się spotkamy, Barbaro?

– O ósmej.

– Barbaro, odpowiada mi ta pora.

– To się cieszę.

Przerwała połączenie i szepnęła:

– Bęcwał!

Sięgnęła po leżący obok telefonu komputer i włączyła telewizor. Dobiegał końca program dla dzieci, a potem był dziennik poranny. Wiatr ciągle jeszcze figłował z firanką; chrzęściły żabki na metalowym pręcie pod sufitem. Wstała, zamknęła okno, przygotowała sobie w kuchni śniadanie i zaniósła je na tacy do łóżka. Zjadła plasterki angielki z kawiosem, wypła filiżankę mocnej kawy z ekspresu, po czym zaciągnęła się aromatycznym pall malle.

Drzemała do południa. O pierwszej spożyła obiad. Rozbiła o brzeg patelni trzy jajka, ale nim je rozmieszała, zrezygnowała z dwóch żółtek, które wyłuskała stołową łyżką i wrzuciła do zlewu. Odbyła długi spacer w parku. Wróciła o czwartej. Weszła do wanny, zanurzając się w niebieskiej wodzie z pianą. Piana opadała powoli, trzeszcząc jak śnieg, a Gejsza syciła wzrok urodą łazienki: ścian wyłożonych włoską glazurą, marmurowej terakoty, z którą kontrastował wspaniale czerwony dywan, lśniących okuć, wąskiego lustra nad umywalką, pralki, zamrażarki i wytoczonego pięknie z mahoniu stolika na kółkach, któremu niedawno dziwił się ojciec.

– Bęcwał! – Przypomniała sobie rozmowę ze Szkotem. – Tak czy owak, trzeba coś na tym stoliku postawić.

Piętnaście po ósmej weszła do Grand Hotelu w skromnej białej sukience, przepasanej czarnym paskiem i w skromnych czarnych pantoflach. Że ta skromność kosztowała ją kilkadziesiąt dolarów, to już inna sprawa. Na przedramieniu miała czarny rozpinany sweter, a w ręku czarną torebkę. Mężczyzna, który zagroził jej drogę, nim dotarła do recepcji, też był w czerni; brakowało tylko chryzantem, żeby pojechać na cmentarz. Popatrzyli na siebie i on zaczął:

– Barbara?

– Tak. *Welcome!* Miło mi powitać pana na ziemi dziadów. Po polsku ani w ząb?

– Niestety.

– A gdzie kobza?

Powiedział coś, czego nawet nie próbowała zrozumieć. Z pewnością było to bardzo dowcipne. Szacowała go szybko: trzydzieści lat, zamożny, przystojny i odpychający.

– Zamówiłem stół. Chodźmy! – Ujął Gejszę pod ramię i poprowadził do Złotej Sali, która ma tę przewagę nad innymi salami Grand Hotelu, że jest mała, cicha i przytulna. Przewyższała ją o kilka centymetrów (o dziewczynie mowa, nie o sali); bił od niego intensywny zapach wody kolońskiej i dezodorantu. – *Shall we have a drink?* – Podał jej krzesło i usiadł naprzeciw. Był to ostatni stół po lewej stronie od drzwi. – *Vodka, brandy?*

– Jakiś sok – powiedziała.

– Nie lubisz alkoholu?

– Lubię, ale jestem samochodem.

Francis James Moliński nie wydawał się zachwycony. Dziewczyna ukłuła go dwukrotnie – że nie pije, to jeszcze pół biedy, ale skoro mówi, że przyjechała samochodem, to chyba chce wrócić do domu. Cierpiał. Już był zazdrosny! Nie wiedział, że najgorsze ma jeszcze przed sobą.

– *Waiter!* – nie powiedział tego głośno, lecz zabrzmiało to nieprzyjemnie.

- *Don't touch him* - upomniała go łagodnie Gejsza. Zerknęła na kelnera, który podszedł z szalbierczym uszanowaniem. Był bardzo wysoki i bardzo chudy; miał długą szyję o wydatnej grdyce i okrągłą łysą główkę z resztką puszystych włosów nad uszami. Smoking wisiał na nim żalobnie, ale w siwych półprzymkniętych oczach błyszczała inteligencja.

- Dobry wieczór. - Pochylił się nad stolikiem jak żuraw i wręczył im karty.

- Dobry wieczór. Ten Szkot chciałby coś zjeść - powiedziała Gejsza. - Pan na pewno wie, w czym gustują Szkoci.

- Dajmy mu najpierw whisky - rzekł kelner, mrużąc poufale oko. - Jak on wciągnie w siebie setę whisky, wszystko mu będzie smakować.

- W porządku - zgodziła się Gejsza. - Dla niego whisky, dla mnie jakiś sok.

- Może być grejpfrut?

- Może.

- *What did he say?* - zainteresował podejrzliwie obywatel Zjednoczonego Królestwa.

- On sądzi, że ty jesteś kimś szalenie ważnym i chce cię jak najlepiej ugościć - łągało dziewczę, rzucając okiem w jadłospis. - Odbędzie zaraz konferencję z szefem kuchni i przyniesie potrawę nadzwyczajną, bo tu - stuknęła wylakierowanym paznokciem w kartę - są tylko kraby, dziczyzna, bażant, kaczka po tyrolsku i różne ordynarne dania mięsne. *I have just ordered a whisky for you, OK?*

- OK.

- *And what about a bottle of red dry wine?*

- *Good* - zaciągnął ochoczo cudzoziemiec mile połączony faktem, że dziewczyna poświęca mu tyle uwagi i że kelner wziął go za wybitną osobistość.

- W takim razie - poleciła Gejsza kelnerowi - niech mu pan poda befsztyk z polędwicy, a mnie wystarczy strogonow w kokilce. Pieczywo, masło, trochę jarzyn; na deser dwie kawy; nic słodkiego, bo go może znudzić. Macie jeszcze to czerwone argentyńskie wino?

- Mamy - przytaknął kelner z rozpędu i natychmiast wyhamował. - Trzymam parę butelek dla specjalnych gości... przecież... Wajda nieraz wpadnie, był niedawno Kosiński, spodziewamy się w najbliższych dniach Bońka, który rozpuścił się we Włoszech do tego stopnia, że bez wina płaczą mu się nogi na boisku i na parkiecie. Flaszka wystarczy?

- Z powodzeniem.

Kelner zgiął kark w głębokim ukłonie i zaśpiewał po angielsku:

- *Have a funny and happy night, sir! All the best wishes to you, Her Ladyship!*

- On zna angielski - zdziwił się Szkot.

- Owszem. Zna również pięć czy sześć innych języków. Jest kierownikiem lokalu.

- A ty jesteś hrabianką?

- Tak, w drugim pokoleniu - przytaknęło skromnie dziewczę. - W Polsce nie ma to jednak obecnie żadnego znaczenia. Wszyscy stoją w tych samych kolejkach i biorą te same przeszkody.

Francis James Moliński kontemplował z satysfakcją wrażenia dostarczane mu stopniowo przez Gejszę. Kiedy wypił whisky, jego stan przeszedł w ekstazę, a potem zawędrował jeszcze wyżej, w krainę euforycznego szczęścia, bowiem kelner, spryciarz dużego kalibru, umieścił między nim a Gejszą na stole proporczyk z herbem klubu Glasgow Rangers na tle szkockich barw narodowych.

Uuu! - Gejsza przyjrzała się z uznaniem chudzielcowi o dużej szyi i okrągłej głowce. W brydża można z facetem grać! Chwyta każdy impuls.

Przyrzekła sobie, że wręczy mu suty napiwek. W „Malinowej” tymczasem gruchnęła muzyka. Przez dwadzieścia minut artyści dawali gościom ostro w kość, po czym ktoś ich musiał posmarować, bo spróbowali walca.

- *Will you dance with me?* - zapytała dziewczyna. - *I'm sure you're a very good dancer.*

- Mylisz się - powiedział, wstając. - Tańczę słabo, ale z tobą zrobię to chętnie.

Weszli na parkiet w „Malinowej”. Po czterech taktach obywatel brytyjski usiłował skrócić dystans. Dokazywał kolanem, a jego dłoń zjechała na pośladek dziewczyny.

– *Take your hand off* – rzekła z naciskiem. – Zabierz rękę, kochanie, i to już! Zrozumiano?

– *Why?* – wybełkotał gorącym szeptem. Pocił się, co było w końcu do przewidzenia. Jak każdy stuprocentowy brunet o fioletowoczarnym zaroście nie wydzieliał zbyt przyjemnych aromatów. Urodziwa, agresywna twarz była trochę przerysowana. Gejsza widziała kątem oka dwie czarne dziurki w nosie i stwierdziła, że malarz portrecista przesadził w tym wypadku: podciął je nadmiernie i użył za dużo farby. – Nie lubisz mnie? – napierał.

– Lubię, ale tańczysz z damą. – I pomyślała: jeśli nawet pójdę z tobą do numeru, to nie dzisiaj. – Podnieś łapkę i odsuń się trochę. To jest walc, trzeba tańczyć elegancko.

– Pocałuj mnie!

– Na to będzie jeszcze czas. No! dosyć, chłopczyku. Chodźmy do stolika.

W ten sposób ukłuła go po raz trzeci. Posmutniał. Ze szczytu euforii zjechał w dół zniechęcenia. Ledwo jednak usiedli naprzeciw siebie w Złotej Sali, dziewczyna zaczęła odbudowywać nastrój, w czym pomagał jej ze wszystkich sił chudzielec, traktowany „z góry”.

– *Try it, please* – Dał popróbować Szkotowi wina. – *What do you think of it?*

Ten skrzywił się brzydko.

– *Don't touch him* – powtórzyła Gejsza. – Czemu ciągle go obrażasz? W końcu to on tobie robi łaskę, nie ty jemu.

– Łaskę?

– A coś ty myślał, mój drogi? W Polsce, proszę cię, kelner to potęga, a kierownik lokalu to cesarz. No, głowa do góry! *Keep smiling! You are so comely urchin!* Masz piękny krawat i cudowne włosy, pan zaraz poda mięsiwo.

– W tej chwili, madame! – basował chudy przechera, który takich Szkotów to mógłby wywrócić na nice w każdej chwili

i w dowolnych ilościach.

Niebawem też w towarzystwie dwóch innych kelnerów przystąpił do egzorcyzmów. Sam poprawiał tylko serwetki i sztucce, tamci zaś, podpuszczeni przez niego, tańczyli dookoła stołu, sprawiając wrażenie ludzi niesłychanie przejętych i zapracowanych. Lecz pracy mieli w sumie niedużo. Wymałpiali się, krótko mówiąc, z dwoma półmiskami kipiącymi od jarzyn, z kokilką i talerzem, na którym spoczywał słuszny płat polędwicy. Wodę jeszcze jakąś podali i szparagi, po czym odstąpili od stolika, do którego przypadł natychmiast chudzielec o okrągłej głowce, aby zapalić świece w lichtarzach i napełnić cudzoziemcowi kieliszek.

Gość upił łyk i wpakował sobie do ust kawałek mięsa. Nadgryzł, przewrócił oczami i oświadczył wielkodusznie:

- *Magnificent!*

- *Truly?*

- *Yes.*

- Nie widziałam jeszcze, aby kogoś fetowali tu z taką estymą. Pracujesz w filmie?

- *No.*

- A co robisz? - Piękne, czyste oczy dziewczyny o długich rzęsach i ciemnozłocistych brwiach wpatrywały się w Szkota z ufnością i oddaniem. - Zakładasz na pewno jakąś solidną spółkę akcyjną.

- Jestem lastrykarzem - wyznał niechętnie Szkot. Poczerwieniał z lekka, co widząc, Gejsza podsunęła mu wino i krzyknęła z entuzjazmem:

- To wspaniałe! Christer był przecież lastrykarzem; wykańczał hotel w Warszawie i przyłożył się trochę do wystroju mojej łazienki. Bardzo lubię lastrykarzy. Pij!

- A ty?

- Ja też umoczę języczek - powiedziała. I zrobiła to z niemałą perwersją, wysuwając i chowając szybko czerwony zwinnie organ.

Mężczyzna przy sąsiednim stole, którego twarz po jakimś makabrycznym wypadku zeszyta była z kilku oddzielnych

kawałków skóry, posłał jej krótkie spojrzenie. Brytyjczyk gorzał. Wrzało w nim jak w kotle czarownicy.

– Ten Christer powiedział, to znaczy... nakłamał – poprawił się zaraz – że byłaś z nim w łóżku...

– Ależ oczywiście, że byłam z nim w łóżku, maleńki. Wcale nie kłamał.

– Gdy cię zobaczyłem, pomyślałem sobie, że jesteś porządną dziewczyną – wyznał łzawo Francis James Moliński.

– Nie bądź śmieszny! Po co ci porządna dziewczyna?

– Ja...

– Nie chcesz chyba prosić mnie o rękę?

Brytyjczyk, który chłonał wino jak elektroluks, istotnie nosił się z takim zamiarem. Wiedział, że to głupie: nie znał jej przecież, jednak dziewczyna wywarła na nim wstrząsające wrażenie. Piękna, inteligentna, biegła w języku i w dodatku hrabianka! Gdyby tak przywiózł ją w charakterze żony do Glasgow, powaliłby wszystkich na kolana.

Przestał jeść. Opróżnił kolejny kieliszek i wyciągnął ku dziewczynie swą krzepką, lastrykarską dłoń.

– Kocham cię!

– Nie pleć głupstw! – Pogłaskała go czule miękkimi, ciepłymi paluszkami.

– Naprawdę cię kocham. Jeśli chcesz, ożenię się z tobą w każdej chwili.

– Pracujesz w tej samej firmie co Christer?

– Tak. Jestem jego zastępcą i wspólnikiem. Przyjechałem podpisać w Warszawie kontrakt na wykończenie wnętrza dużego, niezasiedlonego jeszcze wieżowca, w którym będą jakieś biura podróży, kawiarnie, bary i restauracje.

– Kiedy wracasz?

– Gdzie?

– Do Szkocji.

– Za dziesięć, piętnaście dni. Muszę dokonać pewnych pomiarów i obliczeń. Niewykluczone jednak, że za kilka miesięcy wycofam się z interesu i pojedę do kraju. Nie wychodzi mi

współpraca z Christerem. To dziwny i cyniczny człowiek. Nie wiem, jak mogłaś...

- Ciii. - Dotknęła mięsistych i wilgotnych warg Jamesa. - A co będziesz robił w Szkocji?

- Zawsze mogę pracować u ojca, i też jako boss. On ma fabrykę mebli w Glasgow.

Nie wolno go zniechęcać - pomyślała. - Krótka wycieczka do Szkocji nie powinna mi zaszkodzić, ale wyjść, to ja za niego nie wyjdę.

Uśmiechnęła się niewinnie i ukłuła biedaka po raz czwarty:

- Wspomniałeś o jakimś prezencie od Christera.

- Wspomniałem - przyznał ponuro Szkot.

- Co to jest?

- Nic nadzwyczajnego. - Był już niezłe pijany i miał lekkie kłopoty z dykcją.

- Rozumiem. Trzeba cię o ten prezent poprosić.

- Zostawiłem go w pokoju. Wpadniemy zaraz do mnie na górę, to ci dam.

Wszyscy podobni. Wszyscy tacy sami, ci ze Wschodu i ci z Zachodu. Tandeciarze! Wykombinował sobie, bęcwał, że zwabi mnie w ten sposób do łóżka!

Odśloniła w uśmiechu dwa wspaniałe, równe rzędy zębów:

- Kończymy zatem?

- Yes - przytaknął skwapliwie Szkot; skontrolował na wszelki wypadek, czy w butelce nie zostało przypadkiem trochę wina.

- Możemy iść.

- Płacimy. - Skinęła na chudzielca, a ten podsunął w tej samej chwili rachunek. Były to czasy, kiedy można było zjeść w Grandzie kolację za osiem tysięcy. Szkot wlepił wodnisty, nieufny wzrok w upstrzoną cyferkami kartkę papieru. Coś tam liczył, poruszając dolną wargą. Prawa ręka sięgała bez przekonania do kieszeni.

Gejsza zdecydowanie otworzyła torebkę:

- Zaczekaj, ja zapłacę.

- Ty?

- A czemuż by nie? - Wręczyła kelnerowi dwanaście tysięcy.

- Dziękuję panu.

- To ja pani dziękuję, madame! - Chudy wiedział, że toczy się gra; wiedział, że w żadnym wypadku nie wolno mu przyjąć ani grosza od mężczyzny; wiedział, że ma do czynienia z kobietą o precyzyjnie kalkulującej głowie i silnym charakterze. Wszystko to wiedział, a poza tym, niezależnie od tego wszystkiego, czuł do Gejszy sentyment: - Kiedy znowu będziemy mieli zaszczyt ujrzeć panią, *Her Ladyship*?

- W najbliższych dniach - powiedziała dźwięcznym, świetlistym głosem dziewczyna; taki głos łaskocze zmysły mężczyzn jak lekki alkohol. - Do widzenia panu.

- Do widzenia.

- *Wait! Wait!* - Szkot, w którym zagrało echo polskich genów, zerwał się od stolika.

Chudy wystawił za drzwi głowę i obrócił ją jak teleskop.

- Ugotowany - mruknął, odprowadzając wzrokiem Francisa Jamesa Molińskiego, który dopadł Gejszę w korytarzu i wyczuwając, że pomyślna na pozór sytuacja grawituje w kierunku nieszczęścia, wykrzykiwał nerwowo:

- Dlaczego ty masz ponosić koszty?! Nie narzekam, chwalić Boga, na brak dolarów, funtów i czeków podróжных. Jestem członkiem *Diners Club*...

- Uspokój się.

- Zobacz! - Otworzył imponujący staromodny pugilares, aby udowodnić dziewczynie swoją bezwzględną wypłacalność. - Nie możesz przecież, Barbaro...

- Mogę, mogę! Ja też jestem posażna z domu, a poza tym nie będziemy się kłócić o parę groszy. Powiem ci coś po cichu, kochanie: tracisz styl.

- Przepraszam! - Chwycił ją rozpaczliwie, z całej siły za nadgarstek.

Dobijała go spokojnie:

- *Take your hand off*, boli. Przestań mnie szarpać. Gdzieś ty się nauczyłeś takich manier? No, zmykam!

- Nie wejdiesz do mnie? Na moment!

- W żadnym wypadku.

- Są perfumy od Christera.
- Wezmę je innym razem.
- Kiedy? – pytał błagalnie, z gasnącą nadzieją. – Jutro?
- Jutro jest niedziela, muszę poświęcić ją ojcu.
- A ja muszę pojutrze wracać do Warszawy. – Czarna, lśniąca brew nad lewym okiem opadła żałośnie, w kąciku prawego oka pojawiły się łzy. Kap, kap! Podjeżdżały do rozdętej ze wzruszenia dziurki w nosie i padały na marmurową posadzkę. – Będę mógł przyjechać tutaj dopiero w przyszły weekend.
- No to wspaniale się składa. Przyjedziesz, zadzwonisz i zjemy u mnie spokojną domową kolację.
Czarna brew odskoczyła na swoje miejsce.
- U ciebie?
- Tak.
- A ojciec?
- Nie będzie ojca.
Pocałowała go w mokry policzek i wyszła.
Poddany Jej Królewskiej Mości westchnął głęboko i zaczął piąć się po wyłożonych chodnikiem schodach na pierwsze piętro hotelu.
Zacichała muzyka w „Malinowej”; sztorm ustąpił. Nadzieja podnosiła zuchwale łeb.

Gustaw M. alias Kopyto przystał na propozycję Bernarda z prozaicznych powodów. Otóż jego krzepka trzydziestokilkuletnia małżonka chodziła z brzuchem i przebąkiwała nieśmiało, że przed przyjściem dziecka na świat należałoby dokonać w mieszkaniu pewnych zmian – „odremontować albo nawet położyć tapety, zrobić coś z tą cholerną ubikacją i łazienką, bo skoro jeżeli tatuś mógł sobie pozwolić w Proboszczewicach pod Zgierzem na kafelki i terakotę, to ona nie chce być gorsza ani od tatusia, ani od tych wszystkich sakramynckich łódzkich małpów, co to żyją w luksusach, kąpią się w ciepłej wodzie, a wieczorami bierze jedna z drugą wywczas przed kolorowym telewizorem. Mają nie tylko elektroluksa, nie tylko lodówki i pralki, ale nawet zamrażarki, w tych zamrażarkach natomiast rzadko się trafi na jakiś gnat, podczas gdy tatuś mógłby im spokojnie dostarczyć trochę mięsa”.

Równie nieśmiało zakomunikowała żona Gustawowi, że skoro jeżeli jest w ciąży, to nie powinna chyba od jesieni palić w piecach. U tych małpów nie używa się węgla. Te małpy posiadają piece akumulacyjne albo miejscowe ogrzewanie centralne czy też różne urządzenia na prąd, od których strzelają korki, a rachunki za światło, to ta kurwa, co wywija z Niemcami, płaci straszne!

Ponadto trzeba by się zastanowić nad ofertą tego emeryta powsinogi, który kilka razy dziennie zmienia strój i odęty jak kwoka przemierza w tę i z powrotem podwórko. Ich parterowe mieszkania graniczą ze sobą przez ścianę, a powsinodze zmarła niedawno kobita, więc gdyby mu dać pół miliona, chętnie odstąpiłby im jeden pokój. Zdrojewski wyrąbałby mur i zainstalował drzwi, dzięki czemu dziecko miałoby przyzwoite warunki rozwojowe, zaś karmiącej matce nie warzyłoby się z nerwów mleko. Cyca przy czeladniku to ona ssać nie pozwoli, już i tak ten funfel podgląda ją na każdym kroku.

W tej sytuacji pieniądze były Gustawowi istotnie potrzebne, natomiast duże pieniądze, te, o których wspominał Bernard, mogłyby w ogóle rozwiązać wszelkie problemy życiowe szewca. A motor nowy to by się nie przydał? A gdyby tak iść na całego i kupić samochód?

Kopyto palił papierosa za papierosem i oddawał się marzeniom w swojej chatce na terenie ogródków działkowych. Grzał go ten szmal od Bernarda, jak by nie brać – dwieście tysięcy, lecz dwieście tysięcy a piętnaście milionów to ogromna różnica. Warto sięść do stołu o taką stawkę, chociaż jednym z partnerów będzie więzienie lub śmierć.

Gustaw odczuwał lekkie wyrzuty sumienia, że już na początku zlekceważył rady i wskazówki Bernarda, który polecił mu wyszukać na obrzeżach Łodzi jakieś ciche i bezpieczne, nie rzucające się specjalnie w oczy miejsce na postój. Nie mógł to być w żadnym wypadku parking strzeżony; raczej skwer pod fabryką lub betonowy plac wśród bloków, gdzie pojazd nie zwróciłby niczyjej uwagi. Całą sobotę krążył Gustaw po mieście i nie znalazł żadnego odpowiedniego postoju, gwarantującego pojazdowi względną anonimowość i jakie takie bezpieczeństwo. Przyczyną tych niepowodzeń było silne i niezłomne przekonanie szewca, iż wbrew temu, co mówił Bernard, najlepiej szukać zawsze blisko domu, i że takie miejsce już jest – pewne, wymarzone, nie do wykrycia, aczkolwiek Bernard nie zaakceptowałby go pod żadnym względem.

Kopyto nie spał dobrze tej nocy. Rano, zgodnie z tym, co przykazał mu Bernard, powinien wsiąść w pociąg i pojechać do Warszawy, tymczasem Gustaw, włożywszy na siebie sweter, ciepłą kurtkę i buty z długą cholewką, wziął z dworca taksówkę i udał się do Tuszyńka. Był trzeźwy, nie ruszył wina, dotrzymał w tej mierze przyrzeczeń. Te dwieście tysięcy nie dawało mu jednak spokoju; przyzwyczał się do nich i polubił je serdecznie, toteż usilnie szukał sposobu, aby ich nie wydawać i nie tracić.

W ręku niósł Gustaw zniszczoną torbę na ekspres. Przespacerował się z nią wzdłuż szeregu niskich domków o wylizanych brązową farbą drzwiach i zielonych parapetach. Psy

ujadały na niego przez siatkę, lecz ludzie nie zwracali na tę zbiorową psią histerię żadnej uwagi; ludzie odsypiali jeszcze sobotni ochłaj, a ci, co wypili najwięcej i trzeszczało im w głowach, maszerowali już z wielu stron do narożnego, położonego blisko szosy bistra z czerwonej cegły, gdzie można było pokrzepić nadwątlone zdrowie piwem i lemoniadą.

Słońce stało już nad ścianą lasu, rosa dosychała na trawie, w drzewach świergoliły ptaki; pogranicze województw łódzkiego i piotrkowskiego przeżywało swój pogodny niedzielny ranek z ufnością w przyszłość wielkiego narodu; kilkudziesięciu mężczyzn w różnym wieku oblegało bistro od wewnątrz i od zewnątrz, żłopiąc prosto z butelek, które piały w niebo jak trąby reprezentacyjnej orkiestry wojskowej.

Niektórzy panowie przyjechali na tę miłą wiosenną sesję rowerami i motocyklami, Gustaw odniósł się jednak do tych pojazdów sceptycznie. Ruszył z papierosem w zębach w głąb osiedla, minął prywatną restaurację, dostępną wieczorami dla prawdziwie bogatego towarzystwa, pooglądał sobie trochę ogródki, garaże i szopy, po czym, zniechęcony, wrócił w okolice bistra, aby zmieszać się z czeredą niedzielnych opojów.

Nie znalazł tego, czego szukał, i był zły. Instynkt sprawił mu przykrą niespodziankę. Nawalił! Bernard rozliczył go z niewykonanych zadań i skreślił ze swoich planów, nie mówiąc już o dwustu tysiącach, które trzeba będzie natychmiast oddać. Żałował, że nie pojechał jednak do Warszawy pociągiem. Teraz już na taki manewr jest za późno.

Obserwował nie bez zazdrości parę, która zboczyła z szosy i przystanęła nieopodal bistra na imponującym harleyu-davidsonie. Był to egzemplarz z lat czterdziestych, pięknie odrestaurowany, czyli mówiąc językiem fachowców, zrobiony na oryginał. Prowadził chłopak, a z tyłu, na wysokim siodełku spoczywała dziewczyna. Chłopak miał na sobie czarny skórzany kombinezon, wysokie, niewątpliwie zagraniczne buty o potężnych spodach, biało-czerwony, okręcony wokół szyi szal, długie rękawice i kask. Dziewczyna też była w kasku, w modnej ocieplanej kurtce z beżowego weluru, obcisłej, pękającej na

biodrach spódnicy, w wełnianych podkolanówkach i pantoflach na płaskim obcasie. Obydwa kaski klóciły się najwyraźniej, aby opaść wreszcie i ukazać pospólstwu twarze o zdrowych i urodziwych, wykrzywionych jednak gniewem rysach.

Para musiała być w tych stronach znana, gdyż w otaczającej Gustawa szpanie łobuzów nastąpiło znaczne ożywienie. Padały mało pochlebne uwagi pod adresem chłopca, pochodzącego prawdopodobnie z zamożnej badyłarskiej rodziny, co do dziewczęcia zaś, to mogło wywodzić się ono z domu podlejszej kondycji, bowiem szpana używała na nim ile wlezie.

– Panią odstawia, zapomniała, jak łąziła ze mną w las – stwierdził przesterowanym nieco tonem niski łobuz o perkатыm nosie.

– Łaziła albo nie łąziła – zauważył kąśliwie inny łobuz.

– Wiadomo, że waliła się z Józkiem i Heniutą, ale ty, Wacek, nie masz świadków.

– Nie mam świadków? Nie mam?! – zachrypiął z oburzenia i wściekłości perkаты osobnik. – Zapytajta mojej siostry, to wam powie!

– Siostrze można wcisnąć każdy bajer – włączył się układnie do sporu trzeci nicpoń. – Szkoda nawet gadać, Wacek, nie byłeś z nią nawet w lesie na grzybach.

– Ludzie kochani! – Perkаты młócił pięścią swoje chuderlawe piersi, a jego upokorzone, głęboko dotknięte oczyska szkliły się od łez. – Wysmyczyłem ją co najmniej dziesięć razy! Nie wierzyta, to patrzta, co powie, jak jej to rąbnę prosto z mostu w twarz!

Zrobił przed siebie kilka zamaszystych kroków i przystanął zaskoczony, gdyż dziewczyna, wymachując kaskiem, biegła mu jakby naprzeciw. Wargi Perkatego rozjechały się w niepewnym uśmiechu, prezentując uzębienie, w którym próchnica poczyniła już znaczne postępy. Wyciągnął ręce, zamierzając niby chwycić ją w objęcia, ale wyminęła go w ostatniej chwili i weszła do bistra, aby wypłynąć znowu po kilkunastu sekundach na świeży luft. Obydwe dłonie miała teraz zajęte – w jednej był kask, w drugiej butelka oranżady. Wzięła pewny kurs na harleya--davidsona, ale

podpuszczony przez szpanę Wacuś zastawał jej drogę i jękając się z wrażenia, wydukał:

– Czcześć. Krycha!

– Cześć! – Dziewczyna obcięła go błyskiem źrenicy, z czego mogłoby ewentualnie wynikać, że twarz Perkaty nie jest jej zupełnie obca.

Chciała odejść, lecz łobuzy otoczyły ją ciasnym kręgiem.

– No jak będzie, Wacek? – judził z obleśną miną ten, który stał obok szewca.

– Z czym? – Perkaty myślał, że już dostatecznie udowodnił swą duchową i fizyczną bliskość z panną, koledzy byli jednak odmiennego zdania.

– Miałeś ją odpytać!

– Mogę pytać!

– Więc pytaj!

– Powiedz no im – zwrócił się Perkaty do dziewczyny – jak to było.

– Co było?

– Wszystko.

– Jakie: wszystko?

– Między nami.

– Idź żeż ty, łapciuchu jeden! – Dziewczyna pchnęła go kaskiem i próbowała opuścić szpanę, ubawioną na pozór, w gruncie rzeczy jednak podnieconą w namacalnej obecności tego sterczącego biustu, tych wspaniałych bioder i tych krągłych, lekko krzywych nóg.

Każdy z osobna miałby się przed nią na baczności, bowiem nawet jeśli kiedyś była w dole, dawno już wygrzebała się z niego na wysokie szczeble dobrobytu: pachniała, jak nie pachniały inne dziewczyny, miała na wargach inną szminkę, a na powiekach inny tusz.

W grupie jednak nie brakło draniom odwagi, podkreślonej przez piwo i niedopalone jeszcze resztki wczorajszego samogonu.

– Ale z Heniutą się grzałaś?

– I z Józkiem tyż!

– Proszę mnie puścić!

– Nikt cię nie trzyma!

Dotykali ją z przodu i z tyłu. Któryś pocałował świeży, pokryty kropelkami potu kark. Tłuszcioch o zmarszczonym z pożądania czole doszukał się piersi, a jakiś popędliwy, korzystający z okazji nedorostek, podciągnął do góry spódnicę.

Broniła się; tłukła po łbach butelką i kaskiem, wrzasnęła wreszcie:

– Pietrek, Pietrek!

Chłopak zeskoczył z harleya i runął na odsiecz. Kochał swoją dziewczynę, wiedząc, że i ona go kocha. Klótnie nie miały tu nic do rzeczy – byli sobie przeznaczeni, wcześniej czy później groził im ślub.

Gustaw drgnął, patrząc na porzucony motocykl, a potem upadł nieomal, gdyż chłopak, biorąc go za jednego z łobuzów, przyłożył mu w szczękę. Szalał! Prał z obydwu rąk jak maszyna; twarda pięść trafiła Perkatęgo prosto w zęby i poczyniła w nich spustoszenie. Dwóch innych też odpluło zębami i krwią, ale był tam starszy wiekiem, podobny trochę do Gustawa rębajło, który nadział dosłownie chłopaka na hak swojej potężnej, wystrzelonej z dołu graby.

Nikt nie zwracał uwagi na szewca sunącego chyłkiem w stronę motoru. Wciąż trwała ostra i bezpardonowa walka z udziałem rozwścieczonej jak lwica dziewczyny, która drapała, gryzła, wierzgała, dusiła, wyrywała garściami włosy z nastroszonych łbów, pacnęła wreszcie na chodnik obok swego kawalera, aby zasłonić go własnym ciałem, jako że szpana zamierzała uruchomić obcasy.

– Ratunku! Na pomoc! – krzyczała, podczas gdy palec półprzytomnego chłopca celował gdzieś nisko nad ziemią, a rozkwaszone usta szeptały:

– Tam, tam.

– Co, Piotruś?! Najdroższy, kochany!

– Motor...

– Ludzie, oni go zabijają!

Gustaw kopnął starter i wskoczył na siodełko; harley detonował całą mocą silnika i oderwał się od piaszczystej drogi, wzniesając

za sobą tumany kurzu. Pruł w kierunku przeciwnym do szosy i niebawem zdematerializował się w powietrzu, tak jakby go nigdy w ogóle nie było, jakby stanowił tylko osnowę czyjśgo zuchwałego marzenia.

Chłopak wstał blady z bólu i wyczerpania. Drogi skórzany kombinezon naderwany był u kołnierza, u wszycia obydwu rękawów i wzdłuż lewej nogawki. Dziewczyna patrzyła na to i płakała, natomiast zmaltretowany potomek badylarza myślał tylko o harleyu-davidsonie.

Kombinezon nie miał tu żadnego znaczenia, ważny był jedynie motocykl i zemsta nad szpaną, która opuściła plac boju w zawrotnym tempie. Pójdą siedzieć! Kolegium, to mało; proces! Chłopak żywił niezłomne przekonanie, że łobuzy sprowokowały awanturę wyłącznie po to, żeby mu ukraść motor. Żartów im się zachciało! Ale on oduczy ich żartów! Po dwa, trzy lata dostaną, gdyż była to regularna napaść, regularne pobicie i regularna grabież!

W duszy wszelako chłopak nie rozpaczał specjalnie, przekonany, że harley znajdzie się zaraz w rowie najbliższej przecznicy albo w lesie pod drzewem. Jak go uszkodzili, jeśli w ogóle można uszkodzić takiego smoka, który brał udział w drugiej wojnie światowej, to zapłacą – za każdą rysę, za każde, najmniejsze nawet wgniecenie!

– Gdzie tu jest telefon?

– Nie wiem, Pietrek, można spróbować w restauracji.

Trębacz oderwał od ust butelkę i powiedział:

– Nieczynna.

Reszta orkiestry obserwowała parę z mieszaniną satysfakcji i współczucia.

– Kto chce świadczyć? – rzucił chłopak przez zęby.

Orkiestra nie chciała świadczyć; orkiestra odwróciła się bokiem i trąbiła w drugą stronę, aby nie psuć sobie stosunków ze szpaną i jej rodzicami. Jednakże właściciel bistra miał w tej kwestii inną kalkulację. Właściciel bistra szanował ludzi bogatych, więc huknął od drzwi:

– Ja będę świadczył, panie Piotрку!

- Napaść?
- Napaść!
- Pobicie?
- Pobicie!
- Grabież?
- Grabież!' A telefon znajdziesz pan w czwartym domu na lewo, u Nowaka.

Wsparty o ramię narzeczonej chłopiec pokuśtykał do Nowaka, który był wziętym i cenionym w okolicy stolarzem.

- Ajajaj! - zajodłował z wymuszonym smutkiem znakomity rzemieślnik. - Słyszałem już o pańskim nieszczęściu, słyszałem! Kawy, herbaty?

- Nie. Mogę zadzwonić?

- Jasne! - Wskazał aparat w holu, gdzie nie było ani boazerii, ani nawet drewnianego wieszaka, za to rozpościerał się ohydnie od sufitu pokaźny zaciek. - Dzwonź pan, niech zrobią wreszcie z tą żulią spokój!

Chłopak wybrał domowy numer milicjanta i powiedział z naciskiem:

- Pan musi natychmiast przyjechać do bistra, panie Grzelak.

- Kto mówi? - zapytał udręczony głos po drugiej stronie przewodu.

- Piotr Słowikowski.

- Co się stało?

- Napaść, pobicie, grabież i znieważenie mojej dziewczyny.

Milicjant milczał chwilę, ale ta chwila starczyła, aby posłał do wszystkich diabłów swój niewdzięczny zawód i swój parszywy los. W niedzielę, kurwa jego mać! I to po weselu!

- Jadę!

- No to ja się bardzo cieszę, że pan jedzie! Tata też się na pewno ucieszy!

W momencie, kiedy syn badylarza relacjonował milicjantowi pod bistrem szczegóły dramatu, Gustaw wypadł z piotrkowskiej drogi na gierkówkę i odbił w lewo.

To nie był motocykl. To była burza! To było prawdziwe szaleństwo! Harley połykał kilometry z nienasyconą

żarłocznością, reagując na każde drgnienie ręki niczym rasowy wierzchowiec. Wyprzedzał z dziecinną łatwością mercedesy, mazdy, volva i polonezy. Liczył już czterdzieści kilka lat (o harleyu mowa, nie o jego rówieśniku Gustawie), nikt nie mógł jednak sprostać mu w brawurze i gracji.

Szewc był raczej przeżuwaczem życia niż smakoszem, ale tym razem rozpierała go pycha i radość. Rwać tak na krańce świata, byle dalej! Oby się to nigdy nie skończyło! Chłód dopiero ostudził jego sportowe ambicje. Mimo upalnego dnia wiatr przeszył go do szpiku kości. Wyhamował w stolicy, minął Wolę i Śródmieście, skręcił w Marszałkowską i ruszył na Żoliborz. Niebawem stanął w pobliżu giełdy samochodów na Bemowie.

Nadszedł przykry moment pożegnania. Harley był tylko środkiem transportu, niczym więcej; Gustaw musiał go porzucić w którejś z bocznych uliczek, a potem dokonać na giełdzie właściwego zakupu. Wszystko jednak buntowało się w nim; żal było harleya, żal było również dwustu tysięcy. Przyzwyczać się do czegoś, to jest straszna rzecz, a Gustaw miał tę brzydką przywarę, że przyzwyczajał się do dóbr materialnych w okamgnieniu.

„Trzeba jednak to zrobić, trzeba!”. A głos wewnętrzny protestował: „Nie trzeba!”

„Jak to: nie?”

„Bo nie!”

„Ale tam! Maszyna jest spalona. Łapsy pewnie już jej szukają. Lepiej cisnąć ją do rowu i odejść w porę, niż siedzieć”.

Tocząc ze sobą ten dramatyczny bój, Gustaw zdjął z głowy swój własny zniszczony kask, który założył przed Piotrkowem, i wepchnął go do swojej własnej zniszczonej torby.

„Trudno!”

„Głupek z ciebie!”

„Wcale nie głupek!”

„Taki motor!”

„Ni ma rady”.

„Prawda”.

Podniesiona noga zawisła w górze. Już chciał zsiąść, ale nie zsiadł. Przyglądał się z uwagą motocykliście, który opuścił tłoczny plac giełdowy i nadjeżdżał wolno prawą stroną drogi, aby zrównać się po chwili z Gustawem.

Był na junaku 350. Stwierdziwszy ten znamieny fakt, szewc zatrzymał go i spytał:

– Kupiłeś?

– Nie, chciałem sprzedać.

– Ile?

– Sto dziewięćdziesiąt.

– Drogo.

– Niedrogo.

– Drogo. Trup!

– Przy pańskim pewnie, że trup.

– Mógłbym dać najwyżej sto sześćdziesiąt.

– Po co panu drugi motor, skoro posiada pan harleya? – zapytał przytomnie młodzieniec twardym żyrdowskim akcentem.

– Dla brata. Jest uszkodzony?

– Nie jest uszkodzony.

– No to ma przeciek.

– Nie ma żadnego przecieku.

– Ukradłeś go?

– Pan chyba zwariował. Kto przyjeżdża na giełdę kradzionym motorem? – Odwrócił głowę i wycelował palcem w widoczne z daleka niebieskie mundury i niebieskie radiowozy. – Roi się od milicjantów i tajniaków, a pan zasuwa takie bomby.

– Uważaj, brachu! – Gustaw wydobył z kieszeni plik dziesięcioletnich banknotów i przeciągnął po krawędzi kciukiem. Westchnął cicho. – Taaa. – Zrobił gest, jakby zamierzał wręczyć młodzieńcowi pieniądze, nagle jednak rozmyślił się i wpakował je do kieszeni. Włożył kask, przekręcił klucz w stacyjce i trącił od niechcienia starter. Zatoczył łagodny łuk na drodze i przystanąwszy obok młodzieńca, spojrzał mu badawczo w twarz. – Trefny?

– Idź zesz pan, do cholery!

- Bo mi się to wszystko nie podoba. Dowód rejestracyjny w porządku?

- Oczywiście.

- Pokaż!

Młodzieniec o twardym żyrardowskim akcencie podał szewcowi zniszczoną kartę.

- Sam pan widzi!

- Ale ci nie wierzę. Przytrzymaj no harleya.

- Po co?

- Sprawdzę, jak ciągnie twój trup.

Zamienili się motorami i Gustaw odjechał, młodzieniec natomiast siedział na harleyu zachwycony. Ale torpeda! Dwa zbiorniki, automatyczne mieszanie paliwa, rezerwowa ręczna dźwignia biegów u kierownicy. Naczytał się o tym niekwestionowanym królu dróg i autostrad w tygodnikach. Nawet sławne gwiazdy filmowe kochają tego smoka. Nawet piękna Sophia Loren!

Pogłaskał bak pokryty czarnym, opalizującym lakierem, doznając zmysłowej rozkoszy. Gdyby ten buc kupił junaka, mógłby zacząć składać na takie чудо. Pytanie tylko, kiedy by uskładał. Nie wcześniej jak za pięć albo i dziesięć lat.

Westchnął. Zapalił wykruszonego, suchego papierosa, smakującego mniej więcej tak, jakby ktoś doprawił go sproszkowanym łajnem. Jeśli nawet było w nim trochę tytoniu, młodzieniec tego nic wychwyił.

- Dobra! - szepnął do siebie - byle on wziął grata, choćby za sto sześćdziesiąt tysięcy!

Wypalił dwa następne cuchnące skręty i dopiero wtedy zaczął się niecierpliwić.

Co się stało, do kija-bata! Może mu zgasł? Ale zapłon był w porządku, a paliwa wziął w Żyrardowie piętnaście litrów. Czwartym skrętem wzbudził w młodzieńcu falę mdłości. Dochodziła druga; zrzędł tłum na giełdzie, ludzkość wracała powoli do domów.

Boże, to był złodziej! Ten harley został komuś podprowadzony! Trzeba działać, i to od razu! Ale jak?!

Lamentował w duszy. Moje kochane junaczysko! Nie zobacze go już, nie sprzedam! Stracę prawie dwieście patyków!

Obserwował z dogasającą nadzieją zakurzoną perspektywę drogi. Może jeszcze przyjedzie? – Nie przyjedzie! – Więc co robić? – Zawiadomić milicję! – Będzie dużo kłopotów. – No to będzie!

Przytarł knykciem łzę. Był na tyle mądry, że nie uruchomił silnika. Zsiadł i pchał ciężki motocykl w stronę biało-niebieskich radiowozów. Podobnie jak wcześniej szewc, i on buntował się całym sercem. Tak czy owak, podązał z harleyem-davidsonem w szpony niebieskiego rycerstwa, które zauważyło go już i śledziło z ciekawością.

Wtedy wtrąciła się do sprawy Opatrzność i zakręciła bęben rulety w przeciwnym kierunku. Zatarasował młodzieńcowi drogę fiat z województwa białostockiego i wysztafirowany, siedzący obok kierowcy gość, zapytał przez uchyloną szybę:

– Do wzięcia?

– Tak – odparł obywatel Żyrardowa bez namysłu, po czym zreflektował się i dodał: – Ale nie mam papierów.

– Nie masz?

– Nie.

– Więc czemu leziesz na giełdę?

– Żeby zrobić interes.

– I co ty żądasz?

– Milion! – wypalił desperacko żyrardowski motocyklista.

– Proszę bardzo. – Wysztafirowany strzelił zatrzaskami czarnej skórzanej aktówki i zaczął wręczać zaszokowanemu młodzieńcowi pieniądze w paczkach, z których każda opasana była banderolką. Dziesięć tych paczek przyjął młodzieniec, upychając je we wszystkich czterech kieszeniach spodni. Tymczasem Wysztafirowany odebrał mu delikatnie harleya, włożył sobie na głowę jego sfatygowany kask i rzuciwszy parę niezrozumiałych słów kierowcy białostockiego fiata, oddalił się szybko.

Fiat też zniknął niebawem, i odkryty, wystawiony na spojrzenia milicjantów młodzieniec, zaczął się pocić: co ja najlepszego

zrobiłem?! Zaraz mnie zwiną!

Dotarł do rogu wybrukowanej kamieniami przecznicy, nasłuchując, czy nie jadą za nim niebieskie patrole. W uszach szumiało od okrzyków, nawoływań, pogrózek; zawodził alarm, ktoś ryczał: „Stój!” Nagonka brała go w kocioł. Koniec! Kropka! Znajdą pieniądze i dostanie dziesięć lat, albo wmieszają go w jakąś brudną aferę i powieszają!

Skręcił w kolejną, wystębnowaną kocimi łbami przecznicę. Rozsądek podpowiadał, że w żadnym wypadku nie wolno mu biec. Nie wolno mu również patrzeć za siebie! Ale spojrział. Odwrócił głowę i spojrział, ulegając natychmiast ogromnemu, rozsadzającemu piersi szczęściu – nie było budy, nie było milicjantów; nikt nie zagrażał jego złotej i bogatej wolności, jego niespodziewanej i słodkiej fortunie, której ucisk wyczuwał na lędźwiach i pośladkach.

Szalona radość uległa nagle zmąceniu. A jeśli ten buc nie kłamał? Jeśli naprawdę zamierzał kupić junaka? W uszach grał mu teraz dobrze znajomy pomruk steranego motoru – tylko patrzeć, jak go zobaczy! Buc wpadnie w szal! Wrzaśnie: „Gdzie mój harley!?” – po czym da mu w zęby i zawlecze na milicję.

Dostrzegł taksówkę, która wracała chyba z pogrzebu; dwie kobiety w czerni, w opadających na twarze tiulowych woalkach, wysiadły przed domkiem, którego balkon podparty był czterema krągłymi kolumnami; podszedł do szofera.

– Na dworzec.

– Jaki?

– Centralny.

Szofer pokręcił dużym, łysawym łbem akcentując, iż pozornie intratny kurs koliduje z jego napiętym rozkładem zajęć.

– Stara z obiadem czeka na Bielanach, a przedtem muszę podrzucić klienta.

– Płacę podwójnie.

– Wskakuj pan!

Usadowił się na tylnym siedzeniu. Paczki sterczały na udach, więc przysłonił je połami kurtki. Kierowca wciąż kręcił z dezaprobatą łbem i przyglądał mu się w retrowizorze

z uporczywą ciekawością, ale kiedy taksówka minęła Chomiczówkę i nabrała szybkości, młodzieniec przestał się niepokoić. Rozparty wygodnie, ukołyszany jazdą i ogarniającym go uczuciem ulgi, snuł radosne projekty na przyszłość. Trzeba strzelić sobie w jakiejś knajpie obok dworca setę, a przy okazji wejść do ustępu i porozmieszczać rozsądnie w spodniach i kurtce szmal. Milion! I nie ma kradzieży, nie ma przestępstwa! Nikt nigdy nie dowie się o aferze. Dwieście tysięcy wpłaci na PKO, resztę zadołuje i będzie odtąd udawał przed rodziną i chłopakami, że oszczędza, zbiera grosz do grosza na nowy motor albo i samochód. Co jakiś czas dołoży do swojego konta w banku stówę i nikogo to nie zdziwi. Na horyzoncie nie było żadnych chmur. Młodzieniec przeżywał teraz w całej pełni swój cudowny, niczym nieskażony stan niebiańskiego uniesienia.

W podobnym nastroju wracał do Łodzi Kopyto, wybrawszy tym razem inną drogę: przez Sochaczew i Łowicz. Śpiewał fałszywie skoczną piosenkę z czasów okupacji: „Spod serca chap, chap, słonina i schab!”, popularną w robotniczym mieście do połowy lat pięćdziesiątych, chętnie wywrzaskiwaną na różnych pijackich uroczystościach, a potem raz na zawsze zapomnianą. Gustaw nie znał jednak żadnego aktualnego przeboju, nucił ją więc, pokrzykiwał, pohukiwał, lekko było mu na sercu i przyjemnie, wywiązał się bowiem ze wszystkich poruczeń Bernarda – zdobył niepozorny, lecz krzepki jednocylindrowy czterosuw, nie zostawił po sobie żadnych śladów, nie spisał żadnej umowy, nie wymienił żadnego adresu, nieznane było nikomu jego nazwisko, nie zaczepiła go ani razu milicja, no a obok legalnej karty rejestracyjnej pojazdu drzemało sobie słodko w kieszeni Gustawa dwieście nienaruszonych tysięcy, z których nie zamierzał zwrócić ani grosza. Tyle właśnie dał za junaka i już! Będzie na malarzy, będzie na tapetę! Kto wie, może z czasem kupi nawet ten lokal od emeryta powsinogi, aby dziecko rosło w dobrobycie, no i żeby żona była uśmiechnięta, a on wolny od ciągłych jej utyskiwań i gderań.

Było jeszcze wcześniej; postanowił wjechać do miasta dopiero z nadejściem zmroku, skręcił więc w wąską, leśną ścieżkę za

Strykowem i podciągając lekko do góry sztorcowy kluczyk, wyłączył motor. Leżał tam nieopodal w trawie inny jednoślad: jawa, której właściciel szukał, być może, grzybów lub ukojenia w ramionach kochanki. Szewc, rezygnując z odpoczynku i papierosa, wyjął z torby francuski klucz i w ciągu dwóch minut pozbawił jawę tabliczki rejestracyjnej, po czym uciekł niezwłocznie.

Kilka kilometrów dalej zjadł w przydrożnej restauracji sutą kolację, kazał sobie zawinąć w papier pęto kiełbasy i z braku lepszej rozrywki zajął się obserwacją kelnerów. Dwie następne godziny spędził w brzozowym zagajniku u granic Łodzi. Drzemał trochę, potem kontemplował wciąż jeszcze błękitne niebo, po którym żeglowały pojedyncze pierzaste obłoki. Wzbierał chłód, cienie drzew wydłużały się z każdą chwilą; dogasające słońce błysnęło nieraz zza konarów jak latarnia morska. Błysk, krótki refleks na mchu i białej korze, i znowu tajemniczy, fioletowy zmierzch wiosennego dnia.

Coś drgnęło w nieczulej szewskiej duszy. Noc nadchodzi cichym, skradającym się krokiem i tak samo nadejdzie kiedyś śmierć. Nie ma żadnej śmierci, nie ma! Wskoczył na sprężynującą kanapę pojazdu, wykołował na szeroki asfaltowy pas i niebawem wchłonęła go łuna betonowej dżungli.

Jechał Zgierską i Obrońców Stalingradu. Przemknął pod wiaduktem kolejowym, ściał tory tramwajowe i wpadł w aleję Unii. W oddali, nad stadionem sportowym, gorzały arogancko i dumnie cztery słupy elektrycznego oświetlenia; wybuchał raz po raz i zacichał stopniowo grzmot ludzkich głosów – groźny, głuchy, podobny do zwielokrotnionego ryku lwa w kamiennym wąwozie. Po obu stronach ulicy, u krawężników i na chodnikach stały tysiące samochodów. Zatłoczony był również parking pomiędzy hotelem kolejarzy a płotem ogródków działkowych. Gustaw podprowadził jednak motocykl do klatki, w której leżał płasko na wyprostowanych łapach ogromny wilczur o czarnym grzbiecie i spłowiłym podbrzuszu.

Wstał na widok Gustawa, dopadł prętów i zamerdał ogonem. Zaskowyczał cicho, patrząc na szewca dużymi, dociekliwymi

ślepiami. Bernard byłby z pewnością zdziwiony zuchwałością Gustawa, który bez obawy pogłaskał wyprężony łeb wilczura lewą ręką, prawą zaś wepchnął mu w pysk pęto soczystej kiełbasy.

– Jedz, piesku – powiedział. Klepnął bak junaka i dodał: – Pilnuj dobrze, to moje!

Znali się widać od dawna: jeden drugiego darzył sympatią i zaufaniem, w każdym razie szewc spokojnie ulokował motocykl za ścianą klatki, do której przylegała drewniana krawędź rozmontowanego kiosku. Chwycił kierownicę, kopnął dwójkę i szarpnął junakiem do tyłu, stawiając go na metalowych podpórkach. Wyciągnął ze stacyjki sztorcowy kluczyk, a potem przewłókł wydobyty z torby łańcuch przez obręcz tylnego koła, owinął nim narożny pręt klatki i zamknął na kłódkę.

Robota była skończona. Od ulicy i od parkingu junak pozostawał teraz niewidoczny. Ktoś wścibski mógłby go wprawdzie wypatrzeć przez siatkę od strony ogródków działkowych, nie wzbudziłoby to jednak w nim podejrzeń.

W pół godziny później zmęczony, lecz szczęśliwy szewc zajechał emzetką pod drzwi swojego parterowego mieszkania w śródmiejskim domu i od razu położył się spać.

O tej samej porze zasypiał również w odmętach niewygodnego drewnianego łoża młodzieniec z twardym żyrardowskim akcentem. On także przeżywał chwile treściwego szczęścia.

Trzecim szczęśliwym człowiekiem był wysztafirowany osobnik z Białegostoku, trzydziestopięcioletni playboy o niewyczerpanych zasobach finansowych – tak obrzydliwie bogaty, że nawet w szafie trzymał tylko szmal i żona prowadziła z nim wciąż pertraktacje, aby udostępnić jej przynajmniej jedną półkę na majtki i bieliznę pościelową. Gość ten przesiedział do północy w cieszącym się zasłużoną renomą warsztacie znajomego mechanika, z którym, jak się to mówi, można było konie kraść, pod warunkiem wszelako, iż były to konie mechaniczne. Uzgodniono, że zrobiony na oryginał cesarz asfaltowych dróg zostanie trochę odkształcony, przemalowany, wyposażony w nowe białe siodełka, nowe numery seryjne i kilka innych

buzerów, dzięki czemu nigdy nie zostanie rozpoznany, choćby brano go ze wszystkich stron pod lupę.

Widzimy więc, że sędziwy harley-davidson przyniósł tego dnia solidną porcję szczęścia aż trzem pocziwym obywatelom – szewcowi z Łodzi, młodzieńcowi z Żyrardowa i playboyowi z Białegostoku. Nie każdy jednak może być szczęśliwy – trzech pocziwych obywateli zawdzięczało swoje szczęście nieszczęściu czwartego pocziwego obywatela, niejakiego Piotra Słowikowskiego, który mieszkał w Tuszynku i pochodził z badyłarskiej rodziny. Piotr Słowikowski powtarzał całą niedzielę z uporem, iż drogocenny pojazd skradła mu na skutek perfidnie wyreżyserowanej prowokacji okoliczna szpana łobuzów – wskazywał ich kolejno palcem na posterunku milicji, a że coś pomieszało mu się w głowie, wskazał również palcem tego, który był podobny do Gustawa i który w świętym przekonaniu chłopca bezpośrednio wprowadził motocykl.

W tej sytuacji krąg poszukiwań zawęził się wyłącznie do tuszyńskich lasów i harley nigdy nie został odnaleziony. Niektórzy mówili złośliwie:

– Na biednego nie padło.

Jan T. pojechał z księdzem do ambasady polskiej w Ciudad de Mexico. Ambasada funkcjonowała przy wąskiej i krótkiej uliczce Calle de Cracovia, od której odgradzał ją mur i zdobne drewniane drzwi w kolorze ciemnego mahoni. Za drzwiami, które mogłeś przekroczyć po naciśnięciu dzwonka i rzuceniu w megafon swojego nazwiska, rozpościerało się po prawej stronie patio ze starannie przystrzyżoną trawą, z kilkoma eksplodującymi w niebo palmami i z kilkoma białymi ogrodowymi meblami, przywodzącymi na myśl surrealistyczne obrazy pewnego katalońskiego ekscentryka.

Karykaturzysta usiadł na jednym z owych niewygodnych białych krzeseł, a ksiądz wszedł do budynku głównego i spędził tam około dziesięciu minut. Wróciwszy, dotknął czoła karykaturzysty, aby uczynić na nim znak krzyża i powiedział:

- Idź, synu, w imię Boga.
- Z kim będę rozmawiał?
- Z konsulem.
- Miły gość?
- To jest dyplomacja, synu. Nikt nie padnie przed tobą na kolana z bukietem kwiatów.

Karykaturzysta zgrzany, spocony i zestresowany przykładowie, zniknął w klimatyzowanym pomieszczeniu, do którego wprowadził go uprzejmie indiański portier o lśniących włosach i naiwnej pucołowatej twarzy. Chłód ściał artystę do szpiku kości, a urzędnik za biurkiem obniżył temperaturę o kilka dodatkowych stopni, świdrując Jana T. bladymi, wypranymi ze wszelkich uczuć oczyma.

- Proszę! - Wskazał mu głęboki skórzany fotel.

Jan usadowił się w nim i sięgnął odruchowo po papierosy, podczas gdy jego wzrok trafił na uczeponą ścianę tabliczkę: JEŚLI MOZESZ, POWSTRZYMAJ SIĘ OD PALENIA!

Urzędnik czytał w myślach karykaturzysty z wprawą oficera śledczego.

– Zaraz każę podać popielniczkę – podpuszczał. – Niech się pan nie krępuje.

– W żadnym wypadku! – zaprotestował Jan.

– Więc przejdźmy do rzeczy. Ksiądz Białecki opowiedział mi z grubsza pańską historię, ale kilka faktów będę musiał zapisać.

Imię i nazwisko. Imiona i nazwiska członków rodziny. Rok urodzenia. Zawód. Wykształcenie. Przebieg pracy twórczej w Polsce. Przebieg pracy twórczej za granicą. Jaką drogą opuścił ojczysty kraj. Kiedy. Dlaczego. Obozisk rekreacyjny w Austrii. Kontakty. Pseudonimy. Zapomogi. Darowizny. Honoraria. Sezon w Kanadzie. Aklimatyzacja w Stanach. Krótki życiorys drugiej żony. Rozwód. Kolaboracja z periodykami polonijnymi. Pijaństwo. Awantura w knajpie. Leczenie odwykowe. Zawał. Więzienie. Ucieczka do Meksyku. Sprawy paszportowe. Aktualny adres. Poprzednie miejsce zamieszkania. Zasoby pieniężne. Długi. Zobowiązania. Samopoczucie. Zdrowie. AIDS. Wenera. Narkotyki. Korespondencja z przyjaciółmi i potomstwem. Gwarancje. Referencje. Znajomości.

Tkwiący za biurkiem urzędnik zadawał wszystkie te pytania niedbałym, towarzyskim tonem; uśmiechał się, ale tylko połową ust; mrużył niby to przypadkiem oko, jakby chciał powiedzieć: przestań mi zalewać, bracie! W ogóle nie robił dobrego wrażenia, a już w żadnym wypadku nie wyglądał na dyplomatę. Był młody; jeśli nawet stuknęła mu trzydziestka, nie podkreślał tego zachowaniem i ubiorem – sandały, dzinsy tandetnego kroju, flanelowa rozchełstana pod szyją koszula i piejący na głowie kędziorek, który przypominał w brzydki sposób Janowi fotografię młodszego syna.

Jedynie blade, nieruchome, pozbawione ciepła i ekspresji źrenice, groźne nawet wtedy, gdy przysłaniała je, niby to żartem, lewa lub prawa powieka (oj, nieładnie tak mataczyć, drogi panie!), kazały wierzyć, iż mamy tu do czynienia z fachowcem. Szperał przy tym w mózgach petentów z niebywałą intuicją.

– Pan się dziwi? – zapytał.

– Czemu?

– Mojemu strojowi?

- Ależ skądże znowu – zaprzeczył osłupiały Jan.
- Wracam akurat z lotniska – ciągnął swoje pracownik konsulatu. – Krawat i garnitur odstrasza ludzi, którzy wolą trzymać się z daleka od wszystkiego, co pachnie urzędem. W tym ubraniu natomiast budzę zaufanie.
- Czyje? – Jan ponownie sięgnął po papierosy i ponownie powstrzymała go tabliczka z wytwornym dwujęzycznym apelem: JEŚLI MOŻESZ, POWSTRZYMAJ SIĘ OD PALENIA!
- Jak to: czyje?! Rodaków. Polaków. Chłopców z Białegostoku, z Łomży, z Suwalskiego, pojedynczych ochotników z Elbląga i Bydgoszczy, studentów z Warszawy i Lublina, szaleńców, którzy nie otrzymawszy wizy amerykańskiej, przylecieli do Meksyku, aby wynająć kojota i przeschmuglować się pod jego opieką na teren Stanów Zjednoczonych, gdzie czeka już na nich robota w garkuchniach, kotłowniach i szambach. Nie wspomniał o tym panu ksiądz Białecki?
- Wspomniał – przyznał niechętnie karykaturzysta. – Lecz co to ma wspólnego ze mną?
- Ja mówię tutaj mimochodem – oświadczył sucho urzędnik, podkreślając wyrazem twarzy, iż wcale nie mówi mimochodem. – Ja mówię tylko dla przykładu. Oni ciągną do rajów przez pustynię Sonora albo przez graniczną Rio Bravo, lecz los coyotes wystawiają ich często meksykańskiej policji i ja muszę ich wówczas ratować, wspomagać, wydobywać z tego czy innego więzienia w Tijuanie, w Piedras Negras, w Nuevo Laredo lub Ciudad Juarez splukanych, skrachowanych, wyczyszczonych do ostatniego centa i zrozpaczonych, marzących wyłącznie o tym, aby wrócić czym prędzej do Polski, co nie jest znowu takie proste, bo kto ma niby zapłacić za bilet?
- Ze mną w tej kwestii nie będzie problemów. Dysponuję odpowiednią kwotą pieniędzy...
- No, ja myślę! – zauważył zgryźliwie urzędnik. – Artysta, wzięty dziennikarz, człowiek, który spędził kilkanaście lat na emigracji i pracował w najbogatszym kraju świata, nie pojedzie chyba u schyłku życia do biednej ojczyzny w charakterze

nędzarza, żeby wsiąść na kark dzieciom, które kiedyś porzucił, i wyłudzić rentę od parszywych bolszewików.

Jan spłoszował.

– Pan mnie obraża!

Urzędnik przyglądał się chłodno pięknej, uduchowionej twarzy starca o lubieżnych wargach, nastroszonych siwych brwiach i krótkich, gęstych jeszcze, choć białych jak kreda włosach, sterczących na głowie niczym szczotka. Milczał. Widząc, że petent znowu chwyta za kieszeń, mruknął:

– Śmiało, śmiało!

– O co chodzi?

– O pański nałóg. Żałuję, że nie mogę poczęstować pana wódką, jednak pod tym względem ambasador jest szalenie zasadniczy.

– Nie prosiłem o alkohol.

– Więc może papierosa?

– Dziękuję uprzejmie.

– Głupstwo. – Urzędnik uśmiechnął się lewym, ruchliwym kącikiem ust, ale reszta twarzy była sztywna, jakby ją odlano z gipsu. – Moc kłopotów przysparzają nam każdego tygodnia nasi kochani kompatrioci. Gubią dokumenty, wdają się w bójki, wynajmują pokoje w drogich hotelach i chcą, żebyśmy płacili za nich rachunki; z języków obcych znają tylko polszczyznę, i to kiepsko. Tu, w dystrykcie federalnym, jest areszt dla Polaków. Chodzę tam nieraz, żeby im podrzucić mleko, owoce, pieczywo, jakąś wędlinę... Wie pan, gdzie mieści się biuro Polskich Linii Lotniczych?

– Nie.

– Przy Paseo de la Reforma. Niczego nie przyrzekam, ale będę rozmawiał w pana sprawie z Warszawą.

Jan zdziwiony był tą nieoczekiwaną zmianą frontu. Rzekł z gwałtowną, niepoahamowaną wdzięcznością:

– Jestem panu ogromnie, ale to ogromnie zobowiązany!

– Spełniam tylko swoją powinność – zakomunikował obojętnie pracownik konsulatu. – Nie wiadomo zresztą, co z tego wyniknie. Trzeba czekać na decyzję władz.

– Długo?

- Różnie. Parę dni albo i parę miesięcy. - Wręczył Janowi w dwóch palcach wizytówkę. - Niech pan dzwoni do mnie od czasu do czasu. Jeśli wyrok będzie dla pana pomyślny... - zawiesił głos i mruknął z przekąsem: - Artystom wiele się dzisiaj wybacza... to pójdzie pan do LOT-u przy Paseo de la Reforma i zarezerwuje pan bilet. - Wstał. - Do widzenia panu.

- Do widzenia! - Przełknął ślinę. W głowie błysnęła zuchwała myśl: muszę się napić! Bąknął w drzwiach: - Gdybym umarł tej nocy, to ze szczęścia. - Nagłym, zaskakującym gestem chwycił dłoń dyplomaty i wycisnął na niej pocałunek.

Zapalił rozdygotanymi rękami papierosa i pochylił się nad białym ogrodowym krzesłem, które okupował ksiądz w czarnej sutannie i czarnym zawadiackim kapeluszu o szerokich kresach. Znowu pocił się wszystkimi porami wydelikaczonego ciała; wyprężone tropikalnym słońcem patio było jednak najpiękniejszym miejscem na ziemi; staruszek w duchownych szatach był najpiękniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał, a krzepka, kwitnąca pod murem juka o długich, szablitych liściach była najpiękniejszym drzewem, jakie kiedykolwiek oglądał.

Pucołowaty Indianin stał na ganku ambasady i patrzył z zachwytem, jak jeden siwy starzec przykłada do ust rękę drugiego siwego starca, który zdjął na chwilę kapelusz i wachlował się jego skrzydłem.

- Dobre wieści przynosisz, synu?
- Chyba tak.
- Bogu Najwyższemu niech będą dzięki!
- Przywróciłeś sens mojemu życiu, ojcze!
- Nie zapominaj jednak o duszy!

Portier otworzył przed nimi furtkę w mahoniowych wrotach; po wschodniej stronie Calle de Cracovia czekał parafialny ford o blaszanym dachu i drzwiach wykonanych z imitacji drewna. Kiedy wsiedli, ksiądz włączył klimatyzację i znowu dało się oddychać.

We wtorek około południa Kopyto podjechał tramwajem na rynek przy placu Niepodległości, przeszedł wolnym, leniwym krokiem obok straganu Bernarda, ominął halę, wyszamotał się z tłumu i pomaszerował ulicą Wólczańską do najbliższego rogu, po czym zawrócił i stanął twarzą w twarz z byłym ekonomistą.

Tak to wcześniej uzgodnili; szewc zachował się bez zarzutu i Bernard nagroził to uśmiechem.

– Kupiłeś?

– Kupiłem.

– Co?

– Junaka 350. Jednocylindrowy czterosuw; kanapa, biegi, opony i hamulce w porządku.

– Szybkość?

– Sto dwadzieścia.

– Spalanie?

– Trzy i pół; jak się przygazuje – cztery.

– Parking?

– Bezpieczny.

– Gdzie?

– Zobaczysz.

– Benzyna?

– Zatankowałem po drodze.

– Ile dałeś?

– Za benzynę?

– Nie. Za motocykl.

– Dwieście.

– Akurat! – Bernard uśmiechnął się po raz drugi, ale trochę inaczej. Powiedział: – Rutyna jest taka, że należałoby wyciąć seryjny numer spawarką i dospawać inny numer, pochodzący z jakiegoś trupa, który poszedł już na cmentarzysko, ale dokumenty zostały.

– Nie trzeba nic robić – oświadczył autorytatywnie szewc. – Nikt mnie nie zapamiętał, bo byłem w kasku – kłamał. –

Wepchnąłem funflowi zastaw i zwiąłem, że to niby muszę sprawdzić motor. Niczego nie podpisywałem, a numer seryjny to już ktoś usunął przed nami.

– Dowód rejestracyjny wzięłeś?

– Tak.

– Pokaż.

Gustaw wyjął zniszczony kartonik, a Bernard obejrzał go i schował do kieszeni.

– Na razie zostanie u mnie.

– To i lepiej – zgodził się szewc.

Później nie było już między nimi zgody. Sporny punkt planu pozostał punktem spornym; Kopyto powtarzał z uporem, że nie weźmie udziału w bezpośredniej akcji. Owszem, da parnę, podrzuci motor w pobliże, lecz dalej to niech prowadzi Bernard lub Jacek – obydwaj potrafią przecież pokierować junakiem.

– Mnie jest potrzebny rasowy, szybki motocyklista, a nie dzieciak bez prawa jazdy.

– Prawo jazdy nie będzie sprawdzane na kilometrowym odcinku. Sprawdzane będą wasze nerwy.

– Zastanów się jeszcze nad tym, Gustaw.

– Co ja się będę zastanawiał. Ja chcę żyć.

Pomaszerowali każdy w swoją stronę. Szewc wsiadł w tramwaj, aby czym prędzej wrócić do warsztatu, Bernard powlókł się na targowisko zdenerwowany i zniechęcony. To nie ma sensu, to jest szaleństwo – myślał. A jakiś głos podszeptował: Sens mają właśnie rzeczy szalone. – Taki skok nie może udać się amatorom. – Przeciwnie, tylko nienotowany amator może wykonać ten skok bez zwrócenia na siebie uwagi. – Nie wolno mi narażać brata, nie wolno łamać mu życia, nie wolno skazywać go na ryzyko złej sławy i długoletni pobyt w więzieniu. On powinien natychmiast uregulować swoje stosunki z fizyczką, z belfrem od polskiego, i przystąpić do matury. Ja tam muszę pojechać, i to zaraz!

Jacek wszedł do klasy i zajął miejsce w trzeciej ławce środkowego rzędu – nie siedział już bowiem w pierwszej ławce obok drzwi z kolegą Waldemarem Manolem, synem wybitnego chirurga. Nie, już z nim nie siedział! Byli pokłóceni od czasu sławnej awantury z profesorem Idiotą, kiedy to trwała dyskusja na temat Sienkiewiczowskiej trylogii i podrażniony Wicher wpakował Manolowi nos w oczodoły. Nie znaczy to przecież, iż Wicher był całkowicie pozbawiony towarzystwa. W trzeciej ławce środkowego rzędu towarzyszyła Wichrowi koleżanka Rozwadzińska.

– Boję się, boję!

Tego pięknego wiosennego dnia nie było lekcji. Tego pięknego wiosennego dnia klasa o profilu biologiczno-chemicznym w liceum, któremu patronował wybitny pisarz, oczekiwała z niepokojem na werdykt rady pedagogicznej: kto został dopuszczony do egzaminów maturalnych, a kto nie! Szesnaście dziewcząt i osiemnastu chłopców z rodzin bogatych, średnio bogatych, zasobnych i ustosunkowanych popatrywało na drzwi, nie tracąc raczej poczucia humoru.

– Boję się, boję!

Koleżanka Rozwadzińska, dziewczuszko nieco otłuszczone, wywodziła się z kręgu dyktatorów mody, co jednak nie miało dodatniego wpływu na jej notowania – groziły biedaczce lufa z historii i lufa z polskiego, a więc repeta czwartej klasy. Zafrasowana, spocona, wierciła się w ławce niczym skazaniec, którego poproszą za chwilę na szafot.

– Boję się, boję! – powtarzała omdlewającym głosem gwiazdy filmowej, którą skądinąd zamierzała zostać po ewentualnym uzyskaniu świadectwa dojrzałości. Dyktatorzy mody działali już w szkole aktorskiej z właściwą sobie finezją i było wielce prawdopodobne, że przysadzisty kopciuch przekroczy ten próg.

Trąciła Jacka łokciem:

– A ty się nie boisz?

- Nie.
- Kłamiesz! Wszyscy się trochę boją.
- Manol się nie boi! - zawył z ostatniej ławki pryszczaty chłopak.
- Michalak się nie boi! - wrzasnęła szczupła dziewczyna o prowokująco dużym biuście.
- Od Michalaka, Storczykowska, to ty się trzymaj! - odwrzasnął zainteresowany; był synem dyrektora wielkiej spółki polonijnej i cała ta heca z maturą zaczynała go już lekko nużyć.
- Zda to zda, a nie zda to mazda - zażartowała niejaka Iwona Cymer.
- U kogo popijawa?
- U Borkowskiej.
- W żadnym wypadku!
- Jak mnie dopuszczą, popiję sobie ze starym.
- A ja rąbnę sobie zaraz po wyjściu ze szkoły! - oświadczył zuchwale tęgi, łysiejący przedwcześnie młodzieniec, i na dowód, że nie jest to czcza przechwałka, wydobył z kieszeni piersiówkę.
- Kolega Manol doszedł do wniosku, że inicjatywa wymyka mu się z rąk; wstał zatem i huknął:
 - Słuchajcie, opowiem wam fakt autentyczny!
 - Wal, stary, byle krótko!
 - No więc jest taki doktor nauk medycznych, Eustachy Truń; prowadzi zajęcia ze studentami, oblewa jednego chłopaka i ten chłopak postanawia się zemścić. Dzwoni do Eustachego wieczorem i leci w dialog: „Czy mogę mówić z panem docentem Trułem?”. Owszem, przy telefonie, tyle że ja nie jestem docentem, a doktorem”. „To co się, dzwonie, nie uczysz!”
- Klasa zawyła uszczęśliwiona, łysiejący młodzian potrząsnął piersiówką, ale w tym samym momencie szczęknęła klamka i w drzwiach pojawiła się twarz pani profesor od fizyki.
- Wstali jak na komendę. Spodziewali się raczej swego wychowawcy, biologa, nie miało to jednak nic do rzeczy.
- Manol meldował przytomnie:
 - Serdecznie witamy, panią profesor!

Pani profesor nie odpowiedziała. Pani profesor była jakby trochę zagniewana i smutna. Jej zdecydowanie brzydka twarz kontrastowała jaskrawie ze zdecydowanie zgrabną sylwetką czterdziestoletniej eleganckiej i zadbanej kobiety, która rości sobie pretensje do życia, Tym razem jednak chyba o nich zapomniała. Manol i cała reszta klasy, w której dogasała powoli wesołość, zdawali się nie interesować pani profesor, aczkolwiek szperała po twarzach, najwyraźniej kogoś szukając. Zatrzymała wreszcie wzrok na Jacku, który wstał jako ostatni i usiadł jako pierwszy, chociaż nie padła komenda: spocznij!

– Pozwól ze mną – powiedziała.

Wicher wystąpił z ławki i zapytał:

– Gdzie?

– Na korytarz.

– Po co?

– Nie bądź gburowaty. Zobaczysz.

Strzeliły za nimi drzwi. W klasie znowu wybuchnął harmider, ale zacichał, kiedy oddalali się lochem pomiędzy dwiema wysokimi ścianami – on i ta zdenerwowana, brzydka kobieta, której obcasy wzniecały echo na kamiennej posadzce, stukotając i stebnując serce chłopca trwogą.

– Źle?

Stali u parapetu okna z widokiem na piaszczyste szkolne boisko, zaciągnięte do połowy cieniem, i kobieta przytaknęła:

– Źle!

– Polonista?

– Powiedział, że cię nie puści. Postawił na szali cały swój autorytet: on albo ty! Ubliżyłeś mu, zszargałeś narodowe świętości...

– Nieprawda!

– Zachowałeś się jak łobuz i cham. Uderzyłeś na lekcji kolegę, pozwoliłeś sobie na niewczesne żarty.

– Pani profesor!...

– To jest jego opinia, nie moja. – Dostrzegł łzy w bladych, małych, zezujących oczach; był wzruszony, a ona mówiła: – Próbowałam cię bronić; wycofałam dwóję, oświadczając, że

złożyłeś egzamin z całego kursu fizyki i że moim zdaniem język polski stanowi akurat twoją mocną stronę, lecz on był nieprzejednany i poparła go cała rada pedagogiczna. Nie przepadają za tobą nauczyciele, Jacku!

– Wiem.

– Co zrobisz?

– Nic.

– Jak to: nic? Powinieneś apelować!

– Gdzie?

– W kuratorium.

– Nie wpuszczą mnie nawet za drzwi.

– Wpuszczą. Masz dziesięć dni na zaskarżenie decyzji rady. Idź tam z bratem! Napisz dobrze umotywowane podanie, pomogę ci w tym; w ogóle stanę po twojej stronie.

– Dziękuję pani, ale to jest sprawa beznadziejna.

– Trzeba próbować.

– Nie wierzę w efekt.

– Walcz!

Jeszcze niedawno myślał, że szkoła wcale go nie obchodzi. Porwanie samolotu, skok, przygoda, awantura! Teraz było mu czegoś żal. Ogromnie żal! Los wziął wiraż i popędził w niebezpiecznym kierunku. Ta kobieta, ściskając go kurczowo za ramię, mówiła prawdę – wróżyła, przewidywała, roztaczała ponurą panoramę przyszłości. Jeśli teraz nie ukończy szkoły, nie zrobi tego już nigdy. Stoczy się, zdeprawuje; będzie przeklinał ten dzień!

– Pójdę do kuratorium – powiedział.

Kobieta odetchnęła.

– Oczywiście, że tak! Jest wielu gorszych uczniów od ciebie, a przecież wszystkich dopuścili, wszystkich! Michalaka, Borkowską, Cymer...

– Rozwodzińską też?

– Też.

– Warunkowo czy do matury?

– Do matury! Ona ma przecież zamożnych rodziców, a ty jesteś sierotą. Poza tym jesteś najmłodszy w klasie...

Znowu uroniła łzę. Pewnie była w nim trochę zakochana, ale co z tego?! Miał ochotę przytulić się do niej jak do matki.

– Pójdę do kuratorium! – powtórzył.

W tym samym momencie piętro niżej rozległ się wrzask:

– Zaraz zawiadomię milicję, łajdaku!

– Sam żeś pan skurwysyn i łajdak! – odwrzasnął znany Jackowi głos.

– Jeszcze jedna zniewaga!

– I nie ostatnia!

Czyjeś obcasy zaczęły rozbijać kamienne progi schodów; trzasnęły za kimś masywne szkolne podwoje.

– To mój brat! – szepnął Jacek i uśmiechnął się raptem.

– Zrobił jakąś awanturę?!

– Na pewno.

– Chodź, chodź! Zobaczymy, co się stało.

Kiedy stanęli przed pokojem nauczycielskim, dyrektor, szpakowaty pan z sumiastym, szlacheckim wąsem, pochylał się współczująco nad profesorem Idiotą. Pytał:

– Dzwonić?

– Nie. – Kręcił łysą głową polonista.

– Ależ drogi kolego! Przecież on pana usiłował przekupić, i to w mojej obecności, tak jakby się spodziewał, że i ja. Hmm... mógłbym ewentualnie...

– A nie mógłby pan?

– W żadnym wypadku!

– Więc po co dzwonić?

– Pchnął pana, żeby nie powiedzieć: uderzył!

– Lepiej jednak nie nadawać temu rozgłosu.

– Skoro tak pan sądzi...

– Właśnie tak sędzę, panie dyrektorze! Najważniejsze jest dobre imię szkoły.

– Tu się zgadzam!

Obaj czcigodni mężowie, kolega Heńka i szlachciura z sumiastym wąsem, byli bardzo zaaferowani, nie zauważyli więc ani pani profesor, ani Jacka, który odciągnął w porę kobietę od uchylonych drzwi.

- No, to chyba raczej kuratorium nie wchodzi już w grę -
parsknął chłopak.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i zgrozą.

- Cieszysz się?

- Bez urazy, pani profesor, jestem pani za wszystko bardzo
wdzięczny, ale...

- Co?

- Koniec.

- Ano, koniec. Twój brat...

- Niech pani nie mówi źle o moim bracie.

- Chcę tylko powiedzieć, że się trochę pośpieszył.

- I tak nic by z tego nie wyszło. - Chwyił ją za ręce i pocałował
w uperfumowany policzek. - Myliłem się co do pani. Jest pani
piękną i szlachetną kobietą. Na zawsze zachowam panią
w pamięci, ale teraz muszę już iść.

Zbiegł ze schodów i nie oglądał się, bo wiedział, że ta kobieta
płacze. Bernard czekał w samochodzie u bramy i palił, dygocąc
z wściekłości.

- Daj i mnie! - powiedział Wicher. Wziął papierosa i dopiero
wtedy wsiadł. - Jedź!

- Dokąd?

- Za róg.

- Po cholerę?

- Czas, abyś wprowadził mnie w temat!

- Nie będzie żadnego skoku!

- Będzie. Jak nie z tobą, wytnę jakiś numer sam, bez fachowego
braterskiego nadzoru.

- Dobra - rzekł Bernard. - Przekonałeś mnie. - Ruszył
i zaparkował w przecznicy.

I zaczął mówić.

Francis James Moliński przyjechał nieoczekiwanie w czwartek, a więc wcześniej, niż zapowiedział. Gejsza westchnęła, słysząc poprzez trzaski w membranie jego radosny śpiew – do Warszawy musi wrócić dopiero w poniedziałek wieczorem!

Poszli do kina, przespacerowali się Piotrkowską, wypili kawę w „Ratuszowej”. Gdy zapadł zmierzch, Gejsza grzecznie, ale stanowczo odmówiła propozycji udania się do pomieszczeń Szkota w Grand Hotelu. Nie zaprosiła go również do domu, innym razem! „Spatif”!

Tego dnia łódzka miss miała na sobie błękitny kombinezon z bufiastymi rękawami, białą apaszkę, czerwoną klamrę we włosach prostych, lśniących jak polerowane złoto, no i długi, biały lniany sznur, którym przepasała się w talii.

Nie, doprawdy, nie wolno robić takich numerów! Ładne dziewczyny są podobno ozdobą towarzystwa, ale kiedy trafi się nieraz dziewczyna piękna, towarzystwo natychmiast zaczyna cierpieć – żony popatrują czujnie na mężów, mężowie stają się opryskliwi dla żon, samotne kobiety życzą łajdaczce nagłego zgonu, twierdząc, że jest kurwą albo idiotką, albo aferzystką, albo lesbijką, albo syfilityczką w trzecim nieuleczalnym stadium choroby; samotni panowie, jeśli tylko nie brak im odwagi, kombinują, jakby tu pannę poderwać; chłopcy marzą o cichym ustępie, brzydule złorzeczą niebiosom i tak dalej – następuje straszliwe zamieszanie, natura rzeczy zostaje zakłócona, porządek świata pada na pysk; wybuchają bójki i waśnie, młodzieńcy wywołują awantury, byle zwrócić na siebie uwagę. Nie! W żadnym wypadku nie powinno się wpuszczać pięknych dziewcząt do lokali użyteczności publicznej. **WSTĘP WZBRONIONY!**

Stara aktorka, siorbiąc przy stoliku przed kominkiem zupę, przyglądała się Gejszy z chłodnym profesjonalnym zainteresowaniem, natomiast młodą krakowską aktorkę, znaną z kilku filmów i kilku telewizyjnych sztuczydeł, trafił po prostu

szlag – reżyser, z którym jadła kolację, stracił jakby do niej estymę i ślepił na Gejszę bez żenady! Odsunął talerz i zapalił papierosa; wiercił się drań, snując na pewno w swoim niecnym mózgu jakieś wredne projekty.

- Podoba się! Podoba! – syczała.
- Daj spokój!
- To przestań mi ubliżać!
- A co ja niby takiego zrobiłem?
- Lekceważysz mnie!

Gejsza zdjęła apaszkę i włożyła ją do torebki. Wiedziała, że goście obserwują każdy jej ruch. Zawsze tak było! Gdziekolwiek by weszła, mężczyźni gotowi byli drzeć się o nią pazurami, kocury przekłete! Dlatego właśnie nie lubiły jej kobiety. Nie miała koleżanek – skończyły się, kiedy zrezygnowała ze szkoły. Chwilami podejrzewała o zazdrość własną matkę; ilekroć przytulała się do ojca, oczy matki lśniły wrogo i złośliwie; szpiegowała ich, kiedy zostawali sami w pokoju; uważała, aby nie trzymali się na ulicy za ręce.

- *Something wrong?*
- Nie, wszystko w porządku.

On też był wściekle zazdrosny! Sięgnął z cierpiętniczą miną do kieszeni i postawił przed nią buteleczkę perfum Zibeline.

- Od Christera.
- Podziękuj mu. – Znowu musiała otworzyć torebkę.
- Jakiej w zasadzie wody używasz?
- Miss Dior.
- Kupię ci!
- W żadnym wypadku! – powiedziała. I pomyślała: no, pachnidłem, bracie, to się nie wymigasz.
- Masz jakieś inne życzenia?
- Chciałabym jak najszybciej stąd wyjść.
- I gdzie pójdziemy?
- Każdy do swojego łóżka.
- Za wcześnie jeszcze, abym mógł zasnąć. – Usłyszała ton rozczarowania w jego głosie. – Obiecywałaś, że zaprosisz mnie do domu.

– I zaproszę cię.
– Kiedy?
– W sobotę. – Odsunęła krzesło i założyła nogę na nogę. –
Takeśmy się umawiali, mój drogi.
– Pokochasz mnie?
– Nie wiem.
– Bardzo bym tego pragnął. – Zaczerwienił się i dodał: –
Dzwoniłem wczoraj do Glasgow i rozmawiałem o tobie
z rodzicami.
– To miłe z twojej strony, James, ale nie rób sobie zbyt wielkich
nadziei. Nie jestem pewna, czy chcę wyjść za mąż, chętnie
natomiast obejrzę z tobą pornusa.
– Pornusa?
– Yes. It's stimulating.
– Oglądasz tego typu filmy?!– *From time to time* – mruknęła i przeciągnęła się jak kotka. –
Z dobrym mężczyzną można konie kraść w każdej pozycji.
Szkot, który przedtem był czerwony, przy czym nie chodzi tu
raczej o jego orientację polityczną, pokraśniał o dalsze dwa
tony – przypominał faceta, który zapił setką wódki pastylkę
antikolu.
– Niedobrze ci, skarbie?
– Dobrze.
– No widzisz! Nie trzeba wcale się żenić, żeby mieć w życiu
trochę frajdy.
Nie był tym razem w garniturze, był w swetrze, i pomyślała, że
jest dość sympatycznym facetem. Polskie geny! Wyprała go
z płytkiej warstwy sentymentalizmu i gość przeistoczył się
w rasowego ogiera. Wiedziała, że nie marzy teraz o ckliwej,
romantycznej miłości; chciał kopulować. Pod prysznic i wio! Ale
poczekaj, chłopcze. Po raz drugi przyszło jej na myśl, że krótka
wycieczka do Szkocji nie powinna jej zaszkodzić, byle tylko
trzymać na dystans mamusię i tatusia. Mamusia i tatuś bacznie
przyjrzą się kandydatce na synową i z miejsca zaczną ją ustawiać,
a tego to ona nie zniesie. *Leave me alone, please! I'd like to have*

a rest. Poza tym wszystko OK. No, są jeszcze te dziurki w nosie, zbyt głęboko wyżłobione i porośnięte czarnymi kłaczkami!

Odczuwała pragnienie silnej, szczerzej i wiernej miłości, ta nie przychodzi jednak na zawołanie; Szkot nie wznieci w niej płomienia czystych uczuć, nie ma nawet o czym gadać! Wypiła filiżankę żurku na szynce, którego barwa i smak sugestywnie przypominały wyciąg z hotelowego ręcznika. „Spatif” podupadł ostatnio; zmienił się zarząd; rozpędzili jedną zgraję cwaniaków, żeby dać szansę drugiej. James żuł bez przekonania bryzol; towarzyszący popularnej aktorce mężczyzna, zapewne jakiś reżyser, wyznawał jej zamglonym od alkoholu wzrokiem podziw i dozgonne oddanie, co najwyraźniej nie zachwycało filmowej gwiazdy. Gejsza wyprostowała ramiona i poprawiła fryzurę; nieskrępowany stanikiem biust zarysował się dokładnie i słychać było jęk storturowanych męskich dusz. Francis James Moliński dociekał:

- Odwiedzisz mnie w Glasgow?
- Niewykluczone.
- Od czego to zależy?
- Od tego, czy się przypadkiem nie zakocham.
- Masz kogoś na widoku?
- No, no, *I have not!* – zaprzeczyła niecierpliwie Gejsza.
- Więc czemu nie zakochasz się we mnie?
- Bo za dużo o tym gadasz.
- Przepraszam.

- Nie szkodzi. – Skinęła na kelnerkę i zażądała rachunku, przypominając sobie jednocześnie kelnera z „Malinowej”: cienka szyja, mała główka, ale gość formatowy, jak mawiają w dyrektorskich kręgach.

- Teraz ja! – pospieszył obywatel Zjednoczonego Królestwa.

- Nie wygłupiaj się! Tysiąc pięćset złotych to jest tutaj osiemdziesiąt centów.

Zapłaciła i wyszli. Zawiozła go do Grand Hotelu, po czym wróciła do domu i nim zasnęła, obejrzała odcinek sensacyjnej serii. W nocy dręczył ją erotyczny głód.

Bernard i Jacek mieli spotkać się z szewcem o piątej rano u bramy pracowniczych ogródków działkowych na Karolewie i kiedy przyjechali tam z minutowym opóźnieniem, Gustaw czekał już na nich.

Bernard otworzył mu tylne drzwi.

– Wsiadaj!

– Po co?

– Nie udawaj idioty! – Łypnął wściekle na masywną sylwetkę szewca: w głowie błysnęła myśl, że zdefraudował. Ale, nie! Gustaw ubrany był „motorowo”: wiatrówka na ciepłym swetrze i buty z wysoką cholewką; w ręku zniszczona torba na ekspres; u wargi wisiał jak przecinek papieros bez ustnika. – Jedziemy po junaka, szybko!

– Nie potrzeba nigdzie jechać.

– Gdzie go zostawiłeś?

– Tu. – Wypluł i rozdeptał papierosa grubą gumową podeszwą.

– Nie widzę! – Bernard znowu był wściekły.

– Zaraz zobaczysz.

Kopyto wyjął z wiatrówki jakieś zawiniątko i ku osłupieniu Bernarda podszedł do klatki z wilczurem. Pies wstał, przeciągnął grzbiet, zapierając się o ziemię wszystkimi łapami, następnie rozwarł pysk gotów chyba zaszczekać lub zawyć.

Uduszę kretyna! – przyrzekł sobie starszy syn karykaturzysty. Strzelił okiem w drzwi hotelu kolejowego, gdzie stacjonował również posterunek Milicji Obywatelskiej. Spał hotel, spała milicja; w krzakach i drzewach u torów śpiewały ptaki, od strony Zgierza wtaczał się na stację pociąg. Gustaw tymczasem klepnął poufale psisko w mordę, dał mu coś do jedzenia i zginął za klatką, do której przylegała zielona ściana rozmontowanego kiosku.

Po raz trzeci albo i czwarty z rzędu Bernard stwierdził, że słusznie zaufał szewcowi. Oto i motor! Wilczur zaskowytał na pożegnanie, zaś Gustaw podprowadził do samochodu junaka,

który był w dobrym stanie, bez numerów rejestracyjnych na przednim błotniku, z tyłu znaczyła go kwadratowa tabliczka.

– Wal! – powiedział Bernard.

– Przez Brzeziny? – Sięgnął do torby po sfatygowany kask.

– Tak, ruszamy za tobą.

Szewc dotknął palcem wolnej części siedzenia i rzucił spojrzenie Jackowi.

– Lepiej, żeby on pojechał ze mną, to się po drodze otrzaska.

Dowód rejestracyjny!

– Znam te graty – rzekł chełpliwie Jacek.

– Chcesz prowadzić od razu?

– Dlaczego nie?

– Bo nie! – zainteresował starszy brat. – Spróbujesz za miastem. – Podał szewcowi zniszczony dokument.

Jacek włożył granatowy kask, opuścił samochód i złapał Gustawa w pół obiema rękami.

– No to cześć!

– Cześć! – mruknął Bernard. – Szczęśliwej podróży.

Chwilami ginęli mu z oczu, a kiedy zbliżył się do nich przed wyjazdem na autostradę, zauważył z nagłym skurczem serca, że kaski zamieniły się miejscami.

Mecenas Andrzej W., niedoszły profesor prawa i niezrealizowany do końca działacz partyjny, obudził się rano w kałuży potu.

Co za idiotyczny sen! „Wchodzi do jakiegoś pokoju z ciężarną żoną szewca i ona zaczyna odpinać mu rozporek. Protestuje bez przekonania. Mówi:

- Nie.
- Tak.
- Czemu?
- Bo to się panu słusznie należy.

Czuje w ustach jej gorący, tłusty język. Jest podniecony, ma erekcję.

- Będziesz rodzić niedługo.
- To nic.
- A mąż?
- Un pozwolił. Tyłem, tyłem, żeby brzuch nie przeszkadzywał.
- Dziecko może na tym ucierpieć.
- Ale!

I kocha się z nią, jakoś dziwnie jednak, nie do końca. Coś zagradza drogę do wilgotnego, miękkiego celu. Ona jęczy:

- Dalej nie, nie! Pokaleczy się pan, tam są szpilki”.

Wziął prysznic; włożył szlafrok i usiadł w kuchni nad kawą. Wciąż jeszcze drżał. Ten sen nie był wcale tak absurdalny. Freud przesyła panu ukłony, mecenasie! Wczoraj minął ją na podwórzu. Bez broszki przecież! Bez broszki! Lecz to, co odbiło się kiedyś na kliszach pamięci, wróciło w szerokiej perspektywie. Może jednak istnieje jakaś wyższa, ponadludzka sprawiedliwość? Może Joasia domaga się pomsty?

Westchnął. Samotni ludzie przemawiają często do siebie, a jeszcze częściej prowadzą ze sobą głośne, kłótliwie dysputy:

- Uczciwy człowiek zawiadomiłby milicję.
- Nie, w żadnym wypadku. Dosyć milicji, dosyć przesłuchań.

Makabra skończyła się dwadzieścia trzy lata temu. Joasi należy się

spokój.

- Mordercy też należy się spokój?
- Skąd wiadomo, że on jest mordercą?
- Nawet jeśli nie jest, trzeba to sprawdzić.
- Takich broszek może być więcej.
- Bzdury! Matka otrzymała ją od babki, a babka od rosyjskiej prababki.
- Więc mam jeszcze raz zrujnować sobie życie? Jeszcze raz rozpętać wokół siebie piekło?
- Jeśli chcesz dobrze spać, musisz to zrobić.
- Nie muszę! Brak mi sił i odwagi. Niedługo skończę pięćdziesiąt lat.

Buntował się całym sercem i duszą. Życie nie nastęrczało wielu powodów do radości, ale biegło wreszcie bezkolizyjnym torem. Nie doczekał się żony i dzieci, nie zakochał się powtórnie, nie utrzymywał przyjaznych kontaktów z kobietami, stronił od kolegów, rzadko odwiedzał rodzinę, jednakże praca dawała mu ogromną satysfakcję. Wyspecjalizował się w trudnych, nieraz beznadziejnych sprawach. Bronił z pasją morderców, zabójców, gwałcicieli, wyrzutków ładu społecznego, zdesperowanych prostytutek, próbując doszukać się w ich losach maszynierii upadku. Brał zdrowe, uczciwie zarobione pieniądze, nigdy natomiast nie przyjmował łapówek. Palestra patrzyła na niego zezem. Palestrze niemiły był Chrystus w todze. Palestrę prześladowało podejrzenie, że w czystych, chłodnych oczach Andrzeja płoną potępienie i pogarda. No i teraz wyniknął ten moralny dylemat: szewc, szewcowa i broszka, która przecież mogła znaleźć się w ich posiadaniu przypadkiem – mogli ją kupić, mogli ją podnieść z chodnika, mogli ją dostać od prawdziwego mordercy.

- Boże, poradź mi! – prosił były towarzysz partyjny. – Co mam robić?

Lecz Bóg milczał, a jeśli nawet przemówił, Andrzej głuchy był na jego podszepty. Odpowiadał zatem sam sobie:

- Nic nie robić! Nic! Nic! Nic! Nic! Nie rozgrzebuj grobu, nie dotykaj ran! Precz z łapami!. Zostaw prochy w spokoju! Ona chce

odpocząć!

Staął w oknie i spojrzał na motocykl zaparkowany u drzwi warsztatu. Pewnie jeszcze śpisz, szewczyno – pomyślał i nagle owładnęło nim złe przeczucie, że tak czy owak ich drogi skrzyżują się prędko.

Dyrektor instytucji zajmującej się dystrybucją środków płatniczych złożył na czole żony rytualny pocałunek i opuścił dom w pogodnym nastroju. Mruknął na głos, bo też lubił dialogować ze sobą:

– Pięć do przodu! – Zwrot ten, wymyślony samodzielnie, uważał za wyjątkowo udany. Coś Nadzwyczajnego! Pięć do przodu! W filmie można by to sprzedać – upajał się pocziwy dyrektor, ale raptem drzwi blokowego mieszkania odskoczyły i sopran żony dogonił go na parterze:

– Jureczku!

Zawahał się. Mógł czmychnąć, przeważyło jednak długoletnie przyzwyczajenie:

– Taaak?

– Pamiętasz o Grzelakach?

– Oczywiście! – Wieczorem mieli być na kolacji u powiatowego prominenta.

– Więc nie zapomnij również o podaniu! Słyszysz?!

– Słyszę!

Drzwi trzasnęły, ale nim wszedł do garażu, otworzyło się okno, zawsze bowiem, kiedy mężowie się spieszą, żony zasypują ich gradem poleceń i żądań.

– Kwiaty! – krzyknęła żona przytłumionym głosem.

Nie zrozumiał i rozłożył ręce:

– Co?

Zwinęła dłoń w trąbkę i przystawiła do ust przeświadczona, że w ten sposób mąż usłyszy, a do sąsiadów nie dotrze ważny przykaz.

– Róże dla Grzelakowej. Nie żałuj!

– Ano, tak! Róże dla Grzelakowej. – Wyprowadził z garażu samochód, jeśli w ogóle trabanta można nazwać samochodem. Z kwiatami dla prominentowej nie będzie kłopotu, poleci to sekretarce, lecz podanie musi niestety zredagować sam. Nie lubił tego typu literatury. Wzdragał się przed pisaniem, które powinno

być krótkie i logiczne, no i poprawne stylistycznie, bo w przeciwnym wypadku narazi się na wstyd. „Z uwagi na odpowiedzialne funkcje, które sprawuję w powiecie i konieczność posługiwania się samochodem w licznych wyjazdach w teren w celu...” Źle! Beznadziejnie! Trzeba od razu do rzeczy! Zapalając silnik tekturowego pudła, dyrektor katował swój nieszczęsny mózg: „Uprzejmie proszę o przyznanie mi asygnaty na skodę albo fiata 125p, dzięki któremu...” a może: „dzięki którym”?... Nie! „którym” stwarza sugestię, że ubiegam się o dwa samochody! Jak to sklecić, do ciężkiego diabła!? Ruszył spoglądając na zegarek. Była godzina 7.45.

W lesie u granicy powiatowego miasta Kopyto wytarł wilgotną szmatą wszystkie metalowe części junaka i umocował z tyłu kradzioną tabliczkę. Zrobił to prowizorycznie. Pracował w gumowych rękawicach. Dowód rejestracyjny był już niepotrzebny, spalił go i roztarł buciorem. Kask, rękawice i starą tabliczkę wpakował do torby. Zatkanął sobie w ustach papierosa. Czekał. Tymczasem Bernard minął miasto i most nad wąską, zatrutą jadem fabryk rzeczką, aby oswoić brata z terenem, na którym przyjdzie im działać.

Dwieście metrów za mostem była piaszczysta ścieżka odbiegająca stromo od szosy po wysokim nasypie i wijąca się dalej pośród łąk wzdłuż koryta rzeki. Były tam również po drugiej stronie ścieżki szuwary i bagna, a w nasypie był tunel z betonowych okrągłaków połączony z kanałem melioracyjnym.

Bernard mówił, Jacek słuchał, zadając od czasu do czasu pytania. Potem wrócili do lasu, w którym zostawili Gustawa i Bernard udzielił szewcowi ostatnich wskazówek.

Dyrektor nie pojechał do swojej instytucji, zajmującej się dystrybucją środków płatniczych, zatrzymał natomiast samochód przed drzwiami placówki o podobnym profilu. Placówka ta panoszyła się w pofabrykanckiej willi, odrestaurowanej niedawno i pokrytej szarym tynkiem – piękny budynek, funkcjonalny; gotyckie okna, obszerny hol, wyłożone dębową boazerią gabinety na piętrze, luksus, jednym słowem, Europa! Dyrektor nie był człowiekiem zawistnym, ale bolało go serce z powodu tej wrzeszczącej niesprawiedliwości. Morawiec w pałacu, a on ze swoim licznym personelem w niskim kamiennym bunkrze, którego zakratowane ślepie przypominały poznany kiedyś w Tworkach blok dla paranoików.

– Witam pana dyrektora!

– A witam, witam! – Wygramolił się z samochodu i podał rękę kasjerowi, nie zwracając uwagi na poufałość pozdrowienia. – Pięć do przodu! – powiedział, była bowiem za pięć ósma i kasjerowi należała się pochwała za punktualność. – Waldowskiego nie ma?

– Idzie. – Kciuk kasjera odskoczył w bok, żeby pokazać, skąd nadchodzi Waldowski; była w tym pogarda młodego trzydziestoletniego człowieka, który dokształcał się na wieczorowych kursach i piastował ambicje.

Dyrektor nie żywił jednak do nikogo pogardy; świat jest piękny, ludzie są dobrzy; Bóg zesłał mu ku przestrodze chorobę wieńcową i zabronił palić, kochał jednak i Boga. Kochał powiatowe miasto, którego stare przedwojenne domki i wysprzątane do czysta ulice lśniły w promieniach wiosennego słońca; kochał żonę, kochał studiującą w stolicy córkę, kochał nawet swego tekturowego trabanta. Czemu zatem miałby nie kochać podeszłego wiekiem konwojenta, który od wielu lat był mu druhem i który stał teraz przed nim z ponurą, żółtawą twarzą nieszczęśnika utyskującego na owrzodzenie przewodu pokarmowego i przewidującego uparcie, iż niebawem będzie z tego nowotwór.

– Czołem, panie Kazimierzu!
– Czołem – odburknął niewyraźnie Waldowski; zabrzmiało to raczej jak: „Ołym”.

– No, to do dzieła!

Weszli we trzech do wyremontowanego siedliszcza krwiopijcy (o fabrykancie mowa, nie o dyrektorze Morawcu) i odebrali na zapleczu pieniądze w pięcio- i dziesięciotysięcznych banknotach. Kasjer liczył i kodował na kartce. W krótkich pauzach przyglądał się drwiąco chudej, wypacykowanej, pachnącej tytoniem i tanimi perfumami koleżance po fachu.

– Dwójek pani nie ma?

– Nie mam, panie Mareczku. Carmenka?

– Rzuciłem to świństwo – rzekł wyniośle młodzieniec, któremu oprócz zdrowych ambicji przyświecała myśl o zdrowych płucach.

– Będą kłopoty z wypłatą.

– Ale pan, panie Mareczku, da sobie radę – zawyrokowało nie najmłodsze już dziewczę i buchnęło mu w nos rakotwórczym dymem. Ludzie tej samej profesji przyciągają się: aktor do aktorki, lekarz do lekarki; kasjerka nie miała nic przeciwko temu, aby zespolić los z rokującym nadzieje kasjerem. – Autograf!

Kasjer podpisał i zaczął wrzucać pieniądze do skórzanego, zamykanego na klucz sakwojażu ze złotymi okuciami.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

– Ukłony dla dyrektora Morawca! – mruknął dyrektor siostrzanej, lecz podlejszej w sumie instytucji.

Opuścili willę fabrykanta. Dyrektor usiadł przy kierownicy, a kasjer i konwojent z tyłu. Silnik zaskoczył, tekturowe pudło zadrżało z oburzenia, że znowu ktoś je zmusza do wysiłku i po kilku metrach ogłosiło strajk całkowity.

Akcja, ludzie i hipotezy są jedynie tworem bogatej wyobraźni autora!

Dyrektor manipulował ssaniem i przekręcał raz po raz klucz w stacyjce, motor zaś stwarzał pozory, że już! już! ma zamiar ustąpić woli człowieka, po czym krztusił się przekornie i popadał w suche ataki kaszlu.

- Która godzina? – zapytał konwojent.
- Piętnaście po ósmej.
- Trzeba chyba wziąć go na pych.

Kasjer, który, podobnie jak szef, ubrany był w garnitur, białą koszulę i krawat, posłał mu mordercze spojrzenie. Na pych! Cwaniaczek! Darmozjad! Te pieniądze mógłby przenieść sam: pieszo, bez niczyjej pomocy. Eskorta była akurat potrzebna jak dziura we frontowym zębie. A cóż to, do jasnej cholery?! Ameryka?! Gangsterzy?! O napadzie na bank nikt jeszcze w tym mieście nie słyszał i nikt nigdy nie usłyszy, po co więc bawić się w wielki świat?

Wysiadł, aby pchnąć razem z konwojentem szczytowe osiągnięcie wschodnioniemieckiej myśli technicznej, ono zaś postanowiło spłatać Polaczkom figła i nim dotknęli je swymi niecnymi rączkami, zaczęło rytmicznie pulsować.

Pozbawiony opieki Bernarda szewc przeżył krótkie chwile niepewności, kiedy przyszło mu poprowadzić samochód przez miasto. Ale centralna, przelotowa ulica była pusta. W zatoczkach, u krawężników i na chodnikach parkowały pojazdy, nie było jednak ruchu na drodze, żadnych możliwości wypadku, zatem Gustaw oswajał się z każdą sekundą. Rozparty za kierownicą peugeota, z papierosem w zębach, bez kasku już i bez wiatrówki, które wpakował za oparcie i przykrył wyrobami z teksasu, zaczął smakować przygodę.

Miła rzecz, takie pudło! Wiatr nie szarpie, nie spycha na pobocze, zimno nie przenika do szpiku kości, co daje się we znaki motocyklistom nawet w ciepły dzień. Trzeba by pomyśleć z czasem o jakimś maluchu lub syrence – niezależnie od tego, jak skończy się dzisiejsza heca! Nie będzie przecież woził żony z dzieckiem na tylnym siedzeniu emzetki, bo to paradne, no i grozi rodzinie śmiercią.

Minął most na rzece. Zgodnie z instrukcją Bernarda pojechał prosto – drogą, która wiodła ku stolicy i którą kilka kilometrów za mostem przecinała z północy na południe inna asfaltowa droga, biegnąca wzdłuż brzegów rzeki do nieznanym szewcowi miast. Był bystrym obserwatorem i szybko dostrzegł to, co najważniejsze: połączony z kanałem melioracyjnym tunel pod nasypem warszawskiej szosy.

Dobrze zapamiętał sobie ten punkt. Minął go, po czym skręcił w drogę południową; zawrócił i pojechał obok bagien i szuwarów na północ; znowu zawrócił, aby ponownie znaleźć się na drodze warszawskiej, i od tej pory krążył między tymi trzema drogami, zawracając tylko wtedy, gdy w pobliżu nie było innego pojazdu. Cały czas był w ruchu. Cały czas, kontrolując sytuację na szosie, wpatrywał się również w widoczne za mostem centrum miasta – w kamienny bunkier o zakratowanych oknach, który przywodzi na myśl pewnemu skromnemu, cierpiącemu na serce dyrektorowi blok dla paranoików w Tworkach.

Obydwaj bracia byli już w kaskach, obydwoj mieli na dłoniach gumowe rękawice, a w luźnych kieszeniach spodni załadowaną broń. Junak stał na skwerze nie opodal jezdni, w odległości stu metrów od banku – widzieli jego zakratowane okna i beztrząsco otwarte drzwi, którymi nikt nie wchodził i nikt nie wychodził. Bank nie przylegał bezpośrednio do ulicy; prowadził do niego kolisty asfaltowy podjazd z kilkoma wydzielonymi miejscami parkingowymi na obrzeżu. Jedno z tych miejsc, tak zwana koperta przecięta dwiema krechami białej farby, przykuwała nieustannie uwagę Bernarda; tylko od czasu do czasu starszy brat rzucał spojrzenie na widoczny w oddali most.

Młodszy brat, Jacek, siedzący w czerwonym kasku u kierownicy i podkręcający lekko gaz, pocił się na całego. W drodze do tego fatalnego miasta, kiedy prowadził motocykl, przemarzył solidnie, teraz jednak było mu gorąco; miał spieczoną, zeszywniałą od tremy wargi i ani kropli śliny pod językiem. Odczuwał mdłości; nieznośnie swędziały go pachy i uda. Marzył o papierosie, w kasku były to jednak marzenia nierealne. Marzył więc o innych rzeczach – o tym, żeby być teraz z dala od tego cholernego grajdołu: w szkole, w nudnym domu, na nudnej łódzkiej ulicy. Z dala! Z dala! Za każdą cenę! Mógłby nawet zrezygnować z Gejszy i z Meksyku! Ale za plecami na podwyższeniu kanapy tkwił nieruchomy, silny, zdesperowany, gotowy do czynu brat i Jacek wiedział, że nie ma odwrotu.

– W nogi – dobiegł go spokojny, zniekształcony głos.

Jacek kiwnął głową i powtórzył tym samym zniekształconym poprzez plastikową osłonę głosem:

– W nogi.

– I tylko w ostatecznym wypadku.

– Jasne! Która godzina?

Bernard spojrział na oblepiony gumą nadgarstek; cyferblat był nieczytelny, więc odpowiedział:

– Nie wiem. Spóźniają się chyba.

– Mogą w ogóle nie przyjechać?

– Mogą.

Oby nie przyjeżdżali! – modlił się Jacek. – Boże! Oby tak się stało!

Ulicą przetoczył się zaprzęgnięty w perszerona wóz. Węglarz zerknął na nich, strzelił z bata, aby dodać koniowi wigoru, i splunął. Zerwał się wiatr, zawinął papierami na skwerku, zaszumiał w drzewach i ucichł. Uciszyło się również na chwilę serce Jacka.

Nadzieja przybierała na sile. Oby nie przyjeżdżali, dobry Panie Jezu! Chciałem tego, ale teraz już nie chcę, więc... oby nie przyjeżdżali! Spraw to, Panie Jezu! Spraw!

- Pięc do przodu! - odsapnął dyrektor prowincjonalnego kantoru. - Wsiadajcie, chłopcy!

Chłopcy wsiedli i tekturowe pudło, prywatna własność dyrektora, ruszyło ku swojemu straszliwemu przeznaczeniu. Skromny, schludnie ubrany dyrektor prowadził uważnie. Przepuścił na skrzyżowaniu spieszące do szkoły dzieci, darował życie psu, który zaplątał się między koła; w ogóle był wzorem kierowcy dżentelmena: uśmiechnięty, spokojny, pobłażliwy dla zmotoryzowanych i pieszych. Nie zaklął i nie zdenerwował się, kiedy ulicę zatarasował mu furgon - zawalidroga.

- Poczekamy, poczekamy! Jedź, chłopie, z Bogiem! - mruknął.

Kasjer był innego zdania:

- Drań!

- Dlaczego zaraz drań?

- Nie po łuku bierze zakręt, dyrektorze. Ścina! Głowę dam, że jest w sztok pijany!

- Tak czy owak. trzeba go przepuścić - rzekł pogodnie dyrektor. Przyhamował i z nogą na sprzęgle wrzucił luz. Podanie! Musi zredagować podanie! „Ze względu na okoliczność, iż bardzo często zmuszony jestem przewozić pieniądze i konwojentów własnym środkiem transportu (dobrze, dobrze! należy zapamiętać ten zwrot), zwracam się z gorącym apelem (znakomicie!) o pomoc w uzyskaniu...”

- Wal pan po chodniku, dyrektorze!

- W żadnym wypadku!

- Pan zobaczy: on się zaparł tylnym kołem o krawężnik. Szkapisko nie uciągnie.

- Uciągnie.

- Dochodzi dziewiąta!

- Trudno.

Węglarz zebrał z flegmą cugle i zdzielił konia batem w tłusty, zmatowiały od potu kłęb. Wielka gumowa opona wpełzła mozolnie na chodnik i furgon był przez moment niebezpiecznie

przechylony, niebawem jednak odzyskał równowagę i odjechał bez pośpiechu.

- Pięć do przodu! - krzyknął radośnie dyrektor. - A po chodniku i tak bym nie poleciał, drogi panie! Nigdy nie łamię przepisów.

Dyrektor łamał jednak przepisy. Przepisy mówią wyraźnie, że jeśli przewozi się sumę powyżej dziesięciu milionów złotych, w operacji powinno uczestniczyć co najmniej trzech uzbrojonych strażników. Skąd wszelako miał wziąć tylu ludzi biedny dyrektor? I po co ta pompa? W powiecie nigdy nie było napadu na bank. Podobnie jak kasjer, tak i dyrektor nie wierzył w gangsterów. Wszędzie, ale nie tu, w praworządnym socjalistycznym kraju. Pancerny wóz byłby doprawdy przesadą!

Trabant skręcił w centralną ulicę i przystanął na środku jezdni przed kamiennym bunkrem. Dyrektor mógłby w gruncie rzeczy od razu wjechać na asfaltowy pas, prowadzący bezpośrednio do drzwi kantoru, powstrzymał go jednak widok zbliżającego się z naprzeciwka motocyklisty. Wrzucił lewy kierunkowskaz i czekał. Tłumaczył:

- On jest po prawej stronie i ma wedle przepisów pierwszeństwo. Przepisy kodeksu drogowego obowiązują mnie nawet wtedy, gdy chodzi o wózek dziecięcy lub rower.

- Ale ten drań wlecze się, dyrektorze!

- Nie szkodzi.

- O! Zgasł mu chyba.

- No to w drogę!

Wkołował dyrektor na kolisty podjazd i zaparkował na kopercie u drzwi kantoru. Nadjeżdżający wolno motocykl ani przez moment nie zaabsorbował jego uwagi. Pięć do przodu! Jak to było z tym podaniem? Wyciągnął klucze ze stacyjki. Strażnik o śledzienniczych policzkach już wysiadł; kasjerowi nie pozostawało nic innego, jak zadośćuczynić wymogom regulaminu i podać mu wypchany pieniędzmi sakwojaż.

Jakby to była jakaś przyjacielska sztafeta, Bernard podbiegł i wyjął strażnikowi sakwojaż z dłoni. Zrobił to lewą ręką, w prawej ręce miał rewolwer. Odbiegał już, kiedy kasjer, za którego odwagę nikt by nawet nie dał pięciu groszy, rzucił się niby rasowy bramkarz i chwycił go za stopę. Dyrektor omdlał w trabancie i szukał gorączkowo nitrogliceryny. Jednocześnie rozszczekał się rewolwer Jacka. Dosiadający junaka chłopak mierzył w nogi kasjera, ale pierwsza kula poszła w asfalt, druga roztrzaskała próg betonowego krawężnika, łączącego podjazd z kopertą, trzecia i czwarta natomiast wylądowały w brzuchu nieszczęsnego prowincjusza. Bernard był wolny; biegł w stronę junaka, tymczasem młodszy brat wystrzelił dwie ostatnie kule. Strach gdzieś zniknął, zafascynowała go podskakująca w ręku broń i blask odpalanych pocisków.

Schował paraneę, podkręcił gaz. Bernard rozkraczył już nogi, zobaczył jednak pistolet w dłoni strażnika. Teraz to już nie ma rady – pomyślał i rąbnął raz za razem strażnikowi w serce.

– Jedź!

– Nie pierdol! – wrzasnął zdenerwowany Wicher.

Wyprysnął na ulicę i ruszył w kierunku Warszawy. Polonez o miejscowych znakach rejestracyjnych opuścił parking i ruszył w przeciwnym kierunku, jego właściciel bowiem, człek o wysoce rozwiniętej świadomości społecznej, nie chciał mieszać się w żadne kłopotliwe sprawy – nie chciał ścigać, nie chciał zeznawać, nie chciał oglądać swojego nazwiska w gazetach. – Nic nie widziałem! Tak będzie lepiej i już!

Nitrogliceryna podziałała. Mimo silnego bólu za mostkiem dyrektor wczołgał się na klęczkach do banku. Próbował krzyknąć, ale brzmiało to zaledwie jak szept:

– Pogotowie! Milicja!

– Co się stało, panie dyrektorze?

– Napad, trupy! Nie zadawajcie głupich pytań!

Lecz kontrolerka zadała mimo wszystko kolejne głupie pytanie, jako że kantor dysponował tylko jedną linią telefoniczną:

– Gdzie najpierw, panie dyrektorze, dzwonić: na milicję czy na pogotowie?

– Powiedziałem, do ciężkiej cholery: pogotowie, milicja!

– Hanka, dzwoń na pogotowie!

– Już!

– Panie Zdzisiu, na ulicę!

Sparaliżowany emeryt, zatrudniony na pół etatu w charakterze woźnego-detektywa, nie krył swego świętego oburzenia:

– Dlaczego akurat ja?

– A dlaczego nie?

– Mogą jeszcze trachnąć!

– Chryste! – Kontrolerka zmierzyła go nienawistnym spojrzeniem, w którym była także cała fura pogardy. – Mężczyzna!

– Za piętnaście tysięcy nie będę bawił się w mężczyznę – odparł spokojnie emeryt. – Sama pani się baw!

– Szlag niech cię trafi, skurwysynu! – Kontrolerka wybiegła z banku. To, co zobaczyła, przeszło jej najkoszmarniejsze domysły. Wróciła i zawyła histerycznie: – Szybko, szybko! Ambulans!

– Jadą!

– Bierz komendę!

Komenda zgłosiła się natychmiast.

Stojący na czele komendy kapitan podjął kilka błyskawicznych decyzji. Było to niejako działanie w natchnieniu. Opierając się na przekazanych mu telefonicznie informacjach, nie marnował czasu i nim udał się na miejsce zbrodni, włączył do akcji wszystkie zmotoryzowane siły, jakimi aktualnie dysponował. Radiowozy poleciały na Warszawę, a także biorąc pod uwagę, że za mostem droga warszawska przecięta była inną drogą, część radiowozów otrzymała polecenie wszczęcia pościgu w kierunkach północnym i południowym. Zaalarmowane zostały niezwłocznie władze centralne z prośbą o ścisłą blokadę ciągów komunikacyjnych w trzech wymienionych rejonach. Zbrodniarze mieli zatem znikome szanse. Wszędzie czekały na nich rozpostarte sieci; czarny junak, aczkolwiek nikt nie zapamiętał jego numerów rejestracyjnych, był w pięć minut później obiektem poszukiwanym przez całą armię milicjantów. Poszła w eter wiadomość o czerwonym i granatowym kasku, o sakwojażu ze złotymi okuciami i o broni, którą kryli w kieszeniach bandyci. Mogą strzelać! Wam wolno strzelać tylko w opony, ale nie patyczkować się pod tym względem!

Dopiero teraz kapitan pojechał z ekipą śledczą do banku. Specjaliści zbierali łuski i zabezpieczali ślady, a on rozmawiał z zszokowanym dyrektorem, który jakimś cudem, dzięki nitroglicerynie i podanemu w porę zastrzykowi, uniknął zawału. Ofiary były już w szpitalu na oddziale intensywnej terapii. Po kapitana lada moment miano przysłać z komendy sierżanta Wilczyńskiego na motocyklu marki MZ. Sierżant Wilczyński potrafił wyciągnąć ze swojej maszyny sto pięćdziesiąt; poza tym był bystry, odważny i obdarzony nieprawdopodobnym węchem.

Krążący między trzema drogami Gustaw dojrzał czarny punkt z mikroskopijnym czerwonym kapturkiem, który oderwał się od bunkra w miasteczku i rósł z każdą chwilą w oczach. Nie słyszał strzałów, lecz wiedział, że akcja, a w każdym razie zasadnicza jej część, została skończona. Skręcił z północy w drogę warszawską i ruszył wolno ku stolicy.

Jacek grzał setką. Był straszliwie zdenerwowany. Widząc oddalającego się peugeota, uniósł w górę czarną, maskującą oczy i nos szybę kasku i ryknął przez wiatr:

- Co ten baran wyprawia?!
- Nic - uspokoił go brat.
- Ucieka nam!
- Nie ucieka. Działa zgodnie z planem.
- Pierdolę taki plan!
- Przestań histeryzować, Wicher! Uważaj! Mijasz most i spadasz tą dróżką, w pole!

Jacek wykonał polecenie z niepohamowanym impetem. Tylne koło zarzuciło dwa razy na piaszczystej ścieżce, która ścinała nasyp i biegła dalej wśród zielonych majowych łąk. Bracia nie podziwiali jednak pięknych krajobrazów. Wprost ze ścieżki motocykl wpakowany został w szuwały i bagna. Zginął po nim na pozór wszelki ślad. Tylną fałszywą tabliczkę, którą Gustaw ukradł onegdaj za Strykowem jakiemuś łęczyckiemu amatorowi grzybów, zerwał Bernard jednym szarpnięciem i odrzucił daleko w wodę. Plusk.

- Za mną! - krzyknął.
- W tę pieczarę?!
- Tak.
- Mokro!

Wbiegli w tunel z betonowych okrągłaków o dnie wypełnionym strugą gruntowej wody. Dalej nie mogli już biec; musieli rozstawiać szeroko nogi i czepiać stopy o lewą i prawą stromiznę tunelu. Byli ubłoceni po kolana; w okrągłakach grało echo ich

zdyszanych oddechów. Ciągłe jeszcze mieli na głowach kaski, a na dłoniach gumowe rękawice. U wyjścia z tunelu Bernard pośliznął się i upadł.

W tym samym czasie szewc wykonał na warszawskiej drodze płynny, szeroki zakręt i zaczął wracać ku miasteczku ze wzrokiem utkwionym w ten punkt, gdzie powinny ukazać się kolorowe kaski.

Są! Wychywały spoza nasypu – najpierw granatowy, później czerwony. Gustaw przygazował, po czym, nie zatrzymując się praktycznie, otworzył braciom przednie i tylne drzwi.

Wskoczyli. Do tej pory akcja otrzymałaby zapewne celujący stopień w rankingu amerykańskich gangsterów; od tej pory natomiast amerykańscy gangsterzy zdjęliby po prostu z głów swoje szerokoskrzydłe kapelusze.

Bernard komenderował:

– Kaski!

Poszły pod siedzenie.

– Rękawice!

Poszły pod siedzenie.

– Kurtki!

Poszły pod siedzenie.

– Buty!

Poszły pod siedzenie zastąpione przez suche sandały.

– Papierosy!

Wszyscy trzej zapalili papierosy. Wszyscy trzej byli teraz w czystych kolorowych koszulkach, co sprąło z nich niejako odium zbrodni. Bernard przecesał włosy i odwrócił głowę:

– Przykryłeś sakwojaż?

– Przykryłem. – Jacek poklepał stertę wyrobów dżinsowych, spiętrzonych u lewego uda.

– Wal jakiś kawał!

– Po co?

– Żeby nas rozbawić. Nasze twarze muszą wyglądać wesoło i pogodnie.

– No więc przychodzi baba do lekarza...

- A lekarz też baba. Nie możesz wymyślić prawdziwego dowcipu?

- Pewnego razu facet zjawił się na konferencji prasowej w samych tylko kałesonach i biustonoszu...

- Mata pieniądze?! - zainteresował niecierpliwie Gustaw.

- Mamy.

- Ile?

- Cholera wie.

- Była strzelanina?

- Nie było żadnej strzelaniny - skłamał gładko starszy brat.

- Grzej równo pięćdziesiątką!

- Przecie grzeję pięćdziesiątką.

- I tak trzymaj!

Urągając wszelkiej logice, samochód wracał na miejsce zbrodni, zamiast uciekać, szedł w piekło! Na moście minęła go pędząca na złamanie karku kohorta milicyjnych polonezów i fiatów. Trzy radiowozy strzeliły ku Warszawie, dwa runęły na południe, dwa na północ.

Peugeot zbliżał się z każdą sekundą do bunkra, pod którym stało teraz mnóstwo gapiów; szewc nie dojrzał spryskanego krwią parkingu, zaniepokoił go natomiast milicjant o dystynkcjach kapitana - śledził nadjeżdżający samochód z wyczuwalnym zainteresowaniem i sprawiał wrażenie, jakby chciał go zatrzymać.

Był jeszcze czas, aby skręcić w prawo i umknąć boczną ulicą. Gustaw zamierzał trącić ramię kierunkowskazu, lecz Bernard wyciągnął rewolwer, wcisnął go pod udo i wystawiając przez krok ryjek lufy, szepnął z uśmiechem:

- Prosto, albo rozwalę ci łeb!

- Będzie wpadka!

- Prosto, prosto! I uśmiechaj się, do ciężkiej kurwy, bo rąbnę!

Szewc wyczuł siarczany swąd prochu, pomyślał swoje i zastosował się do rozkazu. W tym samym momencie kapitan uniósł do góry dłoń.

Kapitana rozpieierała żądza czynu. Wszystko, co było do zrobienia w mieście, zostało już zrobione, tymczasem od dobrych dziesięciu minut nękało oficera silne przeświadczenie, że powinien natychmiast sprawdzić melinę Grzelików: ojca i trzech drągali, którzy mieli na sumieniu kilka kryminalnych afer, a wegetowali pięć kilometrów od południowej drogi za mostem, w rozpadającym się dwuhektarowym gospodarstwie. Dlatego właśnie kapitan zawezwał do siebie z komendy sierżanta Wilczyńskiego, kierowcę zradiofonizowanej emzetki. Chłopak był świetny, jedyny na taką eskapadę: szybki, bojowy, jeżdżący w razie potrzeby jak kaskader i strzelający jak kowboj.

Gdzieś jednak zawieruszył się dzielny sierżant Wilczyński. Kapitan nie był od tego, aby pożyczyć sobie samochód od jakiegoś miejscowego obywatela, jednakowoż zmotoryzowani miejscowi obywatele, wyczuwając podłe zapędy oficera, poznikali przytomnie.

– Wsiarstwo!

Kapitan odpluł gorzką, zważoną gniewem żółć. Podejrzenie, iż może to być banda Grzelików, zamieniło się nieomal w pewność. Skoku musiał dokonać ktoś, komu znane są doskonale powiatowe obyczaje i stosunki, i komu nieobcy jest rozkład zajęć obydwu kantorów. Puszczone w bój radiowozy podążyły za królikiem, tymczasem wilk może zacierać ślady!

Wilk skojarzył się kapitanowi z Wilczyńskim i rozwścieczony oficer posłał swojemu wspaniałemu chłopakowi mięsistą wiąchę.

Niebawem jednak uspokoił się na widok zdrożonego peugeota. Prywaciarstwo! Nie lubił bądź nie zdążył jeszcze polubić prywaciarstwa. Widoczna z oddali kipiela dzinsu nie była mu w smak.

Kolorowe koszulki cwaniaków grały mu na nerwach. Normalnie, zgodnie z rutyną, milicjant patrzy na numery pojazdów, kapitan tak był wszak pogrążony w swoich rozważaniach o Grzelikach i o prywaciarstwie, że numery nie zainteresowały go zbytnio.

Zarekwiruję! – zdecydował. Mam obowiązek i prawo! Krótka przerwa wyjdzie im na zdrowie.

I wtedy właśnie uniósł do góry prawą dłoń, nie wiedząc, że jest krok od wieczności, krok od spokoju i krok od końca wszelkich śmiesznych ludzkich kłopotów, które zaśmiecają szalę na wadze Pana Boga, nie pozwalając mu odpocząć.

– Porządne chłopaki. – Peugeot zaczął wytracać szybkość, stosując się karnie do sygnału kapitana. – Niby zgniłe kapitalistyczne prywaciarstwo, a więcej przejawiają obywatelskiej troski niż ta swołocz! – Nie umknęło uwagi oficera, że wśród wozów, które zwały, były również wozy lokalnych bonzów. – Swołocz, swołocz, swołocz, swołocz! A ci, proszę! Stają!

Prawa stopa szewca krążyła cały czas między hamulcem i gazem, gotowa w każdej chwili przydusić akcelerator i staranować szlachetnego kapitana. Bernard odkręcił szybę, aby mieć czyste pole do strzału. Uśmiechał się i mruczał pod nosem:

– Jak powiem wal, to wal!

Wicher przyciskał ręką oszalałe serce. Co myśmy najlepszego zrobili?! Cośmy zrobili!? Cośmy zrobili!? Boże najdroższy, po co nam to wszystko było!?

Bernard uchylił już usta, aby rzucić szewcowi rozkaz, wszelako w tym samym momencie kapitan odszedł i wskoczył na tylne siodło milicyjnej emzetki, która wyprysnęła dosłownie w powietrze z uniesionym przez chwilę przednim kołem.

Peugeot potoczył się dalej przez powiatowe miasteczko, a potem wjechał na pustawą, spokojną drogę, gdzie tylko od czasu do czasu pojawiały się anonimowe samochody, prowadzone przez anonimowych kierowców, którym przyświecały jakieś anonimowe cele.

CZEŚĆ DRUGA

NIETOPERZE

1

Bernard zmienił spodnie i polecił Jackowi zrobić to samo. Obydwaj byli teraz w nowych, podrabianych dżinsach „Montana”, które cieszą się niezwykłym powodzeniem w kraju radzieckim, a Lwów śpiewa o nich przepojone tęsknotą romanse. „Montany” Bernarda były w sam raz, gdyż przygotował je sobie wcześniej; Jacek musiał podwinąć nogawki.

W samochodzie nastąpiło przetasowanie. Prowadził Bernard, mając obok siebie Jacka; szewc siedział z tyłu. Wypytywał:

– Kiedy przeliczymy kasę?

– Jak przyjdzie czas.

– Ale dzisiaj?

– Dzisiaj.

– Ile dostanę?

– Swoje łykniesz; nikt cię nie oszuka. Ale uważaj, Gustaw! Na twoim miejscu nie ruszałbym tych pieniędzy przez najbliższe pół roku. Na twoim miejscu zakopałbym je w tym paskudnym ogródku przy torach i nie ruszał pod żadnym pozorem, dopóki sprawa nie ucichnie.

– Zgniją! W czym je zakopię? – obruszył się szewc.

– Uszyłem dla ciebie specjalny pojemnik.

– Ze szmat?

– Ze szmat i z hermetycznego plastyku.

W oczach szewca błysnęło uznanie.

– Samowity kizior z ciebie, brachu!

– Z ciebie też – pochwalił go Bernard. Było mu lekko, cudownie, bezpiecznie; słoneczny świat za upstrzoną trupami owadów szybą wydawał się rajem; urzekały go zielone łąki i wysokopiennie lasy, urzekały eksplozje pojedynczych drzew na polach i kwiaty w ogródkach przydrożnych domów. Nie zapomniał jednak przekazać szewcowi dalszych poleceń: – Ani słowa żonie, Gustaw!

– No jużci!

– I nie znamy się od dzisiaj. Bez urazy, polubiłem cię nawet, ale kiedy przyjedziemy do Łodzi i powiemy sobie do widzenia,

przestaniemy dla siebie istnieć. Jasne?

– Jasne.

– Mijamy się na podwórku tak, jak mijają się sąsiedzi, których łączą zadawniona niechęć i pogarda.

– Butów u mnie nie będzieta reperować?

– Będziemy. Robiliśmy to dotąd, więc nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy robili to dalej. Żadnych zmian!

– Dobra. Gadamy se i gadamy, zaś tych pieniędzy może być mało – mruknął podrażniony szewc.

– Nie przejmuj się! Jest ich więcej, niż myślisz.

– Skąd wiesz?

– Trzeba było o nie strzelać.

– Mówiłeś, że nie strzelaliśta.

– Nie chciałem cię denerwować.

– Tak se właśnie kombinowałem – rzekł ponuro Gustaw. – Jak wyjąłeś w mieście kopyto, był smród, i tak se właśnie kombinowałem.

Przymknął powieki i zasnął. Mając sakwojaż u boku, nie przewidywał żadnych podstępów. Był spokojny.

– A co MY zrobimy z tym szmałem? – szepnął Jacek.

– Na razie nic – odszepnął starszy brat. – Na razie trzeba odczekać, a potem przemieścić na dolary.

– Wszystko?

– Tak. Wszystko, jednym ciągiem i jednego dnia, w miastach, które są daleko od Łodzi. Nie będzie to wcale takie proste – kupić, lecz nie rzucić się w oczy, nie dać się zapamiętać. Czy ja wiem? Peruka, okulary, broda, sztuczne wąsy; może potrzebny będzie garnitur, może sutanna, może gwizdnę komuś wóz? Mam czas, aby to przemyśleć.

– Ale w ogóle załatwisz sprawę z cynkami?

– Oczywiście. Tylko cynki, kilkunastu cynków dysponuje takim papierem w dużej aglomeracji, w Poznaniu albo we Wrocławiu, albo jeszcze lepiej w Trójmieście. Cynk gwarantuje zdrowy towar i wysoki nominal, a nam potrzebne są właśnie wysokie nominały, tak aby całość zmieściła się w podwójnym dniu mojej aktówki.

– I co dalej?

- Dalej to będziemy już poza wszelkimi podejrzeniami i skoczmy do tatusia, który wcześniej przyśle nam zaproszenia.
- Jesteś genialny! - Jacek pocałował brata w rękę.
- Nie wygłupiaj się!
- Nigdy nie wiedziałem, że mam genialnego brata!
- Zjadłbym coś.
- Ja też.
- Zahaczmy o jakiś bar. Chciałbym, żeby było już po zmroku.
- Czemu?
- Zobaczysz.

Nie wracali przez Brzeziny, lecz przez Tuszyn. Odbili z gierkówki w prawo. Tuż za ślimakiem próbował zastopować ich milicjant. Bernard wykonał ręką gest ubolewania i popędził dalej. Milicjanta załżała krew. Skurwysyny! Żadnego szacunku dla władzy! Fakt, że nie było luzno, ale jakoś by się zmieścił. Chodzi przecież tylko o kilka kilometrów - do kochanki jechał w najbliższej osadzie. Dranie, łajdaki! Zgrzytał zębami i zaciskał pięchy. Zlekceważyli go! Zignorowali! Potraktowali jak gówniarza! Może wiozą jakiś trefny ładunek? Nie, nie wiozą trefnego ładunku, trzeba jednak dać im popalić! Zajechać drogę, wylegitymować, przepytać i poszperać w samochodzie.

Pieścił kapral swoje mściwe myśli, a to z tego powodu, iż z gierkówki stoczyła się na drogę biało-niebieska wołga z kogutkiem. No, będzie kogel-mogel w tym peugeocie, będzie! Już on chłopców odpowiednio nastawi, a chłopcy na pewno go podrzucą. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby milicjant nie podrzucił milicjanta.

Z otuchą patrzył na zbliżający się, miły oczom i sercu radiowóz, ten jednak zatrzymał się raptem, dwóch chłopców wyskoczyło na pobocze i oddało mocz, po czym wołga wróciła na autostradę.

Peugeot tymczasem stanął przed gospodą w osadzie i Bernard z Gustawem poszli dokonać zakupów. Wyrostek o zdziczałych z nudy oczach, brudny, chudy, wyposażony przez matkę naturę w fizys, która rokowała mu przyszłość w jednym z wolnych bandyckich zawodów, odzyskał jakby wiarę w urok życia. Strzyknął przez zęby śliną, której barwa świadczyła dowodnie, iż

lubi sobie zapalić, zmarszczył czoło, co było sygnałem, że zaczęły się skomplikowane procesy myślowe, skosił chodnik, podszedł do siedzącego w peugeocie Jacka i patrząc z oskomą na zaścielony dżinsem tył samochodu, zapytał słodko:

– Wielą chcesz za te pantaluny?

Zwykle odprawiał Jacek w takich wypadkach intruzów jednym celnym, ordynarnym słowem, tym razem jednak zdobył się na grzeczność.

– Nie moje.

– A czyje?

– Właściciela.

– Pogaż!

Jacek przycisnął guzik w drzwiach, nim wyrostek złapał za klamkę, i nie mogąc już dłużej wytrzymać, powiedział:

– Sknacaj!

– Co się nerwujesz, goleś?! Gupię; mam pieniądze.

– Sknacaj! – powtórzył Jacek; rzeczywiście był zdenerwowany i wypatrywał gorączkowo brata. Do cholery z tą osadą! Do cholery z piciem i żarciem!

– Potrzebowzgi jezdem w sam raz, gochany – bełkotał niewyraźnie stwór, przyglądając się Jackowi z bezgraniczną zuchwałością. – Zabawa jutro u nas będzie z gobietami i gapelą.

Jacek usłyszał śmiech. Trzech innych wyrostków zjawiono się na chodniku, a potem jeszcze trzech i dwie dziewczyny. Rżała z radości cała ósemka, „gochany” jeno był poważny, z czego należało wysnuć wniosek, iż rzeczywiście zamierzał skutecznie kupno.

Wysiądę i sflekuję drania! – Jacek zbladł. Drugim torem myśli rozcierał w proch Gustawa i Bernarda. Jeść im się zachciało, baranom!

– Odejdź!

– Otwórz!

– Nie!

– To pogaż chociaż bez okno, gochany, pogaż!

– Ty, ty?

– Co?

- Telefon do ciebie!
- Nie lubię tagich gawałów.
- A co lubisz?
- Te pantaluny mnie pasują.

Jacek wpadł nagle na szczęśliwy pomysł i krzyknął:

- To idź i zawołaj właściciela!
- Gdzie jezd właściciel?
- W gospodzie. Powiedz, żeby wracał natychmiast!
- Tu na niego lepi poczegam.

Z ósemki zrobiła się dwunastka. Wyła z uszczęśliwienia! Jałowe, skute chandrą południe zamieniło się w fiestę. Nawet Jacek zaczął histerycznie rechotać, co mu jednak szybko przeszło, gdyż odwróciwszy głowę, zobaczył na horyzoncie rowerzystę wiozącego na ramie kaprała. Kaprał dawał chyba rowerzyście środki dopingowe, bowiem biedak naciskał z całej siły pedały i kolebał się z boku na bok jak Szozda na finiszowych metrach.

Dygocąc z rozdrażnienia i wściekłości, Jacek patrzył na Gustawa i na brata, którzy wyszli leniwie z gospody. Szewc niósł trzy flaszki jakiegoś napitku, a Bernard torbę z bułkami. Jacek wrzasnął:

- Szybciej!

To samo wrzasnął kaprał do rowerzysty:

- Szybciej, szybciej! Trza ich sprawdzić! Byli w knajpie, może szarpnęli kielicha.

Szewc usiadł z tyłu, a Bernard za kierownicą. Przekręcił starter i dopiero wtedy zapytał:

- Co tu się dzieje?

- Idź do diabła! - wypalił z furią Wicher. - Facet chce kupić spodnie. Jedź!

- A tag, tag! - gdakał żul zaparty rękami o przód samochodu. - Chcę gupić spodnie.

- Masz pieniądze?
- Mam.
- Pokaż!
- Do domu byśmy musieli podzgoczyć.

– No to podskoczmy do domu. Ja tam nieraz lubię zrobić po drodze mały interes. Gdzie mieszkasz?

– Tam! – Palec żuła celował w kierunku przeciwnym. Zawrócić by trzeba, gochany!

– Wsiadaj! – powiedział Bernard ku osłupieniu szewca i Jacka. – Albo nie! Przejdź na drugą stronę, bo tu nie wolno parkować, a z tyłu szpaki.

Szpaki nacierały z rozmachem. Widać już było spoconą, znękaną twarz rowerzysty i suchą, wykrzywioną gniewem buzię ambitnego kaprała. Kaprał był równie blisko śmierci, co i sławy, mogącej odmienić cały jego parszywy los. Zamierzał akurat wrzasnąć do żuła i do zgrupowanej na chodniku ferajny: „Trzymajta ich! Trzymajta!”.

Nie zdążył jednak wyartykułować rozkazu. Uspokojony co do szlachetności zamiarów Bernarda wyrostek podreptał na przeciwległy chodnik, a Bernard przydusił akcelerator i odjechał, wysprzęgając i wrzucając kolejno drugi i trzeci bieg. Czwartego nie wrzucił i Wicher zaperzył się z gniewu.

– Musisz się wlec?!

– Muszę. Nie wolno sprawiać wrażenia, że uciekamy.

– O mało nie dostałem przez was zawału!

– Za młody jesteś na takie sensacje.

– Oszczędź mi jednak dodatkowych wzruszeń.

– W porządku. Od tej pory będziesz miał spokój!

Wchłonęły ich lasy za Tuszynem. Minęli je i zatrzymali się na słonecznej łące, rozpostartej w kierunku jakiejś wsi o przycupniętych do ziemi chatach pod słomą. Za strumykiem pasły się krowy na łańcuchach, w drzewach świergotały ptaki, a las pachniał odurzająco świeżym igliwem.

– Przeliczmy chyba teraz pieniądze? – napierał szewc.

– Nie – powiedział stanowczo Bernard. – Przeliczmy po zmroku.

– Przecie tu pusto!

– Dosyć, Gustaw! Weźmiesz dołę, nie wyrucham współnika, ale przestań marudzić. Połóż się w cieniu i odpocznij!

Jacek zaczął ściągać koszulę i spodnie.

- Gorąco? – zapytał brat.
 - Poopalam się trochę.
- Bernard sprzeciwił się temu:
- Opalenizna prowokuje pytania.
 - Więc co mam robić?
 - Położyć się pod drzewem i przespać.
 - Nie chce mi się spać.
 - To idź na spacer.

Zjedli po drugiej bułce z salcesonem i popili oranżadą. Ćmili papierosy i czekali niecierpliwie na zmierzch. Niewykluczone, że był to najdłuższy dzień w ich życiu. Piątek! Szewc marzył, aby urznąć się winem w ruderze na terenie ogródków działkowych. Bernard marzył o gorącej kolacji i kilku kieliszkach wychłodzonego poloneza, a Jacek marzył o łóżku, w którym mógłby pomarzyć o Gejszy.

Kiedy ściemniało, wrócili na tuszyńską szosę, a potem, u granicy województw łódzkiego i piotrkowskiego, znowu wjechali w las. Z wąskiej wyboistej drogi skręcili w przecinkę. Wicher i szewc nie wiedzieli, że Bernard wybrał to miejsce już wcześniej, i że każe im kopać pięć metrów od sosny, na której nieznany kochanek, odłupawszy korę, wyłobił ostrzem noża przeszyte strzałą serce. BOŻENIE ZYGMUNT. Nie! O tym Wicher i szewc nic wiedzieli, kopiąc na zmianę saperką Bernarda głęboki dół, w którym spoczął (na wieki, jak im się zdawało) pusty sakwojaż o złocistych okuciach, trzy pary gumowych rękawic, dwa rewolwery, dwa motocyklowe kaski, dwie pary ubłoconych spodni i dwie pary starych ubłoconych butów.

Udeptali ziemię, a jej nadmiar rozsypali po krzakach. Grób przykryli gałązkami i cisnęli nań garść zeszłorocznych szyszek. Bernard skierował latarkę na samochód.

- Wsiadamy.
- I liczymy! – Głos szewca drżał ze zdenerwowania.
- Dobra, możemy liczyć.

Trzykrotnie dokonali operacji liczenia. Doliczyli się pięćdziesięciu grubszych (banknoty pięciotysięczne) i cieńszych (banknoty dziesięciotysięczne) paczek, co dawało w sumie

okrągłych pięćdziesiąt melonów. Każda paczka zawierała jeden milion.

Uczcili ten doniosły fakt chwilą milczenia, po czym zaczęły się targi. Znarkotyzowany widokiem pieniędzy szewc oddychał ciężko, gotów w każdej chwili podjąć działania zaczepne. Zwinął pięści, chłonał dym i przelykał ślinę. Kalkulował. Był zadowolony, że parany poszły do piachu, lecz tak czy owak miał przed sobą dwóch zdecydowanych na wszystko przeciwników. Nie trzeba było żadnych słów, aby wiedzieć, że sojusz został zerwany. Zagrała w szewcu chciwość i zagrały namiętności. To samo zresztą udzieliło się braciom.

Wolno i ponuro wypowiedział Gustaw swoją wolę:

– Należy mnie się trzecia część. Należy mnie się siedemnaście milionów.

Przeczuwał kontrę i nie mylił się. Bernard położył mu na szyi swoją wielką, mocarną dłoń i powiedział miękko:

– Dziesięć.

Szewc nie pokazał tego, ale uspokoił się w duszy. Przewidywał niższy pułap, od którego musiałby windować wysokość swego udziału. Dobrym graczem okazał się Kopyto. Zamiast popuścić trochę w targach, odsunął na później sprawę pieniędzy i zapytał:

– A to niby czemu? Wykombinowałem motor, nie poszkapilem na drodze, przeprowadziłem samochód przez to sakramynckie miasto.

– I chwała ci za to, Gustaw! – rzekł czule starszy brat. – Byłeś wspaniały, tyle tylko, że nie narażałeś się bezpośrednio, nie wyrywałeś pieniędzy ze szponów uzbrojonego konwoju i nie strzelałeś.

– Skąd ja niby wiem, że ty strzelałeś?

– Dowiesz się o tym jutro z radia, z gazet i z telewizji. Tak, tak, Gustaw! Strzelałem. Ostro! Nie tylko w nogi. Jacek też wywalił cały bęben. Zostawiliśmy na chodniku dwóch ciężko rannych facetów, których patroszą teraz w szpitalu. Specjalnie mówię ci o tym, żebyś rano nie był zdziwiony, bo będą o nas pytlować na każdym kroku, w każdym domu i w każdym sklepie. Wszędzie!

Brałeś udział w polskim napadzie stulecia i musisz o tym raz na zawsze zapomnieć. Dziesięć, Gustaw!

– Piętnaście!

Bernard podał mu worek z żaglowego płótna przyobleczony w osłonę białego plastyku.

– Ładuj!

– Ile?

– Dwanaście, ale to jest ostatnie słowo!

– Twoje, nie moje – mruknął szewc, układając w worku paczki. Nie miał powodów do narzekań, lecz instynkt podpowiadał, że trzeba się droczyć. – Trzydzieści.

– Po co się szarpać, Gustaw?

– Pobjeżeta mnie? – I sam sobie odpowiedział: w razie czego – pobjeżę! Zatlukę i wykopię drugi dół. Dwóm nie dam rady! Przeraziło go milczenie Jacka i nieruchoma, groźna twarz ekonomisty. – Dobra! – zgodził się nagle.

Bracia milczeli.

– No dobra, dobra!

Bracia w dalszym ciągu milczeli. Przebiegła między nimi jakaś iskra i Gustaw wyczuł to natychmiast.

– Ogłuchliście, do pieruna?! Dwanaście!

W lesie błysnęło jakieś światło i Bernard zgasił latarkę. U dachu peugeota ćmiła lampka, ale i ona została zgaszona. Cisza naciekała do samochodu przez otwarte okna i drzwi. Huknął puszczyk. Chłodny nocny wiatr targnął gałęziami drzew i poszybował w głąsę. Zapłonęły w ciemnościach czyjeś zielone ślepia – może był to kot, może żbik, dość że wpatrywał się w samochód z dociekliwością szpicla. A później znowu huknął puszczyk i zwierzę odeszło. Las oddychał swoim tajemniczym nocnym życiem – szemrał i groził, tak jak szemrzą i grożą potępione dusze.

Szewc poczuł, że włosy stają mu dęba. Poczł mrowie i strużkę potu na krzyżu, i powiedział gwałtownie:

– Jedenaście!

Bracia nie reagowali.

– Dziesięć! Niech będzie dziewięć!

Wtedy Bernard zapalił latarkę, najechał czołem na szewca i wlepiwszy w niego swoje mądre, ponure oczy, zapytał:

– Co się z tobą dzieje, do diabła? Przestań wariować, ja nigdy nie zmieniam zdania. Miałeś wziąć dwanaście, bierz dwanaście!

– Nie robisz zgrywów?

– Nie.

– Samowity kizior z ciebie!

– Z ciebie też jest równy gość, Gustawie. Nigdy u nikogo innego nie będę reperował butów, ale pamiętaj: od tej pory nie znamy się już.

– Tak – przytaknął skwapliwie Gustaw, sznurując worek i pakując go do torby. – Nie znamy się już. Kuniec!

Bernard z trudem upchnął w worku trzydzieści osiem milionów i w żaden sposób nie zdołał wcisnąć go w swoją niewielką torbę. Zatem wziął wolne „Montany” i włożył worek w nogawkę. Wyprowadził wóz z przecinki i ruszył ku szosie, sondując uspokojonego i radosnego Gustawa:

– Gdzie twoja żona?

– Na wsi.

– To ja cię teraz zawiozę do domu, a ty wskoczysz na motor i przenocujesz na działce, żeby wszystko było po staremu. Wino masz?

– Mam.

– Znakomicie! Ale nim się schlejesz, zakop szmal i nie tykaj go przez kilka miesięcy.

Gustaw kiwał posłusznie głową.

– Nie tknę.

– Wytrzymasz jakoś?

– Wytrzymam.

– I dobrze na tym wyjdiesz, zaufaj mi! Mogli rutynowo wynotować numery i serie.

Zadumał się, ale końcówka planu nie nastroczała już trudności. Dowody przestępstwa znikły, nikt ich nie znajdzie, włącznie z Jackiem i szewcem, gdyby zaświtała im przypadkiem w głowie taka myśl. Pozostało ukryć worek w ustępie: wyciągnąć ze ściany kafel-mydelniczkę i powiesić go na motylku kurka, który przez

dwadzieścia trzy lata dźwigał cierpliwie naboje i broń. Jak to dobrze, że pozbył się broni! Jest czysty, absolutnie czysty! Wszyscy trzej są czysti! Ile to będzie baksów z tych trzydziestu ośmiu milionów? Dolar stał wówczas po tysiąc czterysta – tysiąc pięćset złotych, a więc miał około dwudziestu tysięcy papierów. W Polsce był to majątek, ale i w Meksyku przeżyje się za to ładnych parę lat. Z takim kapitałem śmiało można otworzyć bar albo pensjonat, albo pralnię, albo niewielki sklep z konfekcją...

Zahamował u naroża ulicy, przy której mieszkali Gustaw i Jacek. Uścisnął szewcowi dłoń i powiedział:

– Żegnaj! Lepiej, żeby nie widzieli nas razem.

Szewc burknął coś w odpowiedzi; zawahał się na moment, jakby zamierzał wszcząć na nowo pertraktacje, wysiadł jednak i zniknął na razie z ich życia.

Dopiero w sobotę wieczorem Francis James Moliński miał zaszczyt odwiedzić Gejszę w jej luksusowym śródmiejskim mieszkaniu. Był zachwycony i wcale tego nie ukrywał.

– Nie sądziłem, że są w Polsce takie rezydencje.

– Jakie niby?

– Bogate i pańskie.

– Nie przesadzaj, kochany. Brakuje mi jeszcze wielu rzeczy.

– Na przykład?! – zapytał skwapliwie Szkot, sygnalizując, że jest skłonny momentalnie uzupełnić te godne ubolewania braki, a potem, kiedy pójdzie już z dziewczyną do łóżka i wykorzysta ją należycie, oświadczy z miną poczciwą i słodką, że nie wziął akurat drobnych.

Gejsza nie próbowała go jednak naciągnąć. Z kuchni dolatywały smakowite aromaty. Na stołach i półkach roilo się od butelek, a w ściennym barze, który otworzyła przed nim szeroko, było ich jeszcze więcej – szwadron sławnej szkockiej piechoty stanąłby na rzęsach, a potem runął na pysk po wypiciu tych zapasów.

Przyniosło dziewczę lód w kryształowym pojemniku i widząc, że gość zdradza oznaki skrępowania i niepewności, zaproponowało mu drinka.

– Armagnac – wychrypiał James, obserwując łakomie, lecz ukradkiem obfity, nieskrępowany stanikiem biust dziewczęcia. Sutki sterczały przez lekką, jedwabną, różową tym razem sukienkę i Szkot wysnuwał z tego optymistyczne prognozy. – Jeśli można, oczywiście.

– Można. – Podała mu butelkę. – *Help yourself*, nie krępuj się. Widzę, że masz dobry gust.

– Nie narzekam – odparł skromnie poddany Jej Królewskiej Mości. – *Here's to you!*

– Ja też wypiję.

– *A little but not very much?*

– Dlaczego? Dzisiaj będę towarzyszyć ci jak mężczyzna mężczyźnie.

Tręcili się dużymi, pękatymi kieliszkami. W chwilę później Szkot wpadł w znakomity nastrój. Siedział obok Gejszy na wygodnej skórzanej kanapie i obejmował ją ramieniem. Mruczała cicho stereofoniczna wieża. Śpiewał z płyty kompaktowej Black, grał James Last, a potem wysłuchali *Czterech pór roku* Vivaldiego. Alkohol i muzyka rozluźniły poddanego Jej Królewskiej Mości do tego stopnia, że zaczął całować dziewczynę – namiętnie, żarłocznie, z pasją i z dziką radością, bowiem Gejsza oddawała mu pocałunki. Czuł w ustach i na dziąsłach jej gorący, zwinny język. Chłonał zapach młodego, zdrowego ciała, wtulał twarz w złociste miękkie włosy. Niebawem przestało mu to wystarczać i zdobył się na śmielszy gest, odkrywając z szaloną satysfakcją, że dziewczyna jest bez majtek – cudownie wilgotna i gotowa. Wziął ją na ręce do pastelowej sypialni. Nie udawała. Pragnęła gwałtownie mężczyzny i kiedy powiedział rwącym się ze wzruszenia głosem: „I want you!”, wyszeptała mu w ucho: „I want you too, hurry up!”

Spieszył się więc. Skopał spodnie i ściągnął koszulę z takim rozmachem, że prysnęły guziki. Wszedł w nią, był jednak straszliwie podniecony – powstrzymywał się wszelkimi siłami; próbował myśleć o sprawach obojętnych: o kontraktach, o kafelkach i terakocie, o wstrętnym i nieufnym nochalu mamusi, której z całą pewnością Gejsza nie przypadnie do gustu, o młodszej siostrze, która była beznadziejnym przypadkiem erotomanki i co miesiąc zachodziła w ciążę, o wuju, który zaraził się w koloniach syfilisem i zmarł bezdzietnie w wieku czterdziestu lat. Czynił, krótko mówiąc, wszystko, aby nie zawieść kochanki i nie wyprzedzić jej w owym cudownym wyścigu, w owej pasjonującej pogoni za kwintesencją szczęścia, a Gejsza miała tego świadomość i nie ponaglała go, gdy przerywał, czekając na odpływ tłumionego, trzymanego w cuglach wezbrania.

Jest dobry – myślała. – Jest cholernie dobry! Jest znakomity! Pierwszy raz mu nie wyjdzie, ale drugi będzie dla nas obojga ogromnym przeżyciem.

- Nie przejmuj się! - Dotknęła mokrymi wargami policzka mężczyzny.

- Czym?

- Miłością. Idź!

Spotęgowana słowami rozkosz była tak wielka, że poszedł, a ona, czując w sobie wrzące, obfite nasienie, dogoniła go w ostatniej chwili i omdlała mu w ramionach ze skowytem.

Sądził, że dany mu będzie krótki odpoczynek, ale Gejsza rozglądała się już za pilotem. Przycisnęła stosowny guzik i ekran japońskiego telewizora rozbłysnął, aby wyeksponować zamiast pocziwej twarzy Jana Suzina grono przystępujących do kopulacji artystów, z których tylko jeden nie był całkiem nagi, trzymał bowiem w zębach papierosa.

- *Do you like it?* - zachichotało pozbawione pruderii dziewczę.

- Wiesz...

- Co?

- Kocham cię i to naprawdę nie jest konieczne.

- Mnie natomiast przyda się ostroga. *Porno always makes me fresher.*

Moliński był początkowo speszony i zawstydzony, rychło jednak przemówiła do niego magia sztuki. Kwilił wesoło, jako że akcja stebnowana była rytmicznie gagami. A to zarywa się łóżko, a to gość wieszka sobie na piejącym seksie kapelusz, a to znowu psiak wypełza spod kołdry i liże piętę pogrążonej w rozpuście damy, zaś ona myśli, że to odtrącony mąż i stęka miłośnie:

- Och, John, *I love you, I love you!*

Nie budząca zastrzeżeń męskość Szkota dawała już o sobie znać, tymczasem Gejsza wyjęła z szuflady nocnego stolika przedmiot, który przypominał do złudzenia roll-on, dezodorant z kulką, stosowany przez pocących się ludzi dla zabicia brzydkich aromatów.

- Fakt, że pięknych woni, to ja raczej nie roztaczam - stwierdził samokrytycznie obywatel Zjednoczonego Królestwa. Oczekiwał, że panna namaści go pod pachami, ona jednak włączyła wibrator i zaczęła dotykać intymnych części ciała Brytyjczyka, w którym zbudził się ogier. Szepnął nad ranem:

- Mógłbym kochać cię bez przerwy.
- I kochasz mnie bez przerwy. Zapomniałam o kolacji.
- Ja też.
- No więc odwrócimy porządek rzeczy i zjemy ją teraz.
- Nie jestem głodny. Chętnie napiję się armagnacu.
- Nikt nie powiedział, że jedno wyklucza drugie. Napijesz się armagnacu, a potem coś zjesz.
- I wrócimy do łóżka?
- Oczywiście. Zasłużyliśmy na długi, krzepiący sen.

Obudzili się o czwartej po południu. Poszli na spacer do parku. Minęli po drodze stadion ŁKS-u, na którym chłopcy Leszka Jezierskiego toczyli zacięty pojedynek z drużyną śląskich najemników, i ogródki działkowe imienia Stanisława Rogowicza, gdzie w chatce Baby Jagi u torów Kopyto dopijał ostatnią butelkę. Wszyscy mówili o napadzie. Na stadionie znudzeni kibice mówili o napadzie. W ogródkach działkowych szykujące się do odwrotu rodziny mówiły o napadzie. Napad był szlagierem weekendu, ale Gejsza nie zaprzętała sobie nim głowy, podobnie zresztą jak Szkot, który nie znał polskiego i dumał o innych rzeczach.

Minęło złudzenie, że wystarczy osiąść piękność i emocje opadną. Słowiańska krew wzięła górę nad brytyjską flegmą i chwyciła za gardło szkockie skąpstwo. Pragnął zrobić coś dla dziewczyny. Natychmiast! Wiedział, że ją miał, ale wiedział również, że jej nie ma. Wiedział, że o takie kobiety trzeba walczyć, że trzeba dobrze sobie zasłużyć, aby taka poszła z tobą do ołtarza, a potem, kiedy będzie już żoną, troszczyć się każdego dnia, aby nie spakowała tobołów. Zresztą ślub nie był tu najważniejszy. James gotów był nawet zamieszkać z Gejszą w Łodzi i prosić Radę Państwa o polskie obywatelstwo. Do diabła posłał całą swoją szkocką rodzinę, a także swego szwedzkiego współnika. Wychowany w atmosferze zamożnego mieszczańskiego domu, po raz pierwszy w życiu odkrył w sobie sarmacką fantazję. Życ! Do tej pory wegetował, przerzucał kobiety, lecz nigdy nie dało mu to szczęścia. W Gejszy był po prostu beznadziejnie zakochany, był zahipnotyzowany jej urodą i znarkotyzowany seksem.

– Wyrzucisz mnie dzisiaj do hotelu? – Znowu trząśł mu się głos; wziął ją za rękę tak nieśmiało, jakby zaczynał dopiero zaloty. – Wyrzucisz?

– Nie.

– I będę mógł wrócić z tobą do domu?

– Będziesz, głuptasie.

– Och, Barbra! – Połykał jedno „a” i brzmiało to Barbra. „R” wymawiał twardo i wyraźnie, nie po angielsku. Łzy, które zaszkliły mu źrenice, też niewiele miały wspólnego z brytyjskim temperamentem.

Poczuła litość i odrobinę tliwości, ale stłumiła te luksusowe uczucia. Tylko bez sentymentów, dziewczyno! O tym, aby mogła się zakochać, nie było mowy. Przy Konstantynowskiej nieopodal zoo złapali taksówkę i James powiedział:

– Powinienem odwołać hotel.

– Już to zrobiłam.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– Terrific! Jesteś niezrównana, Barbro! Tak czy owak, muszę zapłacić za dwie doby.

– Zrobię to za ciebie, nie myśl o tym.

– Żartujesz!

– Nie myśl o tym – powtórzyła. – Masz bilet na jutrzejszy pociąg?

– Wziąłem od razu w Warszawie powrotny.

– No to nie myśl o niczym – parsknęła i pocałowała go w ucho gorącymi, mokrymi wargami. – Przygotuj się na długą, upojną noc i na armagnac, i na parę dobrych papierosów, i na kanapki z kawiozem, tyle że wcześniej pójdziemy do wanny.

– Obydwoje?

– Tak.

– Ten mój przeklęty pot! – biadolił Moliński. – Ten mój ohydny piżmowaty odór! – Usiadł naprzeciw Gejszy w spienionej niebieskiej wodzie i pieścił jej duży, jędrny biust o łagodnych stokach i wezbranych z pożądania sutkach, okolonych brunatnymi, zmarszczonymi lekko płatkami skóry, która dalej

przechodziła w łagodną, złocistą, właściwą tylko opalonym blondynkom tonację. Gdyby mógł, zjadłby te piersi, zjadłby w ogóle całą Gejszę i dopiero wtedy byłby nasycony. Rozsunęła szeroko uda i dotknął ją, a ona mrużąc powieki i wciągając z sykiem powietrze, zażądała:

– Odwróć się!

Zrobił to przytulając pośladki do jędrnego, owłosionego łona dziewczyny. Oplotła go nogami w pasie, zapierając stopy o kolana Jamesa, i zacisnęła palce na dorodnym, spuchniętym od miłości członku. Nad wanną zaterkotał telefon. Zdjęła ze ściany słuchawkę, aby przyjąć do wiadomości to, co miał jej do powiedzenia anonimowy wielbiciel.

– Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan zadzwonić w przyszłym tygodniu – mruknęła niskim, niewinnym, a przecież zwodniczym tonem, drżącym u końca frazy jak muzyka, którą słyszy się tylko raz, i której już nigdy nikt nie powtórzy. Teraz jestem zajęta.

– Kto to był? – dopytywał Moliński.

– Ktoś, kto chciałby znaleźć się na twoim miejscu.

– I znajdzie się?

– Być może.

– Nie dręcz mnie, Barbro!

– Szszsz! – Położyła mu palec na ustach. – Nie psuj tego pięknego wieczoru, kochanie.

– Przepraszam. Uuuu!

– Dobrze ci?

– Cudownie.

– Nie wybuchaj tylko, szanuj amunicję. – Patrzyła na wytoczony z mahoniu stół o gumowych obrotowych kołach i powiedziała nagle: – Szkoda.

– Czego? – podążył za wzrokiem dziewczyny.

– Że nie możemy sobie obejrzeć pornusa. Muszę postawić tu trzeci, mały telewizor. Lubię telewizję. Uwielbiam telewizję. Leżeć w wannie i oglądać interesujący program to niebo!

Wstała. Wstał i Szkot zażenowany trochę swoją wybujałą, arogancką męskością. Ociekająca wodą dziewczyna wzięła

prysznic, a potem splukala ciało mężczyzny i zarzuciła na siebie frotowy szlafrok. James wytarł się kąpielowym ręcznikiem i owinął go dookoła bioder. Zerknął fachowym okiem na stolik i nim poprowadził kochankę do łóżka, rzucił pytanie, na które Gejsza, co tu kręcić, czekała:

– Są w Polsce takie telewizory?

– Owszem, ale trzeba płacić w dewizach.

– Zapłacę! – oświadczył stanowczo Szkot. – Nie odmówisz mi chyba tej małej przyjemności? Kocham cię! Strasznie cię kocham! Zawsze będę cię kochał, Barbro!

W poniedziałek rano Jacek poszedł do kina na *Nieoczekiwaną zmianę miejsc*. Widział już wcześniej ten film i uważał go za najwspanialszą amerykańską komedię, tym razem jednak nie wciągnęła go dowcipna, sensacyjna akcja. Nie słuchał w domu radia i nie oglądał telewizji, z daleka omijał kioski z prasą, ale prędko dopadły go złowieszcze informacje. Raniony przez Bernarda strażnik skonał na stole operacyjnym; kasjer, do którego strzelał Jacek, walczył ze śmiercią w powiatowym szpitalu. Milicja znalazła porzucony motocykl i poddała go w swoich laboratoriach troskliwym oględzinom. Mimo kasków i nieprzeniknionych od zewnątrz osłon na oczy i nos, sporządzono na podstawie zeznań dyrektora, woźnicy i jakiegoś wścibskiego, przyczajonego za węglem banku malca portrety pamięciowe obydwu braci. Ich wiek i wzrost oraz postura zostały określone z przerażającą precyzją.

Spokój! Gdyby działo się coś groźnego, miałby już wiadomość od brata. Bernard milczy, a więc wszystko w porządku! Próbował skupić wzrok na ekranie. Zaśmiał się kilka razy, w momentach gdy śmiała się sala, lecz brzmiało to sztucznie. Nie wysiedział do końca. Opuścił kino i powędrował piechotą na plac Niepodległości. Chciał być blisko brata. Dojrzał go ponad głowami cizby. Nie podszedł i nie ujawnił się, poczuł jednak przypływ sił. Stłumił wyrzuty sumienia. Skok był wyczynem! On i Bernard są wielcy! Pomaszerował z powrotem do śródmieścia krokiem Lee Marvin'a z filmu *Zabójcy*, w którym występował również w roli gangstera Ronald Reagan, w związku z czym obraz został wycofany z obiegu na osiem lat jego bojowej prezydentury. Krążył jednak po domach na kasetach wideo.

Wypił herbatę w „Mariolce” i wypalił dwa papierosy. Zabił godzinę w parku „Śledzia”, obserwując bałuckich hazardzistów, grających przy kamiennych stołach w warcaby, w pokera, w chlusta i w dziewiątego wała, który jest ściśle łódzką formą szalbierczej loterii o niespotykanym uroku. Wstąpił do „Czuj-

Czynu”, aby obejrzeć rakiety tenisowe, i do sklepu „Jubiler”, gdzie przykuły jego uwagę piękne, delikatne złote klipsy o hinduskiej ornamentyce. Zegar na sklepowej ścianie wskazywał piętnastą. Obiad! Skierował się ku domowi.

Obudził się późno. Gejsza nakarmiła poddanego Jej Królewskiej Mości, po czym pomogła mu włożyć upraną, starannie wyprasowaną koszulę z własnoręcznie przyszytymi guzikami, które zerwał, kiedy szli do łóżka.

– Kwitniesz!

– Bo kocham! – Wciągnął sweter. – Wyjdiesz za mnie?

– Tego nie powiedziałam.

– Ale daj mi chociaż nadzieję.

– Daję ci ją. Człowiek bez nadziei jest beznadziejny. Znasz zapewne to brytyjskie porzekadło?

– Znam. Mogę łyknąć?

– łyknij. – Sama nie piła. – O której masz pociąg?

– O pół do czwartej.

– Zatem musimy już iść.

– Ale przedtem zajrzemy do sklepu.

– Po co?

– Po telewizor.

– OK – powiedziała. – Kupisz mi telewizor. Ilekroć spojrzę w ekran, zawsze o tobie pomyślę.

Podjechali do „Peweksu” przy Piotrkowskiej, salonu otwartego niedawno na parterze i piętrze odremontowanej secesyjnej kamienicy pomiędzy Nawrot i Mickiewicza. Skinieniem głowy, grzecznie i uprzejmie podziękowała Gejsza cinkciarzom za proponowane usługi i pokazała Jamesowi interesujący ją odbiornik marki Sanyo. Szkot był lekko zszokowany. Przeciągnął językiem po wargach i westchnął:

– Czteryście osiemdziesiąt siedem dolarów?

– Zgadza się.

– Good – powiedział. I pomyślał: dziesięć luksusowych dziwek mógłbym za to mieć, ale gdybym nawet miał ich dwadzieścia, i tak nie zaznałbym z nimi. choćby cząstki tej rozkoszy, co z Barbrą. – Niech on wypisze rachunek!

Ekspedient, który był raczej bezczelny i rozpaskudzony, okiełzał wyjątkowo swoją niechęć do bogatej klienteli i udzielił informacji na baczność:

- Tak, kolorowy. Można podłączyć wideo. Z gwarancją.
- Proszę go więc zapakować.
- Służę pani.

Szkot podszedł do kasy z wypełnionym czekiem i spotkał się z odprawą:

- *Impossible! I'm really very sorry, I can't!* - zaśpiewała na całe gardło przesadnie uperfumowana kasjerka, skoro bowiem douczała się nocami angielskiego, chciała, aby świat ją usłyszał. - *Only cash.* Gotówka.

- Przecież te czeki honorują we wszystkich krajach - zainteresował Moliński, usiłując sprawić wrażenie człowieka obrażonego, w gruncie rzeczy jednak uległ bezsensownej radości. - Płacę nimi w waszych hotelach.

- Ale u nas jest to niemożliwe. - Nie tylko oblewała się perfumami i studiowała języki obce - inwestowała również w dentystę, dzięki czemu jej pięćdziesięcioletni uśmiech błyszczał przeraźliwą bielą. - Dolary, marki, funty, bony.

Moliński wywrócił kieszenie i doliczył się dwustu pięćdziesięciu trzech baksów.

- Tak mi przykro!
- Nie przejmuj się, kochanie.

Gejsza zawiodła go do sali, gdzie ekspedient pakował do tekturowego pudła odbiornik, i powstrzymała ciężko harującego rodaka.

- Rezygnują państwo?
- Nie. - Wskazała mniejsze Sanyo, które kosztowało wówczas dwieście dziewięćdziesiąt pięć dolarów. - Zrobimy tylko drobną podmianę. Kolorowy?
- Tak.
- Wideo, gwarancja?
- Oczywiście.
- Niech pan łaskawie wystawi nowy rachunek.

Szkot zachnął się; jego portfel znowu był zagrożony.

- Brakuje mi trzydziestu sześciu dolarów.
- Głupstwo. Dokupię je zaraz.
- Gdzie?
- W holu. Poczekaj chwileczkę.

Stała przed wysokim, sympatycznym cynkiem o niebieskich oczach i zaczesanej do góry czuprynie. Wyjął ręce z kieszeni, dowodząc, że potrafi znaleźć się wobec damy. Nadziane chamstwo, dzięki któremu egzystował, już dawno przestało wprawiać go w zachwyt, co innego jednak piękna i młoda dziewczyna.

- Mógłbym pani w czymś pomóc?

Obdarzyła go ciepłym uśmiechem i oświadczyła krótko:

- Pięćdziesiąt.
- Bony, papier?
- Bez różnicy.
- Lecimy dzisiaj po jeden sześć.
- W porządku.
- Nie, nie! Udzielę pani bonifikaty.

- Kto by pomyślał, że stać was na taki szarm.

- Mamy swój honor, proszę pani. - Nie przeliczył złotych, które mu wręczyła. Oddał jej pięć tysięcy i powiedział: - Mamy również swoje słabości. Zawsze do usług!

- Dziękuję.

W chwilę później Francis James Moliński ulokował opakowane Sanyo na tylnym siedzeniu fiacika. Miał lekką zgagę. W drodze na dworzec poprosił Gejszę, aby zatrzymała samochód przed Grand Hotelem, i sam uregulował rachunek za dwie skonsumowane doby. Na parkingu przy peronach nastąpiło pożegnanie.

- Pojutrze wracam do Sztokholmu.
- Szczęśliwy jesteś.
- Przeciwnie. Chce mi się płakać.
- Boże broń! *Keep smiling, honey.*
- Kiedy cię znowu zobaczę?

- Jak przyjedziesz. *Make haste! The train is overcrowded*, nie chcę, żebyś stał.

- To nie ma żadnego znaczenia.

- Do odjazdu zostało tylko pięć minut! Wzięłaś oczywiście pierwszą klasę?

- Drugą.

No. Szkot! - pomyślała. I powiedziała z hamowanym zniecierpliwieniem:

- Idź już, nie komplikuj sprawy. Nie odprowadzę cię na peron, bo buchną mi w tym czasie telewizorek, pa!

- Pa! Zadzwoń do ciebie.

- Będę czekała!

Ucałował rozpaczliwie i niezręcznie odrętwiałe, chłodne usta dziewczyny. Wsiadł. Tylko raz zdążył pomachać jej ręką, gdyż odjechała ponaglona klaksonem taksówki. Wprowadziła samochód na podwórko kamienicy i medytowała, jak przetransportować Sanyo na drugie piętro frontowej klatki schodowej. Zamierzała wynająć syna dozorca, lecz w bramie pojawił się Wicher.

Zastąpiła mu drogę.

- Dobry wieczór. Czy mógłbyś... - zaczęła, patrząc w nieruchomą, poważną, zdecydowanie urodziwą twarz chłopaka, w jego oczy przesłonięte mgłą, chmurne i czujne, skupione, i wiedziała już, że coś się stało, że to nie jest żaden chłopak, lecz młody, przeobrażony z dnia na dzień mężczyzna, który ma za sobą jakieś silne przeżycie, jakieś głębokie, dramatyczne doświadczenie, i wtedy oddała walkowerem pierwsze sztony. Poprawiając się, ze zgaszonym uśmiechem, zaczęła od nowa: - Czy mógłby pan pomóc mi wnieść na drugie piętro telewizor? Bardzo przepraszam! Boję się, że upuszczę go na schodach i uszkodzę.

Jacek odmilczał chwilę: akurat tak długo, aby Gejsza poczuła się zakłopotana. Nie zrozumiała, co mruknął potem ni to do siebie, ni to do niej. Spojrzał na samochód i ruszył ku niemu miękkim, wiotkim krokiem lekkoatlety. Wydobył oburącz ponad oparciem siedzenia karton z telewizorem i zapytał tonem, który świadczył, że mógłby równie dobrze nie pytać:

- Front?

– Tak. – Zamknęła samochód i podążyła za Jackiem po gnących się żelaznych stopniach, które do pierwszego podestu zostały okradzione z marmurowych płyt, sprzedanych zapewne cmentarnym kamieniarzom i umieszczonych na grobach bogaczy. – Niech pan się nie gniewa, że zaczepiłam pana tak bezceremonialnie, ale znam przecież pana od dziecka.

Odpowiedział ciepło i pogodnie:

– Po co „pan”, skoro znasz mnie od dziecka, Basiu?

Zarumieniła się, a kiedy odwrócił głowę, aby na nią zerknąć, była już zupełnie czerwona. No, no! Dawno nie miała takich reakcji i nigdy nie trafiły jej do serca z taką mocą słowa męczyzny. Ale to wcale nie jest męczyzna! Jest, jest! Przestań się oszukiwać. Zwariowała chyba! Trzeba natychmiast coś powiedzieć! Czemu jednak denerwujesz się? Czemu mu niby masz coś mówić? Możesz go zignorować; podziękować za pomoc i odprawić. Bezczelna poufałość i bezczelny smarkacz! Nie, wcale nie bezczelny. Zatem chcesz uwieść nieletniego? Ani mi to w głowie! Tkliwość po prostu poczułam. Nie gadaj tylko o miłości od pierwszego wejrzenia. Ty, stara, doświadczona kurwa! Nie jestem stara i nie jestem kurwą! Nie, nie, nie, nie! Skoro zdarza mi się coś takiego w ułamku sekundy na schodach, potrafię być jeszcze bezinteresowna i czysta.

Otworzyła drzwi i puściła go przodem. Postawił telewizor na ławie obok kanapy i spojrzał na nią, i było w tym nieme, zagadkowe pytanie: odejść? tego sobie właśnie życzysz?

Nie! – odpowiedziała mu wzrokiem. Zostań! Będę pewnie przez ciebie cierpieć, lecz zostań! – I dopiero teraz wróciła do zerwanego na schodach dialogu tonem swobodnym i przyjaznym:

– A ty masz na imię Jacek?

– Tak. Mówią również na mnie Wicher.

– To ładne. Usiądź! A na mnie mówią Gejsza.

– Wiem.

– I co jeszcze wiesz? Pewnie same okropne rzeczy.

– Od tej pory, jeśli ktoś rzuci na ciebie złe słowo, nie powtórzy go już nigdy w mojej obecności.

Powinna się roześmiać. Powinna spuentować to uwagą w stylu: rycerskim jesteś młodzieńcem, Jacku! Każdej damie życzę takiego kawalera. Milczała jednak. Wzrok chłopaka fascynował ją. Ani trochę nie był skrępowany otaczającym go bogactwem: kanapą i fotelami ze skóry, misterną stolarką gdańskiego kompletu w czarnym dębie, portierą, żyrandolem ze złoconego mosiądzu, pastelowymi tapetami, elektronicznym samograjem i zdalnie sterowaną telewizją. Wzrok chłopaka zdawał się mówić: stać mnie na to samo albo i na więcej; nie zemdleję!

– Napijesz się?

– Chętnie – powiedział i zrozumiał jednocześnie, że nie chodzi o kawę ani o herbatę, ani o colę, ani o żadne inne świństwo.

– Koniak, whisky?

– Nigdy jeszcze nie próbowałem whisky – wyznał Jacek z prostotą. – Nie jestem silny i biegły w alkoholu. – Poczęstował Gejszę camelem.

– Ja z kolei ograniczam palenie. Pięć-sześć sztuk dziennie i koniec. – Zaciągnęła się z rozkoszą. – Ale lubię to.

– Ja też.

– Nie chciałabym mieć cię na sumieniu. Chyba lepiej weź tonik lub fantę.

– Nie. Whisky. Sprawdzę w końcu, na czym to polega.

– Musisz zacząć więc od dobrego gatunku. – Poszła do kuchni z butelką czarnego dwunastoletniego walkera i krzyknęła stamtąd: – Lód?!

– A można inaczej?

– Można także z wodą sodową, z kawą, z mlekiem i z bitą śmietaną, lecz jest to profanacja.

– Tak jak ty wypiję! – odkrzyknął. – Włączyć wieżę?

– Włącz.

Zaszemrała muzyka. Gejsza wyciskała z pojemnika kostki lodu i składała sobie przyrzeczenie: żadnego porno, żadnych ordynarnych tematów, żadnych aluzji. Wręczyła mu ciężką kryształową szklankę i patrzyła, jak niewprawnie ogolone, prześwitujące zdrową, świeżą krwią policzki chłopca zakłęśły się, kiedy pociągnął pierwszy ostrożny łyk.

- Smakuje?
- Trudno mi na razie powiedzieć.
- Sprawa polega na tym, żeby wygimnastykować podniebienie.

Jadłeś obiad?

- Nie.
- To i dobrze. Whisky najlepsza jest przed posiłkiem. Chodzisz do szkoły?

- Miałem zdawać w tym roku maturę, ale nie dopuścili mnie.

- Z czego nawaliłeś?

- Z polskiego.

- Nie lubisz literatury?

- Lubię.

- Co czytujesz?

- Wszystko, co dobre.

- Skąd możesz wiedzieć, co dobre, co niedobre?

- Wiem. Dobry jest na przykład Dostojewski, niedobry Turgieniew, dobry Camus, niedobry Sartre.

- Poważnie to mówisz?

- Oczywiście.

- A Dąbrowska jest dobra?

- Nie czytam kobiet. Kobiety są dobre tylko w poezji.

- Czyli wpuściłam do domu zapiekłego antyfeministę.

Zachwycasz się pewnie Hemingwayem?

- On też jest dobry. Nierówny, ale dobry. Teraz tysiące facetów myśli, że pisze lepiej od niego. Gdyby jednak nie było Hemingwaya, proza współczesna tkwiłaby jeszcze lewą nogą w dziewiętnastym wieku. To Hemingway posunął literaturę i przemeblował narrację, nie James Joyce.

- Skąd to wszystko wzięłeś?

- Znikąd. Ktoś czuje albo nie czuje. Ten, co czuje, wie; ten, co nie czuje, pozwala, aby pierwszy lepszy zidiociały belfer lub pierwszy lepszy skretyniały eseista wcisnął mu do głowy każdą obiegową bzdurę.

- I dlatego właśnie masz dwóję z polskiego?

- Między innymi. Piszę również uparcie „który” przez „u” zwykłe.

I ten chłopak skończył zaledwie siedemnaście lat! Wie. Po prostu – wie! I wie na pewno cały szereg innych rzeczy. Wie, że siedzi w eleganckim mieszkaniu naprzeciw atrakcyjnej kobiety. Wie, że podoba się tej kobiecie. Wie, że jest inteligentny, silny i przystojny. Ten jego cholerny wicherek na wąskim, gładkim czole, zupełnie jakby ktoś dmuchał mu nieprzerwanie we włosy o tej samej barwie, co włosy dziewczyny – złociste, proste, mocne, nie zlepione; żadne tam kędziorki czy fale, żaden kaczy puch! Blondynki wolą zwykle brunetów, i odwrotnie. Wszelako ludzie bliźniaczej karnacji przyciągają się na innej zasadzie, tak jakby pochodzili z tej samej rasy, jakby mieli wspólnych prarodziców, jakby łączyły ich więzy krwi. Blondynka kocha i pożąda bruneta, nienawidząc go równocześnie i walcząc z nim, blondyn natomiast budzi w niej uczucia łagodne i tkliwe. BLOND IS MORE FUNNY – zobaczyła kiedyś to hasło na płycie piosenkarza o platynowej fryzurze i czarnych, posępnych oczach notorycznego zbrodniarza, i nie kupiła tej płyty; źrenice Jacka były jednak stalowe i miała ochotę je kupić.

– *What about whisky?*

– OK. – Nie zawiódł oczekiwań, łyknął pewnie w liceum trochę angielskiego i łapał proste zdania. – Smaku nie potrafię jeszcze docenić, lecz efekt jest miły.

– Zrobię ci kanapkę.

– Innym razem. Pierwsza wizyta powinna być podobno krótka.

– A złożysz mi następną wizytę?

– Tak.

– Kiedy?

– To zależy już tylko od ciebie.

– Przyjdź jutro o czwartej, jeśli chcesz.

– O, pewnie, że chcę. Bardzo chcę! Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo!

Wtedy zarumieniła się znowu.

– Nie zapominaj, że jestem starsza od ciebie o kilka lat.

– Nie jesteś starsza. Jesteś po prostu piękna, a piękne dziewczyny, choćby były nie wiem jak młode, przeznaczone są z góry dla bogatych i brzuchatych facetów z samochodami i forszą.

Taka jest już dola pięknych dziewczyn w każdym kraju i na każdym kontynencie.

Pocałował ją w policzek i wyszedł. Stała w otwartym oknie i patrzyła z płonąca twarzą, jak przecina swoim miękkim kocim krokiem podwórko i ginie w drugiej lewej oficynie kamienicy.

- Oszalałam? - Wiatr zdjął z rozpalonego policzka wilgoć pocałunku. - Oszalałam! - powtórzyła cicho. - Wróc czym prędzej do mnie, braciszku. Kocham cię!

Jacka, który wyskoczył z frontowej klatki schodowej, zobaczył wracający do domu Kukuryk. Czego on tam szukał, kogo odwiedził? – dumał grubas. Frontową klatkę zamieszkiwało uprzywilejowane grono lokatorów: na pierwszym piętrze dwóch lekarzy, na drugim Gejsza i ceniony w mieście krawiec, na trzecim jakiś profesor i znany Kukurykowi dziennikarz Adrian Kusy, zaś na czwartym, w mansardzie, rezydował samotnie grafik, którego prace wisiały na ścianach kilku prywatnych galerii. Może był właśnie u tego grafika, bo na Gejszę to on raczej jest za biedny. Trza go w każdym razie sprawdzić – postanowił wszędobylski łódzki dziwak, i zapomniał tymczasem o Jacku, rozpatrując miniony, jakże udany dzień, spędzony pospołu z markową grupą rockową: biegał po piwo dla muzyków i po colę dla piosenkarki, wytargował dla niej w komisie biały puszysty szal, za co dała mu duże reklamowe zdjęcie z autografem. Niósł teraz ów skarb w kartonie od rysunków.

Ruszył w mrok prawej oficyny i stąpał ciężko po schodach. Przysiadł na oblazłym z farby parapecie. Dyszał, pocił się i chłonał woń smażonego dorsza. U Banasiaków, stwierdził, rzucając okiem na zielone, opatrzone grawerowaną tabliczką drzwi. Sam jadał nieregularnie. Godzinę temu przełknął dwa kremowe ciastka i popił je resztką lemoniady z butelki, którą ktoś wspaniałomyślnie zostawił na korpusie fortepianu. Czaj! Myśl o gorącej herbacie kazała mu podjąć uciążliwą wędrówkę po schodach, które za podestem trzeciego piętra, wyznaczającego granicę między dwoma biegunami społecznymi, były już tylko drewnianą, niebezpiecznie trzeszczącą konstrukcją.

Naparł kolanem na cztery szerokie i grube, byle jak sklecone deski, tak aby kłódka swobodnie wisiała na skoblu. Trafił kluczem w wyrobiony otwór i wszedł w ciasnotę dusznego, przegrzanego pomieszczenia, które zimą zamieniało się w lodówkę. Zamknął od wewnątrz drzwi na zardzewiały hak, przywodzący na myśl luksus wiejskiego ustępu. Z małej kuchni, gdzie oprócz kozy

z oczadzoną, ginącą w czarnym otworze pod sufitem rurą był także zlew podobny do odwróconej dorożkarskiej budy, wmaszerował Kukuryk do właściwej części poddasza, większej trochę od bawialni w blokach.

Strop wisiał tuż nad głową. Mijając środek pokoju, musiał uważać, aby nie palnąć czołem w sześćdziesięciowatową żarówkę, uczeponą krótkiego przewodu i pozbawioną osłony. Była tu również stara dwudrzwiowa szafa, żelazne łóżko o mosiężnych, zmatowiałych gałkach przykręconych do czterech wysokich prętów oraz stół wystarczająco duży, aby grać na nim w ping-ponga. Błat stołu świadczył o wielu gospodarskich zabiegach: jeden z brzegów przypominał pień rzeźniczy, inny nosił niezliczone wgłębienia po łebkach prostowanych młotkiem gwoździ i haków, środek zabrudzony był atramentem i tuszem. U stołu tkwiły dwa krzesła od pary: białe drewniane, kojarzące się natychmiast z poczekalnią w rejonowej przychodni lekarskiej, i brązowe, nie całkiem jeszcze odarte z forniru, o pluszowym, poprzecieranym siedzeniu, pod którym sterczały zardzewiałe sprężyny.

Kukuryk, zdmuchnąwszy kurz i okruchy, umieścił blok na stole, rozłożył dwie tekturowe okładki i z odradzającą się bez przerwy satysfakcją zerkał na cenną zdobycz. Nie od razu przeczytał dedykację, którą zresztą znał już na pamięć. Umiał dawkować sobie przyjemności i przedłużać je niczym wytrawny, zwlekający z orgazmem kochanek. Musnął kilkakrotnie okiem zgrabną sylwetkę dziewczyny, po czym wstał i wszedł do kuchni, aby włączyć grzejnik. Wsypał do blaszanego kubka trochę herbacianych paprochów i zalał je wrzątkiem. Nie żałował cukru. Mieszając, wyrztał przez samotne okienko, które było jedynym tego typu otworem w bocznej ścianie kamienicy. Z daleka, kiedy podążasz wskroś obcego podwórka, takie otwory wydają się bardzo romantyczne, szczególnie wieczorem, gdy płonie w nich światło. Chciałbyś znaleźć się w środku za tym oknem, w mieszkaniu z bajki-straszki, pełnym różnych tajemniczych sprzętów i cieni artretycznych wiedźm lub starców – alchemików

pogrążonych w swoich sekretnych praktykach. Konfrontacja, jeśli do niej dochodzi, przynosi rozczarowanie.

Zamierzał wrócić Kukuryk do pokoju, lecz to, co ujrzał w oknie na trzecim piętrze po przeciwnej stronie domu, zawiązało jego uwagę. Poznał masywną, krępą sylwetkę Bernarda w ustępie o szybach zasłoniętych firanką. Nie było w tym niby nic nadzwyczajnego; Bernard często odwiedzał babkę i brata, i często korzystał z ustępu, lecz tym razem nie pochylał się nad muszlą i nie siedział na sedesie umieszczonym z prawej strony okna i niewidocznym, podobnie jak niewidoczna była połączona z ustępem łazienka; nie opłukiwał również rąk nad pozostającą w zasięgu wzroku Kukuryka umywalką, dłuubał natomiast w ścianie. Awaria wody? Może pękła rura albo wysiadła jakaś uszczelka? Nie był w stanie rozszyfrować poczynañ ekonomisty, gdyż przez firankę widział tylko jego rozmazane kontury, a jak wpatrujesz się w coś z natężeniem, męczysz oczy i tracisz ostrość spojrzenia. Przydałaby się jednak lornetka! Bez lornetki bank informacji nie wzbogaci się w żadnym razie!

Światło zgasło; Bernard opuścił ubikację. Przysuwając krzesło do stołu i popijając gorącą, słodką jak ulepek herbatę, Kukuryk zaczął na nowo kontemplować podobiznę piosenkarki. Dobre ujęcie!

Rozpuszczone, przycięte modnie na skroniach włosy; długie, zgrabne, rozstawione nogi, jakby panna chciała zrobić szpagat, czemu stały jednak na przeszkodzie obcisłe spodnie ze skóry... No i ujmująca dedykacja: MIŁEMU ZYGMUSIOWI W DOWÓD SERDECZNEJ SYMPATII – MARYLA.

Przylepił do obwisłej wargi papierosa i zabrał się żwawo do roboty. Usunął z bloku wszystkie kartony, na jeden wycisnął z tubki wałeczek stolarskiego kleju i rozprowadził wskazującym palcem po marginesach. Przytwierdził karton do sztywnej okładki bloku i kładąc pośrodku zdjęcie, zarysował ołówkiem cztery rogi. Grudka popiołu spadła mu na kolano, ale nie przejął się tym. Odłożył pieczołowicie fotografię na wolną powierzchnię stołu, sięgnął po brudną, lepłą od zmieszanej z zarostem piany żyletkę i czerwony z napięcia naciął ukośnie karton w zaznaczonych

miejskach. Jego grube, niemrawe ręce o poobgryzanych paznokciach okazały się nadzwyczaj sprawne; ruchy były szybkie i pewne jak u chirurga, który wie, że pomyłka to śmierć. Wypuścił przetrzymywane w płucach powietrze. Niedopałek parzył mu wargi, więc wypluł go na podłogę i rozdeptał. Wsunął płasko lewy górny róg fotografii w nacięcie kartonu, po czym, manewrując ostrożnie opuszką dużego paca, wsunął pozostałe rogi.

Podziwiał chwilę swoje dzieło, a serce przepęłniała mu słodycz. Zerknął w głąb otwartej szafy, gdzie na półce ponad poręczą i paroma drewnianymi wieszakami, wygiętymi od ciężaru starych kurtek i zżartych przez mole palt, widać było stertę innych bloków różnej barwy i formatu – w każdym tkwiło jakieś zdjęcie z autografem sławnego artysty albo znanego sportowca, albo panny, która kręcąc pupą na scenie, wywalczyła koronę w konkursie piękności, albo bohaterskiego żołnierza, który wydobył zimą ze stawu dwójkę tonących dzieciaków. Kukuryk bardzo je sobie cenił. Były jedynym prawdziwym skarbem jego życia. Jeśli wychodząc z domu, zamykał drzwi na kłódkę, jeśli bał się w ogóle pożarów i zacieków deszczu na suficie, miał na uwadze właśnie te bloki.

Postawił nogę na siedzeniu krzesła i usiadł na poręczu, aby przyjrzeć się fotografii z dystansu. Coś niepokoiło uparcie prymitywną podświadomość Kukuryka. Jacek we frontowej klatce schodowej. Bernard zachowujący się dziwnie w ubikacji... Przypomniawszy sobie, że... kiedy to było? W sobotę. Nie, w piątek!... Wstał nad ranem, aby oddać mocz do zlewu, bo do ustępu przy śmietnikach nie chciało mu się biegać, i słysząc na podwórku czyjeś głosy, wyrzwał przez okno, aby zobaczyć spieszących gdzieś o wczesnej porze braci.

Nie ma nawet dwóch zdań, że kryje się za tym jakaś zagadka. Może nic wielkiego, ale któż to wie? Trzeba wziąć ich pod lupę! Nie lubił Bernarda i nie znosił zarozumiałego Jacka, który ignorował go w mieście i na podwórku, i jeśli nawet odpowiadał na zwyczajowe sąsiedzkie pozdrowienia, czynił to protekcyjnie i niechętnie.

Poczekaj, szczeniaku! Zgasił światło i przytaszczywszy krzesło do okna, zasadził się na czatach.

6

Łudziła się, że dobrze przespana noc, a potem krzątania w domu i zakupy w mieście ostudzą trochę jej nagły i nieoczekiwany sentyment, ale było inaczej i kiedy dochodziła czwarta, przeżywała chwile tego samego radosnego oczekiwania i tej samej dręczącej niepewności, które nawiedzały ją w owych odległych czasach szkolnych przed każdym kolejnym spotkaniem z rusycystą – pierwszym kochankiem i pierwszą miłością. Od tej pory nigdy już nie doznała takich wzruszeń; nie kochała nikogo – to raz, a dwa – wiedziała, że mężczyzna, któremu zaoferowała łaskawie południe, wieczór czy noc, przyjdzie, choćby mieli usunąć go z tronu dyrektora, choćby tatuś dogorywał na raka za parawanem w szpitalnym korytarzu, a żona groziła rozwodem.

Kłębnał dzwonek u drzwi i Jacek wszedł do mieszkania punktualnie. Osoba spóźniająca się kilka bądź kilkanaście minut utrzymuje drugą oczekującą osobę w stanie napięcia i zdobywa w ten sposób, wedle powszechnej opinii, przewagę. Wicher nie zmierzał w tym idiotycznym kierunku; może nie znał reguł gry, choć bezbłędna intuicja kazała Gejszy domniemywać, że chłopiec ma za sobą niejedno seksualne doświadczenie.

Przyzwyczajają się do miejsc!

Usiadł na kanapce w tym samym rogu, co wczoraj, a ona spoczęła w głębokim skórzanym fotelu i spytała:

– Co wypijesz?

– Whisky.

Przyzwyczajają się do smaków. Jeśli zdołam go pocałować, przyzwyczai się do moich warg. A później przyzwyczai się do ciała – do piersi, do brzucha, do ud, do zapachu! Nie myśl o tym! Miała nadzieję, że rozczaruje ją długą rozmową, ale chłopak nie nudził, nie tokował, nie opowiadał głupich dowcipów.

– Lubisz jazz? – zapytała.

– Bardzo.

– Kto jest twoim faworytem?

- Miles Davis. Ale nie ten współczesny, przemądrzały, lecz ten sprzed dwudziestu i trzydziestu lat, kiedy grał jeszcze często bez tłumika i był tak straszliwie smutny i tak straszliwie głęboki, jak symfonie Beethovena.

- Przykro mi, że nie mam jego płyt.

Wcale nie było jej przykro. Dyrektorzy to cudowna rasa, wszelako jeśli któryś był raz w życiu z konieczności w teatrze albo odwiedził przypadkiem za granicą muzeum, uchodził w oczach Gejszy za niebezpiecznego odszczepieńca. Ble, ble, ble z dyrektorami nudziło ją. Nudziło ją także ble, ble z lekarzami, z dziennikarzami i zadufanymi w sobie artystami, w obecności których śmiało można otworzyć okno na wysokim piętrze - nie pofruną! Tymczasem rozmowa z Jackiem sprawiała Gejszy szaloną przyjemność. Rzadko zdarzało się, aby słowo trafiło w słowo, aby między dziewczyną i chłopakiem brzęczała bez przerwy napięta struna. Rzadko, bardzo rzadko tak się zdarza, lecz skoro już się zdarzy, trzeba tego pilnować, bo jeśli w ogóle istnieje szczęście, nie polega ono wcale na bogactwie, na ulotnej rozkoszy, na orgazmie, na wyjazdach do obcych krajów - wszystko to jest bez wątpienia zabawne, ale jeśli znajdzie się ktoś, z kim nie czujesz się samotny, i każde zdanie zawiera ukrytą treść, a pauzy między zdaniami i milczenie są równie wymowne jak ułomny ludzki język, wtedy łap te chwile, bo lepszych już nie przeżyjesz.

Te jego policzki podkrążone młodą krwią i zakłęsłe, kiedy sącył alkohol. Ten jego zamglony, czujny wzrok z ukrytym głęboko sekretem, o który nie pytała, i którego nie mogła rozszyfrować, wiedziała jednak, że nie tyczy się jej i była zazdrosna.

Powiedział cicho:

- Dobrze mi.

A ona powiedziała:

- Cieszę się. I zmusiła się, aby dodać: - Mnie też jest dobrze.

Nie padło ani słowo na temat miłości, lecz Gejsza wyznała ją chłopcu w inny sposób.

Brzęknął telefon.

- Odbierz - poprosiła.

Jacek wstał, wziął mikrofon w dwa palce i rzekł grzecznie: – Dobry wieczór, słucham. Chwileczkę. – Spojrzał na dziewczynę. – To jednak do ciebie, nie do mnie.

Gejsza parsknęła. Ma na dodatek poczucie humoru! Takich rzeczy nie można wyćwiczyć – są dziedziczne. Położyła mu dłoń na ramieniu i był to jedyny poufały gest, jaki wypatrzył ze swego okna Kukuryk.

– Tak?

– Zajęta jesteś?

– A kto mówi?

– Nie poznajesz starych przyjaciół? Józwiak!

– Witaj, Czesławie – powiedziała z chłodną uprzejmością, wszelako dyrektor po drugiej stronie przewodu nie wsłuchiwał się w żadne subtelne półtony.

– Przyjechał fantastyczny facet z Luksemburga, menedżer, akcjonariusz prywatnej radiostacji. Wspomniałem mu o tobie i gość dostał świra, chce cię poznać. Zarezerwował stolik w „Malinowej” na ósmą, przyjdiesz?

– Nie.

– Czemu?

– Bez komentarzy, Czesławie.

– Więc jutro.

– Nie.

– W czwartek gość wyjeżdża do Poznania, ale wraca w sobotę.

Pasuje?

– Nie.

– Co się stało, do diabła? Barbaro?!

– Dużo.

– Złego czy dobrego?

– Nie wiem. Będę jednak wdzięczna, jeśli przestaniesz do mnie dzwonić, nawet jeśli przyjedzie książę Walii. Pa! – Odwiesiła słuchawkę i sondowała chwilę stalowe, niepokojące oczy Jacka.

– Zjesz coś, braciszku?

– Zjem. Jestem strasznie głodny.

– Ja też. – Dolała mu whisky i poszła do kuchni. Nuciała tam jakąś melodyjkę srebrzystym, dźwięcznym głosem kobiety, której

Bóg udzielił nieoczekiwanego rozgrzeszenia.

W ubiegłym, osiemdziesiątym ósmym roku Święto Piotrkowskiej przypadło na jedenasty i dwunasty dzień czerwca, i trzeba od razu powiedzieć, że nie było fiestą tak udaną, jak przed dwoma laty, kiedy pojawiło się po raz pierwszy w kalendarzu łódzkich imprez i transmitowała je ogólnopolska telewizja. Otwarcie nastąpiło w sobotę przed południem w pasażu Leona Schillera. Padał drobny, dokuczliwy deszcz, władze miasta rozpięły nad sobą parasole, a Kukuryk nie miał nawet czapki i jeśli coś podtrzymywało go na duchu, to chyba fakt, iż odkłonił mu się wiceprezydent Stanisław Żałobny.

W tę smutną, pochmurną sobotę nie było wcale na Piotrkowskiej nadzwyczajnych tłumów, zawisła wszelako nad miastem jakaś szczególna nostalgia. Wiecie, jak to jest, kiedy grają orkiestry dęte. Kukuryk wysłuchał ich, po czym ruszył w stronę Klubu Studentów, gdzie wrzeszczały z pasją zespoły ludowe. Poszedł dalej. Między tylną ścianą Grand Hotelu a Młodzieżowym Domem Kultury, u stóp pomnika poety, o którego rwać się miało pazurami po śmierci kilkanaście sławnych, niekoniecznie polskich miast, tańczyły i śpiewały z wdziękiem dziewczęta, pod pawilonem „Magda” natomiast nie było nic oprócz dwóch punktów sanitarnych, z których jeden nie przyciągnął uwagi Kukuryka, drugi zaś usiłował go przekonać, że „AIDS JEST CHOROBA DO UNIKNIĘCIA”.

Kukuryk szukał roboty, ale w żaden sposób nie mógł jej znaleźć. Wrócił w pobliże estrady przy pasażu Leona Schillera z nadzieją, że wystąpi tam, być może, zapowiadany przez łódzką prasę Król Łgarzy – zamierzał roztoczyć opiekę nad tą ważną społeczną osobistością, uchronić ją przed naporem tłumu, zaopatrywać w kanapki i oranżadę, a potem, w stosownym momencie, poprosić o autograf. Król Łgarzy nie zasiadł jednak przy stoliku, który przytaszczyli dla niego dziennikarze sponsorującej gazety. Nawalił, zlekceważył organizatorów i wielbicieli. Prawdopodobnie zniechęcił go siąpiący bez ustanku deszcz.

Nazajutrz, w niedzielę, wyrzało słońce i wszystko potoczyło się w rytmie samby. Na Piotrkowską wyległy tysiące łodzian, a także pokaźna ilość dzikich i stowarzyszonych artystów. Rozłożony pod piekarnią naprzeciw budynku prasy septet studencki zaśpiewał Kukurykowi szlagier: *Dzisiaj są moje urodziny, które obchodzę bez rodziny*. Kilka metrów dalej popisowała się nieznana nikomu orkiestra podwórkowa:

*Na Piotrkowskiej już od rana
niepodzielnie rządzi szpana.
Bęc! Buch!
Szpana puszcza piąchy w ruch.
Buch! Bęc!
Frajer musi pęc.*

W klubie „Pod Siódemkami” grał jakiś niewidoczny, ale świetny dixieland, zaś obok klubu, na wysokiej zradiofonizowanej estradzie, stanęło rzędem pięciu peruwiańskich Indian w pasiastych ponchach. Kukuryk oczekiwał taniej amatorszczyzny, tymczasem miał szczęście słuchać przez czterdzieści minut wspaniałych południowoamerykańskich rytmów. Wrażenie było takie, jakby zamiast samolotu zobaczył nad miastem szybującego kondora. Na prawym skrzydle walił w maleńką gitarę Peruwiańczyk średniego wzrostu, a obok niego szalał na klasycznej gitarze gruby Peruwiańczyk. Potem, z piszczałkami u warg (instrumenty te przywodziły na myśl fragment wymontowanych z katedry organów), tkwili wysoki, niebywale chudy Peruwiańczyk i jego niski kompatriota. Grali na tych piszczałkach z ogromną werwą, na dwa głosy. Piąty, obsługujący bęben Peruwiańczyk, był ponadto utalentowanym wokalistą i poprawnie mówiącym po polsku konferansjerem.

Kukuryk uprzytomnił sobie, iż otacza go potężna masa ludzi. Po każdym utworze wybuchały szczere, długie brawa. Peruwiańczycy podobali się wszystkim i nakręcali koniunkturę innym, mającym dopiero wystąpić zespołom.

– Chyba będzie robota! – zawyrokował Kukuryk.

Na estradzie przed mikrofonem pojawił się studencki wodzirej, człek dwudziestoparoletni, dość paskudny, przyodziany w dzinsową kurtkę, która była kiedyś niebieska, lecz tak ją ufajdał, sponiewierał, wytarzał w piwie, tłuszczu i błocie, że przypominała teraz fakturę i barwę ochronny mundur komandosa. Włosy tego stwora związane były z tyłu głowy w kosmyk, a w uchu dyndała agrafka. Wrzasnął do tłumu bez żadnych zbędnych pozdrowień:

– Jesteście w studenckim Hyde Parku, rozumiano?!

– Rozumiano! – odwrzasnął jakiś podstawiony żul.

– To ja się bardzo cieszę, że mam taką inteligentną publiczność. W Hyde Parku wolno wszystko. Przyjmujemy zasadę: każdy może wejść na scenę i chlapać, co mu tylko ślina na ozór przyniesie. Jak się komu podoba, niech atakuje partię i rząd, niech wiesza psy na rektorach, profesorach i milicjantach. – Wytknął palcem dwa biało-niebieskie radiowozy oraz kilka pojedynczych mundurów, zanurzonych w wielotysięcznej ciżbie celem utrzymania porządku. – Patrzcie, jak to się czają! Przyłóżcie im! Śmiało! Dzisiaj nikomu nic nie zrobią!

– Kto wie?! – zakwilił falsetem gość o posturze leniuchującego urzędnika.

– Ty, idioto, na pewno nie wiesz i w ogóle nie jesteś tu potrzebny! – odpalił z furią wodzirej.

– Proszę mnie nie obrażać! – zaprotestował urzędnik. – Mógłbym być, smarkaczu, twoim ojcem!

– Ale na szczęście nie jesteś!

– Mam żonę i dzieci!

– Ja też mam żonę i dzieci. – Wodzirej zmrużył kaprawe oko i pociągnął: – Konkretnie rzecz biorąc, mam syna. Syn urodę odziedziczył po mnie, a po matce miłość do chłopców.

Inteligentna część widowni chwyciła dowcip i zawyła z uszczęśliwienia. Na podium wgramolił się czterdziestoletni pijak i ryknął sugestywnie:

– Precz z Wojciechem Łazarkiem, wrogiem ludu polskiego!

Burza oklasków zdziwiła wodzireja, złapał więc odchodzącego pijaczka za kapotę i spytał:

– Kto to jest Wojciech Łazarek?

- Trener.
- Jaki trener?
- Ten, co rozłożył piłkę nożną.
- I dlatego niby ma być wrogiem ludu?
- Jasne! Futbol, to coś więcej niż sport. Reprezentacja bez przerwy daje dupy na wyjeździe i naród cierpi, burzy się, strajkuje, żąda podwyżki płac i obniżki cen na mięcho...
- Precz z Legią! – krzyknął inny gość.
- Precz z Widzewem!
- Precz z Dziekanowskim!
- Precz z ŁKS-em!
- Dobra, dobra! – zdenerwował się wodzirej. – Dostyc tego cholernego sportu! Jedyne hasło, jakie nas od tej chwili obowiązuje, brzmi: PRZEZ SPORT DO KALECTWA. Jeśli chcesz zaoszczędzić córce nieprzyjemnej wizyty u dentysty, poślij ją na kurs karate. Zamiast rozwodzić się z ukochaną małżonką, kup jej narty i bilet na Kasprowy. Szwagra namów do uprawiania skoków ze spadochronem, a chorą na serce teściową zmusz do intensywnych biegów w parku. Tak jest, szanowny robotniku, szanowni kierowco i śmieciarzu, szanowna hieno cmentarna, szanowne lekarko, pielęgniarcko i salowo, szanowna wdowo i szanowny rozwodniku, szanowni złodzieju i bigamisto...
- Stul pysk, draniu! – krzyknął zwalisty, rozsierzdzony osiłek, który jeśli nawet wypił coś od świtu, to nie więcej niż litra. Usiłował wejść na estradę i zadać wodzirejowi nokautujący cios, powstrzymała go jednak studencka straż porządkowa.
W normalnych warunkach, gdyby była to szacowna, zaakceptowana przez władze impreza, Kukuryk działałby już z właściwym sobie zaangażowaniem i energią – goniłby już pijaków, mitygował awanturników i strzegł sceny przed inwazją elementów wywrotowych. Już by pouczał: „Z szacunkiem dla milicji, obywatelu. Nie pchać się! Rączki przy sobie. Tędy nie wolno przechodzić!”. Wszelako maskarada w Hyde Parku nie trafiła mu do przekonania; coś nie grało, coś zgrzytało, raniąc głęboko jego prawomyślny zmysł estetyczny. Cholerne święto! Nie ma roboty. Wycofał się z tłumu i zaczął okręzać estradę, za

którą, w pasażu biegnącym ku alei Kościuszki, rozciągały się wzdłuż trawnika dwa rzędy straganów ze starociami: z monetami i znaczkami, z wydanymi przed wojną książkami, ze spatynowanym srebrem i złotem pradziadów, z zegarami, które zaczęły odmierzać czas w ubiegłym stuleciu.

Obojętnym okiem patrzył na to wszystko Kukuryk, nagle jednak dojrzał cel swoich marzeń – dużą zeissowską lornetę.

Powściągnął emocje i zapytał z flegmą:

– Co pan chcesz za tego grata?

Właściciel, staruszek o siwych, sumiastych wąsach i siwych, sumiastych, łudząco do wąsów podobnych brwiach, zachłysnął się z oburzenia:

– To jest grat?! To są, panie kawalerze, najlepsze szkła świata. Nigdy bym tego nie sprzedawał, gdyby nie podnieśli opłat za komorne i gdyby nie ta szalejąca drożyzna, ech! – Strzelił drobną piąstką w stolik. – Co ja będę panu dużo opowiadał! Szukaj pan lepszych!

– Cenę chyba możesz pan wyszczególnić?

– Trzydzieści tysięcy złotych – oświadczył cichutko staruszek, dowodząc, iż być może pierwszy raz przyszło mu wystąpić publicznie w charakterze handlarza. Przy straganach, oprócz zawodowych, bezczelnych, biegłych w szachrajstwie naciągaczy, zasiadło tego dnia wielu ludzi z cenzusem naukowym, wielu autentycznych znawców sztuki i autentycznych kolekcjonerów, gotowych wymienić jeden przedmiot na drugi bez udziału środków płatniczych. Wypadało jakoś tego dnia załatwić na ulicy interesa familijne, jak to pięknie zdefiniował Józef Ignacy Kraszewski.

Okazja! Kukuryk ciągle jeszcze milczał. Kędzior na jego tłustym czole przesunął się o milimetr w nagłym porywie wiatru, ale powieka nie drgnęła.

– Można popatrzeć?

– Oczywiście. Tymi pokrętłami dostroisz pan ostrość i uzyskasz pan dziesięciokrotne zbliżenie. Ostrożnie jeno, panie kawalerze! – Zarzucił Kukurykowi na kark skórzany pasek.

– Naprawiane były?

– Takich rzeczy się nie naprawia. Pan ze wsi przyjechał?

– Wolnego! – Kukuryk skierował lornetkę na dach kamienicy i doznał nagle wspaniałego, radosnego, upajającego uczucia, iż Bóg wyposażył go we wszechwidzące oczy – dach był w zasięgu ręki, drepczący wokół komina wróbel odcinał się wyraźnie od tła czarnej papy i jakby mrugał do Kukuryka, mówiąc: „Nie istnieję dla zwykłych śmiertelników, istnieję tylko dla ciebie, ale nie strzelaj, człowieku, nie zrobiłem ci nic złego!”

– I jak? – Staruszek sięgnął po lornetkę, nie dowierzając widocznie niechlujnemu, spoconemu grubasowi, którego kędziorki przylepionych do czoła włosów upodabniał niebezpiecznie do rewolucyjnego poety, zakochanego w towarzyszu Dzierżyńskim, a to z tego powodu, iż Krwawy Feliks był najsprawiedliwszym komunistą, jakiego kiedykolwiek zrodziła ta ziemia – każdy, kto ruszył prawą, nie lewą powieką, otrzymywał w bebechy tę samą sprawiedliwą porcję ołowiu. – Bierzesz pan?

– Nie mam przy sobie trzydziestu tysięcy.

– To co pan zawracasz głowę!

– Dam piętała na zadatek i skoczę do domu po resztę, zgoda?

– Zgoda.

– Ale nie wytniesz mi pan numeru?

– Panie! – zdenerwował się starowina. – Przestań mnie pan, saletra, obrażać! Bierz pan te swoje pięć tysięcy. Jak pan wrócisz z całą sumą, to dobijemy targu, saletra, i koniec!

– A nie spuścisz pan tego w międzyczasie?

– Jeśli trafi się kupiec, to spuszczę – odparł szczerze staruszek i nastroszył sumiaste brwi. – Saletra!

– Ja byłem pierwszy – oświadczył groźnie Kukuryk. – W interesach obowiązuje uczciwość!

Sapiąc i dysząc jak dziurawy miech akordeonu, biegł łódzki sobowtór Włodzimierza Majakowskiego w kierunku posesji numer 84. Błąd zrobiłem, błąd! Teraz może podbić cenę! – Wygrzebał z szafy na poddaszu swoje oszczędności i odliczył drżącymi palcami trzydziestaka. Pięć tysięcy trzeba mieć w rezerwie, żeby w razie czego nadpłacić! Zawrócił w drzwiach i wpakował do kieszeni czarną plastikową torbę, która wisiała na

haku przy zlewie. Nigdy jeszcze nie był tak podminowany. Zawał krążył nad nim jak sęp, i gdyby Kukuryk wiedział coś w ogóle o zawałach, dokonałby zapewne na schodach żywota, bowiem przecucie choroby i oczekiwanie na wielki dzwon są gwoździem do trumny. Wystarczy jednak nie wiedzieć nic o zawałach i ta przekłeta zmora ucieka od ciebie jak diabeł, w którego nie wierzysz. W pasażu przed straganami Kukuryk wyhamował, aby uspokoić oddech i przyoblec na twarz maskę obojętności. Zapalił taniego papierosa i słuchał monologu studenckiego wodzireja, który grzmiał z estrady:

– Badania naukowe dowodzą, iż żaden esperal i anticol, żaden lekarz i żadna kuracja odwykowa nie są w stanie wyprowadzić alkoholika z nałogu. Potwierdzają to również raporty Światowego Stowarzyszenia Anonimowych Alkoholików. Dotarło to do was, bracia pijacy!?

– Dotarło! – ryknął uszczęśliwionym chórem nabuchany wodą tłum.

– Alkoholikowi mogą pomóc tylko silna wola i drugi alkoholik, przyjaciel, którego wola jest równie niezłomna, i który za wszelką cenę chce wrócić do społeczeństwa zdrowych ludzi. Zaprawdę, powiadam wam, ochlapusy, moczymordy i opoje, denaturyści, gazerzy i miłośnicy wody brzozonej, iż jedyny wasz ratunek jest w Stowarzyszeniu Anonimowych Alkoholików, organizacji, która prowadzi terapię zbiorową. Znajdziecie tam z całą pewnością oddanego sobie przyjaciela, a on wam pomoże w krytycznych momentach życia, bo, powiedzmy, że toczy was akurat alkoholowy głód, czyli tak zwane objawy abstynencji. Co robicie wtedy? Ależ to proste! Dzwonicie do przyjaciela i mówicie: jest mi źle, jest mi ponuro i ciężko na duszy. Przyjeźdź czym prędzej, kolego! No i on przyjeżdża z półlitrem i nie ma problemu, życie znowu nabiera powabów i blasków, a wy staczacie się na powrót do rynsztoka, gdyż tam jest, do jasnej cholery, wasze miejsce! Tak czy nie, najmilsi moi?!

Uszczęśliwiony wielotysięczny tłum walił brawo i rechotał pogodnie, jako że wodzirej pociągał co jakiś czas z butelki i dojrzewał powoli do sjesty w izbie wytrzeźwień.

No, no! Że też chłopcy nie zaczęli jeszcze pałować!

– Proszę!

– Trzydzieści?

– Tak.

Staruszek przeliczył skrupulatnie plik złachmanionych banknotów i wręczył Kukurykowi lornetkę z posępną, niezadowoloną miną człowieka grzeszącego.

– Po co ona panu w zasadzie?

– To już moja sprawa – odparł Kukuryk, wkładając lornetkę do czarnej, nieprzezroczystej torby. Nie mógł przecież afiszować się takim przedmiotem w mieście i na podwórku. Gdyby sąsiedzi ujrzeli go z tą złowieszczą podglądarką, zareagowaliby podobnie, jak reaguje meliniarz ostrzeżony w porę o nalocie. Oprócz firanek we wszystkich oknach zawisłyby kotary i mógłby sobie najwyżej podglądać gołębie na dachu.

Wrócił Kukuryk na Piotrkowską z żelaznym postanowieniem, że nie będzie więcej szukał tego dnia roboty. Drażnił go pijany w sztok wodzirej, podtrzymywany z obu stron pod pachy przez trzeźwiejszą nieco służbę porządkową. Ryczał:

– Milion złotych nagrody wyznaczono dla tych, co wskażą panów, którzy obrabowali bank. W Łodzi trzeba ich wykapować. W Łodzi. I zanucił fałszywie:

Do dziury, myszko, do dziury!

Bo cię przyłapie kot bury!

Assa, tadarasu! Assa, tadarasa!

I cię obedrze ze skóry!

Kukuryk zmarszczył czoło i dumiał intensywnie. Ciężąca w torbie lornetka napawała go otuchą.

Jacek wstał, żeby wyjść, a Gejsza wstała, aby odprowadzić go do drzwi, i wtedy chłopak zrobił to, czego nie sprowokowała i co skłonna była odwlekać jak najdłużej. Zamknął ją w swoich silnych, szczupłych ramionach i pocałował, a potem zmusił do powrotu na szeroką skórzaną kanapę i rozebrał – szybko i wprawnie, nie jak napalony szczeniak i nie jak posapujący z podniecenia Szkot, bez głupich deklaracji i niepotrzebnych słów, bez szamotania się i szarpania, bez owej śmiesznej zachłanności kundla gotowego czym prędzej i za wszelką cenę dobrać się do miski z jadłem. Chciał powiedzieć coś, lecz zamknęła mu usta wilgotnymi, rozpalonymi wargami, po czym ona chciała coś powiedzieć, a on zrobił to samo. Mogła więc tylko myśleć: wyprzedzisz mnie, nie zdążę przed tobą. Jesteś jeszcze taki młody. Ale kocham cię! Kocham, kocham, kocham, kocham! Nigdy nikogo tak nie kochałam i nigdy nikogo już tak kochać nie będę. Moja rozkosz nie ma dzisiaj żadnego znaczenia, ważna jest tylko twoja rozkosz, braciszku! Cudowny, mocny, najdroższy na świecie mężczyzno! Chcę być pełna tobą! Chcę być mokra od ciebie, chociaż to moja niebezpieczna dekada! Och, Boże! Wiem, że nie powinnam wzywać w takich chwilach Twego imienia, ale gdybyś zostawił mi na ziemi to szczęście, nie sprzeniewierzę go, nie zdeprawuję, nie zbrukam; wyrzucę na śmietnik wszystkie ohydne pornograficzne filmiska i wszystkie ohydne elektryczne przyrządy, i nie zdradzę go nigdy, i wezmę z nim kościelny ślub, i nie opuszczę żadnej mszy w niedzielę, i mogę nawet wyrzec się rozkoszy!

Ale czuła rozkosz – szaloną, gwałtowną, narastającą z każdym momentem i z każdym ruchem prężnego, gładkiego ciała, które obejmowało ją i pachniało chlebem, i nie wydzielalo żadnego przykrego odoru, i było cały czas dwa kroki za dziewczyną.

- Teraz – szepnęła.
- Co?
- Dogoń mnie, czerwcowy Wietrzyku!
- Och! Och!

– Ach!

I to był cały dialog scenariusza, który niebawem został powtórzony, tyle że nie na kanapie już, a w pysznym łożu króla Ludwika. Potem spał z głową wtuloną między jej ramię i pierś, i nie miała sumienia go budzić. Leżała bez ruchu, onieśmielona i speszona w swoim własnym mieszkaniu, i myślała o sąsiadach, którzy przecież już wiedzą, i o babce, która pewnie czeka nerwowo na wnuka. Śpij, braciszku, śpij! Jak się obudzisz, wyprawię cię natychmiast do domu. Chłopiec jednak, ocknąwszy się z krótkiego, głębokiego snu, pokonał jej nieszczery opór i wpełznął na nią z arogancją władcy, z siłą człowieka, który ma miliony, z bezczelnością mężczyzny, który kocha, lecz domaga się bezwzględного posłuchu, i scenariusz został powtórzony po raz trzeci, a potem po raz czwarty, a potem zadzwonił telefon, i gdy sięgnęła po słuchawkę, dobiegł ją zduszony, zakochany głos Francisa Jamesa Molińskiego:

– Jesteś?

– Owszem.

– I co robisz?

– Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie.

– Nie dręcz mnie!

– Nudzisz!

– Za miesiąc będę w Polsce. Chyba nie zmieniło się nic między nami?

– Ależ tak! Wszystko się zmieniło. Całe moje życie uległo zmianie.

– *Why? What happened, Barbra?*

Zerknęła na Jacka i powiedziała z nadzieją, że chłopak nie zrozumie:

– *Infatuation.*

– Z dnia na dzień?

– *Exactly.*

– Nie wierzę.

– Twoja wiara nie ma tu nic do rzeczy, James.

– Ale przecież... zdobyłem pewne prawa.

- Żadnych praw nie zdobyłeś, James, i nigdy ich nie zdobędziesz. Prezent, czy też jego równowartość, mogę oddać ci w każdej chwili.

Po drugiej stronie przewodu zaległo milczenie. Szkot! Skąpiradło! Była wściekła, nie doceniła jednak polskich genów we krwi Brytyjczyka, którego stłumiony tenor eksplodował nagle oburzeniem:

- Kto tu w ogóle mówi o prezencie?! Nie pamiętam żadnych prezentów. Jedyne, jaki wchodzi w ogóle w grę, to ten, co ty mi dałaś, nie ja tobie, a dałaś mi cholernie dużo i zabrałaś mi cholernie dużo – zabrałaś mi serce!

- Przykro mi, James.

- Nie musisz być okrutna.

- Nie chcę być okrutna.

- Będę o ciebie walczył!

- Ty chyba zwariowałaś?!

- Zgadza się. Zwariowałem. Świat nie docenia zwariowanych Brytyjczyków, ale zwariowany Brytyjczyk potrafi być cierpliwy i groźny.

- Przerażasz mnie, James.

- Nie mam takiego zamiaru. Tak czy owak, za miesiąc będę u ciebie.

- Zastaniesz mojego chłopaka.

- Do tej pory pożegnasz się już ze swoim chłopakiem.

- Odwołaj to!

- Co?

- Że się z nim pożegnam! – wrzasnęła i zaczęła wykrzykiwać zwroty, które Jacek musiał już rozumieć: – *I'm enamoured, don't you understand it? Sorry, James! Good luck! I wish you a speedy recovery.*

Nim odłożyła mikrofon. Szkot zdążył jeszcze powtórzyć:

- Będę walczył!

Płakała przytulona kurczowo do Jacka; czuł na piersiach jej gorące łzy i była to chwila stosowna do pytań, chłopak nie zadawał jednak pytań i nie próbował powtórzyć z nią po raz piąty miłosnego scenariusza. Delikatny się znalazł!

- Teraz już wszystko wiesz – powiedziała, a on przytaknął:
 - Teraz już wszystko wiem.
 - Niby co?
 - No, niby wszystko.
 - To tylko dlatego, że zawsze chciałam mieć brata.
 - Nie jestem twoim bratem.
 - A kim jesteś?
 - Mogę ci powiedzieć, kim będę.
 - Więc mów! Albo ja to zrobię. Będiesz moim mężem, tak?
 - Tak. Skończę osiemnaście lat i będę twoim mężem.
 - I sądzisz, że ja się zgodzę wyjść za młodszego o kilka lat chłopaka?
 - Sądzę, że się zgodzisz.
 - Dlaczego, Jacku? Mogłabym polować na książąt, szejków i bankierów.
 - Ale nie będziesz polować.
 - Bo ty mi nie pozwolisz?
 - Nie. Bo masz czysty charakter.
 - Ja mam czysty charakter? – parsknęła. – Ja, stara, doświadczona kurwa, mam czysty charakter?!
- Wtedy uderzył ją w twarz, a kiedy podnosiła do góry rękę, żeby mu oddać, chwycił ją za nadgarstek i rzucił przez zęby:
- Nigdy więcej nie mów przy mnie, że jesteś kurwą, albo że nią byłaś. – Uniósł głowę i widziała nad sobą parę stalowych, skupionych, przysłoniętych mgłą, nieprzeniknionych oczu, w których drzemała jakaś straszliwa tajemnica. – Nigdy więcej! Nigdy!
 - A ty nigdy więcej, szczeniaku, nie podnoś na mnie ręki!
 - Przywarła do niego całym ciałem i znowu zaczęła płakać.
 - Nigdy więcej! Nigdy, nigdy, nigdy! bo cię porzucę, żebyś nie wiem jak miała cierpieć! Zrozumiałeś to?
 - Tak.
 - I nie uderzysz mnie już nigdy.
 - Nie uderzę, jeśli nie dasz mi powodu.
 - A jeśli dam ci powód?
 - Wtedy znowu cię rąbnę.

- Wynoś się!
- Gdzie?
- Do domu! Do babci, do brata, do diabła! Martwią się tam na pewno o ciebie.
- Nikt się nie martwi.
- *Północ minęła, godzina duchów. Kraczą gawrony, słyszę złe przepowiednie. Wiedzmy Makbeta rajcują nad kotłem. Jak to było?*
- Co?
- Ten monolog trzeciej czarownicy?...

Jeszcze ingrediencyj kilka!
 Łuska smocza i ząb wilka,
 Z mumii sok, kiszka i ślina
 Zbójcy morskiego, rekina,
 Korzeń, lulka i cykuty,
 Z łona ziemi w noc wypruty
 Język bluźniącego Żyda,
 Koźła żółc, i ta się przyda,
 A do tego Turka nos
 I z Tatara brody włos,
 Dwa paluszki małych dzieciak,
 Zaduszonych; na ostatek,
 Dla nadania konsystencji
 Tej przeklętej kwintesencji,
 Tygrysicy scuchłe trzewo.
 Dalej! żwawo w prawo! w lewo!
 W lewo! w prawo! hasa! hej!
 Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!^[2]

- Przestań!
 - Zimno mi – szepnęła dziewczyna.
 - Zamknąć okno?
 - Zamknij.
- Podszedł nago do okna i zamknął je z przykrym uczuciem, że Gejsza domyśla się czegoś.
- Mam wyjść?

– Wróć, ale jeśli jeszcze kiedykolwiek mnie uderzysz, to mnie stracisz. Zrozumiałeś to?

– Zrozumiałem.

– Więc mnie przeproś!

– Przepraszam cię – powiedział – za moją wielką, sprawiedliwą miłość.

Wcałował się z rozpaczą w jej miękkie, obrzmiałe wargi, a ona pomyślała: za nim musi coś stać – jakiś bohaterski czyn, jakieś szaleństwo, jakieś ogromne pieniądze albo jakaś ukryta potęga. Niemożliwe, żeby siedemnastoletni pętał był aż do tego stopnia mężczyzną.

Rano wyznała mu, że za kilka dni, w najbliższy piątek obchodzi urodziny.

– Licz się z tym, że może przyjechać mój ojciec – powiedziała. – I nie chcę żadnych prezentów, żadnych kwiatów.

– A czego chcesz?

– Ciebie, pod warunkiem, że nie uderzysz mnie już nigdy.

– Nie uderzę. – Wyszedł, zamknął drzwi i dodał na schodach: – Jeśli nie dasz mi powodu.

Bernard siedział przy stole i patrzył na Jacka ponuro.

– Wiem już – powiedział.

– Co?

– Że kombinujesz z Gejszą.

– Ja z nią nie kombinuję, ja ją kocham – oświadczył zimnym z wściekłości głosem chłopak. – I nie mów mi tylko, że jest kurwą. Już ktoś wczoraj dostał za to w mordę.

– Wspaniale! A co z naszym wyjazdem do Meksyku? Nie rozmyśliłeś się przypadkiem?

– Nie.

– No to nie ma w ogóle żadnej sprawy – rzekł z fałszywym entuzjazmem starszy brat, poskromiwszy gniew i uśmiechnąwszy się z wysiłkiem. – Każdy może wpaść.

– Jasne!

– Ważne tylko, żebyś w porę z tym skończył.

– Nie zamierzam niczego kończyć.

– To jak wyjedziesz?

– Z nią!

– Raczysz sobie oczywiście żartować? – Poskromiony gniew napływał siedmioma drzwiami tak, jak siedmiu diabłów zajmuje miejsce kamrata przegnanego na chwilę ze skruszonej duszy. – I ona została już o tym radosnym fakcie powiadomiona?

– Wolałem poczekać na twoją akceptację.

– Bardzo ładnie! – Bernard zapalił i drżał z hamowanej furii. – Akurat teraz potrzebna nam baba!

– Dama!

– Kula u nogi i zdrajca!

– Partner, z którym można zrobić każdy skok.

– Nie będzie już żadnych skoków.

– Kto wie? Tak czy inaczej, Gejsza ułatwi przemyt. Kiedy ona zlikwiduje konto i sprzeda mieszkanie, będzie równie bogata, jak każdy z nas. – Sięgnął po papierosy brata, zaciągnął się i mówił z dymem: – Spokojnie, Bernard, spokojnie. Nie puściłem farby, nie

tknąłem pieniędzy, nie palnąłem żadnego głupstwa. Zakochałem się po prostu! Powiesz oczywiście, że jest to miłość szczeniaka.

– A nie jest?

– Nie. Miłość szczeniaka to jedyna prawdziwa miłość na tym świecie, ale ja przestałem być szczeniakiem. Ja myślę, Bernard!

– Wyobrażam sobie!

– Polubisz ją!

– Na pewno.

– Nie drwij. – Dopiero teraz Jacek odsunął krzesło od stołu i usiadł. – Gdzie babka?

– Śpi.

– To dobrze. Zbliżył do brata twarz zmęczoną i pobladłą, z sinymi podkowami pod oczyma, które były zaczepne i złe. Mówił tonem rozkazującym, tak jakby nie istniała między nimi różnica wieku i jakby zwierzchność Bernarda przestała się liczyć. Napiszesz do ojca, żeby przysłał jej prędko zaproszenie.

– Na razie jeszcze my nie mamy zaproszeń.

– Nie odpowiedział?

– Nie.

– Odpowie. Wytłumaczysz mu, że jest moją narzeczoną, i że ożenię się z nią, jak skończę osiemnaście lat.

– A jeśli tego nie zrobię?

– To polecisz do Meksyku sam. Zrozum, Bernard, jesteś moim starszym bratem i kocham cię, ale Baśka jest w tej chwili najważniejsza. Takiego mieszkania, jakie ona posiada w tej pieprzonej kamienicy, nie znajdę w żadnym Meksyku, w żadnej Kalifornii czy Londynie.

– Dla mieszkania się w niej zakochałeś?

– W każdym razie, gdybym musiał tu zostać, nie będę cierpieć.

– Rzuci cię wcześniej czy później!

– Akurat!

– Pohula trochę z tobą i odejdzie.

Pięści chłopca zwinęły się odruchowo.

– Tego to bym jej nie radził.

– Nie znasz kobiet.

– Znam. Przerzuciłem kilka. Przyjrzałem się matce i twojej żonie, no i przyjrzałem się Gejszy.

– Ideal?

– Prawie. Powinieneś ją poznać.

– Z przyjemnością.

Jacek zmierzył brata uważnie. Guu, guuu, ku! Guu, guuu, ku! – gruchał gołąb. Było już po dziesiątej i nieznany klarncista ćwiczył gamy. Promienie słońca wstrzeliwały się ukośnie do pokoju; wiało i kiedy Bernard podszedł z papierosem do okna, trzepotał mu u szyi warkocz dymu. Warsztat Gustawa był jeszcze zamknięty; na wprost wysokich, pociągniętych zieloną farbą drzwi stał pochylony motocykl z wykręconym przednim kołem i zablokowaną kierownicą. Syn dozorczy siedział na zrębie gazonu i trzymał między nogami łopatę, dowodząc, że gdyby tylko usłyszał przyjazne słowo, wziąłby się do roboty.

Może to rzeczywiście nie będzie złe? – medytował Bernard. Miał przykre, nieuświadomione wrażenie czyjejś natarczywej obecności. Coś błysnęło pod dachem. Klarncista rozegrał już wargi i zamruczał cichutko bluesa. Czym ja się w zasadzie denerwuję? Dziewczyna jest mądra i zdecydowanie piękna; da sobie radę z każdym celnikiem, jeśli jednak trafi na celniczkę, babsko z rozkoszą wypruje z niej flaki. Tak czy owak, wezmę dane Gejszy i prześlę je ekspresem ojcu. Niewykluczone, że naprawdę zakochała się w gówniarzu, chociaż lepiej by było, żeby zakochała się we mnie!

Mężczyźni; koledzy, przyjaciele, bracia, dziadek i wnuczek, ojciec i syn potrafią być wobec siebie bezwzględnie uczciwi, bezwzględnie lojalni i wierni w takich sferach, jak honor, interesy, pieniądze, a nawet śmierć, lecz gdy wpakuje się między nich atrakcyjna kobieta, wtedy z miejsca zaczynają wariować, z miejsca uderza im do głowy samcza krew, i takie rzeczy, jak honor, interesy, pieniądze czy śmierć przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Bernard zaprzeczał sobie w duchu, że zazdrości trochę Jackowi, i że na samą myśl o pięknej znanej i równocześnie nieznannej Gejszy czuje w łędźwiach słodki, niekontrolowany skurcz. Do diabła z tym! Trzeba tylko przekazać szczeniakowi,

aby pod żadnym pozorem nie wspomniał dziewczynie o banku. Owszem, są pieniądze, jest wielki szmal, ale skąd, to już ich sprawa! Jej też nie będzie nikt pytał, jak dorobiła się majątku. Znowu ten skurcz! I ten przeklęty, drążący serce niepokój!

Wszedł do ustępu, przekręcił klucz, wyciągnął ze ściany kafelmydelniczkę i sprawdził, czy „kiełbasa” jest na swoim miejscu. Lżej byłoby mu, mimo wszystko, gdyby ten konwojent nie kropnął w kalendarz!

Może on tylko sprawdza, czy nie cieknie z rur? Kukuryk wyraźnie widział ugrzęzłe w ścianie ramię Bernarda i był z lekka rozczarowany – nie lornetką, która spisywała się znakomicie, lecz wynikiem obserwacji. Doniesienie, że ktoś grzebie w rurach, nie wystarczy, aby zmobilizować milicję. To, że Jacek romansuje od kilku tygodni z Gejszą, też o niczym nie świadczy, chociaż trudno uwierzyć, iż dziewczyna daje za darmo. Przyczajony w kuchni, z daleka od okna Kukuryk był cierpliwy: godzinami nie odrywał lornety od oczu, w związku z czym zeszywniał mu kark i rozbolały go ramiona.

Przerwa! Herbata, cygaret! Bernard opuścił ubikację, aby w kilka minut później w ogóle wyparować z kamienicy. Dobra, ale za to wlaź do ustępu młodszy brat! Zapomniał Kukuryk o herbacie i cygaretach, i znowu dźwignął lornetę do góry. Co ten drań będzie robił? Pochyli się nad sedesem, czy też usiądzie na nim? Kwestia ta nie obchodziła Kukuryka specjalnie, jako że sedes i tak był niewidoczny; o wściekłość przyprawił go fakt, że ostrożniejszy od Bernarda chłopiec ważył się rozwiązać firankę i zasłonić okno. Knuje coś bez wątpienia! Wytężał grubas wzrok, manewrował pokrętłami, lecz niewiele to dało; zeissowskie szkła nie przeniknęły tkaniny, za którą majaczył niewyraźnie jakiś cień – chyba jednak w okolicach umywalki i tego miejsca, gdzie poprzednio urzędował Bernard.

Onanizm? Samokontrola medyczna? Rączki mógłby przecież opłukać w łazience! Kwadrans minął, nim Jacek pokazał się z powrotem w pokoju, odsłoniwszy przedtem firankę w ubikacji. Zakłada kurtkę, startuje do wyjścia! Instykt myśliwego podszeptał grubasowi, że trzeba podążyć za chłopcem. Zgarnął ze stołu papierosy i wyskoczył na klatkę schodową. Dojrzał Jacka na ulicy, ale w mieście o godzinie jedenastej, w powszedni czerwcowy dzień panował duży ruch – jezdnia była zatłoczona i zatłoczone były chodniki, chłopak zaś poruszał się żwawo, raz po raz ginął grubasowi z oczu.

Znużony, ociekający potem Kukuryk dopadł naroża alei Tadeusza Kościuszki, lecz Jacek skręcił już w ulicę Piotrkowską. Może do Grandu idzie albo do „Peweksu”? Trza sprawdzić jego kontakty! Przyśpieszył grubas, zapominając, że skończył niedawno czterdzieści lat: jako że nie wiedział jednak nic o zawałach, nie przerażał go ucisk za mostkiem.

Główna łódzka arteria jest w południe niebywale przeciążona; nawet gość z sokolim wzrokiem nie zawsze upilnuje kochankę czy przyjaciela. Spojrzał Kukuryk w lewo i w prawo; stanął pod Grandem, wszedł do „Peweksu”, odwiedził „Hortex”, „Orbis” i „Ratuszową”, i jego sterane serce zasnuł cień wątpliwości.

– Miała tu pani niedawno złote indyjskie klipsy.
 – Niedawno to ja miałam tu wszystko – odpowiedziała przyjaźnie ekspedientka w sklepie jubilerskim nieopodal „Orbisu”. – Dla dziewczyny czegoś szukasz?

– Tak.

– Weź zegarek.

– Który?

– Ten. – Puknęła palcem w gablotę. – Zgrabny, skromny, w sam raz dla panny w twoim wieku.

– Wolałbym raczej jakiś drobiazg ze złota.

– To zupełnie tak samo jak ja. – Chłopak podobał się ekspedientce, nie była więc zniecierpliwiona. Poczęstowała go uśmiechem i wyjaśniła: – Złoto momentalnie wykupują: trzeba polować. Są pozłacane łyżki, chcesz zobaczyć?

– Nie, dziękuję pani. Spróbuję innym razem. – Jacek odszedł od kontuaru z miną zawiedzioną i smutną.

Co teraz? Wrócić do domu i włożyć pięćset tysięcy do worka, czy też udać się jeszcze do „Jubilera” przy placu Wolności? Tutaj nie wolno już nigdy przychodzić! Gdyby zobaczył mnie Bernard, byłaby ciężka awantura. Braku tych pieniędzy to on nie powinien raczej wykapować, chyba że opróżni wór i zacznie liczyć.

Nie wziąłem ani grosza i już! – Jacek ruszył do drzwi z postanowieniem, że nigdy nie przyzna się bratu do kradzieży, która w gruncie rzeczy nie była kradzieżą. – Prowadziłem motocykl, strzelałem, zarobiłem swoje. Należy mi się połowa!

Tarmosił włosy. Swędziała go skóra na czole. Nerwy. Oby jak najszybciej był wieczór! Oby jak najszybciej znaleźć się w ciepłych, kochanych ramionach Gejszy!

Pulchna, wymalowana kobieta, która wymknęła się za nim na ulicę, szepnęła cicho:

– Chodź pan.

– Gdzie?

– Do bramy.

- Po co?
 - Jest trochę złotej biżuterii: łańcuszki, pierścionki, znaki zodiaku. Kiedy urodziła się pańska dziewczyna?
 - W czerwcu. Siedemnastego.
 - Bliźnięta – oświadczyła dama bez namysłu. – Doskonały materiał na matkę i żonę.
 - Ja nie wierzę w te bzdury – powiedział bez przekonania chłopak.
 - To źle. W Boga też pan nie wierzy?
 - Wierzę.
 - Chodź pan, chodź, bo będzie afera!
- Na półpiętrze kamienicy dama otworzyła torebkę, wyjęła płócienne zawiniątko i rozsypała je na parapecie.
- O, tu jest znak Bliźniąt. Pasuje?
 - Nie.
 - A kolczyki?
 - Moja dziewczyna nie ma i nigdy nie będzie miała dziurek w uszach.
 - Każda dziewczyna powinna mieć jakąś dziurkę.
 - Pani daruje sobie trywializmy! Ile ten pierścionek?
 - Dwadzieścia.
 - A bransoletka?
 - Sto. To nie jest bransoletka. To jest wężyk przynoszący szczęście.
- Był piękny, utkany misternie z delikatnych złotych nitek, i tworzył idealny komplet z pierścionkiem bez oczka – subtelnym, uplecionym z podobnych, krągłych, zmatowiałych włosków kruszcu. Gejsza nie posądzi go o zły smak! Wlepił w damę chmurne, wrogie oczy. Handlarka! Z Istambułu pewnie przyleciała. Czerwone, podkrążone brudem paznokcie; duszący odór perfum i cikliwy, słodkawy zapach szminki. Źrenice jak u sowy, blisko nosa, cwane, zezujące i bezwzględne, wyzywające na swój sposób i odważne. Poznała się na nim. Wyczuła, że nie udaje, że naprawdę chce coś kupić.
- Muszę popełniać jakieś błędy – pomyślał. I powiedział:
- Dam pani za jedno i drugie dziewięćdziesiąt.

– Dziewięćdziesiąt to ja mogę dostać za jedno i drugie u „Jubilera”, ale wolę nie zwracać na siebie uwagi.

Masz rację! Ja też wolę nie zwracać na siebie uwagi. Pod tym względem trafiłem dobrze!

– Sto dziesięć.

– Bierz pan.

Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni w wiatrówce i zerwał kciukiem banderolkę z paczki banknotów. Wyciągnął odliczoną po omacku kwotę.

Przeliczyła raz, a potem drugi, i dopiero wtedy zaprotestowała:

– Tu jest sto.

– Nie mam więcej – skłamał. – Oddam pani przy okazji, słowo dżentelmena.

– Przy okazji lepiej żebyśmy się już nigdy nie spotkali. – Wręczyła mu wężyk i pierścionek; lustrowała go bacznie. Broń mnie, Jezu, przed takimi typami! – Wyjdę pierwsza.

– Do usług.

– Mógłby pan przynajmniej nie pajacować.

Wsparta o poręcz zdreptała na parter i zginęła w bramie. Ciągle jeszcze czuł zapach perfum. Zapaścił wzrok w studnię nieznanego podwórka, okolonego wzdłuż trzech ścian warsztatami krawców, kuśnierzy i optyków. Wróble harcowały na parapetach, jęknął w oknie wiatr; wysoko na schodach ktoś strzepywał obrus czy serwetę.

Wrócił z papierosem w zębach na Piotrkowską. Upał! Trzeba pozbyć się szybko wiatrówki i wcisnąć do worka pieniądze. Wcisnąć czy nie wcisnąć? Zobaczył Kukuryka, lecz nie przejął się tym. Mało ludzi w mieście przejmowało się Kukurykiem.

Kupił coś od tej baby! W mózgu Kukuryka starły się dwie sprzeczne koncepcje: biec za Jackiem czy też porozmawiać z babą? Jacek jest ważniejszy! Ale baby może już więcej nie zobaczyć.

– Szanowanie.

– Czego?

– Chodzi o tego chłopaka, z którym była pani na schodach – zaśpiewał ciepło Kukuryk.

– Jakiego chłopaka?

– No, blondyn, wysoki w ciemnej kurtce...

– Nie widziałam żadnego blondyna.

– Utrudniacie mi prowadzenie sprawy, obywatelko!

Umalowana sześćdziesięciolatka otaksowała skromny ubiór grubasa i szybko doszła do wniosku, że jeśli on nawet współpracuje, to nie na etacie. Taki żynch! Nie ma mowy!

– Czep się, łachu! – wrzasnęła – bo zawołam milicję!

– Niech pani woła – powiedział leniwie Kukuryk.

– Chcesz?! Chcesz?! No to proszę! – Odeszła energicznie. Nie była wcale spokojna i nie zależało jej specjalnie na pogawędce z władzą.

Korciło grubasa, żeby ją dogonić. Kto wie, co by zrobił, gdyby ujrzał w pobliżu funkcjonariusza albo biało-niebieski radiowóz, zamiast radiowozu jednak zobaczył wolną taksówkę i po króciutkim namyśle zdobył się na heroiczny gest: wsiadł i podał kierowcy adres, dzięki czemu wyprzedził Jacka w drodze do domu. Zasadził się z lornetką w ciasnej kuchence. Palił i czekał.

Pozna w razie czego tę babę; spotkają się jeszcze! Przeświadczenie, iż jest na tropie grubej kryminalnej afery, krzepło w nim z każdą chwilą.

- A jednak! - Gejsza otworzyła drzwi i stanęła na wprost ogromnego, iście królewskiego bukietu czerwonych róż, nad którym tkwiła poważna, uroczysta twarz Jacka. - Wejdź!

- Wszystkiego najlepszego. - Pocałował kochankę w usta. - Przepraszam, mistrzem świata w składaniu życzeń urodzinowych, to ja nie jestem.

- Ale, w ogóle masz się dobrze?

- Tak.

Wprowadziła go do pokoju zarumieniona i szczęśliwa, no i trochę speszona. Szczupły, siwy mężczyzna obrzucił najpierw baczny spojrzeniem Jacka, jego białą, nową koszulę i wiśniowy krawat w cętki, po czym zatrzymał wzrok na córce. Wstał z głębokiego, skórzanego fotela. I on był trochę speszony. Poprawił szarą, elegancką marynarkę, i uśmiechnął się bez zobowiązań.

- Pozwól, tatusiu, że ci przedstawię mojego... - Gejsza zawahała się chwilę i dodała: - ...chłopca.

- Miło mi. - Uścisnął Jackowi rękę i wrócił na fotel. Dzieciak! Ta dziewczyna ma chyba źle w głowie. Przedtem, delikatnie mówiąc, rozpusta - teraz deprawacja nieletnich. Sąsiedzi nie darują jej tego.

- Zostawię panów na moment. - Gejsza potrząsnęła kwiatami, zdjęła z kredensu duży kryształowy wazon i wyszła rzucając w biegu: - Częstujcie się.

- Koniak? - Inżynier sięgnął po butelkę camusa, skłonny napełnić Jackowi kieliszek, ale chłopak powstrzymał go:

- Dziękuję.

- Nie pije pan?

Cóż może być lepszego niż cios z kontry we właściwym czasie - pomyślał Jacek i powiedział: - Wolę whisky.

Ho, ho! Szokujący tupet u siedemnastoletniego wyrostka. Chłopiec i mężczyzna obsłużyli się w milczeniu, każdy z innej butelki.

– Pan pracuje?

Jacek pokręcił głową.

– Miałem zdawać w tym roku maturę, ale zostałem utracony.

– I co dalej?

– Nie wiem.

Pewność, że chłopak będzie mu nadskakiwał, opuszczała z wolna mężczyznę. Jakie dziwne, ponure oczy! A przy tym nie brak smarkaczowi obycia. Odmówię, odmówię! – przyrzekał sobie, kiedy Jacek wyjął z kieszeni camele.

Chłopiec jednak nie dał mu szans:

– Pozwoli pan, że zapalę?

– Proszę.

Wziął papierosa i posunął lekko paczkę w kierunku mężczyzny, co było jakąś tam formą poczęstunku, zbyt niewyraźną wszelako, aby skwitować ją słowem. Przyjechali kowboje, każdy pali swoje – błysnęło inżynierowi w głowie łobuzerskie porzekadło.

Wicher też pokrzepił się rymem. Poszły konie po betonie! Upił łyk z ciężkiej szklanki, puścił w sufit kłęb wonnego dymu i przyglądał się mężczyźnie bez żenady.

– Znałem pańskiego ojca.

– To miał pan szczęście – odparował chłopak. – Ja go osobiście nie poznałem.

Choroba sieroca, kompleksy, urazy. Nie wróży to nic dobrego.

– Słyszałem, że obecnie przebywa w Meksyku?

– Owszem.

– Nie wybiera się pan w odwiedziny?

– Być może.

– Kiedy.

– W tym roku.

– Sam?

– Z bratem i... z Barbarą, jeśli tylko wyrazi zgodę.

– I ja nic jeszcze o tym nie wiem? – Dziewczyna zawisła nad stołem z tacą, na której leżał brzuchem do góry złocisty, ociekający tłuszczem indyk.

Jacek przełknął ślinę. Był głodny, niepokoiły go krągłe, wydatne, zarysowane pod sukienką uda. Do cholery ze starym gadułą!

– Wczoraj Bernard napisał do ojca, żeby wysłał ci zaproszenie.

– A jeśli nie wysłał?

– To i ja nie pojedę – powiedział bez namysłu chłopak.

Zadowolona! Właśnie na taką odpowiedź czekała – stwierdził markotnie inżynier. Był dobrym, uczciwym człowiekiem. Kochał córkę, więc zaczął się pocieszać: – Może to naprawdę jest miłość? W sumie lepszy dzieciak niż armia kochanków. – Patrzył na zaczerwienioną, wruszoną twarz Gejszy. Ani śladu szminki i pudru! Wszystko w dobrym guście, wszystko wyważone. I te oczy – szczęśliwe, roziskrzane jakimś wewnętrznym światłem.

– Siadajcie! – powiedziała dziewczyna.

Zajęli miejsca przy stole. Inżynier pokroił indyka i zaczęli jeść – Gejsza powściągliwie, Jacek z hamowanym wigorem, mężczyzna ze zwykłymi w takich okolicznościach wyrzutami sumienia, nie mógł bowiem zapomnieć o żonie, która codziennie stała w kolejkach.

Ano, jednym sprzyja szczęście, innym walą się na kark niepowodzenia i kłopoty. Meksyk. Całe życie marzył o podróży do Meksyku, lecz kiedy pojawiła się wreszcie taka możliwość, zakład wydelegował Szymańskiego.

– Gdyby pan nie miał nic przeciwko temu, chciałbym wnieść toast za pomyślność Barbary.

Inżynier nie miał nic przeciwko temu. Sam powinien wnieść toast i wygłosić krótką mowę. Skinął głową. Umoczył w winie blade, opadające lekko wargi. Mitygował się w duchu – nie wolno zazdrościć chłopcu i córce.

– Twoje zdrowie, Basiu!

– Dziękuję.

Czuł wilgoć pod powiekami i tę samą wilgoć czuła Gejsza. Kochany, najdroższy ojciec! Zestarzał się; przystojną, szlachetną twarz pokryły zmarszczki; dwie głębokie bruzdy biegły pionowo od nosa ku brodzie. Oczy były zgaszone, smutne, cierpiące. Nie umiał nawet powstrzymać westchnień, które wstrząsały od czasu do czasu jego kruchą klatką piersiową. Ciężył mu ten urodzinowy wieczór.

Wiedziała, że chce wyjść, że nie zgodzi się zostać. Pewnie zrezygnuje nawet z hotelu, aby wrócić czym prędzej do matki, do jej ciągłych utyskiwań i nieprzerwanych bólów głowy. To jest właśnie miłość!

- Ona wie, że tu jesteś?

Czytał w jej myślach.

- Podejrzewa.

- Były komentarze?

- Nie. O dziwo, nie było komentarzy i dlatego wołałbym...

Gejsza zerknęła na Jacka i oświadczyła bez ogródek:

- Wołałbyś! Oczywiście, że byś wołał! Nosi cię; czekasz na pretekst, żeby się pożegnać.

- Wybacz!

- I ty mi wybacz, tatusiu! Zrobisz to, co musisz zrobić, ale powiedz matce, że ją kocham i że bardzo za nią tęsknię. Powiedz jej, że się zmieniłam i że któregoś dnia przyjadę do was, choćbyście mieli zrzucić mnie ze schodów.

Przypadła do ojca i płakała mu na twarz. Inżynier zatrzepotał powiekami i zacisnął pięści, aby powściągnąć szloch. Byle nie przy chłopcu!

Wszelako chłopiec był już w łazience. Raz - żeby ich nie krępować, dwa - żeby ułatwić inżynierowi odwrót. Przysiadł na wannie i palił, strząsając popiół do zlewu. Uśmiechnął się - Sanyo na mahoniowym stoliku! Kto wie, jaki kurs wzięłyby sprawy, gdyby nie telewizor. Życie jest pasjonujące, a świat piękny! Dotknął serca. Na sercu była kieszonka - w kieszonce spoczywał obok pierścionka przynoszący szczęście wężyk. Whisky! Zaleje się dzisiaj. Będzie pieścił Gejszę do rana, po czym zaśnie w miękkim, wygodnym łóżku króla Ludwika.

Señora Luisa Rosario Figueras, właścicielka pensjonatu w Cuernabace, przesłałaby ewentualnie Janowi T. list od Bernarda, ale nie знаła aktualnego adresu zdrajcy, który opuścił ją nagle i nie odezwał się dotąd ani słowem. Świństwo! Wszystkie chłopcy są takie – leniuchy i samoluby! Kobieta potrzebna im do prania i do gotowania, rzadziej do miłości, która nuży ich szybko i przeistacza się w niechęć. Wytrzymać wszakże bez chłopca nie przychodziło jej łatwo. Nowy kochanek nie pojawił się jeszcze na horyzoncie i nic nie wskazywało w tej kwestii na zmianę.

Podeszła do okna, z którego roztaczał się widok na zasnutą wieczornym cieniem ulicę. W barze po drugiej stronie płonęły czerwone światła. Upał zelżał; gdzie nie spojrzeć, roiło się od zakochanych – szepty, pocałunki, wyznania, słowa wielkie i ostateczne, a potem fura dzieci w ciasnej ruderdze, rozczochrana żona i pijany, skory do awantur mąż.

Conchita dreptała gdzieś ze swoim kawalerem. Zgrabny muchacho! W górze brzucha narastało pragnienie. Ktoś brzdąkał na mandolinie i śpiewał z uczuciem:

*Nad Sekwaną cały Paryż śni, powiedz,
señorito, kogo kochasz ty?
Szumią bulwary,
rozszały się gitary,
temu dam całą noc,
który złota ma moc!*

Paryż! A w pensjonacie chamstwo – robociarze, urzędnicy, wałkonie. Juanito nie był taki zły, ale gdzie go szukać? Odwróciła kopertę i przesyłabizowała adres. ŁÓDŹ. Idiotyczne litery! Pewnie jakieś miasto w Europie. Wrzuciła list do pozostawionej przez Jana walizki. Niebawem miała zrobić to samo z kolejnym listem Bernarda, w którym starszy syn prosił ojca o zaproszenie dla narzeczonej młodszego syna.

Na plebanii kościoła polskiego w Ciudad de Mexico zaterkotał
w tym momencie telefon.

Ksiądz uchylił ostrożnie drzwi i utkwiał wzrok w spłoszonej, niespokojnej twarzy emigranta.

– Do ciebie, synu.

– Kto?

– Ten człowiek z ambasady.

– Tak późno? – zdziwił się Jan.

– Na dobre nowiny nigdy nie jest za późno – rzekł pogodnie misjonarz.

– Skąd ojciec wie, że są dobre?

– Ufajmy Bogu.

Jan położył na stoliku Biblię, wsunął stopy w parę zniszczonych sandałów i poczłapał za księdzem do kancelarii.

– Słucham.

Głos urzędnika brzmiał chłodno i sarkastycznie:

– Jeśli dysponuje pan czasem, proszę przyjść jutro do nas w południe.

Karykaturzysta dotknął serca tym samym gestem, jakim zrobił to Jacek w łazience Gejszy. Puściły kolana; myśl smyrnęła w przyszłość i zawróciła trwożliwie.

– Co się stało, jeśli wolno spytać?

– Może pan pojechać do Polski, o ile nie zmienił pan planów.

– Pan mówi poważnie?

– Tak. Trzeba będzie jednak załatwić kilka formalności.

– Przyjdę punktualnie o dwunastej – powiedział ochrypłym, rwącym się ze wzruszenia głosem emigrant. Łzy wezbrały w oczach, a potem wyciekły na policzki i zaczęły drążyć kanały zmarszczek. Opalona, pełna dostojeństwa i pychy twarz pociemniała od krwi.

– Nie wie pan nawet, jak szalenie, jak bezgranicznie... – Brał rozpęd, aby przekazać konsulowi wszystkie swoje gorące, szczere niewątpliwie uczucia, lecz urzędnik rzucił: – Do jutra – i przerwał połączenie.

Objął księdza. Wciąż jeszcze płakał.

- Nie pij tylko, synu - upomniał go surowo misjonarz.
- Skąd! W żadnym wypadku - zaprzeczył, chociaż znużony, skorodowany duch wył o alkohol. Oddałby teraz za butelkę wódki rok ze swoich ostatnich paru lat życia.

Jacek drgnął i ocknął się gwałtownie, przez chwilę był jeszcze pod wrażeniem przykrego snu, którego w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, szybko jednak wracał do świata konkretów. Słońce pryskało na parapet, wróble ćwierkały radośnie na dachu, anonimowy muzyk ciągnął na klarncie bluesa. Dym! Przewrócił się na drugi bok. Wsparta nagim ramieniem o poduszkę Gejsza paliła i obserwowała go uważnie.

– Która godzina?

– Po dziesiątej.

– Chodź! – Przywarł do ciepłej, pachnącej dziewczyny, która nagle stawiała mu opór: – Zgaś papierosa! – zażądał.

– Poczekaj, Jacek. Chciałam z tobą porozmawiać.

– O czym?

Nie lubił, kiedy była poważna. Pierścionek i wężyk, które podarował jej na urodziny, leżały na blacie nocnego stolika. Nie o tym chyba chciała z nim porozmawiać? Ile razy ma powtarzać, że nie ukradł? Dosyć! Żadnych więcej tłumaczeń! Bernard uprzedzał go, że baby są wścibskie i że nawet najłagodniejsze z nich usiłują wziąć męczyznę pod obcas. Możesz je tłuc, prac, łoić, podniosą się jednak i będą próbowały postawić na swoim.

– Co zamierzasz robić?

– Dzisiaj?

– Nie, w ogóle, w życiu.

– Już ci to chyba mówiłem. W marcu przyszłego roku skończę osiemnaście lat i ożenię się z tobą.

– No dobrze, ale co będziesz robił za rok, za dwa, za cztery?

– Nie wiem, do czego dążysz. – Drżał ze złości. – Nie wyspałaś się?

– Wyspałam.

– Więc czemu mnie dręczysz?

– Posłuchaj, Jacek, nie jestem biedna i gdyby zaistniała taka konieczność, byłoby mnie stać, aby utrzymać jakiś czas, może nawet dłuższy czas, mnie i ciebie bez podejmowania pracy.

Jednak człowiek, a szczególnie mężczyzna, musi pracować, bo w przeciwnym wypadku...

– Już gdzieś o tym czytałem – przerwał chłopak kapryśnie. – Przestań nudzić i przytul się do mnie.

Sięgnął po nią, ale odepchnęła go stanowczo.

– Ja nie żartuję! Mówię poważnie, z nadzieją, że raczysz wziąć sobie moje słowa do serca. Nie przerywaj, bardzo cię proszę! – Wstała, włożyła szlafrok i usiadła na taborecie. – Mężczyzna musi pracować, bo w przeciwnym wypadku grozi mu katastrofa. Nawet miliarder, nawet gość, który do końca życia ma zapewnioną egzystencję w luksusowych warunkach, musi znaleźć sobie pole działania, aby nie wykrzywić się moralnie, aby nie zgnuśnieć, aby nie zamienić się w maszynkę do picia, żucia i kopulowania. Znam takie bogate maszynki, nienawistne, zazdrosne, sfrustrowane, znudzone, podatne na zboczenia i narkotyki, płacziwe, tchórzliwe, bredzące o samobójstwie, nie potrafiące niczym się martwić, cieszyć, zdziwić i wzruszyć. Taka maszynka nie jest w gruncie rzeczy mężczyzną. Od takiej maszynki wyżej stoi przemytnik i złodziej, bo oni przynajmniej o coś walczą i czymś ryzykują.

– Mam więc zostać przemytnikiem lub złodziejem?

– Masz się uczyć. To jest moje ultimatum, Jacek. Nie zależy mi na maszynie, choćby była nie wiem jak piękna i posażna. Zależy mi na mężczyźnie. Mogę ci pomóc, mogę w ciebie zainwestować, mogę czekać cierpliwie i długo na efekt, lecz chcę, i tu nie ustąpię, abys po wakacjach wrócił do liceum...

– Nie wrócę!

– To mnie stracisz! Powtarzam – ja nie żartuję. Chcę, żebyś zrobił maturę i zdał na studia. Jesteś zdolny. Stać cię na to. Przy odrobinie wysiłku poradziłbyś sobie śpiewając na filologii. Zostałbyś świetnym dziennikarzem, może nawet pisarzem, może zrobiłbyś karierę naukową, może uczyłbyś tylko w szkole, co też daje podobno satysfakcję, ale nie byłbyś w każdym razie maszynką.

– A ty, bez urazy, nie jesteś maszynką?

- Jestem i nie jestem. Działam w określonym kierunku, zdobyłam to, czego pragnęłam. Och, dobrze! Jestem, jestem! Byłam! Lecz teraz nie będę! Ty pójdziesz do szkoły i ja pójdę do szkoły. Solidarnie! Po maturze zacznę studiować, chyba że..

- Co?

- Nic.

- Zaczęłaś to dokończ! - zdenerwował się Jacek.

- Moment.

Weszła do łazienki. Awantura przed śniadaniem! Sięgnął po papierosa. Ferie są, do jasnej cholery, więc mogłaby zostawić temat na później. Myśl o powrocie do szkoły napawała go wstrętem. Znowu te przekłete pyski profesorów i pyski prymusów z wystrzelonymi w górę palcami. On też działał w określonym kierunku i zdobył to, czego pragnął! Nie jest maszynką; jak będzie musiał, zrobi następny skok!

Cała sprawa polega na tym, żeby zacząć, a potem sperforowana prostytutka, które wzięła po raz pierwszy pieniądze, sperforowany przestępca i złodziej oswajają się z faktem i wykonują swój nieczny proceder radośnie. Nie miał nic przeciwko temu, aby iść na robotę, jeśli istnieje taka potrzeba, tymczasem jednak nie było takiej potrzeby. Patrzył niechętnie na Gejszę - święta! Kazania, morały, jakby wypuścili ją wczoraj z klasztoru Karmelitanek Bosych.

Zbrzydła w ciągu ostatnich dni, zmizerniała i zbladła, schudła, pod oczami wykwitły cienie. A przecież wiedział, że jest bezgranicznie zakochany, że coraz bardziej pożąda tego wspaniałego, bujnego ciała i przyzwyczajają się coraz bardziej do obcowania z dziewczyną. Gdyby naprawdę odeszła, gdyby mu ją zabrali, zwariowałby lub popełnił samobójstwo.

- Przrzekasz? - Nie wróciła do łóżka; przysiadła na taborecie i śledziła bacznie jego twarz. - Możesz mi przrzec, Jacku?

- Że pójdę po wakacjach do szkoły?

- Tak.

- Zgoda. - Rozpostarł ręce. - Nie dręcz mnie dłużej; chodź!

- Nie teraz.

- A kiedy?

- Jak skończymy rozmowę. - Obciągnęła na krągłych, opalonych kolanach poły szlafroka. - Łatwo przyszła ci ta zgoda, Jacku.

- Czego ty jeszcze chcesz?

- Chcę ci uwierzyć.

- No więc uwierz mi, do diabła!

- Nie potrafię. Martwisz mnie.

- Nigdy bym cię nie posądził o tak kostyczny stosunek do...

- Zmieniłam się, odkąd cię poznałam, a prawdę mówiąc: odkąd pomyślałam, że...

- Co?

- Nieważne.

- Dlaczego nie kończysz zdania?

- Ono samo się skończy.

- Przerażasz mnie, Basiu.

- Owszem; sama jestem przerażona.

- Czym?

- Nie wiem. Twoim zachowaniem chyba.

- A co ja niby zrobiłem?

- Nic. O to właśnie chodzi, że nic, a przecież... mógłbyś się zwierzyć.

- Z czego?

- Z tego, co ci leży na wątrobie.

Domyśla się! Trwoga kołatała do serca. Bernard miał rację. Ten drań zawsze ma rację! Dźwięczały mu w uszach braterskie słowa: „Nie ma nic gorszego od kobiety z instynktem; kobieta z instynktem wie, że ją zdradzisz, nim jeszcze na to się zdecydujesz; wie, że byłeś samotnie w kinie, że łyknąłeś z boku parę złotych, że wypiliśmy kielicha z kolegą, do którego ona czuje odrazę. Strzeż się kobiet, chłopaku, bo zawiśniesz!”

Lepiej już gadać o szkole!

- Skąd mogę wiedzieć, czy w ogóle wrócimy z Meksyku, a ty szkoła i szkoła!

Dziewczyna milczała. Zerknęła na seledynowy stolik przy łóżku, po czym utkwiała wzrok w jakimś nieokreślonym punkcie za oknem. Klarncista zawodził bluesa; płakało dziecko; ćwierkały

wróble, gruchały gołębie; słońce chlapało beztrosko na parapet, wiatr targał firanką u sufitu.

– Czemu nic nie mówisz?

– Boję się.

– Bzdury! Pojedziemy do Meksyku i będzie cudownie.

– Nie sądzę, abyśmy pojechali do Meksyku.

– Kraczesz!

– Oby!

– Nie deklamuj tylko Szekspira. – Wyłamał palce; stawy strzelały jak przebicia instalacji elektrycznej. – Twój nastrój jest zaraźliwy.

– Twój też.

Może palnąłem coś przez sen? Może ona ma początki okresu?

Szukał gorączkowo ukojenia:

– Daj się napić.

– Zaraz zrobię śniadanie.

– Mnie chodzi o alkohol.

– Nie!

– Nie? – spojrzał na nią rozszerzonymi oczami.

– W żadnym wypadku! To jest kolejna sprawa, o której muszę z tobą porozmawiać, Jacek. Rozpędzasz się! Mężczyzna nie powinien pić przed obiadem, a ty zaczynasz już rano, na czczo, do papierosa. Gdybym wiedziała, że whisky tak ci zasmakuje, trzymałabym ją od ciebie z daleka.

– Żałujesz?

– Jasne. Kto by nie żałował drogiego dewizowego scotcha? – Przyniosła z pokoju butelkę Ballantine i wlała zawartość do wazonu z różami. – Kwiaty mogą być pijane od rana.

– Po co te demonstracje?

– Wstań!

– Odwróć się.

– Widziałam cię już bez ubrania.

– Odwróć się! – powtórzył.

Wyskoczył z łóżka – wysoki, zgrabny, piękny jak bożek, o różowym nieopalonym ciele, z którego mimo wszystko biła uroda i zdrowie, o podniesionym, dorodnym, niezaspokojonym

seksie, który zawstydział go i peszył, a ją, patrzącą w ścianę, świadomą jednak i czujną, przejmował ciepłem i wzruszał, i kiedy zniknął w łazience, pomyślała, że coraz bardziej go kocha i że coraz trudniej przyjdzie jej bez niego żyć.

Wzdrygnęła się na dźwięk telefonu.

– Taaak?

– James przy aparacie.

– Witaj!

– Przylatuję do Polski w końcu czerwca. Nic się nie zmieniło?

– Mówiłam ci już, że wszystko się zmieniło.

– Ale ja się chciałem dowiedzieć, czy nie zmieniło się nic w drugą stronę.

Jej milczenie trwało o ułamek sekundy dłużej niż by tego wymagała sytuacja i podporządkowany rygorom sytuacji tok dialogu.

– Nie gniewaj się, James. Jestem zakochana. Jestem beznadziejnie pogrążona.

– Przejdzie ci.

– Nie sądzę. Nie dzwoń więcej, James, i nie pokazuj się w Łodzi.

– Nie zadzwonię – przyrzekł Szkot.

– Dziękuję.

– Ale będę u ciebie niedługo!

Nie zdążyła zaprotestować, bo tym razem Brytyjczyk odłożył pierwszy słuchawkę. Podała Jackowi w kuchni sadzone jajka, sok pomarańczowy i kawę. Nie pytał, z kim rozmawiała; nie napraszał się o alkohol, co zrobiłby każdy inny podochocony mężczyzna; nie próbował wciągnąć jej z powrotem do łóżka, więc zatrwożyła się nagle.

– Nie opuścisz mnie, Wietrzyku?

– Żartujesz!

– I przyjdiesz wieczorem?

– No a gdzie miałbym iść – powiedział. – Przecież moje miejsce jest przy tobie.

– Polej, Narduś, było nie było!

Bernard próbował otworzyć butelkę żytniej, ale nakrętka obracała się wokół gwintu. Podważył ją nożem i zerwał; pęknięta blaszka skaleczyła go w palec. Zessał krew i nappełnił żonie stugramowy kieliszek.

– A ty?

– Boli mnie brzuch.

– Kropniesz sobie jednego, to przejdzie.

– Nie przejdzie.

Wypiła z wprawą, chuchnęła i zagryzła grzybkiem; nalał jej znowu.

– Włącz telewizor!

Włączył, ale było już późno – program w dwójce skończył się bezpowrotnie; jedynka nadawała lekcję języka angielskiego.

– Bełkoczą jak głupki, Wyłącz!

Wyłączył. Ptaszyna uporała się z następnym kieliszkiem i poprosiła o dolewkę.

– Dobrze nam ze sobą, Narduś, tak czy nie?!

– Bardzo dobrze, Haneczko! Znaliśmy wreszcie wspólny język i chociaż nie mamy dzieci, łączy nas głębokie i silne uczucie.

– Sprawiedliwie mówisz – rzekło ptaszę i poczerwieniało z uciechy. – Wiesz, co sobie kombinuję?

– Nie wiem, Haneczko.

– Że brzuch boli cię od żarcia w knajpach. – Wypiła, pokrzepiła się grzybkiem i oświadczyła wielkodusznie. – Zrobię jutro obiad w domu.

– Jajka, jeśli wolno spytać?

– Tfu! Kupię konserwę i ugotuję ziemniaczki.

– Ale kto je obierze?

– Ty.

– Nie umiem.

– To się nauczysz.

Bernard zadbał, aby kieliszek Haneczki nie zionął ani chwili pustką.

– Lubię, kiedy jesteś serdeczna i miła... pij, pij! Nie oglądaj się na mnie.

– Najlepszego! Nie ma to tamto, tamtego – mrucał babsztyl i bełkotał niewyraźnie, choć utrzymywał jeszcze kontakt z rzeczywistością. – Pokochamy się, Narduś?

– Oczywiście.

– Chodź!

– Zaczekaj, nie żałuj, sobie dzisiaj! Uwielbiam robić to z tobą, jak wypijesz.

– Mroczy mnie już trochę.

– Nie widać.

– No to bęc!

– Bach! I jeszcze jednego! – Przygotował żonusi kieliszek z meniskiem wypukłym.

– Uuu, nie wydołę, Narduś. Za dużo, za dużo – protestowała.

– Leć na dwa razy.

– Nie ma nawet czym zakropić.

– Jak to nie?! Momencik!

Przyniósł z lodówki lemoniadę. W pięć minut później rzucił ją z butami, na łóżko – zanedbaną, rozczochraną jak czarownica. Walczyła ze snem: dwukrotnie otworzyła szkliste oczy i wybełkotała serię słów w bałuckiej gwarze, której nauczyła się od rodziców w młodości. Kiedy zachrapała, wyszedł, zjechał windą na parter i wsiadł w samochód. Panikował. Dolar na krajowym rynku drożał z każdym dniem; topniała ukryta w ustępie fortuna. Trzeba czym prędzej pozbyć się zrabowanych złotych – znikną wówczas ostatnie ślady krwawego przestępstwa. Ale co z ojcem, do cholery?! Co z ojcem?! Nie przysłał dotąd zaproszeń, nie dał w ogóle znaku życia!

Wyjął ze skrytki obok tablicy rozdzielczej kłębek czarnych gumek, jakich używa się w aptekach. Miał własny klucz i dostał się do mieszkania w śródmiejskiej kamienicy. Było już późno, kilkanaście minut po dwunastej. Przypuszczał, że babka śpi, lecz dobiegł go z ciemnego pokoju jej smutny, drżący głos:

- Jacuś?
- Nie, Bernard.
- Chłopca nie ma?
- Nie ma, ale zaraz wróci – skłamał. – Umówiłem się z nim.
- Wcale już nie nocuje w domu – utyskiwała żałośnie staruszka. – Nie jada śniadań, nie jada obiadów...

Brzęknęła sprężyna; zaszurały pantofle, których domacała się w ciemnościach stopami. Chciała wstać. Bernard powstrzymał ją opryskliwym, rozkazującym tonem:

- Wracaj do łóżka!
- Ale...
- Żadne ale, babciu. Wracaj do łóżka i śpij. Noc jest po to, żeby spać.
- Ty nie śpisz.
- Bo ja sobie muszę porozmawiać z tym draniem.
- Nie bij go tylko.
- W żadnym wypadku! Śpij, babciu! śpij!

Zamknął się w ustępie i przekręcił kontakt u drzwi. Powiesił na klamce marynarkę. Nim wyciągnął ze ściany obluzowany kafelek, obserwował jakiś czas w oknie przeciwległą stronę domu pogrążonego w kamiennym czarnym letargu bezksiężycowej nocy. Potem, w straszliwej celi skazańca, gotów był przysiąc, że błysnęły ku niemu z nory u poddasza czyjeś złowrogie, wścibskie oczy. Teraz jednakże nie dotarł do niego żaden niepokojący sygnał.

Do dzieła! Jeśli wymienić pieniądze, to wszystkie, z miejsca, od razu! Jutro żona będzie spała do południa, po czym obudzi się i przeleży w barłogu aż po zmierzch z potworną migreną. Z zimnym kompresem na czole i z niezłomnym choć fałszywym ślubowaniem, że nigdy więcej nie weźmie wódki do ust. On tymczasem może pojechać na Wybrzeże w stosownym, przygotowanym już ubraniu – w ciasnym garniturku z elanobawełny, w skórzanym krawaciku i czerwonej koszulce, w białych płóciennych półbutach, w białej płóciennej czapce i w tandetnych przeciwsłonecznych okularach, które nadadzą mu

niebudzący podejrzeń wygląd kaszubskiego frajerka, zamierzającego wyemigrować niezwłocznie do rodziny w RFN.

Wytrząsnął z wora na posadzkę trzydzieści osiem milionów w pięcio- i dziesięciotysięcznych banknotach ułożonych w paczki. Tego, że brakuje jednej paczki, Bernard, zgodnie z przewidywaniami Jacka, nie zauważył. Zrywał bankowe, ostemplowane taśmy i wrzucał je do sedesu; każda paczka trzymała się teraz w szyku dzięki czarnym aptecznym gumkom.

Dwukrotnie spuścił wodę. Koniec ze strachem i paniką! Jeśli jutro uda mu się operacja z cinkciarzami w Trójmieście, zbrodnia nigdy nie ujrzy światła dziennego. Nawet gdyby któryś z nich sypnął: Jacek, Gustaw lub on sam (żadna z tych możliwości nie wchodziła raczej w rachubę), grozi im najwyżej, wobec braku jakichkolwiek dowodów i świadków, proces poszlakowy, a w takim procesie dobry adwokat zawsze więcej ma szans niż prokurator.

Odetchnął. Nie pracował ciężko i nie było gorąco, spocił się przecież. Ocierał raz po raz przedramieniem czoło i policzki.

Na rozwiązanie czekał jeszcze ostatni dylemat: wziąć pieniądze ze sobą, czy też pozostawić je na noc w ubikacji. Nie mógł się zdecydować. Palił i myślał. Jeśli wziąć, to co? Przenocują w samochodzie, który ktoś może akurat podwędzić lub splądrować, czy też prześpią się w blokowym mieszkanku, u boku nieprzytomnej Haneczki, spacyfikowanej niby i wyłączzonej z obiegu, ale wciąż groźnej, gotowej wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi obudzić się nagle i wyniuchać szmalec siłą swego magnetycznego instynktu? Gdyby jednak pozostawił wór w ustępie, będzie musiał po niego wrócić – rano, o niebezpiecznej, ruchliwej porze, kiedy ludzie idą albo szykują się do pracy. Straci w związku z tym dużo nerwów i dużo cennego czasu.

Najlepiej od razu ruszyć do Gdańska!

Krok dzielił go od sukcesu, ale był straszliwie zmęczony i śpiący. No i nie miał ze sobą zaplanowanego, frajerskiego ubranka.

Kukuryk też był zmęczony i śpiący – zeszywniał mu kark, zdrętwiały ramiona, raz widział normalnie, raz potrójnie, w głowie zapalały się jedna po drugiej zuchwałe myśli, a otłuszczonym sercem targały sprzeczne uczucia.

To, co zobaczył i co wciąż oglądał tej nocy w wygodce po przeciwnej stronie domu, nie pozostawiało już najmniejszych wątpliwości – chodziło o pieniądze, ogromne pieniądze! Kradzione pieniądze! Te same chyba, które zrabowano u drzwi prowincjonalnego banku i za których odzyskanie wyznaczono milion złotych nagrody.

Mam go! Albo i nie mam! – Przeżywał Kukuryk podobne rozterki jak Bernard. Chwilami chciał opuścić posterunek przy kuchennym okienku i biec na róg do telefonu, bał się jednak, iż w tym czasie bandyta – kto by go wziął za bandytę?! – i szmal wyemigrują z domu, aby rozpląnąć się bezpowrotnie w ciemnościach.

Co robić!? Przecież on wyjdzie tak czy tak! Wcześniej czy później! Grubas tarmosił kędzior na czole i rozważał gorączkowo inne warianty: a może, zamiast biec na róg do najbliższego automatu, zadzwonić od Stasiaka? Będzie kłął, zbudzony głęboką nocą, lecz jest, do kurwy mamy, milicjantem i powinien wspomagać prawo?!...

Ruszył grubas do drzwi, zawrócił wszelako i znowu przystawił lornetę do sfatygowanych oczu. Nie wolno ani przez chwilę tracić bandyty z pola widzenia – ja na schodach, a on myk! Morderca, rabuś, cicha woda. Ja przy telefonie, a on w długą! I zamiast nagrody dostanie mi się jeszcze po pysku.

Jakby na potwierdzenie tych obaw Bernard chwycił worek i zrobił ruch sugerujący, iż ma zamiar opuścić ubikację. Kukuryk runął ponownie ku drzwiom, nim zamknął je wszakże za sobą, odwrócił się przytomnie celem ustalenia, czy śledzony obiekt nie zmienił przypadkiem zamiarów. No i okazało się, że owszem:

śledzony obiekt, przeżywający nie mniejsze chyba rozterki duchowe niż grubas, pozostał w ustępie.

Straszliwe, choć idiotyczne skądinąd przypuszczenie przeszło boleśnie mózg Kukuryka: błąd?! Po kija-bata kupowałem lornetę, skoro widzę drania gołym okiem?! Żałował przez moment wydanych pieniędzy, niebawem jednak luksus owych niewczesnych zmartwień wyparty został przez inne silne wrażenia. Otóż Bernard stanął w jasno oświetlonym oknie wygodki i zadzierając głowę, zdawał się patrzeć wprost na przyczajonego w ciemnościach strychu szpicla, który zadrżał nagle, spłynął potem, zrobił się jakby miękki w nogach i był niebezpiecznie blisko zawału.

Jednakże, jakeśmy już wspomnieli, grubas nie czytał nic o zawałach i upiekło mu się znowu. Oddychał spazmatycznie przekonany, że tamten musi go słyszeć, że musi o wszystkim wiedzieć, że zaraz wpadnie na strych i udusi go gołymi rękami. Niebo rozszczepiły błyskawice, grzmotnęło; fala deszczu przeszła nad podwórkiem, tłukąc o dach i parapety. Zawyla w oddali karetka pogotowia, wrzasnął w piwnicznej dziurze kot, wiatr wessał się przez otwory w nieszczelnych drzwiach i przeciągnął Kukurykowi po nogach.

Zaprotestował żołądek. Powinien biec natychmiast do latryny na drugim podwórku, ale bał się ruszyć. Człowiek w oknie po drugiej stronie kamienicy, zwalisty, posępny, sztywny jak atrapa celownicza, wciąż jeszcze trzymał go na uwięzi swoich przeraźliwych oczu.

Życ! Pracować! Zbierać zdjęcia piosenkarek i sportowców! Do czorta z nagrodą!

Gorzały mu policzki. Niewiele brakowało, by krzyknął do swego urojonego prześladowcy: – Czołem, panie Bernardzie! Co słyszeć?!

A potem akcja, ku wielkiej uldze i radości grubego, potoczyła się w innym kierunku – Bernard odstąpił od okna, wepchnął wór w to samo miejsce, skąd go wyjął, zamaskował dziurę w kafelkach, coś tam chyba wrzucił do sedesu, spuścił wodę i zgasił światło.

Kukuryk ujrzał go niebawem w pokoju stołowym – w marynarce, gotowego do wyjścia.

Zbiegł pospiesznie ze schodów i wymknął się na ulicę. Odprowadził wzrokiem Bernarda, który uruchomił samochód i pojechał do swojego mieszkania na Teofilowie. No, teraz można dzwonić! Wziął otłuczoną słuchawkę i wybrał starannie numer funkcjonariusza. Druga! Spiorunuje mnie, nie ma to tamto! – myślał, czekając na połączenie.

Punkt kontaktowy był jednak uprzejmy. Uważnie i cierpliwie wysłuchał raportu grubasa, który dał się poznać jako solidny, uczciwy i wiarygodny kolaborant. Sprawa wyglądała nieprawdopodobnie, ale Kukuryk nigdy jeszcze nie wzniecił fałszywego alarmu.

– Dobra! Czekajcie w domu.

– No co?

– Na wytyczne.

– Wytyczne? – Grubas poczuł ciepło wokół serca. Kochał piosenkarzy i sportowców, nade wszystko jednak imponowała mu władza.

Usiadł z papierosem w kuchni i czekał na wytyczne; jest kimś ważnym, szanowanym, docenianym. Bierze bezpośredni udział w poważnej operacji. Złapie nagrodę, zafunduje sobie nowe buty, marynarkę i płaszcz. Uszczelni okno, wyremontuje dach. Kto wie, może szarpnie się na lodówkę?

Burza wróciła. Pioruny znowu rozdarły niebo, deszcz chlusnął o szyby jak z wiadra. Jakiś szczur zachrobotał u drzwi. Nie! żaden szczur. Ktoś puka!

Otworzył, żeby wpuścić wytyczne. Forpoczta zawału wymierzyła mu cios. Zwalił się na podłogę, poznając w ciemnościach sylwetkę Bernarda.

– Czego? – zakwilił błagalnie.

– Szszsza!

– Nic żem nie...

– Pan zwariował, człowieku?

– Naprawdę! Niech pan spyta...

- Czy pan się nazywa... to znaczy: z Kukurykiem mam przyjemność?

- Tak.

- I nie telefonował pan niedawno do...

- Telefonowałem! - rzekł pospiesznie grubas. Coś poprzestawiało mu się w zmęczonych oczach i skołowanej głowie; przecież to nie Bernard! Chyba nie Bernard, do cholery?! - A pan jak się nazywa? Nie, nie zapalaj pan światła!

- Spokojnie, spokojnie. - Nieznajomy pomógł grubasowi wstać i posadził go na rozchwianym krzeselku. Z bliska miał pogodną fizjonomię zawodowca bez skrupułów. Pachniał lawendą; szerokie bary opinała skórzana, czarna bodajże kurtka. - Wody?

- Chętnie. W zlewie jest kubek.

- A dla mnie znajdzie się jakieś naczynko?

- Zrozumiałe! Gdzieś w pokoju zostawiłem szklanę. Poszukam jej zaraz.

- Odpocznij pan lepiej.

- Już mi dobrze. - Poczłapał Kukuryk w głąb mansardy z otuchą w sercu; cudowna burza, piękna noc! - Jak pan chce, mogę zaparzyć herbatę.

- Czemu nie? - zgodził się gość. - Najbliższych kilka godzin spędzimy razem.

- Razem?

- Razem! - potwierdził niezłomnie mężczyzna i dodał zawile: - Muszę pana przypilnować.

- Przed kim?

- A, żeby nic się panu nie stało.

- Co tam może mi się stać?

- Wie pan, tak w ogóle... Nerwy, głupota, przemęczenie...

- Ja?

- Wszyscy.

- Nie rozumiem. - Kukuryk nie lubił zawilego gadania. Ale oni tak zawsze. Zawsze! Włączył grzałkę pod uniwersalnym czajnikiem, w którym, jak było trzeba, gotował również zupy w proszku i jajka, a czasem nawet, gdy zatkał się zlew, oddawał do niego mocz. Żeby jednak coś gorszego zrobił - nigdy! Dotknął

kubek i szklankę, odmierzył cukier, wsypał herbatę. Powtórzył sobie kilkakrotnie w duchu: – Jestem szanowany i ważny! – żywił jednak w tym względzie pewną wątpliwość. Zerknął na gościa i stwierdził z niesmakiem, że facet, nie prosząc bynajmniej o zgodę, lornetkuje kamienicę usadowiony na krzeselku, jakoś tak dziwnie, bokiem, jakby podejrzewał, iż Kukuryk rąbnie go znieńacka w łeb. Wypytywał przy tym, niecnota, tonem obelżywym i nad wyraz paskudnym:

– Od dawna pan to masz?

– Lornetkę?

– Tak.

– Od niedawna.

– Ile kosztowała?

– Trzydzieści.

– Kawał grosza! No, ale pożyteczny sprzęt, pożyteczny!

Kukuryk trząsał się z oburzenia. – Gada ze mną jak z bandziorem, chamidło!

– Na wytyczne czekam, proszę pana – oświadczył z godnością.

– Jasne! – zaciągnął serdecznie gość nie przestając lornetkować domu. – Obaj czekamy na wytyczne.

– Myślałem, że dostanę je od pana?

– Nie, nie! Wytyczne przyniesie rano ktoś inny. Jeśli chodzi o mnie, to ja tylko tak, wie pan... żeby pana przypilnować... – Trzymał w podniesionych rękach lornetkę. Kurtka zadarła się do góry i pod paskiem widać było pistolet.

– Herbatka raz! – zameldował posłusznie gospodarz.

– Ano, czemu nie – zgodził się gość. – Skoro mamy spędzić razem kilka godzin, może być herbatka.

W tym samym czasie Jan T., emigrant, ojciec Bernarda i Jacka, przebywający ostatnio w Ciudad de Mexico, siedział obok urodziwej Polki w oficynie LOT-u przy Paseo de la Reforma i czekał na confirmację biletu do Warszawy. Normalnie dygotałby z nerwów, mając w bliskiej, lecz nieznannej jeszcze perspektywie powrót na ziemię przodków, wszelako strzelił sobie rankiem kielicha i był żwawy. Palił i zabawiał Polkę rozmową. W sąsiednim pomieszczeniu stukotał telex. W dole za oknem szeroką dwukierunkową ulicą przetaczały się tysiące samochodów, nękając miasto wizgotem opon, rykiem silników i wrzaskiem klaksonów.

Polka, pani Grażyna, kobieta w okolicach trzydziestki o semickich rysach i zgrabnej, szczupłej sylwetce, wyszła przed kilkoma laty za meksykańskiego inżyniera i wobec trudności materialnych, z którymi borykał się mąż, podjęła pracę w biurze Polskich Linii Lotniczych jako sekretarka w najszerszym tego słowa wymiarze – obsługiwała telexy i telefony, wystawiała bilety, utrzymywała kontakt z innymi biurami podróży, aby załatwić komuś w razie czego lot wiązany; prowadziła księgowość, kasę i korespondencję, pisała w dwóch językach na maszynie, podawała dyrektorowi i gościom kawę, a czasami była także gońcem, sprzątaczką i pielęgniarką.

Jana potraktowała niezwykle ciepło – już od paru dni starała się zarezerwować mu miejsce w samolocie Aerofłotu. Zgłosiła go, wbrew obowiązującym rygorom, na dwa jednocześnie rejsy w ostatnią i przedostatnią sobotę czerwca, lecz ciągle były jakieś komplikacje: a to na linii Meksyk–Moskwa, a to znowu na odcinku Moskwa–Warszawa.

Uśmiechała się nieprzerwanie.

- Pójdę przeczytać telex.
- Narobiłem pani kłopotów – mitygował się Jan.
- Głupstwo. Może jeszcze kawy?
- Dziękuję.

- Dziękuję: tak, czy dziękuję: nie?
- Gdyby ewentualnie była pani łaskawa...
- Dobrze, wstawię wodę i zobaczę, co tam oni piszą.

Patrzył z uznaniem na jej ruchliwe, zwinne biodra i wyraźnie zarysowane pośladki. Niezła sztuka! Niby chuda, ale niczego dziewczynie nie brak. Można by ją zaprosić na jednego do taniej restauracji. Biust! Hu, hu! Nie ma lepszej rzeczy niż wiotka kobieta o dużych piersiach. Zniknęła w wąskim, krótkim korytarzu, tymczasem główne drzwi odskoczyły z trzaskiem i wpakowała się do środka trzyosobowa rodzina w ciemnej, rzekłbyś: meksykańskiej tonacji – czteroletnia dziewczynka o naszpikowanych złotem uszach, bardzo młoda, śliczna kobieta, której włosy i oczy były niby jasne, cera wszelako przypominała mahoniowy fornir, wypucowany solidnie przez służącą, oraz czarniawy, korpulentny, przystojny na swój sposób mężczyzna z nikłym, hiszpańskim wąsikiem nad wargą emitującą z sekundy na sekundę różne stany duchowe tego człowieka – raz łagodną, innym razem okrutną, czasem znowu pogardliwą i wrogą.

Matka przysiadła z córeczką na kanapie, ojciec zaś podszedł zamasyście do biurka, przy którym siedział z boku Jan, i ku ogromnemu zdziwieniu karykaturzysty, zaseplenił w gwarowej polszczyźnie:

- Je tu kto?
- Ja jestem – rzekł układnie artysta.
- Mnie mówili, że ma być kobita.
- Owszem, zaraz przyjdzie.
- Ta kobita?
- Hmm, ta pani.
- Gada po naszymu?
- Jakoś sobie radzi.

- To dobrze. – Wąs rodaka przybrał linię pogodną i czułą, niebawem jednak zmienił położenie i wyartykułował z mrozącym szyderstwem: – Nie podobuje mnie się tyn Meksyk, panie. Ludzie głupie, mamrotają coś pod nosem; człek nic nie rozumie. W kraju, panie, to rozumie mnie każdy Polaczek, a tu same jakieś przygłuptasy, nikt nic nie rozumie, nic! jakbyś gadał ze stodołą.

– Może nie zna pan po prostu hiszpańskiego? – zauważyła przyjaźnie Grażyna. Wróciła na swój fotel za biurkiem, spojrzała na Jana i oświadczyła ze smutnym uśmiechem:

– Trzeba czekać.

– Nic?

– Nic. To znaczy: ma pan w obydwu wypadkach OK na trasie Meksyk–Moskwa, brak natomiast potwierdzenia rejsu z Moskwy do Warszawy.

– Przecież w Moskwie mógłbym dostać się na pokład każdego lotowskiego odrzutowca.

– Oczywiście. Złapałby pan wcześniej czy później, ale wie pan, jacy są Rosjanie – chcą stuprocentowej gwarancji, że tranzytowy pasażer nie będzie się szwendał po lotnisku: pił, przysypiał, marudził i tak dalej. Trudno im się w końcu dziwić. No, głowa do góry! Zaraz ich ponaglę, tyle tylko, że spadło napięcie, końcówki komputera w tutejszym Aeroflocie nie działają i nie sposób wprowadzić pana do centralnego, rozstrzygającego komputera w Moskwie. – Zerknęła na człowieka z wąsikami, który był aktualnie w stadium zniecierpliwienia i gniewu: – Czym mogę służyć?

– Jóźwik jezdem – zameldował osioł tonem rozwiewającym wszelkie wątpliwości.

– Ach, pan Jóźwik. – Grażyna westchnęła głęboko; bujny biust zafalował pod lekką tkaniną sukienki, a szyja poczerwieniała wyraźnie. – Z żoną i córeczką?

– Ma się rozumieć!

– Był w pana sprawie telefon od konsula.

– Konsula obiecywał, że tu przyjedzie.

– Więc przyjedzie.

– Obiecywał, że wepchnieta nas do najbliższego samolotu, bo jak nie, to ja zemrę bez pieniędzy jak pies, chyba że mnie konsula coś pożyczy.

– Wszystko pan stracił?

– Wszystko. Okradli nas w hotelu!

– Kiedy?

- Ostatniej nocy. Gołe my tera jak pierony. Fiata sprzedalim, żeby kupić przelot i dolce. Fiat kosztował mnie dwie bańki, ale te złodzieje doliczają dwadzieścia pińc procynt podatku, więc już masz pan trzy. - Rodak skierował te słowa do Jana, kobiet bowiem nie darzył szacunkiem. - Cały majątek poszedł, jeszcze człek dopożyczył - mówił z kipiącą urazą. - Mieli po nas przyjechać na lotnisko krewniaki, Polaczki z USA. Nie przyjechali, panie, bo jeszcze nie wyrobili papierów. Myślelim, że przyślą przynajmniej trochę hajcu, nie przysłali. Wystawili nas do wiatru. - Pompował mocarnymi, nawykłymi do ciężkiej roboty piąchami, przewracał nabiegłymi krwią oczyma, buchał w Jana gorącym oddechem; przełknął ślinę i sapnął: - Pić.

- Zrobię panu herbaty - pospieszyła Grażyna.

- Nie lubię herbaty.

- Coca-cola?

- Za słodka.

- Tonic?

- Nie chcę - zaproponował z rozbijającą prostotą osilek. I wyjaśnił: - Gorzki! Zwykłej wody mnie dajta, ludzie!

Grażyna wzięła dzbanek i poszła po wodę. Jan zdobył się na samodzielną decyzję i wręczył dziecku kredowy karton do malowania, a to z tego powodu, iż dziewczynka smarowała flamastrem blat drewnianej ławy. Matka, nie wypuszczając z palców marlboro super-king size, rozplakała się nagle. Była śliczna, ale gdy wstrząsnęły nią spazmy, błysnął w ustach srebrny pniaczek, wstawiony zapewne dla ozdoby w miejsce zdrowego zęba.

Jan zmiękł. Cicha, bezradna rozpacz kobiety roztrwoiła go nerwowo. Pocieszał:

- Mogło być gorzej. Mogliście państwo stracić paszporty, bilety lotnicze albo i życie. Gdzie mieszkacie?

- A tam! - Osioł wycelował palcem w okno, za którym po drugiej stronie ulicy piał w niebo trzydziestopiętrowy budynek. Nie pensjonat, nie ubogie schronisko, lecz hotel dla średnich milionerów.

– Chłopie! – szepnął ze zgrozą karykaturzysta. – Ile ty płacisz za dobę.

– No, pięćdziesiąt tysięcy tych ichnich pensiaków.

– Poważnie?

– Poważnie.

W tym momencie Jan przestał współczuć rodakom. – Dranie! Luksusu im się zachciało.

– Prawie osiemdziesiąt dolarów – powiedział. – Straszne pieniądze.

– Straszne – przytaknął osioł z wąsikami.

– Obiady pewnie jedliście na miejscu?

– Ano, jedlim, panie. I kolacje tyż. Piwo dawają dobre, trza przyznać, lecz cieżki alkohol się sprzeciwió. Rzygłem.

– Niemożliwe?!

– Niech pan spyta kobity!

– Rzygnął – zaświadczyła kobita.

Osioł wypił trzy szklanki wody i zamiast podziękować, ryknął na Bogu ducha winną Grażynę:

– Dzwonń pani do tego Aerofłota!

– Na razie mają nieczynny komputer.

– Co mnie obchodzi komputer! Pieniądze za bilet tośta wzięli, ino jak należy człowiekowi pomóc, to was ni ma!

– Proszę się uspokoić – tłumaczyła łagodnie Grażyna. – Zrobimy wszystko, aby państwu pomóc, choć jest to sprawa Radzieckich Linii Lotniczych, a my działamy tylko grzecznościowo.

Osioł skinął pokojowo głową. Wąs nad górną wargą, ruchliwą i giętką jak gąsienica, przybrał wyraz głębokiej zadumy i smutku.

– Czego bym chcioł, to zamknąć oczy, a potem otworzyć je i żeby już była Polska.

Grażyna zerknęła wymownie na karykaturzystę; ten wstał i ucałował ją w grzbiet dłoni, trochę wyżej, niżby wypadało, więc była zdziwiona.

– Ucieka pan? – zapytała chłodno.

– Tak. Jutro wpadnę. *Adiós.*

Czekał na windę, modląc się, aby nie wysiadł z niej konsul. Dosyć miał skrachowanej polskiej rodziny, która z takich czy innych względów nie zdołała przeszwarcować się na terytorium Stanów Zjednoczonych – dyplomata z pewnością rąbnąłby Janowi na ten temat długą i pouczającą mowę. Byłoby to ponad siły Jana. Marzył o szklance whisky w spokojnym cichym barze – prawdopodobnie za tydzień, za dziesięć dni będzie już w kraju! Szampańskie uczucie! Warszawa, Łódź, synowie, przyjaciele, stare dobre kąty, których wspomnienie nawiedzało go w snach. Dygotał z radości, nie przyznając się przed sobą, że wiąże się ona przede wszystkim z perspektywą szybkiego kielicha.

Odciągnął drzwi zużytego dźwigu, który nie przywiózł, chwala Bogu, przemądrzałego konsula. Postąpił krok, lecz w tym samym momencie dogonił go krzyk kobiety:

– Halo, proszę pana!

Jan puścił windę, która czmychnęła natychmiast w dół, i odwrócił się wolno.

– Lecę?

– Tak.

– Wspaniale. Przed chwilą właśnie myślałem, że za tydzień, dokładnie: za dziesięć dni wyląduję na Okęciu.

Grażyna uśmiechnęła się i kręciła przecząco głową.

– Mam dla pana lepsze wiadomości.

Jan zbladł.

– Jakie?

– Niech pan zgadnie.

– Boję się.

– Śmiało!

– Nie chce chyba pani powiedzieć, że... jutro?

– *Si señor* – przytaknęła po hiszpańsku. – Ma pan *el avión*, pojutrze wieczorem Warszawa. Rosjanie potwierdzili pański lot. – Wręczyła mu bilet. – Wszystkie formalności są załatwione. Co panu?

– Nic. – Dygotał jak starzec. Krew odpłynęła z czerwonych, zmysłowych ust, na czole pojawiły się głębokie bruzdy. Przeczesał

palcami obydwu rąk szczotkę siwych, obciętych przy skórze włosów.

– Spokojnie! – Sądziła, że doznał szoku z radości. – Nie warto ekscytować się i szaleć, bo to szkodzi. Samolot jest o jedenastej, ale lepiej wstać rano, w drodze może coś pana zatrzymać: jakiś zator uliczny i tak dalej. Na lotnisku powinien pan być najpóźniej dwie godziny przed startem. Słucha mnie pan?

– Oczywiście.

– No, to powodzenia. Muszę wracać, żeby wepchnąć jeszcze jakoś Rosjanom tę polską rodzinę.

Uścisnęła mu końce palców i odeszła. Na wargach Jana błąkał się głupawy uśmieszek, który przeistoczył się nagle w przerażony grymas alkoholika. – Kraj, ojczyzna, przyjaciele, dzieci. Czy ja naprawdę tego chcę? Czy rzeczywiście brak mi brudnej Łodzi i nudnej Warszawy? Kolejki, kłótnie, zawiść, nędza, koszmary klimat. – Serce waliło konwulsyjnie o żebra, wrzał ogień w schorzałej duszy. Już dawno opadły z niego wszelkie złudzenia: tęsknił tylko wtedy, gdy pił; tylko wtedy, gdy pił, odżywały w nim nadzieje, pragnienia, ambicje i plugawe namiętności.

Obmacał kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Whisky. Natychmiast! Przemyśleć wszystko jeszcze raz, od początku do końca. W Cuernabace czeka doña Figueras. W Dystrykcie Federalnym u księdza też nie jest najgorzej. Whisky, whisky! Pocieszał się, że w każdej chwili może zrezygnować, wiedział wszakże, iż los zdecydował już w tej kwestii, nie pytając go o zdanie.

Spał, chrapał wstrząsająco, nie reagując na uporczywe sygnały telefonu. Obudziła go dopiero kobieta w sposób tak brutalny, że kiedy otworzył oczy i odzyskał przytomność, gotów był zabić. Rozmasował nagie, spocone, zaczerwienione od ucisku ramię.

– Szczypiesz, suko?!

– Dzwonią.

– Kto?

– Nie wiem.

– Czemu w takim razie nie odbierasz? Nikt nie dzwoni zresztą.

– Wyłączył się.

– To szlag mu w serce.

– Umieram, Narduś, umieram! – jęczała dama zmaltretowanym, ochrypłym głosem istoty przeklinającej dzień, w którym matka wydała ją na świat. Przekręciła się na brzuch, owinęła rozczochraną głowę poduszką i waliła grzbietem stóp w jugosłowiański materac. – Umieram, umieram, umieram! Proszek!

– Nie mam proszków.

– To co masz, do jasnej cholery?!

– Klina.

– Nie chcę klina!

– Chcesz czy nie chcesz, powinnaś wypić przez rozum, i to szybko – mówił kojącym głosem Bernard. – Zaufaj mi, kochanie. Sto albo nawet dwieście gram, trochę maści tygrysiej na czoło, i jesteś zdrowa.

Wstał. Nie tknął wódki poprzedniego dnia, więc czuł się dobrze. Pogratulował sobie, że zostawił pieniądze w ubikacji u brata. Kto mógł przewidzieć, że jakiś wariat zatelefonuje o ósmej rano i wyrwie z odmětów głębokiego pijackiego snu jego najśłodsza ptaszynę, skłonną na widok czy tylko na zapach forsy zapomnieć o wszelkich dolegliwościach i wyciągnąć swoje chciwe szpony.

Nie żałował – otworzył poloneza i odmierzył do szklanki dawkę, po której padłby na kolana stukilowy alkoholik. Wyjął z szafki

w łazience pudełeczko wietnamskiej maziugi i ruszył umiłowanej żoneczce na pomoc.

– Już, skarbie. – Lewą ręką podtrzymywał skołtuniony łeb, a prawą wlewał wódkę do suchych, spierzchniętych ust, na których tu i ówdzie pozostała jeszcze szminka. – Zaraz świat znowu nabierze blasków.

– Rzygnę.

– Nie rzygniesz. Pij!

– Daj mi złapać powietrze.

– No to łap, do diabła! – Namaścił blade czoło i poźółkłe skronie, wałkując opuszkami palców resztki zwietrzałego podkładu. – Lepiej?

– Dużo lepiej.

– Ano widzisz – powiedział. I pomyślał: co ja najlepszego wyprawiam?! Paskuda gotowa jeszcze wyczołgać się z łóżka i namieszać.

Wtedy znowu zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę i warknął:

– Nie za wcześnie na pobudkę?!

– Szacunek! Podgórski przy aparacie – odezwał się miękki, przypochlebny, niezupełnie obcy głos.

– Podgórski?

– Podgórski. Jestem sąsiadem pańskiego brata z tej samej klatki schodowej. Jacek prosi, żeby pan natychmiast przyjechał.

– Po co?

– Katastrofa w pionie wody. Pękła jakaś rura w ustępie, zalało mi pół mieszkania.

– Wezwaliście hydraulika?

– Tak.

Bernard trawił odpowiedź, marszcząc brwi i zagryzając wargę.

– Czemu Jacek sam nie zadzwonił?

– Przecież nie ma telefonu.

– Mógł zadzwonić od pana.

– Mógł, ale woli pilnować hydraulików.

– Ilu ich jest?

– Dwóch.

– Jadę! – powiedział Bernard.

Trzasnął słuchawką o widełki. Kurwa! Że też musiało się to zdarzyć akurat dziś. Znowu pogratulował sobie, że nie pił. Szczelnie opakowane w plastik pieniądze nie przemieęły – Jacuś zabezpieczył je na pewno, nim wezwał hydraulików: ukrył kielbasę w szafie lub w kredensie. Ale ten Podgórski, szczupły, stetryczwały, małomówny mężczyzna, któremu kłaniał się nieraz na podwórku i na schodach, głos miał jakby trochę zbyt śliski, zbyt okrągły i ciepły jak na gościa, któremu zalano mieszkanie.

– Kłopoty, Narduś?

– Zgadłaś! – Ubierał się szybko.

– W kiblu? – Humor ptaszyny zwyżkował wyraźnie.

– W łazience.

– Skoro jeżeli są hydraulicy, to po kiego tam jedziesz? Nalej no mi jeszcze kapeczkę, było nie było.

– Sama sobie nalej.

– Nar-duś! – Akcent położyła na drugą sylabę. – Znowu chcą cię obrać z pieniędzy. Za reperację trzeba będzie zapłacić, po to tylko jesteś im potrzebny; tak czy nie?

– Tak.

– Ale żonie kielicha podać nie możesz?

– Spieszę się.

– Idź do diabła! – Usiadła, podciągając kołdrę, i patrzyła na niego złymi, zażawionymi oczyma. – Zawsze byłam na drugim miejscu, na pierwszym był brat.

– Bzdura! Kocham cię i dostaniesz zaraz kielicha. Załatwię szybko sprawę z hydraulikami i wracam.

Obmacał zarost na szczękach. Trudno! Ogoli się po drodze u fryzjera w jakimś miasteczku. Operacja złotówka-dolar musi być przeprowadzona dzisiaj!

– Proszę. – Wręczył jej wypełnioną polonezem szklankę, przekonany, że po wypiciu wróci w otchłań mocnego, parogodzinnego snu.

Odrzuciła kołdrę i rozwalila nogi, demonstrując czarne, spocone, suto owłosione krocze. Chwyła go za nadgarstek i szarpnęła.

- Chodź!
- Nie mam czasu.
- Chodź, błagam cię, chodź, bo zwariuję!

Mózg podpowiadał: wyjść! Lecz zawładnęło nim dzikie, zwierzęce, nie dające się okiełznać pożądanie, ważniejsze na moment od milionów, hydraulików i życia. Nie zdjął spodni. Zwalił się na gorące, pulchne ciało i poruszał biodrami odwracając głowę przed stęchłym, skacowanym oddechem. Jej usta dopadły go jednak. Ciągłe jeszcze były spierzchnięte; drapały lekko i wprawnie wargi Bernarda, doprowadzając go do przedwczesnego orgazmu.

Zdjął z pawlacza w korytarzu walizkę, w której przechowywał strój kaszubskiego fanfaron: skórzany krawacik, czerwoną koszulkę, kusy garniturek o stębnowanych klapach, płócienną czapkę z daszkiem, białe buty i słoneczne okulary. Wpakował po namyśle do kieszeni butlę z gazem paralizująco-łzawiącym i wyszedł. Jadąc zatłoczoną ulicą ku śródmieściu, miał wrażenie, że uczepił się go jakiś cień.

Po rozmowie z Bernardem korzystający z uprzejmości sąsiada Kukuryk wybrał numer Gejszy. Kiedy dziewczyna odezwała się swoim kuszącym, pięknym, złożonym jakby z dwóch oddzielnych tonów głosem, palnął obcesowo:

– Szanowanie. Jest Jacek?

Po drugiej stronie zapanowała na chwilę wyniosła, wzgardliwa cisza.

– Kto mówi?

– Waligóra.

– W jakiej sprawie?

– Bernard kazał powiedzieć Jackowi, żeby przyszedł do domu. On też zaraz przyjedzie. Mają do pogadania.

– O czym? – Kuszący głos zrobił się chłodny i kłujący jak sople lodu.

– O paszportach czy coś – zełgał Kukuryk z nieprawdopodobną intuicją. – To jak: przyjdzie czy nie przyjdzie?

– Przyjdzie. – Głos był o pół stopnia cieplejszy.

– Kiedy?

– Za pięć minut.

Połączenie zostało przerwane. Kukuryk odwrócił się twarzą do sąsiada, niejakiego Stasiaka, milicjanta z drogówki, i do dwóch facetów w cywilu – pierwszy był młodym, trzydziestoletnim mężczyzną o wesołej fizjonomii, krótkich blond włosach i błyszczących niebieskich oczach, świadczących o dobrym zdrowiu i świetnym samopoczuciu, dźwigniętym poprzedniego dnia paroma kieliszkami wódki; drugi przypominał skałę – tęgi, grubokościsty, wbity w szary garnitur o wypchanych łokciach i kolanach, podpasany krawatem, którego w żadnym wypadku nie można by uznać za ozdobę; nieruchomy i ponury, trochę jakby radziecki; wąskoczoły, szerokonosy, milczący i ponury jak mogiła. Patrząc na niego, zasłużony skądinąd dla urzędu Kukuryk czuł się winny, mały, przestraszony i głupi.

– Idziemy – powiedziała skała.

Był to jeden z owych nielicznych osobników, których boją się władni i możni. Był to jeden z tych, którzy przetrwają każdy wiraż losu, każdy zakręt dziejów i każdą zmianę rządu. Był to jeden z tych, którzy potrzebni są w każdym ustroju – nieprzekupni i niezłomni; kiedy wszakże odchodzą na emeryturę bądź powołuje ich do siebie Bóg, świat zaczyna lżej oddychać.

Wyszedł Kukuryk i blondas; milicjant drogowy pozostał.

– Do widzenia – powiedziała skała, zaglądając drogowemu w oczy.

Bernard skręcił z Aleksandrowskiej w aleję Włókniarzy, po czym odbił w lewo, przeciął tory tramwajowe i pojechał Zieloną. Jego cień, duży bury fiat z odpryskiem lakieru nad prawym reflektorem, wykonał identyczne manewry. Sunął dwieście, trzysta metrów za peugeotem Bernarda. Nie spieszył się.

Nerwy! Urojenia! Papieros dopalał się na wardze ekonomisty; wypluł go na podłogę i wpakował sobie do ust płytkę miętowej gumy do żucia. W ostatniej chwili trącił kierunkowskaz i czmychnął w Lipową, oddalając się umyślnie od domu brata. – Polecą drań za mną, czy nie? – Przystanął na Próchnika przed Wólczańską i czekał.

Cienia nie było. Słońce chlapało na jezdnię, w drzwiach jatki z koszernym drobiem sterczał brodaty Żyd. Dwóch brzdąców grało w kapsle na chodniku. Z bramy naprzeciw zamkniętej jeszcze restauracji „Murzynek” wyszła kobieta z półmetrową koafiurą i rozszerzyła czarne od tuszu powieki, żeby sprawdzić, czy motłoch padł już przed nią na pysk.

Bernard odetchnął. Tak czy owak, trzeba wziąć się w garść, śmieszne! Przeraził go jakiś zdezelowany grat, podążający tą samą drogą. A ile w końcu jest tych dróg?! Trzy, najwyżej cztery; nie sposób trafić inaczej do śródmieścia.

Ruszył w stronę Więckowskiego, niebawem toczył się Gdańską. Jakiś czas biegł obok niego sportowiec w czerwonych spodenkach, chłopak o nogach tak chudych, jakby go w ostatniej fazie wojny wypuścili z Oświęcimia. Bernard gryzł gumę i – medytował. Ten głos... miękki, grzeczny, niepasujący jakoś do kostycznego urzędnika... Potrzask! Błysnęło mu nagle w głowie, aby uciec. Jeśli zrobi to jednak, a ktoś rzeczywiście zastawił pułapkę, wpadnie w nią Wicher. Nie, tak nie wolno! – Wariuję, po prostu wariuję! Pękła rura w ustępie i to wszystko. – Rozglądał się w lewo i w prawo, śledził bacznie retrowizor, wszelako po burym fiacie pozostało tylko przykre wspomnienie. Westchnął i wjechał w ulicę, przy której w secesyjnej kamienicy mieszkał brat.

Minął dwukrotnie bramę posesji numer 84, nie zatrzymując się i lustrując okolicę. Nic nie wzbudzało podejrzeń; nie parkował w pobliżu żaden samochód, nie kręcili się żadni niewyraźni ludzie. Dziewczynka w krótkiej spódniczce, z niebieską kokardą we włosach, maszerowała z tornistrem do szkoły. Na dachu przeciwległej kamienicy ktoś montował antenę telewizyjną. Mężczyzna w czarnych spodniach i czarnej rozchełstanej na piersiach koszuli prowadził za uzdę konia ciągnącego ostatkiem sił furgon z węglem.

Obraz zaświtał w mózgu Bernarda i zgasł, nim zdążył go pochwycić. – Wiać! Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze ma otwarte przed sobą wszystkie drogi. – A potem myśl znowu pobiegła w drugim kierunku. – Nie wygłupiaj się, nie pajacuj! To tylko drobna, pospolita awaria wody, o czym zaraz się przekonasz i z czego niebawem będziesz się śmiał. No, jazda! Do dzieła, przyjacielu! Nie zostawisz chyba brata w potrzebie?

Zahamował u bramy, ale nim wysiadł, podszedł do peugeota kolega ze studiów, Roman Niedzielski.

– Cześć! – Uścisnął mu rękę przez okno.

– Cześć, co tu robisz? – zapytał Bernard nieufnie.

– Szukam samochodu albo taksówki, podrzuc mnie.

– Gdzie?

– Do szpitala w Łagiewnikach.

– Nie mogę.

– Ojciec umiera, Barnaba, bądź człowiekiem! Zapłacę ci, ile chcesz.

– Tu nie chodzi o pieniądze, Roman. Brat mnie wezwał; nawaliło mu coś w ubikacji i zalało sąsiadowi mieszkanie. Wierzysz mi chyba?

– Wierzę. Cześć!

– Cześć.

Niedzielski puścił się biegiem do postoju taksówek – gruby, nieforemny, zdruzgotany okrutnym zrządzeniem losu. Postój był pusty jak kieszeń nędzarza: ani taksówek, ani pasażerów. Mógłbym go podrzucić – dumiał Bernard. – Skoro są hydraulicy, moja obecność nie jest znowu tak nieodzowna. Spóźnię się

najwyżej kilkanaście minut. – Wcisnął sprzęgło i włączył starter. Serce krzyczało: „Jedź!”. Rozum protestował: „W żadnym wypadku! bez sentymentów! Musisz natychmiast zabezpieczyć pieniądze!”

Zamknął samochód i wszedł do bramy. Zmierzył się wzrokiem z młodszym synem dozorca, który drałował przez podwórko z pustym wiadrem. Zawodził klarncista, gruchały gołębie, płakało dziecko. Wysoki, zniecierpliwiony głos kobiety próbował przywołać je do porządku. Warsztat Gustawa był jeszcze nieczynny, ale motocykl stał na swoim miejscu i Bernard wziął to za dobry znak.

Przesunął oczami po oknach na trzecim piętrze i wbiegł na schody. W klatce dźwięczała cisza. Smród kociego moczu i przypalonej cebuli... *Któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...* Pacierz automatycznie zahuczał w głowie. Coś dławiło go w krtani. Zaczął głęboko oddychać. Przystanął na drugim piętrze u drzwi Leona Podgórskiego. Wyciągnął rękę, aby zadzwonić, ale rozmyślił się.

– Teraz nie ma to już żadnego znaczenia. – Ruszył dalej po zdeptanych, kamiennych stopniach. Wypluł gumę. Wyjął z kieszeni butlę z gazem i wcisnął ją do rękawa marynarki... *Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...* Nigdy mu tego chleba nie brakowało, nigdy nie był spragniony i głodny, a słoneczny świat za oknem jest tak piękny...

Pchnął uchylone drzwi i przekroczył próg.

– Jacuś?!...

Nie było odpowiedzi.

– Babciu! – zawołał. – Babciu!

Zajrzał do pokoju staruszki i do kuchni. Pusto. Znowu owładnęło nim pragnienie, aby uciekać, czym prędzej zmykać, zaszyć się gdzieś i przeczekać, a potem spróbować szczęścia w obcym mieście. – I co? Młodszy brat, dzieciak, odsiedzi za niego wyrok?! – Łomotało mu w skroniach. Usłyszał szmer za plecami i się odwrócił. W drzwiach wejściowych stało paru milicjantów. Jednocześnie ktoś otworzył drzwi w połączonym z łazienką ustępie i Bernard uspokoił się raptem.

Koniec! Ale jak to w ogóle możliwe? Nie popełnił przecież żadnego błędu. Jacek? Gejsza? Sąsiedzi? No, życie odtąd będzie trochę prostsze. Poczłł bolesny, rozpaczliwy skurcz serca i ogromną, rozsadzającą piersi miłość. – Chłopaczysko moje biedne – szepnął. – Mój sierocy, opuszczony, wzgardzony przez wszystkich bratucha.

Zacisnął szczęki i powstrzymał szloch. Babka siedziała na taborecie obok starej, przedwojennej wanny. Wicher stał obok z kajdankami na rękach. Towarzyszył mu milicjant w mundurze i dwóch cywilów – młody blondyn i zwalisty, toporny, ponury jak gradowa chmura jegomość z wąskim czołem i szerokim fioletowym nosem.

– Czemuście skuli chłopaka?

Blondyn wytknął palcem pozostawiony na podłodze wór z pieniędzmi. Kilka paczek leżało osobno. Wyskandował jak pistolet:

– Bank, napad, rabunek, morderstwo.

– On nie brał w tym udziału. On o tym w ogóle nie wiedział i nie ma z tym absolutnie nic wspólnego. Puśćcie go!

– To już nie nasza sprawa – oświadczył blondyn wesoło.

Teraz tak! Powiedziałem, co trzeba, i wolno mi ratować skórę. Gdybym prysnął, gdybym wyparował jakimś cudem z kraju, żadne prawo, żaden sąd nie mógłby skazać Jacka, pod warunkiem oczywiście, iż Wicher będzie trzymał język za zębami.

Usłyszał za sobą:

– Rączki!

Wykonał płynny obrót, aby podać lewy nadgarstek do skucia, a z prawego wytrząsnąć butlę. Przejechał dwóm milicjantom po oczach, wpadł na klatkę i wyłączył trzeciego.

Ktoś wrzeszczał:

– Stój, człowieku, co robisz?! Nie masz szans!

W dole zaczął się ruch; biegli już ku niemu, łomocąc buciorami na schodach. Biegł również blondyn, zostawiając Jacka pod opieką ponurego mężczyzny. Bernard pomknął na strych – i tu tkwił milicjant, stateczny gość o zatroskanej twarzy pocziwca,

który wolałby nie strzelać. Tak czy owak, wyszarpnął pistolet spod pachy.

Bernard natarł na niego z furją, prysnął mu w nos, kopnął w żołądek i wygramolił się przez klapę na dach, żałując, że nie zwinął broni. – W łeb i po ptakach! – Nie miał jednak czasu do stracenia. Zeskoczył na dach sąsiedniej, dwupiętrowej kamienicy. Popróbował klapy u czarnego od sadzy komina – nie puściła. Zacisnął powieki i skoczył na drewnianą przybudówkę – jakiś warsztat zapewne lub garaż. Lądował prosto, z nogami ugiętymi lekko w kolanach. Powinno się udać, ale pokryta papą konstrukcja nie wytrzymała – prawa noga zdruzgotała ją i wpadła do środka po kolano. Poczuł jednocześnie przeszywający ból w lewej nodze, która podwinęła się przy upadku tak, że rąbnął pośladkiem w stopę.

Przez chwilę myślał, że jest złamana. Walczył jeszcze. Wyciągnął prawą nogę, zdzierając z niej skórę do krwi i do żywego mięsa. But i skarpetka spadły, pozostając w przybudówce. Stwierdził, że dalsza ucieczka jest niemożliwa. Leżał na plecach, nie poruszając się. Jęczał. Czterech milicjantów śledziło go z dachu dwupiętrowej kamienicy. Żaden nie zaryzykował skoku, któryś pokrzykiwał niemądrze:

– Stój, bo będę strzelać!

Inny krzyczał w krótkofalówkę, że trzeba natychmiast obstawić bramę w przecznicy.

– Tam go weźmiecie! – wrzeszczał.

– Co on robi? – pytała krótkofalówka.

– Leży, ale jeśli wstanie, może zwiać. Odbiór!

– Jedziemy tam! Bez odbioru.

Ból zelżał na moment i w głowie Bernarda zapalały się jedna po drugiej ulotne myśli. Nie zobaczy ojca, nie pojedzie do Meksyku, nie otworzy więcej straganu w rynku. Zrozumiał nagle, że życie, które dotąd pędził, było dobre. Dobra była żona, dobre było ciasne mieszkanie w blokach, dobry był każdy wieczór, kiedy mógł zjeść przyzwoitą kolację i napić się wódki.

A teraz, co? Co go jeszcze czeka? Była zbrodnia, musi być i kara. Jaka? UJRZAŁ JĄ! Zadrżał z przerażenia. Instynkt życia trącił go

boleśnie w serce, walcząc z otchłanią wieczności.

Ucałował roztrzęsioną, gęsto pokrytą zmarszczkami dłoń księdza, który odwiózł go na lotnisko. Kiedy u boku mrukliwego konsula przebrnął przez zatłoczony rękaw i znalazł się na pokładzie radzieckiego Tupolewa, nie myślał o trudach czekającej go podróży, o Warszawie i Łodzi, o babce i synach, którym niebawem zwali się na kark. W miarę trzeźwy Jan T., rysownik i karykaturzysta, opętany był w tym momencie ogromną, przytłaczającą miłością do kraju, który przychodzi mi opuścić...

Do Meksyku, który w ciągu ostatnich lat stał mu się drugą ojczyzną.

Do Cuernabaki i pensjonatu señory Luisy Rosario Figueras, która była mu gorącą, choć nie jedyną kochanką, i u której było mu jak w niebie, więc zostawił jej na pamiątkę jedną ze swoich walizek, wiedząc, że nigdy po nią nie wróci.

Za wieloma innymi meksykańskimi miastami, które zwiedził i odwiedził, też na pewno będzie tęsknił do końca życia.

W radzieckich samolotach, w przeciwieństwie do innych restrykcyjnych linii lotniczych, można pić, palić, a nawet kochać się w ustępie. Nie przeszkadzało nikomu, że pasażerów jest trochę więcej niż miejsc. Fotel piętnasty B mógł już być zajęty, więc siedziałeś na osiemnastym D. Jan ulokował się w trzynastym rzędzie. Przy bulaju siedziała pulchna, suto wymalowana blondynka, zaś obok niej tęgi, obszerny w biodrach Rosjanin. Obydwoje kopcili zawzięcie, przekazując sobie co i rusz z rąk do rąk butelkę.

– Chociesz? – Butelka pojawiła się przed Janem.

– Nie nada – odmówił grzecznie karykaturzysta, bowiem przyrzekł sobie i księdzu, że przyleci do Polski w przyzwoitej formie.

Był skrajnie zmęczony. Pchnął do tyłu oparcie fotela i zapadł w kamienny sen. Tupolew wylądował w Hawanie, żeby wziąć paliwo i wymienić podróżnych. Przerwa w locie trwała dwie godziny; pasażerowie opuścili pokład i czekali w sali tranzytowej

lotniska, gdzie było wesoło i gwarnie. Wszyscy pili, wszyscy palili i gaworzyli w rozmaitych językach. Jan nie wytrzymał i palnął sobie potężną Cuba Libre – rum z coca-colą, ulubiony drink rewolucjonistów.

Obok niego siedziała przy stole trzyosobowa polska familia, którą Grażyna wpakowała jakoś Rosjanom.

Kiedy wrócił na pokład i samolot wzbił się w przestworza, wydobył z podręcznej torby tequilę – jedną z dwóch litrowych butelek, które kupił przed odlotem w Ciudad de Mexico z myślą o Bernardzie i Jacku. Nie miał żadnych innych prezentów, w jakie zaopatrują się zwykle podróżni wracający do domu z egzotycznych stron – nie miał pamiątkowych indiańskich maskaronów i azteckich kalendarzy, nie miał choćby jednego wełnianego poncha czy skórzanego sombrera, nie miał kaset i płyt z nagraniami Mariachich, którzy produkują się nocami na placu Garibaldiego. Miał jedynie siebie – prezent główny, całkowicie wypruty z pieniędzy, no i te dwie pojemne, kwadratowe butelki, których przyrzekł sobie nie ruszać w żadnym wypadku i pod żadnym pozorem.

Dręczyły go niby wyrzuty sumienia, trochę tam niby walczył z pokusą, ale rum wypity w Hawanie skruszył silną wolę artysty i w końcu otworzył butelkę. Uuu! teraz to już można grzać, za późno na skrupuły; napełnił plastikowy kubek, opróżnił go haustem, po czym powtórzył operację. Odtąd nie nękały go już żadne wątpliwości. Jest cudnie! Jedna butelka też wystarczy chłopcom, bez przesady! Tatuś wraca, niech się cieszą, nicponie. Majątku wprawdzie nie przywiezie, zgoda, ale z miejsca zacznie działać – nawiąże kontakt z centralną prasą, napisze wstrząsającą książkę o swoim pobycie na emigracji, popracuje nad scenariuszem filmowym o karierze, jaką zrobił w Kanadzie pewien polski zbój, frymarcząc pupą swojej ukochanej małżonki. Zdobędzie sławę. Odstawi alkohol. Zaprezentuje się synom jako poważny i surowy ojciec, zawsze elegancki, zawsze trzeźwy i rozsądny.

Pił. Potem coś zjadł i zasnął. Stewardesa obudziła go w irlandzkim porcie wolnoctwowym Shanon. Półprzytomny, nie

dotykając stopą ziemi, wyszedł z tak zwanego rękawa i znowu znalazł się w dużej, gwarnej sali tranzytowej, pośrodku której był bar, a po bokach kioski i sklepy. Samolot brał paliwo, a Jan zafundował sobie za dwa dolary kufel ciemnego, gorzkawego guinnessa. Później w gronie innych, trzeźwych pasażerów wrócił na pokład i dokończył tequilę. Po takiej ilości alkoholu nie istnieje czas i przestrzeń. Zapadł w odmęt głębokiego, narkotycznego snu i ocknął się dopiero w Moskwie.

Kolejna sala tranzytowa. Szeremietiewo II, zbudowane z okazji igrzysk olimpijskich, to doprawdy imponujące i piękne lotnisko. Ale Jan, trzeźwy nieomal, kwaśny, z początkami straszliwego kaca, nie widział owej świetnej kompozycji z betonu, stali, szkła i czarnego marmuru, nie podziwiał pełnych uroku klozetów i wydzielonych dla oficjeli pomieszczeń. Jan szukał restauracji i znalazł ją: armeński winiak, szampan, kanapki z czarnym kawiozem po czterdzieści kopiejek sztuka... Nie żałował sobie, płacąc dolarami i robiąc oko do przysadzistej kelnerki.

Na pokład polskiego samolotu, który wystartował z Moskwy kilka godzin później, musiała wprowadzić go po trapie stewardesa. Przekazała Jana u drzwi koleżance, a ta, wstrzymując resztę podróżnych, usadowiła karykaturzystę w rzędzie obok wyjścia awaryjnego, gdzie jest zawsze trochę więcej miejsca dla bagażu i dla nóg.

Niebawem podano landrynki i prasę. Sunąca środkiem pokładu piękność w ciemnoniebieskim uniformie zapytywała raz po raz:

– „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy”? „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy”?

– Trybuna – rzekł Jan. – Mógłbym prosić o szklaneczkę wyborowej?

– Nie teraz – osadziła go dziewczyna. – Wręczyła mu sobotnie wydanie organu partyjnego i ruszyła dalej, powtarzając jak katarynka: – „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy”? „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy”?

– Ano, jestem w kraju – powiedział do siebie Jan. – Gdybym mógł sobie łyknąć, pewnie bym się i cieszył. Tequila ruszyć mi nie wolno, za Chrystusa!

Samolot nabierał wysokości. Zgasło światło: ZAPIĄĆ PASY, NIE PALIĆ. W głośniku zachrobotał jakiś mało zrozumiały komunikat. Ruszyła do ustępu z córeczką ta młoda, urodziwa kobieta, którą poznał Jan w meksykańskiej oficynie LOT-u. Wkrótce podreptał za nimi osioł mąż. Z tyłu, za plecami karykaturzysty, stewardesy zaczęły serwować kolację. Sąsiad Jana, jegomość o potrójnym podbródku i brzuchu, który nie przyniósłby wstydu wśród japońskich zapaśników, odwracał bez ustanku głowę, aby sprawdzić, kiedy wreszcie dostanie coś na ząb. Jan też czekał na tę chwilę. Nie to, żeby był głodny, ale otwierała się wreszcie możliwość zamówienia sznapsa. Nie miał wprawdzie złotych, lecz gotów był płacić dolarami. Aby zabić czas, rozłożył „Trybunę Ludu” i stwierdził z satysfakcją, że od razu na pierwszej stronie jest coś ciekawego do czytania. No proszę!

UJĘCIE SPRAWCÓW ZUCHWAŁEGO NAPADU NA BANK

Sięgnął po okulary i pogrążył się w lekturze. Nagle jednak gazeta wypadła mu z rąk. W uszach dzwoniło zdanie: JACEK I BERNARD T. (za zgodą prokuratury podajemy nazwiska w pełnym brzemieniu), BRACIA, ŁODZIANIE, SIEDEMNASTOLETNI LICEALISTA I TRZYDZIESTODZIEWIĘCIOLETNI MAGISTER EKONOMII. – Wytrzeźwia! do cna. Zbladł śmiertelnie, zaczął się trząść. Synowie rabusie! Synowie mordercy! Dałby wszystko, żeby znaleźć się na powrót w Meksyku, lecz samolot zdążył nieuchronnie ku Warszawie. Płakał cicho. Sąsiad nie zwracał na to uwagi. Sąsiad czekał na kolację. Janowi nie pozostało nic innego, jak szukać ratunku w tequili.

Ktoś parokrotnie uderzył pięścią w drzwi. Od czasu do czasu wywrzaskiwano na schodach:

- Kurwa!
- Złodziejka!
- Psiara!

Wtedy, gdy było cicho, też słyszała jakieś szepty, chichoty i śmiechy, opinie wypowiedane zjadliwym głosem przez sąsiadki i miażdżące uwagi sąsiadów.

Anonimowy łobuz cisnął kamieniem w okno od ulicy i roztrzaskał je w drobny mak. Dzieci pohukiwały na podwórku:

- Gejsza lala, do szpitala!
- Gejsza Genia, do więzienia!

Nie reagowała. Siedziała nieruchomo w fotelu i patrzyła apatycznie w ścianę. Serce odmierzało czas. Zegary stały. Telefony były wyłączone. Milczały radia i telewizory. Gazeta z komunikatem czarnym jak nekrolog trafiła do kosza. Nie jadła od kilkunastu godzin. Piła wodę z kranu i paliła papierosy. Nie płakała, nie szlochała, nie urągała Bogu, nie wzywała Marii Panny na ratunek. Nieraz nachodziły ją mdłości, więc biegła do ustępu i wymiotowała żółcią. Stróżki potu ciekły jej po plecach.

Piękna twarz straciła swój szlachetny kształt – postarzała się jakby i utyla; na policzkach zarysowały się zmarszczki; sine zakola pod oczami wyglądały jak pociągnięte tuszem; usta zbladły i zapadły się u kącików; złociste włosy, potargane i wilgotne, przestały błyszczeć.

Bez przerwy ocierała czoło połamami szlafroka, pod którym miała tylko biustonosz i majtki. Nie wybierała się przecież na bal; nie oczekiwała kochanka. – Te jego cholerne, siwe, ponure, aroganckie oczy! Bandzior i morderca! Wyczytała to w nich od razu, w momencie kiedy pomógł jej wnieść telewizor. I co? Nic. Zakochała się. Bagatela! Akurat ją to musiało spotkać. Smarkacz! Szczeniak! Idiota! Czego mu brakowało?! Zobaczyła go nagle w ciasnej ciemnej celi, przycupniętego na pryczy, przerażonego

i zrozpaczonego. Teraz jest późny niedzielny wieczór, nie nękają chyba biedaka, lecz rano zaczną go przesłuchiwać.

Fizyczny tępy ból na dobre zadomowił się w piersiach. I cóż ja mogę uczynić dla ciebie, Wietrzyku? Małeńki mój! Umiłowany!

Zakukał dzwonek u drzwi. Skuliła się i drżała. Nie otworzy. Milicja? Nie będzie zeznawać. Nie usłyszą od niej ani słowa. Trzeba rozłożyć materac w łazience i spędzić tam noc. W łazience jest cicho i spokojnie. Łazienka jest szczelna.

Wstała. Dzwonek znowu zakukał, jakoś tak nieśmiało i pokornie. Dobiegł ją głos:

– Basiu, to ja. Twój ojciec.

Wpuściła go i cofnęła się w głąb pokoju. Bez powitań, bez pocałunków. Nie był jej potrzebny tego dnia. Wołała samotność. Wołała zaszyć się w kącie i cierpieć bez świadków.

– Co się stało? – zapytała oziębłe.

– Dzwonię do ciebie od wczoraj. Nikt nie odpowiada, więc przyjechałem. – Też był roztrzęsiony; postarzały, chudy, z zaczerwienionymi oczami, z nawisami skóry u podbródka. Garnitur wisiał na nim jak na źle dobranym manekinie. Spoza mankietów koszuli wyzierały patyki rąk. Westchnął ze spazmem i zapytał bez wstępów: – On?

– On.

– Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Mogą cię inwigilować.

– Mogą. Siadaj, zaraz wrócę.

Zniknęła w łazience. Był przekonany, że poszła się umyć, uczesać, umalować i ubrać, ale wróciła w tym samym szlafroku, rozczochrana i niechlujna.

– Jak ty wy... – zaczął i nie skończył. – Przepraszam – powiedział.

Skinęła głową.

– Nie sądziłem, że aż tak jesteś zaangażowana. Daj mi coś do picia.

– Weź sobie. – Wskazała butelkę i kieliszki.

Butelka wydzwaniała na brzegu kieliszka tremolo. Wlał sobie do gardła całą zawartość i ponownie napełnił kieliszek.

- Matka chciała ze mną przyjechać.
- Bardzo dobrze, że nie przyjechała.

Dotknęła ust grzbietem dłoni. Zbladła i znowu pomknęła do łazienki. Potem stanęła przed ojcem i oświadczyła z szyderczym, wyzywającym grymasem:

- Ty w każdym razie nie musisz się martwić.
- Nie?
- Nie.
- A to czemu?
- Bo spełniły się twoje marzenia.

Spojrzał na nią z przerażeniem w oczach. Wypił i zapytał szeptem:

- Marzenia?
- Tak.
- Jakie?
- Najskrytsze.
- Nie rozumiem cię, Barbaro...

- Rozumiesz, rozumiesz. No, kropnij sobie jeszcze jednego, tatusiu. Jestem w ciąży. Będiesz dziadkiem, doczekasz się wnuka.

KARCER PRZY ULICY WISIELCÓW

We wrześniu 1988 roku Jacek skazany został na piętnaście lat więzienia, a Bernard na karę śmierci. Zarówno w pierwszym, jak i w drugim wypadku wyrok nie był prawomocny i został natychmiast zaskarżony przez obrońców. Papugą Jacka był wynajęty przez Gejszę znakomity warszawski adwokat Ksawery B., szpakowaty, przystojny mężczyzna o niekwestionowanej renomie i wielkim wzięciu. Jego wyprane ze wszelkich upiększeń i ekspresjonizmów mowy: suche, doskonałe stylistycznie, skonstruowane z bezbłędną logiką, wypowiedane dobitnie i poważnie, na jednej nucie, bez akcentów i modulacji, stawiane były studentom prawa za wzór. Interesów Bernarda natomiast strzegł znany nam Andrzej W., czterdziestopięcioletni łódzki adwokat, były działacz partyjny, niedoszły naukowiec, człowiek, któremu zwichnęła w młodości karierę zbrodnia, jakiej dopuścił się na jego narzeczonej niewykryty morderca. W przeciwieństwie do Ksawerego B. sądowe wystąpienia Andrzeja W. cechowała namiętność, pasja, chwilami nawet histeria; chętnie gestykułował, szydził ze świadków i prokuratorów, stosował dygresje i uciekał często od tematu, w związku z czym nie przepadały za nim powiatowe i wojewódzkie trybunały.

Sąd wyższej instancji rozpatrzył ponownie sprawę Jacka i Bernarda T. w marcu 1989 roku. Proces rewizyjny nie wzbudził nadmiernego zainteresowania opinii publicznej – napad zwietrzył niejako w pamięci, grób konwojenta porósł trawą, a złotówka obsunęła się do tego stopnia, że pięćdziesiąt milionów nie stanowiło już sumy szokującej. Tak czy owak, zainstalowano w dużej kwadratowej sali sądowej kamery telewizyjne i mikrofony radiowe, przyjechali z różnych stron kraju dziennikarze, zjawili się także paru poważnych autorów oraz pewien krakowski łowca sensacji.

Co do widowni, nie zabrakło chętnych do przysłuchiwania się i przyjrzenia bandytom; wszystkie miejsca na drewnianych niewygodnych ławach były zajęte – trochę ludzi zostało

w korytarzu, trochę na ulicy, lecz rezerwy te topniały każdego dnia i dopiero w piątek siedemnastego marca, kiedy ogłaszano wyrok, przybyło gapiów, w sali zrobiło się tłoczno, a poza salą, w budynku sądowym, czekało w napięciu na werdykt kilkaset osób.

Trzeba od razu powiedzieć, że w zakresie materiału dowodowego rewizja nie przyniosła żadnych nadzwyczajnych zmian. Już w trakcie pierwszego procesu bracia przyznali się do winy – najpierw Bernard, rozpoznany przez dyrektora banku, kasjera, woźnicę, młodego chłopca, który oglądał napad z za węgła budynku oraz kapitana milicji, a potem Jacek, co było dla starszego brata szokiem. Przed aresztowaniem Bernard udzielił Jackowi żelaznych instrukcji, iż w żadnym wypadku nie wolno mu przyznać się do uczestnictwa w napadzie. „Zakładam i jestem tego pewien, że nigdy nas nie złapią – mówił – lecz gdyby nawet coś się stało, ty o niczym nie wiesz, nie masz w ogóle bladego pojęcia o moich interesach, a Gustawa nie tykamy, Gustaw dla nas nie istnieje”. Jacek trzymał się tego w areszcie śledczym i przesłuchujący go funkcjonariusze nigdy zapewne nie doszliby prawdy, gdyby nie pewien stołeczny reporter chytrusek, który wykonał na własną rękę szlagierowy numer. Otóż kiedy stutysięczny nakład dziennika, w którym pracował, został już wydrukowany, reporter przemeblował trochę z zaprzyjaźnionym zecerem matrycę pierwszej kolumny i odbił ją na maszynie rotacyjnej. Otrzymał w ten sposób stronę różniącą się minimalnie od tej, która pilotowała owego wieczoru gazetę. Zamiast informacji o transporcie ananasów i owoców cytrusowych taszczonych do kraju przez nasze statki, w chwili kiedy mamy jeszcze w bród doskonałych polskich jabłek i gruszek, ukazało się lakoniczne oświadczenie, iż niejaki Bernard T., morderca, główny sprawca napadu na powiatowy bank, potwierdził wreszcie wobec niezbitych dowodów, że jego siedemnastoletni brat, Jacek T., uczestniczył w rozboju – prowadził skradziony motocykl i strzelał. Gazeta została podrzucona Jackowi do celi i chłopak, ulegając presji drukowanego słowa, wziął na siebie sprawiedliwą

część winy z przekonaniem, że skoro Bernard sygnął go, to zapewne wie, co robi, i próbuje w ten sposób ratować głowę.

Zresztą, dowody przeciwko Jackowi rzeczywiście były niezbite: on również został rozpoznany przez kasjera i przygodnych świadków. Wiedział, gdzie brat przetrzymuje pieniądze, raz nawet z nich skorzystał – ukradł pięćset tysięcy, aby kupić dziewczynie urodzinowy prezent. Banderolkę, którą zerwał z paczki banknotów w momencie płacenia za złoty pierścionek i bransoletkę, znaleziono w czarnej kurtce Jacka i nie umiał on z tego wybrnąć.

Poza tym, ustalone wcześniej (można by rzec: awaryjnie) zeznania obydwu braci były zgodne we wszystkich szczegółach. Broń, podobnie jak kaski, kupił Bernard na rynku. Motocykl uprowadził spod jakiegoś bloku na Teofilowie. Peugeot w chwili napadu czekał sobie na szosie za mostem pusty, nikogo w nim nie było; kapitan twierdzący bez absolutnej pewności, że widział w nim trzeciego osobnika, musiał się pomylić, w co uwierzono braciom, wychodząc z prostego założenia, iż przestępcy po wpadce chętnie kopią swoich współników, aby odciążyć się nieco, gdyby więc był ktoś trzeci do wkopania, Bernard i Jacek nie oszczędzaliby go w żadnym razie. Dwanaście brakujących milionów (honorarium Gustawa) poszło niby na różne łapówki i długi, o których Bernard nie chciał mówić.

Jak pozbyli, się akcesoriów przestępstwa? Ano, wyrzucali je w drodze do Łodzi – najpierw kaski, potem rewolwery i tak dalej. Kaski bez wątplenia zostały zwinięte, kopyta leżą być może do dzisiaj w jakimś rowie. To wszystko! Bernard wyjaśnił zgodnie z prawdą, jak narodził się plan napadu (wizyta Malinowskiego i szwagra konwojenta na targowisku w okolicach placu Niepodległości) i co było jego główną sprężyną (chęć odwiedzenia ojca w Meksyku).

Jacek podczas rewizji procesu miał na sobie skromny niebieski garnitur, który Gejsza kupiła „na oko” w „Modzie Polskiej”, i białą rozpiętą pod szyją koszulę; Bernard wystąpił w czarnym ślubnym ubraniu i w krawacie. Siedzieli osobno, każdy w asyście dwóch umundurowanych milicjantów o nieruchomych, jakby wykutych

z kamienia obliczach. Jacek częściej patrzył na siedzącą w jednym z pierwszych rzędów Gejszę niż na Wysoki Sąd, w związku z czym został dwukrotnie upomniany. Bernard nie patrzył na nikogo i większość czasu spędził z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie zabrakło na sali jego żony, wymalowanej jak zwykle, sztywno uczesanej i opiętej jakąś fioletową, niezbyt stosowną sukienką z półrękawkami. Sprawiała wrażenie osoby zagniewanej na cały świat, a na męża zerkała z nietajoną pogardą.

Nie ma sensu przytaczać wspaniałej mowy obrończej mecenas Ksawerego B., dzięki której wyrok Jacka skurczył się z piętnastu do dwunastu lat. Zasadnicze jej tezy, to: młody wiek oskarżonego, brak właściwej opieki, faktyczne sieroctwo, samotność, frustracja, odtrącenie przez bezduszną szkołę, karygodne zaniedbania wychowawców w liceum i... gdzieś tam w tle, między wierszami, pobrzękiwało to, czego Jacek wyraźnie sobie nie życzył i o czym wspomniał Gejszy podczas widzenia w areszcie: żadnych ataków na Bernarda, żadnych aluzji! Mój papuga ma go bronić, a jak nie, to wypierdolę go z sądu. Ksawery B. kąsał więc bardzo umiejętnie, przypadkiem niejako, podkreślając, że czterdziestoletni Bernard kochał gorąco swego siedemnastoletniego braciszka i był jego jedynym prawdziwym opiekunem. Nazwiska Gejszy nie wymienił ani razu, ale w odpowiednich momentach popatrywał na nią wymownie. Była tuż przed rozwiązaniem; tęga, cicha, spokojna, macierzyńska, z ogromnym brzuchem zarysowanym pod skromną szarą sukienką. Jej obecność wywarła na sędziach dobre wrażenie.

Zupełnie inaczej wyartykułował swoją mowę końcową mecenas Andrzej W. W sali powiało grozą, posypały się drzazgi, widownia struchlała, dziennikarskie długopisy nabrały niebywałego rozpędu, a pewien siwy, siedzący w ostatnim rzędzie mężczyzna skulił się, skurczył i zapadł nieomal pod ławkę.

– Proszę Wysokiego Sądu! – grzmiał Andrzej, tocząc dookoła szalonym, gniewnym, natchnionym wzrokiem. – W takich procesach, w takich sprawach każdy adwokat zaczyna od głupiego i szampowego oświadczenia, że jest w ogóle przeciwko karze śmierci, że należy zlikwidować ją, wymazać, wykreślić

i zakopać pod cmentarnym murem na wieczyste pohańbienie i przekleństwo. Otóż nie, proszę Wysokiego Sądu! Ja od tego na pewno nie zacznę; nie będę opowiadał takich bzdur, nie będę wygłaszał takich kretynizmów. Kara śmierci jest potrzebna! (szmer na sali) Kara śmierci jest konieczna!

Szepty:

- Idiota.
- Albo i nie.
- Ciii, dajcie posłuchać.
- Przecież on mu wije powrósło.

Sędzia:

- Proszę o spokój!

Andrzej W.:

- Oczywiście, że jestem za utrzymaniem kary śmierci w najcięższych przypadkach! Za utrzymaniem kary śmierci są taksówkarze we Wrocławiu i Poznaniu. Za utrzymaniem kary śmierci są kobiety w małych miasteczkach i wsiach. Ośrodek penitencjarny przeprowadził w tej kwestii ankietę. Spośród trzydziestu tysięcy respondentów dziewięćdziesiąt sześć procent opowiedziało się jednoznacznie za utrzymaniem tej straszliwej kary, bowiem działa ona na potencjalnych morderców hamująco i odstręczająco. Gdyby ją znieść, ruszyłyby w kraju piekielne moce zbrodni; w lasach, w miejskich zaułkach, w uroczysskach zaroiłoby się od wampirów, gwałcicieli, bandytów, rozbójników i wszelkiego typu zabójców, dla których życie ludzkie, poza własnym parszywym życiem, nic nie znaczy. Zatem, niechaj kat czyni swoją powinność (szmer na sali), niechaj sprawnie działają zapadnie i zaciskają się stryczki!...

Dziennikarze (głośno):

- Niesłychane!
- Przerażające!
- Facet dostał pomieszania zmysłów!

Sędzia waląc pięścią w stół:

- Spokój!

Andrzej W. z uniesioną do góry ręką, z palcem wycelowanym w Bernarda:

– ...Niechaj zbrodniarz płaci gardłem. Wysoki Sądzie, ale tylko wtedy, gdy naprawdę jest zbrodniarzem. Bernard T., mój klient (jakże nienawidzę tego słowa!), mój brat w ludzkości w żadnym razie nie może być uznany za zbrodniarza, o czym postaram się Wysoki Sąd przekonać...

– Ufff.

– Nareszcie!

– Zrobił horror jak diabli.

– Cisza!

– ...strzelał, ale nie po to, by zabić. Prokurator powiada: „Morderstwo popełnione z najniższych i najpodlejszych pobudek, z chęci zysku, z pożądania wielkich pieniędzy, zaplanowane, wykalkulowane, przygotowane w najdrobniejszych szczegółach i zimne”. – Andrzej W. spojrzał na prokuratora i uśmiechnął się szyderczo, po czym dotknął rękami swego szalonego, uduchowionego oblicza i kiedy odstawił je, uśmiech znikł, jakby w ogóle nigdy go nie było, jakby te ręce go zdarły. – Nie wiem, czy naprawdę takie zimne i podłe, czy rzeczywiście tak bezduszne. Oskarżony nie zamierzał stawiać sobie willi ani kupować luksusowego samochodu, nie zamierzał przetrwonąć pieniędzy i przehulać. Motyw tragicznego w skutkach rozboju był o wiele szlachetniejszy, niż to sobie wyobraża pan prokurator. Oskarżony chciał jechać wraz z bratem do ojca w Meksyku. Podejmował te próby od kilkunastu lat. Zawsze bezskutecznie, zawsze spotykał się z odmową. Kogo więc należy w tym procesie sądzić i winić? Czy tylko Bernarda i Jacka? Czy nie ma tu przypadkiem innych, ukrytych sprawców, którzy powinni zasiąść na ławie oskarżonych i ponieść sprawiedliwą karę? W Polsce od zakończenia drugiej wojny światowej obowiązywały drakońskie przepisy paszportowe w odniesieniu do rodzin emigrantów i uciekinierów. Granice, otwarte szeroko dla cwaniaków i kombinatorów, dla kontrabandzistów i handlarzy, zawierały się szczelnie przed owymi rodzinami, przed synami i córkami, przed matkami. Ile kryło się za tym rozpacz? Ile łez, ile bólu? Ile potarganych życiorysów? Nie, proszę Wysokiego Sądu! Nie obciążam w tym względzie urzędów paszportowych, działających w ramach

określonych przepisów. Nie obciążam także reżimu ery Bieruta, Gomułki i Gierka, obciążać bowiem polityczne i społeczne tło w danym kraju jest tym samym, co walka z wiatrakami. Reżimy oczywiście ponoszą za ten stan rzeczy zbiorową odpowiedzialność, ja wszakże szukam w konkretnym procesie konkretnego, jednostkowego winowajcy, takiego, którego można nazwać po imieniu i wskazać palcem. W moim świętym i niezłomnym przekonaniu winowajcą tym jest...

Widownia zamarła. Powiało ciszą. Nie chrząknął sędzia, nie zakasłał prokurator. Dziennikarze czekali w napięciu ze znieruchomiałymi w palcach długopisami. Wszyscy zadawali sobie pytanie: komuż on przyłoży, kogoż on przygwoździ, ten szaleniec?

Szalenciec wbił wzrok w uśmiechniętego niewyraźnie prokuratora i powiedział:

– Ojciec!

Stary, siwy, ostrzyżony przy samej skórze mężczyzna zadygotał w ostatnim rządzie, a szalenciec powtórzył jak echo:

– Ojciec. Nikt inny, tylko ojciec. Jego należałoby oskarżyć i sądzić. Jego należałoby skazać. Inteligentny, wykształcony człowiek, opuszczający beztrosko rodzinę, żonę i dzieci, aby uciec niefrasobliwie z rządzonego przez reżim kraju, zdawał sobie doskonale sprawę, jakie konsekwencje poniosą jego najbliżsi. Niechęć w szkole, na uczelni, w pracy. Na każdym kroku szykany i utrudnienia. Zaświntuszona opinia, zachlastane papiery. O wyjeździe za granicę nie ma mowy. Krótko rzekłszy: egoista wybiera wolność na Zachodzie kosztem długoletniej, często dozgonnej niewoli tych, którym dał życie, których powołał na świat, którzy być może kochają go i potrzebują... (pojedyncze oklaski) ...a których perfidnie zdradził!

Reporterzy:

– Zgadza się z nim.

– Ja też.

– Świetny temat na osobny artykuł.

– Gość wie, co robi.

– Doskonałą linię obrony przyjął.

Sędzia:

– Apeluję o zachowanie spokoju!

Andrzej W.:

– Powinien odpowiadać za nich przed Bogiem i ludźmi do ostatniego tchnienia. Powinien troszczyć się o żonę; uczyć, wspomagać i wychowywać synów, dzielić z nimi reżimowy chleb...

Mężczyzna w ostatnim rzędzie płakał bezgłośnie, ukryty za plecami tych, którzy siedzieli przed nim, i którzy coś tam musieli usłyszeć i zrozumieć, bo zwrócili ku niemu swoje groźne, surowe twarze.

– ...Tysiące, dziesiątki tysięcy takich wyrodných ojców i pozbawionych skrupułów matek wyemigrowało w ten sposób z Polski, łamiąc życie swoim dzieciom, druzgocąc im kariery i odcinając wszystkie drogi do świata. Nas nie obchodzą jednak w tej chwili te tysiące i dziesiątki tysięcy, nas obchodzi w tej chwili wyłącznie jeden człowiek – ojciec Jacka i Bernarda T., samolub, którego dezercja pchnęła w końcu opuszczonych synów do zbrodni.

Mężczyzna z ostatniego rzędu twardych, kanciastych ławek złapał się za serce i upadł na zdeptaną setkami nóg podłogę. Woźny i jakiś jegomość w jaskrawoniebieskiej marynarce wywlekli go na korytarz. Przywołano lekarza. Lekarz zbadał pobieżnie Jana T. i polecił wezwać pogotowie. W momencie kiedy karetka wiozła powalonego zawałem karykaturzystę do szpitala, mecenas Andrzej W. kończył swoją płomienną mowę, apelując w dramatycznych słowach o złagodzenie kary.

Po naradzie, o godzinie czwartej wieczorem, sąd wyższej instancji ogłosił prawomocny tym razem wyrok. Jako się rzekło, Jacek T. skazany został na dwanaście lat więzienia z zaliczeniem dotychczasowego aresztu. Do chwili ukończenia dwudziestu jeden lat miał przebywać na oddziale dla młodocianych.

Wyrok na Bernarda został utrzymany w mocy. Śmierć. Nie dopatrzono się w wystąpieniu mecenasa Andrzeja W. okoliczności pozwalających zredukować karę. Sędzia uzasadnił wyrok lakonicznie:

- Gdyby każdy, komu z takich czy innych powodów zabrakło ojca, chwycił za broń, aby rabować i zabijać, kraj zmieniłby się w gniazdo przestępstwa. Skazanemu powodziło się stosunkowo dobrze – nie brakło mu pieniędzy; miał mieszkanie i samochód, prowadził interes na rynku. Czyn, który popełnił z premedytacją i okrucieństwem, nie znajduje żadnego usprawiedliwienia i żadnego wytłumaczenia poza żądzą zdobycia pieniędzy w nieuczciwy, zbrodniczy sposób. Dla takich jednostek nie może być miejsca w praworządnym społeczeństwie. Takie jednostki są dla społeczeństwa stałym zagrożeniem i rozprzestrzeniającą się zarazą, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż Bernard T. wciągnął w swoje kryminalne plany młodszego o ponad dwadzieścia lat brata.

A więc śmierć! Śmierć! Pozostał już tylko ostatni promyk nadziei – prosić Radę Państwa o łaskę.

W kilkanaście dni później, w czwartek trzydziestego marca osiemdziesiątego dziewiątego roku Gejsza powiła szczęśliwie syna. Przyjechał z tej okazji ojciec i zabawił w Łodzi dwa tygodnie, roztaczając nad córką i wnukiem opiekę – najpierw w szpitalu, potem w domu. Piętnastego kwietnia nieoczekiwanie odwiedził Gejszę Francis James Moliński. Była to już jego trzecia wizyta u Gejszy po aresztowaniu Jacka i po raz piąty czy szósty Szkot zaproponował Barbarze małżeństwo. Dziecko nie przeszkadzało mu; gotów był zaadoptować je i uznać za swoje. Chwilami nawet wmawiał Gejszy, iż malutki Jack może naprawdę pochodzić z jego nasienia. Terminy zgadzały się przecież... Kobieta jest niby w tych sprawach nieomylna, ale kto wie?... Dobrze byłoby im razem w Glasgow. Mieszkaliby osobno, z dala od rodziców, którzy zaakceptowali już zresztą Barbarę jako przyszłą synową i chcieliby jak najszybciej ujrzeć wnuka.

Gejsza zaczęła z wolna wahać się i ulegać. Nie, oczywiście, że nigdy nie zapomni o Jacku – będzie do niego pisać, będzie wysyłać mu paczki i pieniądze, co jakiś czas przyleci do Polski i odwiedzi go w więzieniu, a kiedy Wicher po jedenastu latach i dwóch miesiącach wyjdzie na wolność, będą jeszcze obydwójce wystarczająco młodzi, aby do siebie wrócić (nie wierzyła w to

specjalnie), aby się pobrać (James nie odmówi jej przecież rozwodu) i wychowywać wspólnie dziecko. Tymczasem jednak trudno wymagać od niej skrajnych poświęceń – całkowitej rezygnacji z uciech tego wspaniałego świata, wyrzeczenia się miłości i wyjazdów, alkoholu, strojów, zabaw, muzyki i tańca. Nie ma zamiaru krążyć jedenaście lat w pokutniczej siermiędze między domem a więzieniem. Poza tym synek nie powinien wzrastać bez ojca. Zmiana powietrza wyjdzie małemu i Gejszy na zdrowie. Zapomną o niej trochę w tym mieście i w tej kamienicy; nikt nie będzie dokuczał dziecku na podwórku i w szkole, że jest synem bandyty. Mieszkanie odstąpi rodzicom albo wynajmie jakiemuś cudzoziemcowi i zarobi na tym dziesięć, piętnaście tysięcy dolarów. Ostatecznie może je sprzedać.

Wszystko przemawiało za wyjazdem. Moliński sprawdził się, nie zawiódł w trudnych chwilach, nie robił jej wymówek, przestał urządzić sceny zazdrości, trudno natomiast przewidzieć, jaki będzie Jacek po odsiedzeniu kary. Może uznać, że Gejsza jest dla niego za stara. Może wyrzec się dziecka. Może popełnić kolejne przestępstwo. Kocha go, nie zdradziła go dotąd, ale czas poczynił w jej uczuciach wyłomy. Tęskniła za mężczyzną. Odzyskała już równowagę duchową i smak życia. Wiedziała, że szybko wróci do urody i formy: schudnie, strenuje brzuch, zacznie chodzić do solarium i do sauny.

Przyrzekła oniemiałemu ze szczęścia Jamesowi, że rozważy jego ofertę. Był delikatny: nie rzucił się na nią, nie próbował jej uwodzić. Siedział jak skamieniały w głębokim skórzanym fotelu i patrzył na dziewczynę z miłością. Szepnął cicho, jakby się bał spłoszyć łaskawy uśmiech losu:

- Przysięgam, że nie będziesz tego żałować.
- Wierzę. Muszę jednak zrobić kilka zastrzeżeń. James.

Zbladł i zapytał:

– Jakich?

– Formalnych. Wyjdę za ciebie i pojedziemy do Szkocji, gdybym jednak zechciała odejść, nie będziesz mi tego utrudniał. Zrozumiałeś mnie?

– Tak.

- I co?
- Zgoda.
- Nie będziesz także próbował zatrzymać dziecka.

Moliński odetchnął, bo spodziewał się innych zastrzeżeń. Powiedział skwapliwie:

- Nie będę, Barbro.
- Dasz mi to przed ślubem na piśmie.
- W każdej chwili.
- *Great*, wystąpię jutro o paszport.

Cierpiał, lecz milczał, kiedy jej smutne, zamyślane oczy uciekły nagle w jakiś inny, nieznany mu świat. Postanowiła zobaczyć się z Jackiem i uprzedzić go o swoim wyjeździe. O tym, że wychodzi za mąż. nie wspomni, żeby go nie ranić. Biedny głuptas! On też nalegał, aby wzięła z nim ślub w więzieniu i dała dziecku jego skompromitowane nazwisko. Wykluczone! W tej grze synek był najważniejszy; Jacek nie stanowił już mocnej karty w talii zamiarów i planów. Będzie rozpaczał; straci jednocześnie dziecko, kochankę i brata. Wzdrygnęła się. Potworne przeznaczenie. Tak czy owak, ma wobec Jacka powinność. Trzeba go namówić, aby nie marnował czasu, który można przecież zainwestować w naukę języków, w lekturę, w samodzielne studia. Kto wie, może mógłby nawet coś napisać? Nie wątpiła w jego talent i zdolności. Musi dbać o siebie – gimnastykować się, ograniczyć palenie, myć trzy razy dziennie zęby elmeksem, który dostarczy mu podczas najbliższego widzenia, i który będzie mu stale wysyłać z Glasgow wraz z czekoladą, gumą do żucia i witaminami.

Nieszczęsny chłopak – pomyślała i uśmiechnęła się serdecznie do Francisa Jamesa Molińskiego.

Po wyroku Bernard przewieziony został z aresztu śledczego do zakładu karnego w pewnym dużym wojewódzkim mieście. Karczer usytuowany był przy ulicy, której patronował znany bojownik o niepodległość kraju, lecz ludzie mówili, że jest to po prostu ulica Wisielców. Nawet dureń mógłby wysnuć wniosek, że w więzieniu tym kat miał sporo roboty, a to z tego powodu, iż pod murem okolicznego cmentarza leżało wielu sławnych morderców,

których mrozące krew w żyłach zbrodnie stanowiły kiedyś żer dla środków masowego przekazu i bulwersowały społeczeństwo.

Ten sam wniosek wysnułby również dureń w Łodzi, gdyby zestroił sobie więzienie przy Stokowskiej z cementarzem na Dołach. Spoczywają tu między innymi: Stasio Modzelewski, osławiony wampir z Gałkówka, Dębiński, który w latach siedemdziesiątych tworzył parę z Federem, Lech oraz Zakrzewscy, groby tych ostatnich wszelako zostały pewnej nocy zdewastowane przez rodzinę ofiar, które Zakrzewscy usunęli bestialsko ze świata.

Nie jest więc dla środowiska przestępczego tajemnicą, że się wieszka: w Łodzi, w Warszawie, w Tarnowie, we Wrocławiu i kilku innych miastach, z których jedno miało być dla Bernarda ostatnią ziemską przystanią.

Siedział w drugim pawilonie na oddziale dla skazanych, nie sam, jak to sobie wyobrażają niektórzy nasi filmowcy i pisarze; człowiek czekający na śmierć nigdy nie jest sam, zawsze ma towarzystwo dwóch, trzech albo i czterech doświadczonych recydywistów, którzy za niego odpowiadają, pilnując, aby nie popróbował ucieczki, aby nie popełnił samobójstwa, aby nie okaleczył się, nie zranił, nie nadmuchał sobie policzków, nie wtarł w udo czy łydkę jadu z zębów i tak dalej. Odsiadujący długie kary więzienia recydywiści dbają o skazanego na śmierć kamrata jak o faworytne dziecko.

Przebywał zatem Bernard w czteroosobowej celi z niejakim Cwajbratem (dziesięć lat za włamanie i rozboje), z Michą (dwanaście lat za uduszenie żony, którą przyłapał w łóżku z kochankiem) i z Pietruchem (piętnaście lat za znęcanie się nad rodziną i wyłupanie oka jedynaczce). Straszni owi panowie byli początkowo wobec Bernarda nieśmiali i zakłopotani. Patrzyli na niego jak w tęczę, i jak w tęczę patrzyli na niego podczas spacerów wszyscy więźniowie – raz, że był gościem inteligentnym i wykształconym: magistrem, doktorem, wkrótce nazwali go Profesorem; dwa, że dokonał głośnego i nieprawdopodobnego zamachu na konwój bankowy, że strzelał, że zabił, że zrabował pięćdziesiąt milionów, że zdążył jakoś

dwanaście milionów przepuścić, że otrzymał kaes (czapę, krawat, pętelkę, sznurek) i że w obliczu tej przerażającej perspektywy trzymał się dzielnie i godnie.

Z czasem nawiązała się między nimi nic porozumienia i sympatii. Cwajbrat, aby pocieszyć Bernarda, wyraził któregoś dnia opinię, iż przeniesienie skazanego na czapę więźnia z aresztu śledczego do regularnego mamra nie rokuje wcale tak źle, jakby mogło się wydawać.

– Jest szansa – powiedział. – Gdyby nie było de la sząsą, to by pana w ogóle nie ruszali i skrócili na miejscu.

Micha, biegły w kryminalnej rutynie, przytaknął Cwajbratowi:

– Na miejscu! Ciach i do podziemia, byle tylko nie robić sobie kłopotu, bo na każdy transport kaesiaka z aresztu do pudła trzeba mieć zgodę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Nie poskąpił również Bernardowi pokrzesy trzeci współlokator, Wincenty Pietruch:

– Jak by nie brać, panie kolego, nie pociągną pana wcześniej niż za dziewięćdziesiąt dni. Do tego czasu możesz pan spać spokojnie. Rada Państwa dokładnie bada każdą prośbę o gardło i trwa to zwykle trzy miechy.

Informacje te zdawały się nie robić na Bernardzie większego wrażenia. Był pogodny, chwilami nawet wesoły. Nie stracił apetytu, dobrze trawił, grał z Cwajbratem w warcaby. Sposepniał dopiero w końcu kwietnia, po otrzymaniu od żony listu z szeregiem czarnych doniesień: babka zmarła, ojciec z trzecim zawałem w szpitalu, ta stara (skreślenie) Gejsza wyjechała do Anglii z jakimś ciulem, a ona, Haneczka, ukochana jego połowica, byłaby wdzięczna, gdyby Narduś dał jej PRZEDTEM rozwód.

Ojca i babki żałował, żona była mu obojętna. Najbardziej poruszyła go wiadomość o wyjeździe Gejszy, wyobrażał sobie bowiem, jak głęboko przeżywa to brat. Ostrzegał go, do czego zdolna jest kobieta. Kretyn! Kto wie, czy nie sypnęła? Obliczył, że Jacek wyjdzie w najgorszym razie na wolność przed trzydziestką, a może nawet dużo wcześniej. Będzie miał jeszcze przed sobą kawał życia.

Otrząsnął się w tydzień z apatii, co Cwajbrat, Micha i Pietruch przyjęli z zadowoleniem:

- Nie trza martwić się z góry.

- Czas jeszcze, czas!

- Niech pan, panie kolego, zrobi coś, żeby wzięli pana PRZEDTEM do szpitala.

W celi oprócz dwóch piętrowych łóżek był kwadratowy stolik, cztery krzesła, umywalka, ogrodzony mrożonym szkłem sedes z bieżącą wodą i głośnik radiowy, dzięki któremu mogli wysłuchać codziennie wiadomości. Ponadto każdy więzień miał własną szafkę, a w niej łyżkę i widelec (bez noża), metalowy garnuszek, przybory do pisania, papeterię, mydło, ręcznik i wiktuały z paczek, które nadesłała rodzina. Jeśli o kimś nie pamiętali najbliżsi, zaopatrywał się w żywność w kantine więziennej, a jak nie miał pieniędzy, bo mu się, dajmy na to, nie chciało pracować, to pomagali mu kumple.

Niby wszystkich obowiązywała robota społeczna (radiowęzeł, biblioteka, porządkowanie i sprzątanie) oraz odpłatna, na tak zwaną wypiskę (krawiectwo, szewstwo, stolarka i tak dalej). Społeczna była przez władze więzienne niżej notowana (garnęło się do niej wielu wałkoni) niż odpłatna, którą obowiązkowo musieli podjąć ludzie obciążeni finansowo. Cwajbrat zatem, chcąc nie chcąc, pracował w introligatorni, a Micha i Pietruch obijali się w kuchni lub w magazynie. Bernarda nikt nie agitował do roboty. WIADOMO. Na tym kończyły się jednak przywileje skazanego na śmierć. Jadł to samo, co inni. Mógł palić, ale wszyscy mogli palić. Mógł czytać, korzystać z łaźni i usług fryzjera, mógł chodzić na telewizję do świetlicy, na spacer, na widzenia, na mszę, nie stanowiło to wszak żadnego wyjątku – każdy więzień miał te same prawa.

Widział się kilkakrotnie z księdzem, odwiedził go także w końcu maja markotny adwokat. Zarówno ksiądz, kapelan Wojska Polskiego, przybywający do więzienia na każde wezwanie, jak i mecenas Andrzej W. zdumieni byli nienaturalnym spokojem Bernarda. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że jego czas dobija

kresu? Rada Państwa milczy złowrogo, a kiedy przemówi, trzeba będzie ruszyć na spotkanie z czarną panią.

– Wypowiadaj się, moje dziecko – zaproponował któregoś niedzielnego ranka kapelan.

– Nie mogę tego zrobić, proszę księdza. Nie chcę kłamać przed Bogiem, a prawdy powiedzieć mi nie wolno.

– Bóg i tak zna prawdę.

– Ale ksiądz jej nie zna.

– Obowiązuje mnie przecież tajemnica spowiedzi – zauważył urażonym głosem kapelan. – Sądzisz, że mógłbym ją sprzeniewierzyć?

– Wykluczone.

– Więc czemu się wzbraniasz?

– Aby nie obciążać twojego sumienia, ojcze. Przyjdzie dzień, że uklęknę przed tobą.

Zatroskany, nader uroczysty ksiądz patrzył na Bernarda z osłupieniem:

– Nie boisz się tego dnia?

– Nie.

– Żadnej trwogi nie czujesz? Żadnej skruchy?

– Czuję tylko wstyd.

– Czego się wstydzisz?

– Że będę musiał zdradzić.

Skazańcy podsłuchali przeprowadzoną w kaplicy więziennej rozmowę i roznieśli jej zniekształconą treść po wszystkich pawilonach, wszystkich piętach i celach. Powtarzano ją, dyskutowano, analizowano i próbowano jakoś zinterpretować. Nie wzbudziła zachwyty. Kogo on chce zdradzić? Kogo zamierza sypnąć? Więźniowie lubią i poważają twardego chłopów, którzy w obliczu śmierci zachowują zimną krew – nie drżą, nie skamlą, nie wyją po nocach. Postawa Bernarda urągała jednak dobrym obyczajom. Zbyt lekko ważył sobie życie pan Profesor; jadł, spał, czytał, ćmił papierosy, spacerował beztrąsko, jakby stryk był coraz dalej, nie bliżej. Nie odłożył się jeszcze w ich pamięci facet, który nie zacząłby w końcu pękać: nasłuchiwać kroków w korytarzu, wzdrygać się na dźwięk otwieranych drzwi

i odsuwanego judasza, zapadać raz po raz w swoje ponure myśli i uciekać w złudne nadzieje. Bernard tymczasem sprawiał wrażenie urzędnika na wczasach, co odzierało dumnych i zarozumiałych kryminalistów z glorii ich własnych, rozdętych nieszczęść, ich urojonych i niezasłużonych cierpień, ich tragicznego i parszywego losu. Skoro czekający na kata osobnik zachowuje się tak spokojnie, jakże ma zachować się człowiek odsiadujący śmieszłą karę dziesięciu czy dwunastu lat więzienia? Łzy w tej sytuacji wydają się zbędne, a tęskne, grafomańskie piosenki – nie na miejscu.

Okradł ich Bernard z czegoś i pomniejszył. No i zapowiedział zdradę. Dotknięci poczuli się nawet wychowawcy i strażnicy. Cwajbrat, Micha i Pietruch zaczęli od Profesora stronić, a kiedy nie przyniosło to oczekiwanych rezultatów, przystąpili do wyrafinowanych, pełnych fałszywego współczucia opisów, jak TO naprawdę wygląda, jak i kiedy będzie można poznać, że TO nadchodzi.

– Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, nie ma już dla pana de la sząsą – mówił słodkim jak ulepek głosem Cwajbrat.

– Nie ma już, nie ma. Rychło przyjdą – dobijał Micha biegly w kryminalnej rutynie, a Pietruch, który lubił trzymać się konkretów, walił po oczach: – Lada dzień zaczną pana rozprawadzać, żebyś się pan przyzwyczaił do samotnego wyjścia z celi: nie na wspólny spacer, nie na telewizję, ino odryglują zasuwę i będą co i raz wrzeszczyć: „Tarnowski (mylił z uporem nazwisko Bernarda) do lekarza! Tarnowski do dentysty! do magazynu, do fryzjera, do łaźni!” a potem...

– Potem wywołają pana niby na widzenie albo na rozmowę z naczelnikiem i rzuci się raptem na pana „brygada hyc”, czterech lub sześciu w mundurach, silnych i obeznanym z robotą.

– I powloką pana na dół do mateńki szubienicy.

– I już pan do nas nie wrócisz

– Cała pociecha, że dają PRZEDTEM zapalić.

– Ale wody nie dają.

– Skąd!

Bernard słuchał uważnie, więcej w tym jednak było ciekawości niż strachu. Kreowany przez Bernarda obraz kłócił się wyraźnie ze znakomitym, nagrodzonym na wielu festiwalach filmem, który widział przed wpadką. Może reżyser niedostatecznie zdokumentował temat bądź celowo poprowadził go bokiem?

– Wieszają zazwyczaj wieczorem, po apelu. – Cwajbrat beknął i klepnął się w uczciwy brzuch, który nie schudł ani trochę na więziennym wikcie.

Łysa, jajowata głowa Michy przyświadczyła ochoczo:

– Szósta wieczór zazwyczaj. Ciach! a potem do wora, wór do trumny, trumna na cmentarz i wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze śpią, odbywa się na koszt więzienia pogrzeb.

– Trza uczciwie powiedzieć, panie kolego, że rodzina jest zawiadamiana – wspierał Bernarda na duchu Pietruch. – Przyjdzie ktoś?

– Co ma nie przyjść – odpowiedział w imieniu skazanego Cwajbrat. – Przyniosą wieńce i kwiaty, gość inteligentny, to postawią mu pomnik. – Tu zwrócił się wprost do Bernarda: – Spokojnie, panie Profesorze. Legniesz pan nie gorzej niż inne kościotrupy.

Wszyscy trzej byli zszokowani, gdy Bernard wybuchnął śmiechem. Rzadko mu się to zdarzało; nawet na wolności był powściągliwy w reakcjach i nieskory do idiotycznych rechotów, tym razem przecież zarykiwał się do łez.

Odtąd recydywiści rozmawiali już tylko między sobą. Ignorowali Bernarda, nie odbiegali jednak ani na chwilę od tematu – drążyli go, rewidowali, obracali w lewo i w prawo, spodziewając się jakby, że trafią wreszcie w czuły punkt. I trafili. Pietruch, chudy, łykowaty zwyrodnialec, który odsiadywał już czwarty wyrok i za kilka lat miał obchodzić w celi „srebrne wesele”, zwane także „dożywką z przerwami”, podrapał pazurem szczecinę nad wargą i mruknął ponuro:

– Najgorzej, jak się zepsuje zapadnia.

Ta pasjonująca możliwość zelektryzowała Cwajbrata; zmrużył zlepione ropą rzęsy, na policzki wypełzło okrucieństwo.

– A zepsuła się kiedyś?

– Zrozumiałe. W tamtym roku, jak mieli rozhuścić tego drania, co poćwiartował i spalił dziecko, a kości zapakował do walizki i utopił w rzece, wysiadło coś na dole w maszynierii i kat nie mógł go spuścić.

– W takich wypadkach – wtrącił Bernard – gość jest uratowany. Nie wolno wieszać skazańca dwa razy.

– Ale tam! Nie wolno! Zawołali cieślę, cieśla naprawił w pół godziny mechanizm i gość zadyndał.

Bernard zbladł. Wpatrywał się z nienawiścią w Pietrucha; rozczapierzył ręce, jakby chciał złapać go za gardło.

– Kłamiesz!

– Nie! – wrzasnął oburzonym głosem Pietruch. – Mówię prawdę. Zawsze mówię prawdę. Całe życie spędziłem w więzieniu i wiem o nim wszystko.

– I co ten skazaniec robił, jak naprawiali zapadnię?

– Czekał.

– Z pętlą na szyi?

– Chyba tak.

Bernard wypuścił zmagazynowane w płucach powietrze.

– Gdyby zdjęli mu pętlę i wyprowadzili poza celę śmierci, już by tam więcej nie wrócił.

– Wróciłby – bąknął Pietruch. – Niby czemu miałyby nie wrócić?

– Bo jest taki obyczaj.

– Nie ma takiego obyczaju. Wszystko gotowe, wszyscy na miejscu; wyrok trza wykonać i koniec!

Bernard machnął lekceważąco ręką, ale widać było, że nurtuje go jakaś myśl.

– Dobra, dobra – powiedział.

– Dobra to je pizda bobra – odpalił mściwie Cwajbrat.

– Pogadajcie sobie jeszcze, chłopcy. – Wziął książkę i udawał, że czyta.

Recydywiści wymienili znaczące spojrzenia. Co się stało? Czemu Profesorek tak zmarkotniał? Zawiodły go najwyraźniej jakieś rachuby. Pękła w nim jakaś mocna stalowa nić, pozwalająca zachować dobre samopoczucie i kamienny spokój. Z czym ona mogła się wiązać? Może z tymi dwunastoma brakującymi

melonami, których gliniarze w żaden sposób nie zdołali odnaleźć. Poszły niby na jakieś długie i łapówki. Co się za tym kryje? Kto za tym stoi? Trza jeszcze ponakłuwać Profesorka!

Czytał, a tych trzech: Cwajbrat, Micha i Wincenty Pietruch, popisywało się swoją niekwestionowaną wiedzą, której nie zdobędzie żaden człowiek, żaden pisarz i żaden filmowiec, jeśli nie przesiedzi w pudle uczciwych kilkunastu lat.

Bernard nie miał wątpliwości, że wyłania się oto przed nim straszliwy i bezsprzecznie autentyczny obraz tej potwornej ceremonii, że ci ludzie nie improwizują, nie kłamią, nie zmyślają, że dowiedzieli się o tych wszystkich okropnościach z wiarygodnych źródeł, z pierwszej ręki, z ust świadków, których oczy przyglądały się niejednej egzekucji, a ich ręce wspomagały kata.

– Przy huśtawce jest zawsze, musowo! prokurator – otworzył Cwajbrat wielkiego szlema.

Podobny do arbuza łeb Michy drgnął potakująco:

– Prokurator i naczelnik zakładu karnego, który wydaje wszystkie dyspozycje i kieruje sprawą od początku, nim jeszcze wywołają kaesiaka z celi. Tego dnia szybciej dają obiad, szybciej kończy się robota, nieraz nawet szybciej robią apel, bo chcą mieć pewność, że wszystkie są pod kluczem. Dobrze mówię, Pietruch?

– Dobrze – przytaknął zwyrodnialec, smyrając pazurem zarost na żółtej kościstej szczęce. – Im się zdaje, że utrzymają hecę w tajemnicy, że pociągną grzecznie, cicho i spokojnie, ale chłopaki zawsze wiedzą o huśtawie, z miejsca, od samego rana. Nieraz klawisz jeszcze nie wie, a chłopaki wiedzą.

– Bo są mądre.

– I mają niucha.

– I jak go wlecze „hyc brygada”, to śpiewają we wszystkich celach.

– Albo i tupią.

– Albo walą łyżkami w michy.

– Nic się przed więźniami nie da ukryć.

– Nic.

Popatrywali na Bernarda z nadzieją, że hardy gość objawi dalsze oznaki niepokoju, ten wszelako ćmił w najlepsze papierosa i jak gdyby wrócił już do siebie. Czytał, drań. No, czytał!

Bardzo to zraniło godność osobistą Pietrucha. Zwyrrodnialec postanowił zatem powiedzieć jeszcze parę słów, były to jednak słowa tak kompetentne, że nawet Micha i Cwajbrat zerkali na kamrata podejrzliwie.

– Przy egzekucji musi być w pierwszym rzędzie główny bohater widowiska, czyli gość z biletem w jedną stronę. Potem, jak żeś pan słusznie zauważył, panie kolego (więźniowie mówią z reguły do siebie po imieniu bądź przezwisku, Pietruch jednak lubił wyrażać się ceremonialnie), nie może zabraknąć prokuratora (kiwnął głową Cwajbratowi) i naczelnika zakładu karnego (puścił oko do Michy). Do ostatniej chwili jest „hyc brygada”, która trzyma skazanego i pcha jego głowę pod sznur tak, że kat ma już niewiele roboty, a pomocnik kata reguluje pokrętło, aby nogi gościa stanęły dokładnie na zapadni. Jest zawsze lekarz ze słuchawkami, bo musi stwierdzić zgon. Jest zawsze w rezerwie ksiądz, gdyż delikwent, wierzący czy niewierzący, może zażądać spowiedzi, aby zyskać na czasie. Co do adwokata, który bronił skazanego przed sądem, to może on być, ale nie musi.

Cwajbrat, pospolity rzezimieszek, wybałuszył ślepią.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał cicho, z respektem.

Obłą, bezwłosa brew Pietrucha podskoczyła do góry i zastygła w zagadkowym uśmiechu. Pytanie pozostało bez odpowiedzi, nie znaczy to przecież, że zwyrrodnialec poskąpił kamratom dalszych drobiazgowych wyjaśnień:

– Jeśli się rozchodzi o władze więzienne, to poza naczelnikiem biorą także udział w huśtawie dowódca zmiany, kierownik działu ochrony oraz kierownik rozmieszczenia i ewidencji. Obecność tego ostatniego jest konieczna.

– Czemu?

– Zgadnijta.

– Co będziemy zgadywać – rzekł w imieniu własnym i Michy podminowany Cwajbrat. Jego ślepią były teraz nieufne, czujne, dociekliwe, jakby przyszło mu nagle do głowy, że... kurwa! to

chyba niemożliwe... ale chodzą po więzieniu dziwne słuchy... Urki przebąkują, że ON jest na miejscu, że pracuje na dwóch etatach. Trza uważać! Nie wolno drażnić faceta.

– Mów, Pietruch! Nie rób de la sensacją!

Zwyrodnialec poruszył kilkakrotnie zarośniętą, chudą jak u zmory szczęką i błysnąwszy okiem w zaczytanego Bernarda oświadczył:

– No przecie rozmieszczenie i ewidencja zmienia się po egzekucji, tak czy nie? Stan skazanych będzie o jednego mniejszy; do naszej celi przeniosą kogoś albo nie, trzeba to jednakowoż odnotować w papierach. Musi być ład i porządek.

W połowie czerwca przepowiednie recydywistów zaczęły się sprawdzać. Z każdym dniem gęstniała atmosfera w drugim pawilonie; każdego dnia, o różnych porach i pod byle pretekstem, Bernard wyprowadzany był z celi. Odwiedził go ponownie obrońca, Andrzej W.

Są w aresztach śledczych i zakładach karnych trzy rodzaje widzeń:

Ogólne, w wyznaczonym dla zbiorowych wizyt terminie (rozmawia się zwykle przez telefon, a między odwiedzającymi i więźniami sterczy szyba);

Przy stoliku (spotkanie w oddzielnym pomieszczeniu pod okiem strażnika);

Bezdozorowe (gość i więzień spotykają się w jakimś pokoju bez świadków).

Andrzej W. postarał się o widzenie bezdozorowe, chociaż w gruncie rzeczy panowie nie mieli sobie nic ważnego do powiedzenia – Bernard był zakłopotany, zaś elokwentny w sądzie mecenas tu, w ciasnej szarej nyży o zakratowanym oknie, jąkał się albo milczał, na próżno szukając słów pocieszenia.

Dopiero w momencie rozstania, kiedy obydwaj stali już przy drzwiach, Bernard zelektryzował lekko prawnika.

– Z widzenia, to ja pana znam od dwudziestu kilku lat – powiedział z ledwo uchwytnym akcentem.

Andrzej drgnął. Jego smutna, znużona twarz przedwcześnie postarzałego człowieka bez prawdziwego domu, bez rodziny, bez

złudzeń, twarz zgorzkniałego i samotnego mężczyzny, który je od przypadku do przypadku, na chybcika, w stołówkach i barach mlecznych, poczerwieniała gwałtownie, a oczy wpatrywały się koso w skazańca.

Milczał.

– Zamordowali panu wtedy dziewczynę – ciągnął Bernard. – Była to najpiękniejsza dziewczyna w mieście... Mordercy bodajże nie wykryto?

– Nie – przytaknął Andrzej. Zbladły mu nie tylko usta. Trupio blade były również okolice ust i nozdrza.

Bernard zastanawiał się bezsensownie, czemu w chwilach największych wzruszeń ludzka twarz jest na przemian czerwona i blada.

– Dziwne to było morderstwo. – Zmarszczył czoło, jakby chciał dogonić przekorną, wciąż uciekającą myśl. – Gwałt, ale bez rabunku. Zginęła tylko jakaś broszka.

Twarcz Andrzeja W., blada przed sekundą, splonęła chorym, ceglastym rumieńcem.

– Tak – powiedział. – Zginęła tylko jakaś broszka.

– Z brylancikami?

– Widzę, że dużo pan o mnie wie. Czemu jednak... czemu mówi pan o tym?

– Bez wyraźnego motywu, panie mecenasie. No, powodzenia!

– Pan mi życzy powodzenia – szepnął z goryczą adwokat. – Akurat pan życzy mi powodzenia!

Potem go wzięli. We wtorek dwudziestego czerwca, po apelu, w odryglowanych drzwiach stanął klawisz i zakomunikował naturalnym, najnormalniejszym tonem: „Widzenie” – a Bernard złapał w jego oczach błysk i już wiedział.

Za kolanem korytarza runęła na ofiarę „brygada hyc”. W takich momentach skazańcy tracą zazwyczaj władzę w nogach – moczą się, defekują, jęczą, płaczą, omdlewają, ale są i tacy, którzy rozpoczynają szaleńczą walkę o życie: drapią, kopią, rozdają na oślep ciosy, padają na ziemię, szukają rozpaczliwie dla rąk jakiegoś punktu zaczepienia. Są tacy, którzy próbują rozwalić sobie głowę o mur, i tacy, którzy próbują własnoręcznie się

udusić. Do celi straceń skazaniec wleczony jest jak ustrzelony zając – powłóczy grzbietami stóp, a „brygada hyc” go ciągnie. Bernard reagował wbrew wszelkim bogatym doświadczeniom strażników; wbrew oczekiwaniom tych sześciu roślących chłopów w sztywnych czapkach i szarych mundurach. „Brygada hyc” jest stała i niezmienna, nie każdy bowiem nadaje się do tej pracy, nie każdy potrafi znieść związane z nią emocje. „Hyc brygada” to przecież kilku dodatkowych katów, którzy w haniebnym akcie uśmiercania mają większy udział niż ten, co zaciska pętlę na szyi. A jednak ci ludzie poluźnili chwyt na ramionach Bernarda, widząc, że nie napina mięśni, że nie stawia żadnego oporu, że jego twarz nie zmieniła się ani trochę.

– Chodźmy, przyjaciele – powiedział.

Spojrzeni po sobie, tych sześciu twardych, roślących chłopów.

– A wiesz, gdzie idziemy? – zapytał zdumiony hyc o dwóch belkach nad daszkiem czapki.

– Wiem.

W celach wybuchła wrzawa: dzwonienie, tupanie, walenie pięściami w drzwi, śpiewy i wrzaski. Więźniowie zegnali Bernarda, składali mu ostatni hołd.

Schody.

Krótki, ślepy korytarz.

Cela podobna od zewnątrz do wszystkich innych cel: judasz, zamek na klucz i dwie zasuwki.

Weszli do środka i kiedy hyc z dwiema belkami na czapce zamknął drzwi, wrzawa w celach drugiego pawilonu skończyła, jakby ją ktoś odciął nożem.

Było cicho. Było straszliwie cicho w tej celi, która od wewnątrz różniła się od wszystkich innych cel. Po prawej stronie opierał się jednym bokiem o ścianę drewniany kwadratowy stół z czarną żelazną lampą i czarnym ebonitowym telefonem. Przy stole tkwiły naprzeciw siebie dwa taborety niczym dwa skrócone o głowę kadłubki, a na wprost ściany było krzesło z oparciem i metalowa popielniczka na nóżce. Za stołem majaczyły drzwi do jakiegoś pomieszczenia, w którym kat i pomocnik kata przechowywali zapewne akcesoria i przyrządy. U sufitu wisały

krągłe szklane laski jarzeniowego światła. Na wprost drzwi wejściowych, niby przebieralnia w dużym luksusowym magazynie, przyciągała wzrok obszerna, wydzielona część celi. Składała się ona z dwóch murowanych boków. Boki te połączone były u góry prętem, a na pręcie zamocowana była dwuczęściowa zielona, sięgająca podłogi kotara.

Okna nie było. Nie, nie było żadnego okna, wszelako jakaś mucha oderwała się od ściany i przeleciała nad Bernardem jak bombowiec.

Skąd? – pomyślał. – Skąd mucha w tym hermetycznym bunkrze?

Patrzył na zgrupowanych po obydwu stronach „przebieralni” mężczyzn. Dotrzymał słowa mecenas Andrzej W. Przyszedł. Stał obok prokuratora siny i drżący. Prokurator, kostyczna uczciwość w okularach, niewysoki, czujny i posępny, z bladym, ale zdrowym, dość przystojnym i dość pospolitym obliczem, w eleganckim szarym garniturze (Andrzej W. miał na sobie adwokacki strój), w ręku trzymał coś, co przypominało pracę dyplomową w sztywnych brązowych okładkach. Asystował mu po lewej stronie naczelnik więzienia. Było także wielu innych, nieznanym Bernardowi funkcjonariuszy z różnymi dystynkcjami na rękawach, a jeden zarzucił sobie na plecy jak karabin krótkofalówkę. Był ksiądz w białej sutannie; podszedł i przekreślił kciukiem czoło Bernarda. Było także dwóch cywilów – pierwszy w rudej, drugi w granatowej koszuli. Koszule alarmowały wśród mundurów, wśród oficjalnych szat adwokata, księdza i lekarza, który tkwił samotnie pod ścianą w śnieżnobiałym fartuchu, a na piersiach miał słuchawki.

Znowu przeleciała nad Bernardem mucha, bzyząc i waląc o drzwi. Prokurator otworzył „pracę dyplomową”, utkwiał w Bernardzie swoje nieczytelne, bezpieczne za szkłem okularów oczy i zerwał pakt milczenia. Pytania, które stawiał suchym, wojskowym głosem, sprawiały wrażenie, że to przewodniczy komisji poborowej, która też często strąca do piekieł.

– Imię?

Odpowiedź.

– Nazwisko?

Odpowiedź.

– Data urodzenia?

Odpowiedź. Ale odpowiedź szokująca, która ścięła obecnych, a potem zelektryzowała całe więzienie. Bernard cisnął:

– Tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty, Łódź. Bardzo przepraszam, panie prokuratorze, że nie mam przy sobie dowodu.

Prokurator przełknął niespodziewaną i niesamowitą zaczepkę. Mężczyzna w granatowej koszuli, metr dziewięćdziesiąt, szczupły, z łysym ciemieniem i wygolonymi skrońmi, z twarzą kamienną, nieruchomą, wypreparowaną jakby z wszelkich mięśni, a tym samym z wszelkich uczuć, z oczyma o bladych, nieprzejrzystych źrenicach i dobrze widocznych z daleka rzęsach albinosa, patrzył na Bernarda tak, jak patrzę na turystę ślepe greckie posągi. A przecież coś błysnęło w tej twarzy. Coś przemknęło przez nią jak promień. Coś jakby podziw, jakby uznanie albo współczucie dla tego postawnego, męznego skazańca w więziennym kombinezonie koloru mlecznej kawy o granatowych naszytych kieszeniach i luźnym granatowym kołnierzyku.

Prokurator poprawił okulary i pewnym, dobitnym, niezmiennie tym samym tonem odczytał wyrok:

– Skazany na śmierć. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski.

Hyc, który ścisnął prawe ramię Bernarda, puścił je i wydobył z kieszeni paczkę wiarusów.

– Wolałbym coś mocniejszego – powiedział Bernard.

Zbliżył się ten w granatowej koszuli.

– Popularne?

– Mogą być.

Strzelił zapalką i podał mu ogień w kielichu rąk. Hyc z dwiema belkami przysunął metalową popielniczkę. Ksiądz postąpił dwa kroki.

– Chcesz się wypowiadać, chłopcze?

Bernard wydmuchnął dym i skinął głową:

– Tak, ale zrobię to głośno.

Ten w granatowej koszuli zdekonspirował się; był już gotów, trzymał w sękatach, artretycznych palcach czarną opaskę. Spojrzał na prokuratora, a prokurator poruszył nieznacznie głową. Hyc wyłuskał Bernardowi niedopałek z ust i rozgniół go w popielniczce. Ten w granatowej koszuli, kat, stanął za plecami Bernarda, aby przewiązać mu oczy czarną aksamitną opaską. Tymczasem przystąpił również do dzieła człowiek w koszuli rudej: rozsunał oburącz ciężką zieloną zasłonę i stanął przy pokrętle po prawej stronie szubienicy. Nad dwuczęściową zapadnią, kryjącą niewidoczny plastikowy pojemnik na odchody, wisiała lina ze spiralnym zaciąganiem. Kiedy ubrany w rudą koszulę pomocnik kata trącił korbę, umieszczoną mniej więcej na wysokości szyi Bernarda, pętla zafalowała, jakby dmuchnął w nią wiatr. Na bocznej ścianie po lewej stronie szubienicy, półtora metra od podłogi, błyszczała połączona z zapadnią rączka – to właśnie ona wykreśla ludzi z rejestru żywych.

Hyc chwycił z tyłu Bernarda za przeguby rąk i położył mu łapę na potylicy. Dwóch innych hyców unieruchomiło Bernardowi ramiona. Kat zawiązywał już opaskę na supeł. Prokurator krzyknął histerycznie:

– Wykonać!

Bernard targnął w ostatniej chwili głową i opaska zsunęła się z oczu.

– Chciałbym złożyć oświadczenie – powiedział. – Nie muszę chyba robić tego po ciemku?

– Proszę mówić – szczechnął rozdrażniony, wyraźnie niezadowolony prokurator.

Kat podał opaskę hycowi i zajął miejsce przy szubienicy. Poruszył lewym i prawym obojczykiem. Hycy sfołgowały w chwytach, więc lewym i prawym obojczykiem poruszył także Bernard.

– Był trzeci uczestnik napadu – zakomunikował spokojnie, gdy tęgi, niski funkcjonariusz dopadł na rozkaz naczelnika stołu i zaczął stenografować. – Był i jest. Można go zwinąć. Można

odzyskać dwanaście milionów. Czekał w moim samochodzie za mostem. Dostarczył broń i motocykl.

– Dlaczego skazany mówi o tym dopiero teraz? – zapytał prokurator.

– Żeby żyć – odparł Bernard. – Gdybym wyznał to wcześniej, powiesilibyście mnie tak czy owak.

– On jest genialny – pomyślał Andrzej W. – Wytrzymał do osiemdziesiątej dziewiątej minuty meczu. Amerykański zbrodniarz, wysłuchawszy wyroku śmierci, doszedł do wniosku, że nie ma już nic do stracenia i przyznał się do kilkunastu innych gwałtów i zabójstw, wiedząc, że i tak pójdzie na krzesło. Pospieszył się. Bernard T. nie popełnił tego błędu. Bernard T. postanowił zmierzyć się z szubienicą i kto wie, czy nie ocali gardła.

– Jak brzmi nazwisko trzeciego uczestnika napadu? – Brwi prokuratora zmarszczyły się i zapadły w okularach.

Andrzej W. czekał w napięciu. Był przekonany, że Bernard wpadnie w pułapkę, ale skazaniec rozgrywał swoją partię po mistrzowsku.

– Tego nie powiem. To ujawnię dopiero w sądzie.

– Skazany konfabuluje, żeby odwlec moment egzekucji.

– Nie. Jeśli wyjdę stąd, wskażę miejsce, gdzie zakopane są kaski, rewolwery, rękawice i sakwojaż od pieniędzy. Wskażę również miejsce, gdzie nasz wspólnik zakopał swoją część łupu.

Mylił się Bernard, sądząc, że to wystarczy. Prokurator podniósł rękę i hyc z dwiema belkami zawiązał mu opaskę na oczach. Dwóch innych hyców unieruchomiło ramiona Bernarda, pchając go jednocześnie w szyję i w głowę. Cała brygada gotowa była ruszyć, a kat i asystent kata, każdy przy swoim instrumencie, jakby popędzali ją utkwionymi w skazańcu oczami. Straszliwie zdenerwowany prokurator, niekwestionowany dyrygent dramatu, nadał policzki. Polecenie: „Wykonać!” pęczniało mu w ustach, ale Bernard rzucił raptem na stół kolejne karty.

– Poczekajcie! – ryknął. – Trzeci uczestnik to morderca, którego poszukiwano dwadzieścia kilka lat za gwałt i zabójstwo dziewczyny! – Wywrzasnął nazwisko Joanny. – Ja nie kłamię! –

Skierował zakryte oczy tam, gdzie stał sparaliżowany adwokat i zaliczył, oddając mu życie w depozyt: – Panie mecenasie, broszka!

W głowie i w sercu Andrzeja zapłonęło sto różnych błyskawicznych uczuć i myśli. Podziw, ulga, zniechęcenie, strach, miłość, żal i nienawiść. – Cyniczny drań! Cały czas o tym wiedział! Trzymał to w rękawie jak asa! – Ważyły się losy Bernarda. Ważyły się w tym ułamku sekundy, kiedy adwokat toczył bój z sumieniem.

Mogę powiedzieć: „Jaka broszka?” – Zawiśnie i będę miał spokój. Mogę również powiedzieć: „Tak, panie prokuratorze, broszka! Teraz już wiem, kto jest zabójcą dziewczyny i trzecim uczestnikiem napadu”. – Skoro to wiem, Bernard jest niepotrzebny; musi dać gardło! Nie chciałbym jednak tego oglądać. Nie, trzeba walczyć! Trzeba dobrać właściwe słowa. – I Andrzej W. podjął licytację:

– Broszka, panie prokuratorze. On mówi prawdę.

– Pan zna tę prawdę?

– Nie – skłamał Andrzej. – Ale domyślam się jej. Zamordowana dziewczyna była moją narzeczoną, a broszka, którą ofiarowałem Joannie w prezencie zaręczynowym i którą zabrał morderca, należała kiedyś do mojej matki. Rozpoznam ją. Ręczę za to słowem honoru i praktyką. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że skazany mógłby ujawnić wstrząsające fakty, związane z tym podłym niewykrytym morderstwem i napadem na bank. Musi pan zawiesić egzekucję!

Tęgi funkcjonariusz stenografował jak szalony, a zdenerwowany do granic hysterii prokurator, czerwony jak transparent i dygocący z wściekłości, szepnął złowieszczo:

– Pan dobrze wie, mecenasie, że nie wolno mi zawiesić egzekucji. Pod żadnym względem i pod żadnym pozorem! Mogę wysłuchać oświadczenia i na tym koniec. Nie jestem tu po to, aby sądzić i roztrząsać fakty. Jestem tu wyłącznie po to, aby doprowadzić do prawidłowego wykonania wyroku. Wyrok musi być wykonany!

Dopiero teraz popuściły Bernardowi nerwy. Dotąd, w sądzie i w więzieniu, wierzył, że jest nietykalny, teraz wiara wyciekła

z niego z każdym oddechem. Zwiotczał w ramionach „hyc brygady”, która znowu była gotowa i tylko czekała na sygnał, wykręcając mu ręce i zginając kark, aby trafić precyzyjnie głową w pętlę.

Przypomniał sobie raptem Bernard wykłady Pietrucha: jedynie chory i kobieta ciężarna nie idą na sznur. A Cwajbrat basował: nie ma już dla pana de la szasa, nie ma! Pietruch dobijał: gdyby, dajmy na to, kat źle się poczuł i odmówił powieszenia, prokurator, panie kolego, musiałyby zawiązać panu krawat własnymi rękami, musiałyby powiesić pana osobiście. Takie są przepisy. Takie jest prawo. Wyrok musi być wykonany! Musi!

Wszelako Andrzej W. huknął nagle prokuratorowi w twarz:

– Nie musi!

– Pan sobie uzurpuje! – Prokurator skierował wzrok na stół, przy którym bazgrolił funkcjonariusz. Mucha strzeliła w lampę, zakołowała i usiadła na czarnym telefonie. – Pan ma czelność ingerować...

– Nic podobnego.

– Nie było po wojnie takiego precedensu!

– Więc niech pan stworzy precedens!

– W żadnym razie!

Teraz Andrzej zatrzymał wzrok na telefonie, zastanawiając się, czy jest to interkom, czy aparat z wyjściem na miasto. Syknął z jawną pogrozką:

– Woli pan uśmiercić za wszelką cenę, niż odzyskać dwanaście milionów i aresztować groźnego zbrodniarza?

– Obowiązują mnie przepisy i prawo.

– Najwyższy czas, żeby zaczęła obowiązywać pana sprawiedliwość! – wrzasnął rozsierdzony adwokat. – Najwyższy czas, aby pomyślał pan również o interesie społecznym!

Ten przy stole notował bez przerwy. Twarz prokuratora gorzała nienawiścią i paniką. Trzeba podjąć jakąś decyzję. I to już! W lewo lub w prawo!

Kat dotknął zniecierpliwionym gestem sznura. Jego asystent pochylił grzbiet i zacisnął palce na korbie. „Brygada hyc” spięła się do skoku. Bernard omdlał, a potem odzyskał przytomność; mocz

wsiąknął w nogawkę i spływał na podłogę. Andrzej pomyślał, że szewc tak czy owak nie uniknie kary. Ksiądz szeptał pacierz. Lekarz położył obie ręce na słuchawkach. Protokolant odszedł od stołu. Mucha wykonała nad Bernardem kolejny bojowy lot, tłukąc całą siłą rozpędu w ścianę nad szubienicą.

W celi zapadła śmiertelna cisza nadziei i grobu.

Nie trwała długo.

Prokurator poprawił okulary i otworzył usta.

[1] William Szekspir, *Hamlet. Królewicz duński*, akt I, scena III, w przekładzie Józefa Paszkowskiego, Kraków 1909.

[2] William Szekspir, *Makbet*, akt IV, scena I, w przekładzie Józefa Paszkowskiego.